Lance Armstrong

Liczy się każda sekunda

Sally Jenkins

2004 r.

Wstęp do polskiego wydania

Kolarstwo jest sportem dość skomplikowanym, nie łatwo więc w kilku słowach wytłumaczyć wszystkich niuansów tej dyscypliny. Podobnie człowiek. Czy jest ktoś na świecie, kto zna wszystkie tajemnice organizmu ludzkiego? Nie. No, ale jest cała armia specjalistów, lekarzy, psychologów, socjologów, którzy starają się poznać i opisać zjawiska rządzące człowiekiem, jego życiem. Dodajmy więc teraz człowieka o szalenie poplątanym życiu, a do tego kolarza, ba, jeszcze Amerykanina z Teksasu, a trzeba wiedzieć, że cyklistyka w Stanach jest tak mało popularna jak u nas baseball. Konglomerat, jak się patrzy.

Na szczęcie bohater to Lance Armstrong, który postanowił drugi raz przybliżyć nam swoje życiowe i sportowe losy.

W porównaniu z pierwszą książką w „Liczy się każda sekunda" jest więcej sportu. Wszystkim kibicom wydaje się, że pięciokrotnego zwycięzcę Tour de France znają jak kolegę z podwórka. Tymczasem książkę czyta się z zapartym tchem, tak jak z zapartym tchem ogląda się kolejne etapy „Wielkiej Pętli". Dlaczego? Bo Armstrong wszystko tłumaczy. Dzięki książce możemy poznać jego uczucia, myśli, zachowania - także w życiu prywatnym. To swoisty przewodnik napisany przez pięciokrotnego triumfatora z Paryża w przeddzień jego szóstego (?), historycznego sukcesu.

Lance jest nie tylko autorem, bohaterem, ale także trenerem, psychologiem, lekarzem. Wszystkim!

Wiele lat spędziłem na rowerze. Przejechałem wcale nie mniej kilometrów niż Lance, jechałem w Tour de France, uważnie śledzę bieżące wydarzenia kolarskie, ale z tej książki dowiedziałem się tylu nowych faktów...

Śmiało więc mogę ją Państwu polecić.

Czesław Lang

Podziękowania

Autorzy pragną podziękować następującym osobom, ponieważ bez nich pisanie książki ani by się nie rozpoczęło, ani nie zostałoby ukończone.

Billowi Stapletonowi, Bartowi Knaggsowi i Lee Walkerowi, którzy służyli celnymi radami i umacniali mnie w wierze w prawdziwą przyjaźń. Jimowi Ochowiczowi, doktorowi Craigowi Nicholsowi, Johanowi Bruyneelowi, George'owi Hincapie, Jeffowi Garveyowi i Dougowi Ullmanowi, którzy oferowali mi swoją przyjaźń, a także wyświadczali nieocenione przysługi przy różnych okazjach. Sally Reed i wszystkim pracownikom fundacji. A także niezliczonej rzeszy znajomych, m.in. Scottowi MacEachrenowi, Dave'owi Mingeyowi i Ryanowi Streetowi, którzy dzielili się ze mną swoimi wspomnieniami i poglądami. Stacy Creamer z wydawnictwa Broadway Books, która była wielkodusznym i niezwykle cierpliwym redaktorem. Stuartowi Calderwoodowi za troskliwą opiekę, którą sprawował nad maszynopisem.

Najgorętsze podziękowania składam jednak mojej rodzinie i mojemu zespołowi, Big Blue, wierząc, że wszyscy doskonale to rozumieją.

ROZDZIAŁ I

WYRZUCONY DO ŚWIATA ŻYWYCH

Wygląda na to, że będę żył - przynajmniej przez następnych 50 lat, a może dłużej. Ale ilekroć potrzebuję się w tym upewnić, a czasami tak się zdarza, wyjeżdżam do miejsca, zwanego Dziurą Martwego Człowieka, i gapię się w dół. Zdecydowany na wszystko zdejmuję koszulę i skaczę w coś, co jest czymś wyjątkowym.

Jest to oczywiście mój własny sposób na kontrolę sił witalnych. Dziura Martwego Człowieka to duża zielona sadzawka, bogata w minerały, wyżłobiona w wapiennej skale i tak starannie ukryta wśród pagórków Teksasu, że trudno tam trafić. Krąży o niej wiele legend. Według jednej z nich konfederaci topili w jej wodach sympatyków unii, a według innej Apacze zwabiali tam niczego nie podejrzewających kowbojów, którzy nie wiedzieli, że przed nimi rozciąga się urwisko. W każdym razie tak polubiłem to miejsce, że kupiłem w pobliżu 200 akrów zarośniętych krzakami i pokrytych pastwiskami, a jeżdżąc tam samochodem, wyrobiłem w miękkiej ziemi drogę. Wydaje się naturalne, że miejsce zwane Dziurą Martwego Człowieka powinno należeć do faceta, który prawie był już martwy - a który odzyskawszy życie na nowo, nie zgadza się na wegetację.

Stoję obok czternastometrowego wodospadu i przyglądam się spadającej wodzie - przyglądam się też sobie. Spad jest na tyle długi, że na sam widok zasycha mi w ustach. Wydaje mi się, że lecąc w dół, zdąży się rozważyć więcej niż tylko jedną myśl. Najpierw może przyjść ci do głowy: „Trochę strachu nie zaszkodzi", a potem: „Dobrze, że umiem pływać", i jeszcze, gdy już uderzasz o taflę wody: „Cholera, jaka zimna!" Kiedy skaczę, znajduję niezbite dowody na to, że naprawdę żyję: przyspieszony puls, uporczywy odgłos oddechu i kołatanie w piersi - to moje serce, które niczym nieposłuszny więzień wali w kraty mojej klatki piersiowej.

Wypływam na powierzchnię, wydając radosne okrzyki, pokonuję spienioną wodę i dopływam do skalistego brzegu. Wychodzę z sadzawki, wycieram się i wracam do domu do trójki moich dzieci. Otwieram z hukiem drzwi, wołam syna Luke'a i córki bliźniaczki: Grace oraz Isabelle. Całuję je w szyje, jedną ręką biorę puszkę piwa shiner bock, a drugą obejmuję dzieci.

Kiedy zrobiłem to po raz pierwszy, moja żona Kik spojrzała na mnie i wywróciła oczyma. Wiedziała, gdzie byłem.

- Masz teraz jaśniejszy umysł? - zapytała.

* * *

Jak to się stało, że uniknąłeś śmierci? Może nie była mi jeszcze pisana albo po prostu nie chciałem umrzeć.

Wiem, że w szpitalnych łóżkach leżą chorzy przypięci do przeklętych stelaży z kroplówkami, patrzą, jak przeklęta chemia wnika w ich żyły, i zastanawiają się: „Ten facet chorował na to samo co ja. Jeśli jemu się udało z tego wyjść, to i mnie się uda". Myślę o nich przez cały czas.

Mój przyjaciel, Lee Walker, mówi, że zostałem „wyrzucony". Chodziło mu o to, że kiedy niemalże umarłem, a całkiem możliwe, że naprawdę trochę umarłem, zostałem ponownie wyrzucony do świata żywych. Jest to dobre określenie tego, co mi się przydarzyło. Miałem 25 lat, kiedy rak prawie mnie zabił: zaawansowany nowotwór kosmówkowy zaatakował brzuch, płuca i mózg, a żeby się go pozbyć, musiałem przejść dwie operacje i poddać się czterem cyklom chemoterapii. Potem napisałem książkę o tym pt. Mój powrót do życia. Nie tylko o kolarstwie. Pisałem w niej o spotkaniu twarzą w twarz ze śmiercią i o tym, jak w ostatniej chwili uciekłem z jej sideł.

- Jest pan pewien? - zapytałem lekarza.

- Jestem pewien.

- Jak pewien?

- Bardzo.

- Jak może być pan tak bardzo pewien?

- Jestem tak bardzo pewien, że wyznaczyłem operację na jutro na 7 rano.

Do podświetlanej tablicy przypięto zdjęcie rentgenowskie mojej klatki piersiowej. Kolor czarny oznaczał zdrowe tkanki, biały - raka. Fotografia przypominała burzę śnieżną.

Wówczas nie zastanawiałem się, bo nie potrafiłem, nad przyszłością. Kiedy upewniasz się, że będziesz żyć, musisz zdecydować o tym, jak będziesz żyć, i nie jest to wcale łatwe. Zadajesz sobie pytanie: „Teraz, kiedy już wiem, że nie umrę, co mam robić? Jak najlepiej wykorzystać własne życie?" Te rzeczy nie idą w parze, są tajemniczą kalkulacją. Jeśli chodzi o mnie, najlepszym wykorzystaniem mojego życia był udział w Tour de France, najbardziej wyczerpującej imprezie sportowej na świecie.

Za każdym razem, gdy wygrywam kolejny Tour de France, mam dowód na to, że żyję

- i upewniam się, że inni również mogą zwyciężyć chorobę i żyć. Pokonałem nowotwór jeszcze raz i jeszcze raz, i jeszcze raz, i jeszcze raz. Czterokrotnie wygrałem Tour de France, i nie mam nic przeciwko, żeby wygrać ten wyścig - wyrównując rekord - po raz piąty. Byłoby to jakieś ekscytujące przeżycie.

Nie wygrałbym ani jednego wyścigu Tour de France, gdyby nie nauka wyciągnięta z choroby. Teraz wiem to na pewno: ból jest przemijający, a skutki rezygnacji pozostają na zawsze.

Ukończenie Tour de France jest dla mnie po prostu potwierdzeniem tego, że wygrałem z chorobą. Uciążliwość wyścigu, niedorzeczność przedsięwzięcia, objazd całego kraju na rowerze, pedałowanie od miasteczka do miasteczka, posuwanie się wzdłuż wybrzeża, przejazd przez mosty, wspinanie się na szczyty górskie, które tam nazywają cols, wymaga niemal nadludzkiej siły. Wyścig jest tak wyczerpujący, że holenderski kolarz, Hennie Kuiper, powiedział kiedyś po pokonaniu górskiego podjazdu: „Poczerniało mi w oczach. Widziałem czarny śnieg przed sobą". To oczywiste, że chorzy nie mają dość sił, aby ukończyć wyścig. Tour de France jest codzienną areną ludzkiego cierpienia, małych tragedii i komedii, doświadczaniem żywiołów, niekiedy okropnej, a niekiedy cudownej pogody, pokonywaniem równin i stawianiem czoła silnym wiatrom i licznym wypadkom. A trwa to trzy tygodnie. Jeśli zastanowisz się, co robiłeś trzy tygodnie wcześniej, wydaje ci się, że było to rok temu.

Wyścig bardzo przypomina życie - oczywiście z tą różnicą, że trwa krócej i kończy się nagrodą. O życiu nie da się tego samego powiedzieć.

Moja historia nie zakończyła się dla mnie na szczęście ostatecznie. Pokonałem raka, a mój comeback jako kolarza został przypieczętowany zwycięstwem w Tour de France w 1999 roku. Wszystko raczej przypominało początek niż zakończenie. Życie posuwało się naprzód własnym, niekiedy nieuporządkowanym, trudnym do pokonania torem. W kolejnych pięciu latach urodziło mi się troje dzieci, przeszedłem setki (naprawdę) testów na obecność dopingu, złamałem kark (dosłownie), wygrałem kilka kolejnych wyścigów, przegrałem kilka innych, przeżyłem również kryzys swojego małżeństwa. To tylko niektóre wydarzenia z mojego życia.

Jeśli odwiedzisz Armstrongów, zobaczysz małe dzieci biegające po całym domu. Luke urodził się nam: mnie i Kristin (Kik) Armstrongom jesienią 1999 roku, niedługo po moim pierwszym zwycięstwie w Tour de France, a bliźniaczki - jesienią 2001. Grace i Isabelle mają niebieskie, okrągłe oczy i przemykają przez pokoje z niewiarygodną szybkością. Lubią wdrapywać się na meble, na których, trzęsąc się ze strachu, zastanawiają się nad kolejną psotą. Isabelle uwielbia bawić się przy zlewozmywaku, naciskać dźwignię

baterii i doprowadzać do powodzi w kuchni. Zabawie towarzyszy zwykle jej nieopanowany śmiech.

- Nie, nie - mówię do Isabelle, ale ona tylko kręci główką i nie przestaje się śmiać, podczas gdy woda leje się na podłogę. Nie mogę się doczekać dnia, gdy skończy już dziesięć lat.

Luke także ma swój udział w tej wrzawie: jeździ rowerkiem po salonie, urządza wyścigi plastikowym samochodem albo ciągnie dziewczynki, siedzące na oddzielnych czerwonych platformach. Jest śmiały i uparty. Nosi kask kolarski w domu i nie chce go zdjąć nawet wówczas, gdy wychodzimy do restauracji. Naturalnie, wzbudzamy wtedy pewne zainteresowanie - ale lepsze to niż awantura, wywołana próbą zdjęcia kasku. Luke upiera się przy noszeniu kasku, ponieważ chce być gotowy na wypadek rowerowej wycieczki ze mną. Dla niego jazda na rowerze to sposób, w jaki jego ojciec zarabia na życie. Tak często trenuję, że kiedy dzwoni telefon, Luke mówi:

- Tata.

Pewnego popołudnia, kiedy pojechałem na lotnisko odebrać rodzinę, Luke spojrzał na mnie badawczo i powiedział:

- Tato, wyglądasz tak jak ja.

- Wyglądam tak jak ty? - zapytałem.

- Tak.

- Jesteś pewien, że nie ma tu innej osoby o takim wyglądzie?

- Jestem pewien. Zdecydowanie tylko ty wyglądasz tak jak ja.

Po naszym domu wałęsa się również kot, Chemo, i mały biały piesek, Boone. Kiedy poruszam się po mieszkaniu, muszę uważać, aby nie nadepnąć jakiegoś zwierzaka lub dziecka. Ostatnich kilka lat panował u nas prawdziwy chaos - nie obyło się również bez zabawnych historii. Trzeba było nakarmić tak dużo dzieci, dorosłych i zwierzęta. Czasami brałem karmę dla psa za jedzenie dla dzieci. Pewnego dnia Kik podała mi szklankę z płynem przypominającym zwykłą wodę.

- To smakuje jak Sprite - stwierdziłem.

- Wypij to - powiedziała.

Nigdy nie mogłem znaleźć właściwego klucza. Kiedyś sięgnąłem do kieszeni i wyciągnąłem ich cały pęk. Gapiąc się na nie, zdumiony zwróciłem się do Kik:

- Mam klucze do całego świata.

- Doskonale - skwitowała Kik.

Mam tak dużo kluczy, ponieważ potrzebuję wielu domów i samochodów w różnych

krajach i hrabstwach. Większość wiosny i lata, przygotowując się do Tour de France, spędzam w moim europejskim domu w Gironie w Hiszpanii. Po zakończeniu sezonu wyścigowego wracam do Austin. Nasza rodzina mieszka w domu znajdującym się w śródmieściu. Mamy też ranczo na wsi w górzystej okolicy. Moim ulubionym miejscem jest mały, dobrze ukryty przed światem, jednoizbowy pawilon, stojący na peryferiach Austin, na jednym ze wzgórz, z których rozpościera się widok na rzekę Kolorado. Po drugiej stronie rzeki rośnie stary, krzywy dąb, z którego zwisa gruby sznur. W gorące dni lubię się na nim rozhuśtać i wskakiwać w nurt rzeki.

Uwielbiam zgiełk, wywoływany przez moją liczną rodzinę. Czasem jestem nawet posądzany o powodowanie dodatkowego zamieszania, ponieważ wszyscy wiedzą, że nie cierpię spokoju i ciszy. Mam wrodzoną niezdolność do spokojnego siedzenia; tęsknię za działaniem i jeśli nie mam nic do roboty, po prostu coś wymyślam.

Moi przyjaciele nazywają mnie „Mellow Johnny". Jest to parafraza francuskiego terminu, oznaczającego lidera Tour de France, noszącego żółtą koszulkę: maillot jawne. Żartujemy, że „Mellow Johnny" to wymowa teksańska. Jest to też gra słów odnosząca się do mojego niezbyt jowialnego usposobienia. Jestem zatem Mellow Johnny albo Johnny Mellow, albo bardziej oficjalnie - Jonathan Mellow.

Czasami jestem po prostu Bike Boy. Jeżdżę na rowerze prawie codziennie, także po zakończeniu sezonu, bez względu na pogodę. Kiedy pada - dajmy na to - grad, moi przyjaciele i koledzy z treningów ze strachem patrzą na telefon, który lada moment zadzwoni: podnoszą słuchawkę i słyszą pytający głos Bike Boya:

- Jedziecie czy się migacie?

Pewnego pamiętnego listopadowego dnia, a było to po zakończeniu sezonu, jeździłem przez cztery i pół godziny podczas jednej z największych ulew w historii. Opady sięgnęły wówczas prawie osiemnastu centymetrów. Ponieważ woda płynęła strumieniami, zamknięto wszystkie drogi. Niesamowite przeżycie. Ludzie myśleli, że oszalałem. Ale kiedy jestem na rowerze, czuję się trzynastoletnim chłopcem. Co prawda, teraz już rzadziej przejeżdżam na czerwonych światłach, ale poza tym nic się nie zmieniło.

Niekiedy jednak czuję się starzej niż facet mający trzydzieści lat. Odnoszę wówczas wrażenie, jakbym żył o wiele dłużej. Sądzę, że to z powodu raka. Wiele czasu poświęciłem na analizę tego, jak nowotwór wpłynął na mnie - jak mnie postarzył, jak mnie zmienił - i doszedłem do wniosku, że on nie tylko zmienił moje ciało, on zmienił mój umysł.

Powtarzałem wielokrotnie, że rak to najlepsza rzecz, jaka w życiu mi się przytrafiła. Ale wszyscy chcieliby wiedzieć, co mam na myśli: jak to możliwe, aby zagrażająca życiu

choroba była czymś dobrym? Odpowiadam: ponieważ moja choroba stała się zarazem moim lekarstwem - wyleczyła mnie z lenistwa.

Zanim postawiono diagnozę, byłem zwykłym próżniakiem. Płacono mi mnóstwo pieniędzy za pracę, choć nie wykonywałem jej w stu procentach. To nie tylko wstyd - to po prostu świństwo. Kiedy zachorowałem, przyrzekłem sobie: jeżeli otrzymam jeszcze jedną szansę, wszystko naprawię - będę pracował dla czegoś więcej niż tylko dla siebie.

Mam przyjaciółkę, Sally Reed, która podobnie jak ja pokonała raka. Doświadczenie choroby ujmuje ona lepiej niż ktokolwiek inny. „Mój dom spalił się - mówi - ale za to mogę ujrzeć niebo".

U Sally zdiagnozowano złośliwego raka piersi wiosną 1999 roku. Choroba osiągnęła stadium trzecie i rozszerzyła się na system limfatyczny. Czekała ją radio- i chemoterapia. Wówczas wszystkie małe sprawy zeszły na plan dalszy, ważne było tylko to. Sally bardzo bała się latać samolotem. I nie latała przez ponad piętnaście lat. Ale po postawieniu diagnozy zadzwoniła do linii lotniczych i zarezerwowała bilet do wodospadów Niagary. Poleciała tam sama. Stanęła nad wodospadem, wpatrując się w spadającą z hukiem wodę.

- Chciałam zobaczyć coś większego ode mnie - wyjaśniła.

Śmiertelna choroba, jak większość osobistych katastrof, przychodzi niespodziewanie. Zwykle nie ma nawet mowy o złym przeczuciu czy czymś podobnym, po prostu budzisz się pewnego ranka i coś złego dzieje się z twoimi płucami, wątrobą czy kośćmi. Ale bliskość śmierci porządkuje myśli, po wstrząsie przychodzi jasność, wyostrzona świadomość: czas jest ograniczony, więc lepiej, abym każdego ranka budził się gotowy do działania, wiedząc, że to jedyna szansa, aby przeżyć ten dany mi dzień właściwie i dołączyć go do innych kolejnych dni, układających się w życie wypełnione działaniem, któremu przyświeca jakiś cel.

Jeśli chcesz wiedzieć, co trzyma mnie na rowerze, kiedy przez sześć godzin w deszczu wspinam się na szczyt, to właśnie to.

* * *

To dość dziwne, ale gdy bliskie doświadczenie śmierci rozjaśniało mój umysł, to sukces, który później przyszedł, wprawiał mnie w zakłopotanie.

Sukces w dużym stopniu i stale komplikował mi życie. Następstwa wygrania Tour de France w 1999 roku były poważniejsze, niż mogłem sobie wyobrazić. I to od pierwszego, zapierającego dech w piersiach momentu, kiedy wysiadłem z samolotu w Austin i zachłystując się nocnym teksańskim powietrzem, zobaczyłem ludzi, którzy tam na mnie

czekali. Na jezdni ktoś napisał żółtą farbą: Vive la Lance, wzdłuż ulic powiewały rozpostarte transparenty, a znajomi udekorowali nasz dom żółtymi kwiatami, serpentynami i balonami. W osłupienie wprawiło mnie zaproszenie do Kapitolu, wystosowane przez ówczesnego gubernatora, George'a W. Busha, a także odbywająca się potem parada, z udziałem ponad 6000 kolarzy (w żółtych strojach), którzy przeszli przez miasto. Ludzie stali wzdłuż ulic w pięciu szeregach i machali transparentami i flagami.

Nie rozumiałem tego wszystkiego: byłem tylko jednym z wielu zabijaków mieszkających w Austin, który z nudów jeździł na rowerze, lubił margaritę (czyli tequilę z lemonem) i teksańsko-meksykańską kuchnię - było to o tyle dziwne, ponieważ Amerykanie nie interesują się kolarstwem.

- Nie pojmiesz tego - powiedział Bili Stapleton, mój przyjaciel i agent.

Żyłem w ciągłym podnieceniu; oszołomienie zdawało się nie mieć końca, podsycał je dodatkowo fakt, że Kik i ja oczekiwaliśmy narodzin naszego pierwszego dziecka, Luke'a. Miałem nadzieję, że wszystko z czasem wróci do normy - jednak tak się nie stało, przeciwnie, życie nabierało zawrotnego tempa. Bili był zasypywany ofertami, prośbami i propozycjami reklamowymi. Ubił w moim imieniu kilka przyzwoitych interesów z prestiżowymi sponsorami, takim jak: Bristol-Myers Squibb, Nike i Coca-Cola. Ale interesy pociągały za sobą nowe zobowiązania: nakręciłem pół tuzina klipów reklamowych, pozowałem do reklam prasowych i do zdjęcia na pudełko płatków zbożowych. Wtedy otrzymałem przydomek „Lance Spółka z o.o." i stałem się chodzącą firmą.

Szacuje się, że po moim zwycięstwie w 1999 roku z tytułu praw do relacji imprezy w mediach światowych spłynęło na konto drużyny kolarskiej United States Postal Service 50 milionów dolarów. Nasz budżet wzrósł, dzięki czemu staliśmy się przedsiębiorstwem operującym kwotą 6 milionów dolarów rocznie, zatrudniającym liczny personel pomocniczy, mechaników, kucharzy i księgowych.

Wraz z sukcesem pojawił się problem sławy oraz kwestia, co zrobić, aby nie uderzyła mi do głowy. Wiele zaproszeń, które otrzymaliśmy ja i Kik, wprawiło nas w zdumienie. Robin Williams przysłał odrzutowiec. Kevin Costner zaoferował swój dom w Santa Barbara. Elton John zaproponował partię kręgli. Kik i ja czuliśmy się jak Forrest Gump, czający się w ostatnim rzędzie na fotografiach ze znakomitościami. Byliśmy pod takim wrażeniem, że niekiedy zachowywaliśmy wiadomości na automatycznej sekretarce, aby je powtórnie odtwarzać. Straszne!

Ale sława, jak się dowiedziałem, to izotop, który wcale ci nie służy. Kiedy stajesz się sławny i wszyscy cię przyjmują z honorami, wokół ciebie tworzy się rodzaj niezdrowego,

radioaktywnego nalotu, i może on nie tylko zniekształcić twoją osobowość, ale nawet doprowadzić do katastrofy. Uwaga, którą wszyscy ci poświęcają, może uzależniać. Niewątpliwie, byłem na najlepszej drodze, aby stać się napuszonym bufonem, niektórzy nawet uważali, że nim się już stałem, mimo wielkich moich wysiłków, aby do tego nie doszło.

- Dzwonił do mnie Bono - powiedziałem pewnego popołudnia.

- Naprawdę? Do mnie telefonował Brad Pitt. Pytał, o której jemy lunch - odparła Kik.

Właśnie tego się obawiałem.

Długo zastanawiałem się, co o tym wszystkim myśleć, aż kiedyś przeczytałem wypowiedź J. Craiga Ventnera, człowieka mającego olbrzymi wkład w powstanie mapy ludzkiego genomu: „Sławę cechuje wewnętrzna sprzeczność. Ludzie zwracają się do ciebie, opierając się na z góry wyrobionym sądzie o tobie, a to stawia cię zawsze na straconej pozycji". Zgadzam się z tą opinią w zupełności. Jestem tylko synem samotnej matki z Piano w Teksasie, sekretarki, która traktowała sumienną pracę jak wymóg etyczny. Wydawało mi się niewłaściwe, aby obcy ludzie robili ze mnie idola albo abym ja z kolei robił sobie idoli z obcych mi ludzi: moimi idolami są moja matka i moi koledzy z drużyny. To z nimi przeszedłem ciężkie czasy.

Nie zrozumcie mnie źle - podobało mi się to wszystko, co spotkało mnie i moją rodzinę po wygraniu Tour de France, ale podobało mi się to jako osobie, jako sportowcowi. Dzięki temu moje życie stało się wygodne i jestem za to losowi bardzo wdzięczny. Ale zrozumiałem, że nie wszyscy ludzie, którzy przybyli do Paryża, aby mnie zobaczyć na mecie, byli moimi przyjaciółmi. Zrozumiałem również, że bogactwo znaczy tylko, że masz mnóstwo pieniędzy. Jeśli o sławie i bogactwie myślisz inaczej, może zakręcić ci się w głowie - gdy uważasz, że sławę i bogactwo otrzymałeś dzięki jakiejś swojej wyjątkowości albo gdy wierzysz, że uczyni cię to lepszym lub mądrzejszym człowiekiem.

* * *

Sława miała jeden pozytywny aspekt: to ogromna i dobrze ustawiona platforma, z której można lobbować na rzecz walki z rakiem. Stałem się symbolem, chłopcem z plakatu, przykładem człowieka, który zmagał się z chorobą nowotworową. Pojawiłem się też na pudełku płatków zbożowych i wziąłem udział w programie Davida Lettermana: Późną nocą z Davidem Lettermanem, złożyłem wreszcie wizytę w Białym Domu.

Początkowo w ogóle nie rozumiałem przyczyn tak wielkiego zainteresowania moją osobą. Nie wiedziałem, dlaczego tak bardzo ciekawiły ludzi moje przykre przeżycia? Ale

pewnego dnia Kik wszystko mi wyjaśniła:

- Byłeś na krawędzi życia i śmierci. Doświadczyłeś wszystkiego na własnej skórze. Stałeś nad przepaścią i wróciłeś. Możesz podzielić się z innymi tym, co tam zobaczyłeś.

Pojąłem wagę doświadczenia ponownego „wyrzucenia" do świata żywych: udział w Tour de France również był demonstracją faktu, że pokonałem chorobę. Jeśli zatem ja mogłem pokonać nowotwór, to innym także może się to udać. Co więcej, mogą resztę życia przeżyć normalnie, a nawet cieszyć się nim bardziej niż przedtem.

Było to ważne przesłanie, skierowane do całej społeczności cierpiącej z powodu raka, nie tylko do pacjentów, ale do ich rodzin, lekarzy i pielęgniarek, mających do czynienia z tą chorobą. Lekarze dowiedzieli się, jak poważny był mój stan, i że przeszedłem cztery ciężkie cykle chemoterapii. Dowiedzieli się też, że (a) pokonałem chorobę i (b) terapia nie zrujnowała mojego organizmu. Mój przypadek dawał lekarzom nadzieję. A jak się okazuje, jest im tak samo potrzebna jak pacjentom.

Chciano stawiać mnie za przykład i ja chciałem, żeby mnie za taki brano. Pragnąłem jednak, aby robiono to we właściwy sposób. Czułem się nieswojo, gdy mówiono o mnie „bohater" - nie ma nic bohaterskiego w pokonaniu raka. Nikt nie jest wolny od ryzyka zachorowania na nowotwór; osiem milionów Amerykanów cierpi na jakąś odmianę tej choroby i co roku rozpoznaje się ją u około miliona następnych. Tak jak innych, spotkało mnie to nieszczęście niespodziewanie, a ja po prostu zrobiłem wszystko, co mogłem w tej sytuacji: usilnie starałem się pokonać chorobę.

Poznałem wszelkiego autoramentu chorych walczących z nowotworem: żółtych i wychudzonych na skutek chemoterapii. Wystarczy udać się do Sloan-Kettering w Nowym Jorku, M. D. Anderson w Houston lub Południowo-Zachodniej Regionalnej Kliniki Nowotworowej w Austin, aby zobaczyć 50 albo 60 chorych stłoczonych w poczekalni - w której ustawiono tylko 30 krzeseł - cierpiących na wszelkie możliwe odmiany choroby, oraz garstkę zmęczonych pielęgniarek o kamiennych twarzach.

Chorzy na raka chcieli dowiedzieć się wszystkiego o moim sposobie leczenia: interesowały ich leki, które brałem, oraz to, co jadłem podczas terapii.

- Jaką chemię brałeś?

- Co jadłeś?

- Jakie witaminy?

- Ile jeździłeś na rowerze?

Byłem przykładem człowieka sukcesu - przynajmniej przez chwilę. Ale gdybym ponownie zachorował, już bym nim przestał być. Czasami naprawdę ogarniały mnie czarne

myśli i przenikał mnie strach, jakbym nadal był pacjentem. A jeśli nastąpi nawrót choroby? Za każdym razem, po przekroczeniu szpitalnego progu czułem się nieswojo. Pierwsza rzecz, która mnie drażniła, to zapach. Gdybym został poddany testom zapachowym, z zamkniętymi oczami rozpoznałbym szpitalny zapach, który tworzą: środki dezynfekujące, lekarstwa, kiepskie jedzenie ze szpitalnego bufetu i krążące w obiegu zamkniętym powietrze, wprowadzane do sal starymi kanałami wentylacyjnymi, nieświeże i sztuczne. I jeszcze oświetlenie: oślepiające jarzeniówki, które sprawiają, że wszyscy wyglądają blado, jakby brakowało im krwi w żyłach. Do tego trzeba dodać charakterystyczne i drażniące dźwięki: skrzypienie gumowych podeszew butów pielęgniarek, szelest szpitalnych materaców. Szpitalne materace są chronione przez plastykowe pokrowce - doskonale pamiętam to uczucie i przykry szmer, kiedy poruszałem się na łóżku, pode mną szeleścił plastykowy pokrowiec - za każdym razem, gdy nawet nieznacznie zmieniłem pozycję, słyszałem szelest i czułem fałdy plastyku.

Te właśnie zapachy, odczucia i obrazy tkwią w każdym pacjencie oddziału onkologicznego. Nie może się ich pozbyć, bez względu na to, jak daleko choroba jest już poza nim. Są to tak silne i traumatyczne przeżycia, że mogą dać znać o sobie nawet wiele lat po chorobie.

U wielu ekspacjentów ponowne spotkanie z sytuacjami i obrazami, przypominającymi przebytą chorobę nowotworową, z pewnością mogłoby spowodować jej nawrót. W „New England Journal Medicine" zamieszczono historię pewnej kobiety, która miała raka piersi. Bardzo ciężka chemoterapia, której została poddana, spowodowała, że zaczęły u niej występować okresy gwałtownych nudności. Pięć lat później w centrum handlowym przypadkowo wpadła na swojego onkologa, lekarza, który ją kiedyś leczył. Widząc go, po prostu zwymiotowała. To dowód na to, jak głęboko rak tkwi w każdym byłym pacjencie. Podobnie głęboko tkwi on we mnie.

Kiedy zachorowałem, w walce z chorobą pomagała mi nadzieja na powrót do życia, ale nigdy wówczas nie zastanawiałem się, jak to życie będzie wyglądać. Termin „życie po raku" jest niejednoznaczny: może przyjdzie ci żyć bez nogi czy piersi albo będziesz się musiał pogodzić z bezpłodnością, tak jak w moim przypadku, z prawdopodobnym końcem kariery i poradzić sobie z wielkimi lękami. Nowotwór pociąga za sobą fizyczne, psychiczne i finansowe skutki. Oznacza to, że można na przykład uratować komuś życie, ale trudno uratować jakość tego życia.

Wszystkie te kwestie łączą się z nastrojem po pokonaniu choroby, dziwnym pourazowym stanem, którego doświadczałem na własnej skórze i którego w takiej czy innej

formie doświadczają wszyscy, którzy pokonali raka. Dlatego postanowiłem, że założona przeze mnie fundacja powinna przede wszystkim zająć się łagodzeniem tego nastroju: radzenie sobie z chorobą i jej następstwami jest tak samo ważne jak walka z nią. Fundacja Lance'a Armstronga zaczęła być takim miejscem, gdzie ludzie mogli uzyskać informacje w najbardziej osobistych i praktycznych sprawach. Istniały inne, bogatsze fundacje i bardziej profesjonalne strony internetowe, ale mogłeś z ufnością zatelefonować lub wysłać maila do Fundacji Lance'a Armstronga i otrzymać ode mnie kartę z pozdrowieniami zaadresowanymi do chorego albo zasięgnąć porady na temat ćwiczeń, które powinny wykonywać kobiety cierpiące na raka piersi czy osoby, które już pokonały nowotwór.

Większość ludzi, jak się o tym przekonałem, pragnie być tylko wysłuchana lub nawiązać kontakt z ludźmi mającymi podobne co oni problemy. Poznałem kiedyś Camerona Stewarta, chłopca, który zachorował na białaczkę w wieku sześciu lat.

- Masz otwór? - zapytał.

- Chcesz wiedzieć, czy mam otwór? - odparłem. - Popatrz.

Rozpiąłem koszulę i pokazałem chłopcu bliznę na klatce piersiowej. Cameron również zdjął koszulę i pokazał mi mały otwór na jego drobnej piersi.

Z Cameronem wciąż jestem w kontakcie; chłopiec przyjechał z rodziną do Austin na doroczny wyścig kolarski, organizowany przez naszą fundację. Jego choroba znajduje się w stadium remisji i Cameron rośnie jak zdrowy dzieciak.

- Mam nogi Lance'a Armstronga - lubi powtarzać.

Spotykałem innych sportowców chorych na raka. Zwykle wtedy wymienialiśmy się opowieściami i anegdotami. Zrywałem boki ze śmiechu, gdy z Erikiem Davisem, znanym baseballistą, rozmawiałem o próbach spożywania posiłków podczas przyjmowania chemii.

- Jadłem tylko cesarską sałatkę z kurczakiem - powiedział. - Dwie porcje. Każdego dnia tuż przed chemią. Ponieważ kiedy weźmiesz chemię, wymiotujesz. A jeśli nie masz nic w żołądku, to nie możesz zwymiotować. Niemożność zwymiotowania jest jeszcze gorsza od samego wymiotowania. Dlatego wcinałem moją cesarską sałatkę. Wpadała do mojego żołądka tylko po to, aby zaraz być stamtąd usunięta.

Lekarze również chorują na raka. U słynnego lekarza z Nowego Jorku wykryto raka prostaty. Poznaliśmy się drogą mailową. „Mam nadzieję, że pożyję jeszcze dziesięć lat" - napisał w swoim mailu. Na co odpisałem bez wahania: „Pan chyba żartuje, pisząc o dziesięciu latach. Ja daję panu nie mniej niż trzydzieści".

Nigdy nie znużyłem się tym tematem. Nie zmęczyło mnie ani mówienie o chorobie, ani słuchanie o niej, ani nawet przeżywanie jej na nowo. 2 października 1999 roku

obchodziłem trzecią rocznicę postawienia diagnozy i nazwałem ten dzień „Dniem Carpe Diem", to znaczy „Dniem Korzystania z Każdego Dnia". Stał się on dla mnie najważniejszym dniem w roku, ważniejszym niż urodziny, rocznice czy święta. Tego dnia pogrążam się w zadumie i myślę o drugiej szansie, którą otrzymałem.

Bardzo często ktoś z moich przyjaciół czy członków rodziny przekonuje się osobiście, jak bardzo sprawa raka zawładnęła moim umysłem. Pewnego popołudnia mój trener, Chris Carmichael, powiedział mi, że zaczął pracę z innymi sportowcami chorymi na raka i potrzebuje mojej rady.

- Jesteś w tej sprawie dla mnie autorytetem - stwierdził. - Sam to przeżyłeś. Wiesz, z czym ci sportowcy się borykają.

To prawda, przeżyłem to: długie dni z kroplówką podłączoną do ramienia, nudności, oparzenia wywołane chemią, pozostawiające na ciele swoisty tatuaż. Nie uważałem się jednak za eksperta, który radzi innym, jak pokonać nowotwór. Po prostu czułem się szczęśliwy.

- Nigdy nie wiadomo. Choroba może nawrócić choćby jutro. Znów mogę być chory - powiedziałem do Chrisa. - Choroba ustąpiła, bo była uleczalna. Ale tak naprawdę wcale jej się nie pozbyłem. To nie jest coś, co znika na zawsze. Wciąż się tego boję.

- Lance, ona nie nawróci - oświadczył.

- Kto tak powiedział? Kto tak powiedział, że nie może nawrócić?

W żadnym wypadku nie mógłbym stwierdzić: „Mam już ją za sobą". Nawet wtedy, gdy wygrywałem Tour de France czy oczekiwałem narodzin dziecka, wciąż dręczyła mnie niepewność, że w jednej chwili wszystko mógłbym stracić, że nie mógłbym dalej ścigać się na rowerze, że znów mógłbym zachorować.

* * *

Mój syn urodził się we wczesnych godzinach porannych w połowie października. Narodziny trwały długo, a potem drżeliśmy w obawie o jego życie. Miał trudności z oddychaniem, pielęgniarki zabrały go z sali, aby oczyścić mu płuca. Dopiero wtedy usłyszałem płacz.

Strach, który mnie ogarnął w chwili, kiedy syn nie oddychał, przewyższał wszystkie obawy, jakie miałem wcześniej. Kik i ja spojrzeliśmy na siebie i natychmiast zrozumieliśmy prawdę o rodzicielstwie: te uczucia najłatwiej jest zranić.

- Teraz obydwoje jesteśmy podatni na psychiczne unicestwienie - powiedziała później Kik.

Bycie rodzicem oznacza całkowite obnażenie, psychiczną nagość - jest to prawda, która będzie nam towarzyszyć przez resztę życia.

Kiedy Luke został umyty i zawinięty w kocyk, wróciliśmy do sali, aby nieco odpocząć. Ale ostatnie wspomnienia i przeżyty strach dawały o sobie znać przez całą noc i nie pozwoliły nam zmrużyć oka. Wierciłem się na szpitalnym materacu w plastykowym pokrowcu. Zastanawiałem się nad różnicą między strachem, jaki odczuwałem, walcząc z nowotworem, i strachem o czyjeś życie, zwłaszcza teraz, kiedy zostałem ojcem.

Myślałem o swojej matce i o ryzyku, jakie podjęła, gdy dała mi wolną rękę, kiedy obserwowała, jak wdrapywałem się na drzewa, skakałem na główkę do wody i zaliczałem poważne upadki, kiedy rozbijałem rowery i, oczywiście, kiedy zachorowałem. Nic nie jest tak emocjonalnie ryzykowne, interesujące i dające satysfakcję jak bycie rodzicem.

Doszedłem do wniosku, że posiadanie dziecka to najlepszy sposób, aby czuć, że się żyje. I w niczym to nie przypomina skoku z urwiska.

Rak sprawił, że chcę czegoś więcej niż po prostu żyć: sprawił, że chcę żyć w określony sposób. Bliskie doświadczenie śmierci zmieniło moje spojrzenie na świat. Gdy inni odczuwają lekkie drżenie: „- Nie wiem, czy jestem gotowy na dziecko, co się stanie, jeżeli ludzie mnie nie polubią, powinienem to zrobić, czy to za duże ryzyko ?" - ja nigdy. Moim zdaniem w życiu każdego zdarza się wiele sposobności utraty życia. Choroba pozwoliła mi zrozumieć różnicę między prawdziwym strachem i zwykłym niepokojem, między rzeczami, które warto posiadać, i tymi, które nie są warte zachodu, między tym, co warto robić, i tym, czego nie warto.

Zastanawiałem się również nad tym, czy nie jest to zarazem recepta na stawienie czoła nieszczęściu. Tak czy inaczej byłem zatwardziałym ryzykantem, ale byłem też mężem, ojcem i biznesmenem, odpowiedzialnym za innych ludzi. Czy to oznaczało, że muszę pójść na pewne ustępstwa, stać się bardziej konserwatywny? Było to bardzo istotne pytanie. Chciałem żyć pełną piersią jak człowiek czynu, ale zarazem tak, aby nie uśpić swojej czujności.

Podobną równowagę łatwiej uzyskać w teorii niż w praktyce. Chciałem być ojcem - ale chciałem też mieć motocykl. Znajomi wciąż mnie napominali, abym jeździł wolniej; przed laty mój kumpel, John Korioth, wrzeszczał na mnie, abym nie pędził tak szybko. Korioth był drużbą na naszym ślubie, nazywaliśmy go „College", co było skróconą formą wyrażenia „student college'u". Przezwisko wzięło się stąd, że John Korioth grał w college'u w koszykówkę. Pewnego wieczoru postanowił z drugim moim przyjacielem, Bartem Knaggsem, rozegrać mecz, podczas którego nie brakowało piwa. Bart zaczął wtedy wyśmiewać się z Johna:

- No, College - drwił z Koriotha - pokaż, co potrafisz. Od tego czasu John na zawsze został dla nas College'em. Kiedy miałem porsche, a było to, zanim urodziły się moje dzieci, College ciągle błagał mnie, abym nie naciskał tak mocno pedału gazu. Pewnego razu mknąłem z rykiem trzypasmową drogą, podczas gdy mój przyjaciel przykleił się do fotela pasażera i z duszą na ramieniu zaklął w gniewie:

- Kurwa mać! - wrzasnął. - Zwolnij!

Zrywałem wówczas boki ze śmiechu.

Wielce zabawne wydało mi się również i to, kiedy John robił się blady podczas rowerowych wypadów. Dojeżdżaliśmy do miejsca, zwanego Trasą Czerwonego Pąka, gdzie droga opadała w dół i przechodziła w niewidoczny ze szczytu zakręt w lewo. Ze wzniesienia mknąłem z dużą szybkością i szerokim łukiem, wjeżdżając na drugą połowę jezdni, wchodziłem w zakręt. Za każdym razem napędzałem kumplowi w ten sposób strachu. Wyjaśniałem, że w porównaniu ze stromymi zjazdami górskimi, pokonywanymi z dużą szybkością, ten zjazd to kolarski elementarz - a poza tym wygląda na bardziej niebezpieczny, niż jest w rzeczywistości. Ale College mi nie wierzył, dopóki pewnego razu we Francji nie pokazałem mu, jak wygląda prawdziwy zjazd podczas wyścigów. W jednej chwili sunęliśmy w dół po zboczu, jeden obok drugiego, a w następnej - znikałem z szybkością błyskawicy w gęstej mgle. Od tego czasu College już nigdy nie robił mi wymówek na temat Trasy Czerwonego Pąka.

Kiedy urodziły się dzieci, zmieniłem swoje priorytety. Pozbyłem się porsche'a, a w zamian kupiłem rodzinny samochód. Niedawno pewien diler samochodów zaprosił mnie na wycieczkę do fabryki ferrari.

- Pan nie rozumie - odparłem - potrzebuję samochodu, w którym się zmieszczą trzy foteliki dla dzieci.

College uważa, że najgłupszą i najbardziej niebezpieczną rzeczą, jaką robię, to wdawanie się w kłótnie z kierowcami ciężarówek, i ma prawdopodobnie rację. Ale przez lata furgonetki i ciężarówki przewożące gruz skalny spychały mnie wielokrotnie z drogi. Teksańscy kierowcy ciężarówek nienawidzą rowerzystów; prowadzimy z nimi nieustanną wojnę na bocznych drogach stanowych. Nieraz lądowałem w rowie, dostawałem kamieniem czy unikałem niebezpieczeństwa uderzenia metalową częścią felgi. Ponieważ od dawna mam z nimi na pieńku, to nurtuje mnie ochota rozprawienia się z tymi kierowcami osobiście.

Kilka lata temu zepchnął nas z drogi, College'a i mnie, osiemnastokołowiec. College zrobił piruet, aż w rowerze spadł łańcuch. Posiniałem ze złości. Plując piaskiem, którego miałem pełno w ustach, nacisnąłem mocno na pedały i rzuciłem się w pogoń za ciężarówką.

Za plecami usłyszałem tylko donośny krzyk College'a:

- Zatrzymaj się! Zaczekaj na mnie!

Ciężarówka zatrzymała się na światłach. Zahamowałem i zeskoczyłem z roweru. Wtedy z ciężarówki wyszedł jeden facet... potem drugi... i trzeci. Ten ostatni wyciągnął z tylnej kieszeni scyzoryk. Wiedziałem, na co się zanosi. Czekałem, kiedy go otworzy. Nie miałem jednak zamiaru ustępować. Byłem zbyt zdenerwowany, aby się bać.

- Zabijesz mnie? - zapytałem.

- Nie macie prawa jeździć po tej drodze - powiedział jeden z nich.

- Co to znaczy: nie mamy prawa?

- Płacę podatki na tę drogę - dodał drugi facet. Wybuchnąłem śmiechem.

- Aha, podatki, wielka mi rzecz - odparłem.

Wtedy, na szczęście, przybył College, stanął między nami i nalegał, abym się uspokoił. Wymieniliśmy jeszcze kilka ostrych zdań na temat podatków i postanowiliśmy się rozejść, ruszając w dalszą drogę.

Podobne sytuacje zdarzały się nagminnie. Niekiedy były niebezpieczne, niekiedy zabawne, czasami zawierały oba elementy jednocześnie. Redneckville, jak go nazywamy, to szczególnie niebezpieczny odcinek drogi, gdzie ciężarówki z rykiem przejeżdżają skrzyżowania, a jedynymi zabudowaniami, które wznoszą się w okolicy, to nieliczne, rozrzucone co parę kilometrów, przydrożne sklepy. Pewnego ranka jechałem tą asfaltową szosą z innym kolarzem z Austin, gdy nagle stara furgonetka skierowała się wprost na nas. Kierowca najwyraźniej chciał nas rozjechać, wcale nie miał zamiaru nas ominąć - widać lubił niebezpieczną grę. W ostatniej chwili skręciliśmy w bok i koziołkując, wpadliśmy do rowu.

Leżeliśmy, próbując zeskrobać z siebie błoto, gdy nagle tuż nad głowami usłyszeliśmy czyjś głos.

Był to pracownik firmy telefonicznej, który wysoko na słupie reperował uszkodzenie. Widział całe zdarzenie. Jego głos dochodził do nas spomiędzy drutów telegraficznych.

- Jeżeli nie powiadomicie glin, to ja sam do nich zadzwonię! Kierowca zachował się okropnie.

Wyciągnąłem jednak naukę z tych wszystkich przygód i jestem ostrożniejszy, trenując na rowerze wokół Austin. Teraz zwykle ktoś towarzyszy mi w samochodzie lub na motocyklu i chroni mnie przed ciężarówkami, kamieniami i żelastwem, które przewożą na pickupach kierowcy. Nie mogę sobie pozwolić na to, aby jakiś facet jadący z tyłu uderzył mnie lub co gorsza zranił.

Wciąż jednak lubię jeździć z przyjaciółmi po mniej uczęszczanych drogach.

Pedałując, myślimy i głośno rozmawiamy. Pewnego razu, jadąc z College'em, dyskutowałem z nim o ryzyku i braku rozwagi oraz o tym, czym te zachowania się różnią. Które działania można uznać za ryzykowne, a które za efekt zupełnego braku rozwagi? Jeśli chodzi o mnie, jazda na rowerze albo ćwiczenia, które wykonuję, nie są zbyt ryzykowne, ponieważ jestem zawodowcem. Mam doświadczenie w obchodzeniu się ze swoimi kończynami i to, co innym mogłoby wydawać się ryzykowne, dla mnie jest zupełnie bezpieczne. Z drugiej strony, ściganie kierowców ciężarówek to po prostu brak rozwagi.

- Przedstawię ci hipotetyczną sytuację - powiedział College. - Kiedy zginiesz, Luke nie będzie miał ojca.

Naturalnie, College próbował mnie nastraszyć. Nic nie odpowiedziałem.

- Gdy twoje bliźniaczki dorosną, nie będą wiedziały, jaki byłeś. Zastanowiłem się przez chwilę.

- W porządku - powiedziałem. - Przede wszystkim nie dam się nikomu zabić.

College odchylił głowę i śmiejąc się, zawołał:

- Panie i panowie, oto Lance Armstrong.

College miał, oczywiście, rację, ale nie czułem ochoty mu jej przyznać. Prawda jest taka, że chyba nigdy się nie zmienię, nigdy chyba też nie uda mi się znaleźć złotego środka między ryzykiem i rozwagą. Staram się jednak pracować nad sobą, a moja rozwaga rośnie proporcjonalnie do liczby osób, które kocham, należących do kręgu mojej rodziny i przyjaciół. Kiedy zjeżdżam ze stromego podjazdu, już nie jestem tak agresywny jak kiedyś. Dawniej robiłem to tak szybko, że niekiedy wymijałem samochody. Teraz już tego nie robię, po prostu zjeżdżam ze wzniesienia, ale mam cały czas na uwadze swoją rodzinę. Nie wygra się wyścigu podczas zjazdu, a na pewno można stracić szansę na zwycięstwo, a nawet narazić życie. Kiedy teraz zjeżdżam z góry, mam tylko jedno życzenie - wyjść bez szwanku.

Prawdziwą przyczyną kupna samochodu rodzinnego wcale nie były dzieci. Kupiłem go, aby jeździć wolniej.

Niektórych przyzwyczajeń nie potrafię jednak zmienić: lubię nad wszystkim mieć kontrolę, lubię wygrywać, lubię doprowadzać wszystko do granic możliwości. Życie pasywne, życie w lęku to dla mnie marnowanie go.

Wiecie, kiedy mogę umrzeć? Gdy już dokonam wszystkiego w życiu. Gdy nie będę mógł chodzić ani jeść, gdy oślepnę i stanę się pokracznym starcem, pomstującym niczym szaleniec na cały świat. Wtedy mogę odejść.

Może niezbyt dużo ulepiłem kul, będąc dzieckiem, ale ciężko pracowałem, biorąc swój los we własne ręce - starałem się wydostać z Piano. A może po prostu mam inny pogląd

na to, czym rzeczywiście są ograniczenia. Kto wie? Może doświadczenie „wyrzucenia" do świata żywych sprawiło, że inaczej patrzę na wszelkie przeszkody i wyżej stawiam poprzeczkę. Uważam, że życie to szereg sztucznych ograniczeń - a wyzwaniem dla mnie jako sportowca jest pokonać je dzięki rowerowi. Takim wyzwaniem dla mnie jako człowieka było również pokonanie ich w szpitalnym łóżku. Może rak jest takim wyzwaniem, którego nikt nie potrzebuje, aleja potrzebowałem.

Jest coś takiego we mnie, co powoduje, że chce mi się skakać.

Naturalnie, to coś dotyczy życia. Życia po raku. Życia po narodzinach dzieci. Życia po odniesionych zwycięstwach. Życia po paru osobistych porażkach. To coś dotyczy ryzyka, porządku dnia i równowagi. Dotyczy także podrzucania piłki i uderzania w nią tak, aby stale była w ruchu. A jeśli zdarzy się, że upadnie na ziemię, to odszukaj ją i spróbuj ponownie... ponieważ to, w jaki sposób wiedziesz swoje życie, perspektywa, którą wybierasz, zależy od twoich decyzji, które podejmujesz codziennie tuż po przebudzeniu. To ty o wszystkim decydujesz.

Ranczo, które kupiłem na spółkę z teściem, Dave'em Richardem, znajduje się na urwisku niedaleko Dripping Springs. Nazwałem je Mirasol, co oznacza „przyglądać się słońcu". Dom stanie na najwyższym wzniesieniu tej dwustuczteroakrowej działki i zostanie usytuowany tak, aby można było oglądać powolne zachody słońca latem i nieco szybsze zimą.

Pierwszy raz, kiedy znalazłem się w miejscu, zwanym Dziurą Martwego Człowieka, obszedłem je dookoła w towarzystwie Dave'a. Obejrzałem wodospad i zrobiłem zdjęcie. Okolica zapadła mi w serce. Nie mogłem oderwać oczu od fotografii. Pokazałem ją Kik i powiedziałem:

- Zamierzam stamtąd skoczyć.

- W porządku - odparła.

W końcu pojechałem tam z powrotem w towarzystwie Dave'a i mojego przyjaciela architekta, Ryana Streeta, specjalizującego się w projektowaniu domów na ranczach. Gdy wykonaliśmy niezbędne pomiary potrzebne do wyznaczenia miejsca na dom, wsiedliśmy do ciężarówki. Przedarłszy się przez kępy krzaków, dotarliśmy do dębowego zagajnika, gdzie zaparkowaliśmy samochód. Stamtąd poszliśmy do dziury wypełnionej wodą. Wpierw Ryan ześlizgnął się ostrożnie do sadzawki i sprawdził jej głębokość. Zanurkował. Po chwili wypłynął i parskając, powiedział:

- Zanurkowałem tak głęboko, że aż zadzwoniło mi w uszach.

- Może powinieneś zanurkować jeszcze głębiej - powiedziałem niepewnie.

- Nie chcę nabawić się choroby dekompresyjnej - odparł. Wyszliśmy na urwisko i stąpając ostrożnie między skałami, szukaliśmy odpowiedniego miejsca do skoku. Wreszcie udało nam się je znaleźć. Zająłem odpowiednią pozycję, czując, jak drżą mi kolana i zasycha mi w ustach.

- Nie dotykaj mnie - warknąłem do Ryana.

- Stoję daleko od ciebie - odparł.

Zgiąłem kolana i spojrzałem w dół.

- O, cholera - powiedziałem.

Poniżej zobaczyłem Dave'a, siedzącego na zwalonym drzewie obok sadzawki. Zwróciłem się do niego, starając się przekrzyczeć hałas wodospadu.

- Hej! Czemu nie skaczesz?

- W przyszłym roku będę się starał o rentę w Zakładzie Ubezpieczeń Społecznych - krzyknął. - Nie mam ochoty stracić tej możliwości!

Uśmiechnąłem się. Wyprostowałem się i skoczyłem. Spadałem, spadałem... Spadając, zacząłem machać ramionami, dopiero po chwili przypomniałem sobie, że należy je złożyć i trzymać tuż przy ciele. Kiedy podeszwami trampek uderzyłem o taflę wody, rozległ się taki odgłos, jakby ktoś rozbijał beton.

Wypłynąłem na powierzchnię uśmiechnięty. Dave stał tuż nad stawem, bił brawo i wydawał radosne okrzyki. Wyszedłem na brzeg. Gdy wytarliśmy się ręcznikami, wspięliśmy się na grań. Przedzierając się przez łąkę pokrytą rajgrasem, rodzajem trawy, który łaskocze podbrzusza koni, gdy przecierają nową drogę, skierowaliśmy się do zatoczki, w której zwykle gromadziły się ryby. Zatrzymaliśmy się, a ja zacząłem badać staw, szukając ryb.

Stojąc na skale, zobaczyłem czerwoną ważkę, najbardziej czerwonoskrzydłego owada, jakiego widziałem w życiu. Obok czerwonej leciała niebieska. Z zachwytem patrzyłem na te dwa żywe stworzenia baraszkujące w powietrzu.

- A gdzie jest biała? - głośno wyraziłem swoje zdziwienie.

Sprowokowany tą zabawną sytuacją, zacząłem wówczas śpiewać hymn państwowy, zrywając sobie płuca, a mój głos odbijał się od tafli tego niewielkiego zbiornika wodnego.

Byłem niezwykle szczęśliwy, jakbym otrzymał nowe życie. Strach spowodowany skokiem do stawu, zwanego Dziurą Martwego Człowieka, podziałał na mnie odświeżająco. Była to świeżość wywołana przez strach - oczyszczający, wyjaśniający, wyostrzający. Strach, który ukazuje nowy sens, który rozjaśnia umysł. Tak, jak mówię, trochę strachu ci nie zaszkodzi - zakładając, że umiesz pływać.

Nie wszyscy jednak aprobują moje metody sprawdzania, czy żyję, w szczególności

mój przyjaciel, Bili Stapleton, który będąc zarazem moim prawnikiem i agentem, jest żywo zainteresowany moją przyszłością i wszystkim, co się z nią wiąże. Kiedy dowiedział się, że skaczę do Dziury Martwego Człowieka, skrzywił się i zrobił mi wykład na temat tego, jak bezmyślnie postępuję. Tłumaczył, że mogę sobie coś złamać albo nabawić się innego urazu. Ale kiedy to mówił, zdawał sobie doskonale sprawę, że jest bezsilny.

- Znów skoczę - powiedziałem.

Wiedział, że nie żartuję, bo zna mnie doskonale i wie, że nie potrafię żyć bezczynnie, ale muszę działać.

- Wyśmienicie, po prostu wyśmienicie - skwitował Bili. - To świetny materiał na własną legendę!

ROZDZIAŁ II

ZWYKŁY FACET

Jestem zwykłym facetem. Zwykłym, ciężko pracującym facetem noszącym t-shirty. Zwykłym, ciężko pracującym, zmotywowanym, pokręconym, czasami zirytowanym facetem, noszącym t-shirty.

Zdaję sobie sprawę z tego, że w tym stwierdzeniu jest wiele sprzeczności. Nie mogę obiecać, że uda mi się je pogodzić: nawet gdybym mógł rozłożyć na części pierwsze moją psychikę i objaśnić wszystkie powiązania neuronów mojego mózgu, a następnie wszystkie informacje przekazywane moim mięśniom i te zwrotne, wysyłane do komór mózgowych, nie jestem pewien, czy miałoby to jakąkolwiek wartość. Autoanaliza nie była nigdy moją mocną stroną; albo zabierała mi mnóstwo czasu, albo nasuwała mi podejrzenia, że tkwią we mnie jakieś zadawnione tajemnice, oszustwa i przykrości, których doznałem w dzieciństwie, a wszystko zmieszane razem - jest tym, co zmusza mnie do pedałowania.

Mam nadzieję, że z czasem ludzie zrozumieją, iż nie tylko jestem żądny współzawodniczenia, ale też wrażliwy, bardziej wrażliwy, niż mogą niektórzy przypuszczać, a jeśli niekiedy mówię „tak?", naprawdę oznacza to, że „coś obchodzi mnie bardziej, niż na to wygląda". Wiem jednak, że jeśli ktoś zada sobie trud zrozumienia mnie, to się porządnie namorduje.

Możemy się tylko domyślać, dlaczego jesteśmy w tym miejscu i z jakich powodów wybraliśmy tę, a nie inną życiową drogę. Która część nas została ukształtowana przez innych, która w wyniku naszej pracy, a która jest po prostu cechą wrodzoną? Niełatwo odpowiedzieć na te pytania i nie możemy odpowiedzieć na nie samodzielnie; definiujemy siebie w relacjach z innymi ludźmi: rodzicami, kolegami, przeciwnikami, szefami, dziećmi. Pokonując nowotwór, można zrozumieć, jak bardzo zależy się od innych, nie jest to czcza gadanina, ale samo życie. Rak pozbawia niezależności; zależy się wtedy od przyjaciół, rodziny i zupełnie obcych ludzi, lekarzy i pielęgniarek, którzy podchodzą do twojego przypadku ze stoickim spokojem, a kiedy wreszcie wyzdrowiejesz, nigdy więcej już nie pomyślisz, że mógł byś znowu znaleźć się w tym właśnie miejscu.

Czasami definiujemy siebie dzięki ludziom, których nawet nie znamy. Przykładem jest moja znajomość z Sally Reed; gdyby nie rak, nic prawdopodobnie nie mogłoby połączyć kolarza i pięćdziesięcioparoletniej kobiety, która - jak sobie żartuje - w przeciwnym razie spędziłaby resztę życia na oglądaniu całymi dniami telewizji. Na wiosnę 1999 roku byliśmy

dla siebie jeszcze zupełnie obcy, ale nasze drogi skrzyżowały się dzięki - jak Sally to nazywa - „uśmiechowi losu": byłem w przededniu wygrania po raz pierwszy Tour de France, kiedy u Sally stwierdzono raka. Następnego dnia po pierwszej sesji chemoterapii przyjaciel Sally powiedział jej, aby włączyła telewizor i obserwowała mnie podczas wyścigu, ponieważ jego zdaniem mój powrót do sportu po przebytej chorobie był niezwykły.

Krótko po założeniu Fundacji Lance'a Armstronga jedna z wolontariuszek, która znała Sally, zapytała mnie, czy mógłbym podpisać plakat dla pewnej miłej pani, mieszkającej na przedmieściach Austin, która walczy z ciężkim przypadkiem raka piersi. Podpisałem plakat.

- Bądź odważna i walcz zaciekle - napisałem na plakacie dla Sally.

Sally zawiesiła plakat w kuchni i spoglądała na niego codziennie w ciągu trwających sześć miesięcy naświetlań i chemoterapii. Kiedy w grudniu 1999 roku skończyła naświetlania, została wolontariuszką w fundacji - chociaż nie odrosły jej jeszcze włosy. Regularnie w każdy wtorek i czwartek zjawiała się w biurze - drogę z domu do fundacji pokonywała samochodem w godzinę - odpowiadała na maile i prośby pochodzące z całego świata od chorych na raka. Stała się najbardziej oddaną wolontariuszką w fundacji, dzieląc się z innymi informacjami, poradami i współczuciem.

Może to dziwić, ale bardzo długo nie spotkaliśmy się osobiście. Wiedziałem wszystko o niej ze słyszenia, ona również wiedziała wszystko o mnie ze słyszenia, ale przez jakiś czas nie mieliśmy okazji się poznać. Do fundacji zwykle przychodziłem w środy i piątki, a w te dni Sally nie przyjeżdżała. Z czasem zaczęła żartować, że ja chyba nie istnieję. Pewnego razu zostawiła egzemplarz książki Mój powrót do życia. Nie tylko o kolarstwie z prośbą o autograf i z następującą uwagą: „Zostawiam tę książkę, ale nie jestem pewna, czy jej autor istnieje".

Na wielkiej tablicy, stojącej w pokoju wolontariuszy, Sally przygotowała kartę spotkań Lance'a. Znajdowały się w niej kolumny z datą, miejscem i czasem każdego spotkania. W nagłówku jednej kolumny widniało: ŚWIADEK SPOTKANIA, a w następnej: WERYFIKACJA SPOTKANIA, itd. Naturalnie, tablica była źródłem wesołości w fundacji.

Karta zapełniła się informacjami o spotkaniach Lance'a; wszyscy wolontariusze notowali na niej każde spotkanie ze mną w fundacji. Jednak ja i Sally nadal nie mieliśmy okazji się spotkać. Sally żartowała, że nawet dostawca spotkał Lance'a Armstronga, a jej się to nigdy nie przytrafiło. Pewnego popołudnia jej mąż zobaczył mnie trenującego na rowerze. Wtedy Sally wprowadziła nową kategorię do karty: SPOTKANIA PRZEZ PEŁNOMOCNIKA.

Wreszcie, około roku po tym wszystkim, przyjechałem do fundacji, napisałem kilka słów na kartce i włożyłem ją do przegródki pocztowej należącej do Sally. „Jestem tu -

napisałem. - A ty gdzie jesteś?" I dodałem, bazgrząc: „Kiedy przestanę podróżować, na pewno się spotkamy. W listopadzie i grudniu nigdzie nie wyjeżdżam, nadarzy się okazja do spotkania".

Sally dodała nową kolumnę na tablicy: SPOTKANIE LANCE'A DROGĄ KORESPONDENCYJNĄ.

Miesiąc później wróciłem do miasta i pojechałem do biura fundacji. Otworzyłem z hukiem drzwi i krzyknąłem:

- Gdzie jest Sally?

Sally była w biurze. Spędziła w fundacji tysiąc godzin, zanim wreszcie spotkaliśmy się osobiście. Wpadliśmy sobie w ramiona i z miejsca się polubiliśmy. Tak jak się spodziewałem, była osobą dobroduszną, o miłej twarzy. Ponadto emanowała z niej interesująca nutka powagi. Sally była dobrą żoną i matką, której spokojne życie naruszył rak piersi, i to nie raz, ale trzy razy, ponieważ to samo stwierdzono u obu jej sióstr. Złożyliśmy sobie kilka wizyt, rozmawialiśmy nieco o fundacji, o tym, co zrobić, aby ludzie stali się silniejsi w walce z chorobą. Rozmawialiśmy również o samochodach, ponieważ Sally i ja mieliśmy upodobanie do szybkich aut.

Nigdy jednak nie rozmawialiśmy o raku, w zasadzie nie wiem nawet dlaczego. Może w tej kwestii porozumiewaliśmy się telepatycznie. Albo może oboje byliśmy przyzwyczajeni, że myśli na ten temat należy zachować tylko dla siebie, ponieważ jedynie niewielu z naszych najbliższych potrafi w pełni rozumieć to, co przeżyliśmy. Albo może po prostu postanowiliśmy nie wracać do tych przykrych doświadczeń. W tej znajomości ważne jest to, że dzięki Sally poznałem mnóstwo osób borykających się z nowotworem. Ona prowadzi korespondencję i spełnia specjalne prośby wszelkiego autoramentu ludzi, tworzących jedną wielką rodzinę dotkniętych chorobą nowotworową, ona także przygotowuje z nimi spotkania. Oboje zrozumieliśmy, że źródłem siły chorego na raka jest poznanie kogoś, kto pokonał tę chorobę. Wspólne doświadczenie sprawia, że ludzie czują się silniejsi. Sally twierdzi, że jeśli uda nam się dać choremu nawet odrobinę nadziei, to znaczy, że „dokonaliśmy czegoś najważniejszego na świecie".

* * *

Czasami brak kogoś bliskiego komplikuje odpowiedź na pytanie, kim jesteśmy. W moim przypadku chodzi o ojca. Nigdy go nie poznałem. Eddie Gunderson mógł równie dobrze być anonimowym dawcą DNA; zostawił moją matkę wkrótce po moim urodzeniu i

zrzekł się sądownie wszelkich praw rodzicielskich do mnie. Nigdy nie rozmawiałem z matką na jego temat. W gazecie przeczytałem, że po moim zwycięstwie w 1999 roku próbował się ze mną skontaktować, ale tego sobie nie życzyłem i nie miałem ochoty o nim rozmawiać. Rachunki zostały wyrównane. Mój ojciec był strażnikiem tajemnicy, człowiekiem posiadającym odpowiedź na pytanie, na które ja nie mogę odpowiedzieć. Zamierzałem poznać znaczenie rodziny dzięki moim własnym dzieciom - patrząc w przyszłość, a nie oglądając się wstecz.

Niekiedy jedna osoba może być wszystkimi, których potrzebowałem, tak właśnie było z moją matką. Udało jej się zastąpić mi oboje rodziców i jeszcze stać się moim najlepszym przyjacielem. Tego właśnie dokonała kobieta, mająca niewiele ponad 160 centymetrów wzrostu, chociaż trzeba przyznać, nie było to łatwe.

- Pokonałeś raka, zanim na niego zachorowałeś - twierdzi.

Jeśli to prawda, to tylko dzięki niej. Ona troszczyła się o nas oboje, mając do dyspozycji tylko pensję sekretarki. Jednak zawsze robiła wszystko, aby nam żyło się dobrze.

- Jeśli coś ma być zrobione, musisz to zrobić - powtarzała.

Piano to zamożne przedmieście. Inne rodziny były o wiele lepiej sytuowane od nas. Jeśli chcieliśmy cokolwiek kupić, musieliśmy na to zarobić. Nie miałem wszystkiego - ale dzięki matce niczego mi nie brakowało.

Teraz, kiedy sam jestem ojcem, rozumiem, jak wiele chciała mi dać. Rozumiem też setki drobnych lęków, których byłem powodem - chociażby te dziecięce kontuzje, skutek rozmaitych rowerowych kraks i wypadków. Moja matka śmieje się, widząc, jak niepokoję się o swoje dzieci i zaspokajam ich wszystkie zachcianki.

- Nigdy nie znałam mojego syna od tej strony - mawia.

Matka dziwi się również temu, że od chwili, kiedy zostałem ojcem, mam większe skłonności do analizowania przeszłości. Ja również się temu dziwię.

Nigdy nie chciałem oglądać się za siebie. Gdy moi znajomi pytali się, czemu nie interesuje mnie przeszłość, odpowiadałem:

- Nie mam zamiaru się cofać. Przeszłość wywołuje tylko ból głowy.

Oglądanie się za siebie było przeciwne mojej naturze; prowadziłem poszukiwania samego siebie, jeżdżąc na rowerze, z głową wysuniętą do przodu, przy dużej szybkości. Najważniejsze dla mnie, by zmienić życie na lepsze, to pędzić przed siebie.

Kiedy byłem młody, jeździłem na rowerze, aby do czegoś dojść. Potem jeździłem po to, aby udowodnić, że mogę pokonać chorobę, oraz po to, aby zadziwić wszystkich sceptyków, którzy postawili na mnie krzyżyk. Ale co teraz motywuje mnie do takiej jazdy?

Co utrzymuje mnie na siodełku przez pięć i sześć godzin do chwili, kiedy śnieg wydaje się czarny? Na to właśnie pytanie starałem się odpowiedzieć podczas Tour de France w 2000 roku. Chciałem wygrać ten wyścig. Ale nigdy nie patrzyłem na to przez pryzmat poprzedniego zwycięstwa. Żaden sportowiec nie lubi oglądać się za siebie; jeśli to zrobi, oznacza, że jest skończony. Sportowca interesuje tylko teraźniejszość i przyszłość.

Taki właśnie jestem. Najpewniejszą metodą zmuszenia mnie do zrobienia czegoś, jest powiedzenie mi, że nie jestem w stanie tego zrobić. Powiedzcie mi, że nie mam szans na ponowne wygranie Tour de France, i tym samym nie pozostawiacie mi wyboru. Po prostu będę starał się wygrać jeszcze raz. Tamtej zimy i wiosny wielu wątpiło w to, że powtórnie wygram wyścig, i to z różnych powodów. Zwycięstwo w Tour de France zrujnowało już niejednego kolarza. Spoczęli na laurach i był to koniec ich kariery. Teraz rozumiałem, skąd brało się to przekonanie.

Jedną z najtrudniejszych rzeczy na świecie jest zrobić coś dwa razy. Jeśli zrobiłeś coś już raz, masz mniej powodów, aby zrobić to ponownie, ponieważ jest tyle innych rzeczy, które mógłbyś zrobić zamiast tamtego. Twierdzenie to okazało się bardziej prawdziwe, niż byłem gotów początkowo przyznać. Starałem się zachować równowagę między domem, pracą, treningami i występami w reklamówkach. Ale byłem coraz bardziej zajęty, nie było mowy o wolnym czasie, próbowałem przystosować swoje życie do nowych obowiązków, które wiązały się z moją rodziną, działaniami w zakresie walki z rakiem, uprawianiem kolarstwa i występami w klipach reklamowych. Ilekroć zanadto angażowałem się w wykonywanie jednego z tych obowiązków, odnosiłem wrażenie, że zaniedbuję inne, a w szczególności, że zaniedbuję Kik i Luke'a. Do tego dochodziły zwykłe sprawy, interesy przyprawiające o ból głowy, korki na drogach i kłopoty codziennego życia mogące wprowadzić chaos w porządek dnia i przytępić błyskotliwą świadomość, która - jak sądziłem - była moją cechą.

Pewnego popołudnia, będąc na polu golfowym, gdzie próbowałem rozegrać dziewięć dołków i odprężyć się, zrozumiałem, że moją energię pochłania zbyt wiele działań. Przymierzając się do wprowadzenia piłki do dołka, rozmawiałem przez telefon komórkowy, starając się załatwić nowe opony kolarskie.

- Chwileczkę - powiedziałem.

Położyłem telefon na trawie, pośpiesznie uderzyłem piłkę, nie trafiając zresztą do dołka, i wróciłem do przerwanej rozmowy.

Innym razem biegłem przez halę portu lotniczego Orlando, pot lał się ze mnie ciurkiem, a ja, taszcząc rower w kartonowym pudle, starałem się zdążyć na samolot do

Nowego Jorku, gdzie byłem umówiony na spotkanie biznesowe. Pomyślałem sobie, że może uda mi się wygospodarować kilka wolnych godzin, aby potrenować w Central Park. Ostatecznie, rower musiałem zostawić na lotnisku, ponieważ byłem już poważnie spóźniony na samolot. Kiedy upadłem bez sił na fotel, byłem zupełnie mokry, wcześniej jeszcze wykrztusiłem kilka słów niezadowolenia do przechodzącej obok stewardesy. „Trzeba nieco zwolnić" - pomyślałem.

W pewnym momencie zrozumiałem, że zbyt wiele sukcesów może pozbawić mnie dawnego zapału. Sam opowiadałem się za prostymi rozwiązaniami: wystarczało mi być dobrym rodzicem i jeździć na rowerze. Wcale nie chciałem, aby przeszkadzały mi w tym nadarzające się okazje biznesowe i inne obowiązki.

Udałem się do mojego przyjaciela, Lee Walkera, i przeprowadziłem z nim rozmowę na temat zachowania w życiu równowagi. Dyskutowaliśmy o tym, jak żonglować zobowiązaniami, aby nie oszukiwać samego siebie i swoich najbliższych. Lee pomógł mi zrozumieć, że najważniejsze jest ułożenie planu działania, co wcale nie jest takie łatwe.

- Plan działania - jak Lee lubi powtarzać - to sposób zamanifestowania naszych zamiarów przed światem.

Wiedziałem o Lee Walkerze tyle, ile mówiło się o nim w mieście. Był jedną z tych osób, które zostawiają w pamięci niezatarte wspomnienia. Kiedyś był prezesem Dell Computer, odszedł jednak z tej firmy i teraz włóczył się po okolicy w przetartych dżinsach, starych trampkach i kapeluszu o szerokim rondzie, dzieląc się z innymi pieniędzmi i dobrymi radami. Lee nigdy nie rozstawał się dawniej z garniturem i krawatem, aż pewnego ranka obudził się z piekącym bólem w plecach, wywołanym rdzeniowym zapaleniem opon mózgowych. Podczas choroby zrozumiał, że nienawidzi swojego życia, żywiąc niewielką nadzieję na to, że choroba je skróci.

Gdy wyzdrowiał, rozpoczął drugie życie. Odszedł z Dell, sprzedał duży dom w West Austin i otrzymał pracę nauczyciela na Uniwersytecie Teksańskim. Zamieszkał w pobliżu miasteczka uniwersyteckiego w ładnym, starym domu z dzikim ogrodem. W tylnej części budynku urządził gabinet w wiejskim stylu z ogromną tablicą i półkami na książki sięgającymi sufitu. Walker był dobrym duchem wielu wydarzeń. Spora grupa młodych ludzi z Austin mnóstwo mu zawdzięcza, ja także się do nich zaliczam.

Kiedy pierwszy raz spotkałem Lee, jeszcze przed moją chorobą, przeważnie rozmawialiśmy o pieniądzach. Był to mój ulubiony temat; chciałem z pierwszej ręki, od czarodzieja, który zrobił fortunę, dowiedzieć się, jak do tego się zabrać. Przygotowałem dla niego wydruki portfela moich akcji, aby mógł je przejrzeć i udzielić mi stosownych rad.

- Po co trzymasz te gówniane akcje? - zapytał mnie kiedyś. Rozmawialiśmy o akcjach, które sprzedawałem, i powodach zakupu innych, niezwykle kiepskich papierów wartościowych. Wówczas moim największym szczęściem było zarabianie pieniędzy i nabywanie akcji.

Jednak cokolwiek wtedy myślałem o szczęściu, dość szybko mnie to zmęczyło: albo brałem je pochopnie za pewnik, albo uznawałem, że mnie opuściło. Portfel akcji i porsche były dla mnie ważne. Tak samo jak moje włosy. Wówczas wszystko straciłem, także włosy. Sprzedałem samochód, ominęło mnie wiele okazji zarobienia dużych pieniędzy, byłem jedną nogą w grobie. Szczęście jednak zaczęło się do mnie uśmiechać.

Po tych doświadczeniach moje stosunki z Lee uległy całkowitej zmianie. Nie rozmawialiśmy już więcej o pieniądzach, chyba że w aspekcie teoretycznym, ponieważ obydwaj zrozumieliśmy prostą prawdę: bogactwo nie może równać się ze zdrowiem. Dyskutowaliśmy o doświadczeniach „wyrzucenia" do świata żywych i o zagadce dotyczącej pokonania choroby: zastanawialiśmy się nad tym, co zrobić, aby nie zaprzepaścić nauki, płynącej z przezwyciężenia śmiertelnej choroby, a zarazem móc powrócić do normalnego życia z jego powszednimi obowiązkami? Lee lubił cytować słowa poetki, Mary Oliver: „Co uczynisz ze swoim szalonym i bezcennym istnieniem?".

Jako zwycięzca Tour de France i działacz na rzecz walki z chorobą nowotworową stanąłem wówczas przed zbyt wieloma trudnymi wyborami. W dodatku czekało na mnie zbyt dużo ról do odegrania. Lee przekonał mnie, że pieniądze nie są tak ważne jak czas. Zacząłem zadawać sobie pytanie: czego naprawdę chcę? Z pewnością pragnąłem zarabiać pieniądze, ale nie chciałem, żeby pochłaniało to całą moją energię, nie chciałem też dłużej zaprzątać sobie głowy strategiami poszczególnych spółek giełdowych. Nie chciałem również oglądać swojej kartonowej postaci w każdym supermarkecie ani wystąpić w kreskówce z ptaszkiem Tweety.

- Nie sądzę, abyś chciał pomnożyć swoje bogactwo; myślę, że chcesz rozsławić swoje nazwisko - powiedział Lee.

Podpisałem kilka znaczących kontraktów reklamowych, starając się pamiętać, że ich nawał to raczej przywilej i że rzadko towarzyszy temu życzliwość opinii publicznej. Chcąc zachować równowagę, miałem nadzieję, że uda mi się wrócić do tych zajęć, które najbardziej mnie obchodziły i w które wierzyłem, nie poświęcając przy tym swego życia osobistego ani zawodowego.

Tymczasem cały świat kolarski śledził moje działania i zastanawiał się, jak wpłyną na mnie pieniądze, kontrakty reklamowe i popularność.

- Każdy kolarz, który wygrywa, ma ten sam problem. Jego życie zmienia się na

zawsze - powiedział pewnego razu wielki hiszpański kolarz, Miguel Indurain.

W dzienniku „USA Today" wydrukowano artykuł poświęcony moim kontraktom reklamowym i nazwano mnie w nim „Lance Spółka z o.o.". Francuska gazeta „L'Equipe" przedrukowała ten artykuł, a w swoim komentarzu napisanym kursywą zasugerowała, iż tak dużo czasu poświęcam robieniu pieniędzy, że już zupełnie nie mam go na treningi.

Większość moich przeciwników ze świata kolarskiego uważało, że zwycięstwo w Tour de France w 1999 roku odniosłem fuksem - co prawda sensacyjnym, ale fuksem. Wpierw świat kolarski nie chciał uwierzyć w to, że mogę zdobyć pierwsze miejsce, a potem z kolei zaczął sugerować, że drugie moje zwycięstwo jest mało prawdopodobne. Przekreślając moje szansę na powtórne zwycięstwo, wyświadczono mi jednocześnie wielką przysługę, ponieważ w ten sposób na nowo zmotywowano mnie do pracy. To właśnie sprawiło, że znów zapragnąłem wygrać.

Ponieważ panował powszechny sceptycyzm co do moich możliwości, Tour de France 2000 roku, stał się dla mnie niezwykle ważnym wyścigiem, może nawet ważniejszym od tego w 1999 roku. Uważałem, że jeśli nie zajmę pierwszego miejsca, będzie to porażka.

- Pamiętajcie - powiedziałem do moich przyjaciół. - Zamierzam znów wygrać. Wiecie dlaczego? Ponieważ nikt z was nie sądzi, że mi się to uda.

Zacząłem szukać powodów, które motywowałyby mnie do treningów; notowałem wszystkie wyrazy sceptycyzmu, braku wiary i niepewności wypowiadane przez moich przeciwników, traktując je jako swoiste wyzwania. Zachowałem tę listę. Był to mój stary zwyczaj, wzmacniający moją wolę walki, jeszcze z okresu dzieciństwa, które spędziłem w Piano, kiedy nie miałem tyle pieniędzy co inne dzieci albo uprawiałem niewłaściwą dyscyplinę sportu. (Naturalnie, nikt nie zmuszał mnie do grania w futbol, ale wszyscy bez wątpienia chcieli, abym to robił.) Poza tym nie miałem też normalnej rodziny. Często byłem niedoceniany, ale wiedziałem, jak zrobić z tego faktu dobry użytek. Na dłuższą metę zawsze zdobywałem przewagę.

- Jestem zwykłym facetem - powiedziałem tamtej zimy. - Pokażę wam, do czego ten zwykły facet jest zdolny.

* * *

Pierwsza rzecz, którą zrobiłem, próbując bronić tytułu zwycięzcy Tour de France, omal mnie nie zabiła.

Świat jest pełen ludzi, którzy starają się kupić, sfabrykować lub udawać pewność

siebie. Ale przecież nie można oszukać pewności siebie, trzeba ją po prostu osiągnąć. Pytacie, jak to zrobić? Jest tylko jedna odpowiedź: praca. Żeby tę pewność osiągnąć, musisz wykonać określoną pracę. Przygotowania do wyścigu w 2000 roku zacząłem od wyczerpującej pracy.

Na początku maja drużyna U.S. Postal wybrała się w Alpy i Pireneje, aby wziąć udział w wielu intensywnych obozach treningowych. Zamysł był taki, że jeśli przejdę próbę bólu, odpowiednio zdyscyplinuję swoje ciało i włożę wystarczająco dużo pracy, wówczas być może zmierzenie się z Tour de France będzie mniej bolesne dla mojego organizmu. Pokonywaliśmy trasę wyścigu, robiąc rekonesans kolejnych etapów.

Osiemdziesiąta siódma edycja Tour de France miała liczyć ponad 3658 kilometrów, trwać 23 dni, i prowadzić dookoła Francji w kierunku przeciwnym do ruchu wskazówek zegara. Niewątpliwie na początku było to nielogiczne przedsięwzięcie, ale od tego czasu Tour de France stał się czymś więcej niż tylko dziwaczną imprezą: tuż u zarania przemysłowego wieku jedna z francuskich gazet przyznała nagrodę pieniężną dla śmiałka, który pokona innych śmiałków w próbie okrążenia kraju na rowerze. Od początku wyścigowi towarzyszyły liczne oszustwa, wypadki i absurdy. Stał się on jednak pełnoprawną imprezą sportową i ulubioną uroczystością narodową.

Kolarstwo to szczególny sport jak na standardy amerykańskie. Charakteryzuje się obcą dla Amerykanów etyką, zawiłym kodeksem i gąszczem pisanych, jak i niepisanych zasad. Jest to właściwie błyskawiczny mecz szachowy rozgrywany na rowerach - dlatego wcześniejsze rozpoznanie trasy jest tak ważne.

Poszczególni członkowie drużyny U.S. Postal odgrywali rozmaite role na trasie. Niektórzy z nich, jak mój bliski przyjaciel, Kevin Livingston, byli wyśmienitymi „góralami", a ich zadanie polegało na wspomaganiu lidera na górskich odcinkach. Jadąc na przedzie, chronili go przed wiatrem i nadawali tempo podczas pokonywania podjazdów. Inni, np. mój serdeczny przyjaciel, George Hincapie, pomagali mi uzyskać odpowiednie tempo na płaskich terenach. Większość kolegów z drużyny, takich jak Hincapie, Tyler Hamilton i Wiaczesław Jekimow z Rosji, to nadzwyczaj utalentowani kolarze, mogący pokusić się o wygrywanie wielkich wyścigów na własną rękę. Dlatego tu wyrażam wielką wdzięczność pod ich adresem za to, że pracowali tak ciężko, abym mógł odnieść zwycięstwo. W wyścigu brali też udział młodsi i mniej doświadczeni kolarze, zwani „domestiques", ponieważ ich rola polegała na blokowaniu drogi innym kolarzom, a także dostarczaniu w razie potrzeby jedzenia, wody i sprzętu.

Naszym taktykiem, czyli directeur sportif, był Johan Bruyneel, dziarski ekskolarz z Belgii, o reputacji pogromcy gigantów: kiedyś wygrał sławny etap Tour de France, pokonując

Induraina. Opanowany, o wyrazistych szarych oczach i z bruzdą pośrodku podbródka; podobnie jak naszego dyrektora cechowały go ogromna cierpliwość, talent do obmyślania planów wyścigu oraz przykładanie wielkiej wagi do szczegółów. To właśnie Johan nalegał, abyśmy udali się na wspomniane obozy szkoleniowe i zaznajomili z trasą.

Pedałowaliśmy godzinami, a w Europie budziła się właśnie surowa wiosna. Na początku maja pogoda w postrzępionych Pirenejach zmienia się z minuty na minutę: po mroźnym wietrze przychodzi piekące słońce. Tam właśnie, na przeciwnym zboczu jednego z samotnych szczytów, o mały włos nie zakończyłem występu w Tour de France jeszcze przed jego rozpoczęciem.

Wjechaliśmy na górę, zwaną Col du Soulour, aby przetrenować zjazd z dużą szybkością - ta umiejętność jest niekiedy decydująca. Kiedy wspinaliśmy się na szczyt, przypiekało ostre, górskie słońce. Zdjąłem kask z głowy, z której ciurkiem lał się pot, i zawiesiłem go na kierownicy. Na szczycie zatrzymałem się na chwilę, aby mechanicy poprawili położenie kierownicy. Zaraz potem odepchnąłem się, pochyliłem nad kierownicą i dałem nurka w dół stoku - mój kask wciąż wisiał na kierownicy. To dziecinny błąd.

Zjazd okazał się wąski i kręty, z prawej strony rozciągał się stromy uskok, przechodzący w położoną poniżej dolinę, z lewej - drogę ograniczał kamienny mur, podtrzymujący zbocze. Całą uwagę skupiłem na pokonywaniu zakrętów bez wytracania szybkości. Mijałem zakręt za zakrętem, upajałem się rytmem wziętych wiraży...

...gdy przednim kołem najechałem na odłamek skalny.

Opona eksplodowała.

Kierownica obróciła się szaleńczo dookoła, jakby ktoś wyszarpnął mi ją z rąk. Kiedy eksploduje przednia opona, przy szybkości sięgającej prawie 65 kilometrów na godzinę, nie jesteś w stanie zapanować nad rowerem. To coś, co jeszcze kilka sekund wcześniej mieniło się wysokiej jakości oponą, zapewniającą bezpieczny rozkład siły odśrodkowej, zwisało teraz postrzępione z płaskiej węglowej obręczy. Poczułem mocne szarpnięcie, przednie koło roweru zmieniło kierunek, sunąc ku kamiennej ścianie. „Gdyby udało się wyprostować kierownicę - pomyślałem - może byłbym w stanie wyhamować".

Jednak ściana zbliżała się do mnie zbyt szybko. Tuż przed nią znajdowała się fosa i przednie koło wpadło do niej. Nagle niczym z katapulty wyleciałem w powietrze - uderzając głową w kamienny mur. Uderzenie było tak mocne, że pociemniało mi w oczach, a niebo przełamało się na pół.

Leżałem w fosie, zakrwawiony i oszołomiony. Johan, który jechał za mną samochodem, wyłonił się zza zakrętu i zobaczył mnie leżącego w kałuży krwi. Miałem

głęboką ranę szczęki, spuchniętą głowę i byłem bliski utraty przytomności. Cały impet uderzenia skupił się na mojej głowie. To niesamowite, ale poza tym, że rozbiłem sobie głowę, nie odniosłem żadnych obrażeń - najmniejszego zadrapania. Nie podarłem nawet koszulki, w której trenowałem.

Słyszałem nadbiegających ludzi. Do moich uszu dochodziły jakieś głosy - Johana i kilku obcych. Na trawie, tuż pod kamiennym murem, dwóch francusko-kanadyjskich lekarzy urządziło sobie piknik. Widzieli całe zajście, kiedy uderzyłem głową w ścianę i padłem jak kłoda na ziemię.

Próbowałem się podnieść.

- Non, non - powiedział jeden z nich, naciskając mnie lekko, abym się położył.

Drugi skoczył na równe nogi i podbiegł do samochodu po lód, z którego zrobiono mi okład. Byłem przytomny i świadomy wszystkiego, co działo się wokoło. Nie widziałem jednak nic poza fosą. Pamiętam rozmowę Johana z lekarzami.

- Wie pan - powiedział jeden z nich - kiedy zobaczyliśmy go i usłyszeliśmy uderzenie, byliśmy przekonani, że się zabił.

Wydaje mi się, że zemdlałem. Po pewnym czasie przyjechał ambulans i zabrał mnie do szpitala w Lourdes. Był to pierwszy przypadek, gdy musiałem być hospitalizowany od czasu choroby nowotworowej. Skoro tylko przekroczyłem próg kliniki, poznałem znajomy zapach lekarstw i środków dezynfekujących. Ogarnął mnie ten sam co kiedyś niepokój.

Na głowie i szczęce założono mi kilka szwów i zatrzymano w szpitalu na jedną noc na obserwację. Nie mogłem zasnąć. Wciąż czułem plastykowy pokrowiec materaca, szeleszczący pod prześcieradłem, które wilgotniało od potu.

Następnego ranka poleciałem do domu w Nicei. Na lotnisku spotkałem się z Kik. Moja głowa była trzy razy większa niż zazwyczaj. Miałem sińce pod oczami, a cała twarz była w ranach i zadrapaniach. Na mój widok Kik westchnęła.

- Wyglądasz jak człowiek słoń - powiedziała, mając na myśli słynny film.

Przez kilka tygodni siedziałem na kanapie w domu, nie mogąc ani trenować, ani się ścigać, czekałem, aż moja głowa nabierze normalnych kształtów. Miałem dużo czasu na myślenie i doszedłem do wniosku, że już nigdy nie popełnię dziecinnego błędu i nie będę też więcej niepotrzebnie ryzykował. Lubiłem szybko pokonywać zjazdy, tak jak lubiłem brać ostre wiraże, ale postanowiłem, że jeśli stracę nawet 30 sekund podczas zjazdu, to nic się nie stanie. Potrafię nadrobić stracony czas.

W końcu, bardzo powoli, wróciłem do treningów. Z powodu wypadku nie miałem okazji zapoznać się z najważniejszym podjazdem, zwanym Hautacam. Hautacam to słynna

stacja narciarska urządzona na szczycie okrytej mgłą góry niedaleko Lourdes, znajdująca się na trasie pierwszego górskiego etapu, a zarazem jednego z najtrudniejszych.

Dlatego musiałem tam wrócić. Wiał silny wiatr. Przejechałem całą trasę. Po drodze nie spotkałem żadnych gapiów, towarzyszył mi tylko Johan, jadący za mną samochodem. Kiedy dotarłem do podnóża Hautacam, stanąłem na pedały i wykonując ciężką pracę, zacząłem wspinać się na stromy stok. Jadąc, studiowałem drogę, zastanawiając się, w którym miejscu mógłbym zaatakować, a gdzie powinienem zachować szczególną ostrożność. Padał deszcz ze śniegiem. Było tak zimno, że powietrze, które wydychałem, tworzyło białe obłoki.

Po godzinie osiągnąłem szczyt. Johan podjechał bliżej i wystawił głowę przez okno.

- W porządku. Wejdź do samochodu i napij się gorącej herbaty - zaproponował.

Zawahałem się. Nie byłem zadowolony z wykonanego podjazdu.

- Nie jestem go pewien - odparłem.

- O co ci chodzi? Czego nie jesteś pewien?

- Nie jestem go pewien - powtórzyłem. - Nie opanowałem podjazdu.

Górski podjazd trzeba poznać na wylot. A ja miałem wrażenie, że jeszcze nie znam dobrze drogi na Hautacam. Dotarłem na szczyt, ale nie byłem stuprocentowo pewien, jak podczas wspinaczki powinienem rozłożyć siły. Kiedy na treningu pokonuję podjazd, muszę być absolutnie przekonany, że dokładnie go poznałem i wiem, co zrobić, aby działał na moją korzyść.

- Nie sądzę, że go poznałem - powiedziałem. - Jeszcze nie jest moim przyjacielem.

- Jaki masz problem? - zapytał. - Dotarłeś na szczyt. Wsiadaj do samochodu.

- Musimy wrócić. Chcę pokonać go jeszcze raz.

Dotarcie na szczyt zajęło mi godzinę, powrót do podnóża około 30 minut. Wtedy jeszcze raz pokonałem podjazd, trwało to kolejną godzinę. Tym razem, pod koniec dnia, jadąc w zacinającym deszczu, odniosłem wrażenie, że opanowałem ten stok. Johan czekał na szczycie z płaszczem nieprzemakalnym.

- Nie mogę uwierzyć w to, co przed chwilą zobaczyłem - powiedział. - W porządku. A teraz jedziemy do domu.

Tamtego wieczoru przesłałem swemu trenerowi, Chrisowi Carmichaelowi, dane fizjologiczne, dotyczące pokonanych przeze mnie podjazdów. Codziennie po każdej sesji treningowej analizowałem wydruki, pochodzące z małego komputera zamontowanego do roweru, obrazujące wygenerowane waty, siłę, kadencję i pracę serca. Liczby pokazywały, który odcinek wzniesienia kosztował mnie najwięcej wysiłku, a który najmniej. Zgodnie ze swoim zwyczajem wysłałem do Chrisa maila z danymi, a on na ich podstawie sporządzał

uwagi i komentarze, a potem wysyłał je do mnie.

Chris otworzył plik, który przesłałem mu tamtego wieczoru, i rzucił okiem na wyniki. Następnego ranka zatelefonował.

- Wygląda na to, że był to ciężki dzień. Siedem godzin jazdy w takiej pogodzie. Ale twoja siła wciąż robi wrażenie - powiedział. - Coś tu się jednak nie zgadza. Plik z wynikami jest chyba uszkodzony albo liczby spłatały figla.

- Spłatały figla? - zapytałem.

- Tak. Mam na wydruku dwa zestawy wyników - wyjaśnił.

- Zgadza się.

- Pokonywałeś podjazd dwa razy?

- Tak.

Chris zamilkł przez chwilę.

- Jesteś porąbany - odparł w końcu.

* * *

Wystartowałem w Tour de France w 2000 roku, będąc cały czas na celowniku. Przynajmniej tak to odczuwałem.

Był to jeden z najsilniej obsadzonych wyścigów w ostatnich latach. Moi rywale nie spuszczali mnie z oka. Według lansowanych powszechnie opinii miałem wielkie szczęście, wygrywając Tour de France w 1999 roku, ponieważ w wyścigu nie brało udziału dwóch znakomitych kolarzy. Ale tym razem obaj wcześniejsi zwycięzcy Tour de France, Marco Pantani z Włoch i Jan Ullrich z Niemiec, którzy z osobistych powodów nie brali udziału w wyścigu w 1999 roku, stanęli na linii startu. Zresztą na polu startowym znalazło się mnóstwo kolarzy z najwyższej półki.

Pod względem fizycznym Ullrich nie miał prawdopodobnie równych sobie kolarzy na świecie. Był to wielki mężczyzna o potężnej muskulaturze, zmieniający gwałtownie wysokie biegi. Zrezygnował z wyścigu w 1999 roku z powodu kontuzji; robił wszystko, aby odzyskać formę, i teraz był żądny zwycięstwa, a taki człowiek bywa niebezpieczny. Pantani, szczupły kolarz o ostrych rysach i ogolonej głowie, którą zwykł zakrywać piracką chustą, był żądny zwycięstwa z innego powodu. Przyczyną jego nieobecności w wyścigu w 1999 roku był skandal dopingowy. Teraz Pantani chciał odzyskać utraconą pozycję wśród sportowej społeczności.

Kolejnym przeciwnikiem była sama trasa: trzy męczące górskie finisze, prażące

słońce, kurz, błoto, zacinający deszcz. Żeby nie wspominać już o ciasnych pokojach hotelowych w zapadłych dziurach.

Wyścig rozpoczął się prologiem, ponad szesnastoipółkilometrową jazdą indywidualną na czas, której trasa wiodła przez park tematyczny, Futuroscope. Prolog pełni rolę sita, przez które przechodzi 200 kolarzy, i decyduje o tym, kto znajdzie się na czele klasyfikacji. Wynik tej jazdy okazał się wielką niespodzianką: ukończyłem go jako drugi. Pierwszy był David Millar. Millar to mój dobry znajomy, młody, odważny brytyjski kolarz, który każdego sylwestra spędzał w innym kraju. Pobił mnie tylko o dwie sekundy, osiągając czas 19 minut i 3 sekundy. Kiedy wyniki ogłoszono przez głośniki, David rozpłakał się jak dziecko. Byłem rozczarowany swoim rezultatem, ale zachwycony wynikiem Brytyjczyka. Tamtej nocy David spał w żółtej koszulce.

Wyruszyliśmy w trasę. Przed nami było kilka płaskich i nudnych etapów. Cechowały je szybkie tempo i nieustający deszcz. Etapy z Tours do Limoges, a następnie do Dax, pokonywaliśmy w rzęsistej ulewie. Wszystko, na czym mi wówczas zależało, to zachować przyzwoitą pozycję w peletonie i nie narażać się na kontuzje przed etapami górskimi.

Dla niektórych kolarzy dopiero w górach zaczyna się prawdziwy wyścig, z drugiej strony dla wielu z nich tam się kończy. Pozostałe etapy w porównaniu z górskimi pozwalają zdobywać tylko niewielkie przewagi czasowe. Góry - jak mawiają Francuzi - to „istota kolarstwa i istota tragedii". Właśnie w górach odbywa się prawdziwa selekcja zawodników: kiedy pozostaje do pokonania ostatnie wzniesienie, nawet najsilniejszy facet dopinguje sam siebie, aby pędzić jeszcze szybciej. Uwielbiam góry.

Pierwszy górski etap kończył się w Hautacam.

Kiedy obudziłem się tego ranka, padał marznący deszcz. Wyskoczyłem z łóżka, odsunąłem zasłonę i zaśmiałem się.

- Doskonale - powiedziałem.

Zanosiło się na okropną pogodę, na widok której wielu kolarzy załamywało się zaraz po przebudzeniu. Według zapowiedzi na Hautacam wiał silny wiatr, a szczyt skrywała mgła. Panowały tam podobne warunki do tych, w jakich tamtego dnia pokonywałem dwukrotnie to wzniesienie podczas treningu. Wyglądało na to, że była to doskonała próba generalna.

- Ten etap będzie miał coś z epiki - powiedziałem do Johana, kiedy nasza grupa jechała autokarem na start.

Na linii startu wielu kolarzy w peletonie zdradzało swoje obawy wywołane pogodą. Bali się trudu, który mieli znosić. Niektórzy niewątpliwie zostali pokonani przez strach, zanim nawet zaczęli pedałować. Mamrotali pod nosem, podnosili w górę ręce i marszczyli

brwi. Byłem gotowy do startu.

- To wspaniały plażowy dzień - zwróciłem się do kolegów z drużyny. - Musimy go wykorzystać.

To wcale nie znaczy, że było łatwo. Straszna ulewa nie ustępowała ani na chwilę, a twardy hiszpański kolarz, Javier Otxoa, niespodziewanie na pięćdziesiątym kilometrze zaatakował. Uzyskał ogromną przewagę i utrzymał ją aż do mety. Nikt z nas go nie dogonił, zachowując siły na wyczerpujące podjazdy.

Długi dzień dawał się we znaki. Najbardziej odczuwały to nogi. Moi koledzy z drużyny zostawali w tyle jeden po drugim, choć do tego momentu działali jak dodatkowe silniki rakietowe, popędzając mnie do przodu.

Teraz, kiedy odpadli z czołówki, zostałem sam, nie licząc garstki kolarzy z innych zespołów.

Zbliżając się do Hautacam, byliśmy już na rowerach cztery godziny, przejechaliśmy ponad 190 kilometrów i pokonaliśmy dwie górskie przełęcze. Przed nami rozciągał się ostatni, stromy i potworny podjazd, o długości 13,5 kilometra i o nachyleniu 7,9% - stok piął się w górę przeciętnie 7,9 metra na każde 100 przejechanych metrów.

Jechałem z Ullrichem, Pantanim i Alexem Zuelle'em ze Szwajcarii, który był numerem dwa w Tour de France w 1999 roku i zdaniem wielu miał wielkie szansę mnie pokonać, gdyby nie uległ wypadkowi na początku wyścigu. Przed nami pedałowali: Richard Virenque z Francji, bardzo popularny kolarz wśród swoich rodaków, i Fernando Escartin z Hiszpanii. Wszyscy ścigaliśmy Otxoę.

Dotarliśmy do podnóża Hautacam - Pantani stanął na pedały i ruszył do ataku. Zjechał na wewnętrzną stronę drogi i przyśpieszył. Zuelle natychmiast zareagował na ucieczkę Włocha i podążył za nim... uczyniłem podobnie. Przez chwilę pedałowałem z całych sił, aby ich dogonić, i myślałem: „Ach, nie, jestem mistrzem". Wtedy Zuelle został w tyle, a ja jechałem przed nim. Narzuciłem tempo na tyle szybkie, aby wszystkim tym, którzy chcieli dotrzymać mi kroku, dało się we znaki.

Obejrzałem się przez ramię, ale Zulle zniknął daleko za mną. Zostałem tylko ja i Pantani. Musiałem jechać ostrożnie; ważne było to, abym utrzymał właściwy rytm, ponieważ nieodpowiednio rozłożony wysiłek na zboczu może spowodować utratę sił, czego przykładem był właśnie Zuelle.

Zaczęliśmy pokonywać podjazd. Pantani jechał przede mną. „W porządku, chłopcze - pomyślałem - zaraz ci pokażę, gdzie raki zimują". Podniosłem się z siodełka i nacisnąłem mocno na pedały. Mój rower wystrzelił jak rakieta. Wyprzedziłem Pantaniego.

- Jest zmęczony. Zostaje w tyle - usłyszałem w słuchawce głos Johana, który połączył się ze mną przez radio.

Obejrzałem się za siebie. Moja przewaga się zwiększała. Gdy po chwili obejrzałem się ponownie, Włoch był już daleko za mną.

Pędziłem na szczyt. Trenowałem nie tylko po to, aby pokonać Hautacam, ale przede wszystkim po to, aby dowiedzieć się na co mnie stać. Chciałem pokazać innym kolarzom swoją wspaniałą formę, ponieważ widok kolarza wyprzedzającego jadącego ostatkiem sił rywala może u niektórych wywoływać respekt. Jedyną oznaką tego, jak ciężko pracowałem, było zaczerwienienie wokół moich nozdrzy.

Wreszcie przejechałem linię mety i zostałem liderem Tour de France. Rozpoczynałem etap na szesnastej pozycji, mając ponad sześć minut straty, a teraz wysunąłem się na prowadzenie.

Ullrich, Pantani, Virenque, Zuelle i Escartin przyjechali na metę przynajmniej z siedmiominutową stratą. Pantani stracił najwięcej: 10 minut 34 sekundy. Bez słowa poszedł do swojej przyczepy i zatrzasnął drzwi. Virenque pokręcił tylko głową i powiedział:

- Armstrong przejechał obok nas jak odrzutowiec.

Tego dnia tylko jeden kolarz okazał się szybszy ode mnie. Był nim Otxoa. Utrzymał do końca czterdziestodwusekundową przewagę i wygrał etap. Udało mi się odrobić ponad dziesięciominutową stratę, ale nie zdołałem zniwelować do końca przewagi Otxoy. Wcale mnie to nie martwiło. Otxoa mógł się szczycić swoją brawurową ucieczką. Szczerze mu gratulowałem. Dostałem przecież to, czego chciałem. Zostałem liderem wyścigu i włożyłem żółtą koszulkę.

Był to dobry dzień, bardzo ważny dzień. Dzień, w którym wielu kolarzy straciło wolę walki. Niektórzy twierdzili, że zwycięstwo wyścigu mam już zapewnione.

- Jeśli Armstrong nie będzie miał słabszych dni, to z pewnością stanie na podium w Paryżu. Nikt nie jest go w stanie pobić - powiedział Walter Goodefrot, dyrektor zespołu, w którym jechał Ullrich.

* * *

Ale wyścig jeszcze się nie skończył. Każdy z górskich etapów może cię wyeliminować z gry, a poza tym żaden z kolarzy ci nie odpuści, dopóki nie dotrzesz do Paryża. Nauczyłem się, aby na nic nie liczyć, i tamtego wieczoru podczas obiadu ostro zaprotestowałem, gdy Johan zapytał, czy drużyna z tej okazji chciałaby się napić szampana.

- Gdy wygramy w Paryżu, będzie szampan - powiedziałem. - Do Paryża jest jeszcze kawał drogi.

Tak naprawdę nie wiedziałem, czy jeszcze będę mógł sobie pozwolić na solową jazdę. Wysiłek samotnej jazdy jest na tyle duży, że szybko odczuwa się wyczerpanie. Zbyt wiele razy nie uda się samotnie uciec od peletonu. Moi rywale doskonale o tym wiedzieli, dlatego - jak się domyślałem - będą próbowali mnie odizolować i zmęczyć.

Dwunasty etap miał być decydujący: liczył 149 kilometrów i kończył się na Mont Ventoux, samotnym szczycie górującym nad Prowansją, godzinę drogi od Marsylii. Ventoux to najtrudniejszy podjazd Tour de France w 2000 roku: 22 kilometry przed metą droga wiodła zaledwie na wysokości 275 metrów nad poziomem morza, a finisz znajdował się na wysokości 1909 metrów n.p.m. Samo wzniesienie trudno porównać do innego. Bardziej przypominało krajobraz księżycowy niż górski. Ponadto Mont Ventoux może - dosłownie - cię zabić.

Tylko garstka najlepszych „górali" wygrywała na tym szczycie. Był on również miejscem tragedii. W 1967 roku brytyjski kolarz, Tommy Simpson, wspinał się na wzniesienie w piekącym słońcu, nagle stanął w poprzek drogi i upadł ze zmęczenia. Kibice nalegali, aby zrezygnował z dalszej jazdy, ale Brytyjczyk nie chciał dać za wygraną.

- Nie, wsadźcie mnie na rower - prosił.

Wsiadł na rower i znów starał się pokonać podjazd, ale powtórnie upadł i zmarł pod szczytem; później w jego krwi wykryto środki dopingowe. Ventoux to trudna, niebezpieczna i znienawidzona przez kolarzy góra.

Zaraz po starcie wjechaliśmy w mistral, silny północny wiatr hulający po okolicy, wiejący z naprzeciwka. Po ponad trzygodzinnej jeździe dotarliśmy do podnóża Ventoux, gdzie temperatura nagle spadła do jednego stopnia poniżej zera.

Długość podjazdu przekraczała 20 kilometrów, mistral wiał nieprzerwanie, osiągając w porywach prawie 65 kilometrów na godzinę, przy czym na szczycie nabierał siły huraganu. Przez pierwszych kilka kilometrów Pantani starał się zorientować, czy zdoła wysunąć się na prowadzenie. Rzucał się do przodu, a następnie wycofywał, znów się rzucał do przodu i ponownie wycofywał.

Około pięciu kilometrów przed metą, gdy zbliżaliśmy się do obelisku upamiętniającego śmierć Tommy'ego Simpsona, wstałem z siodełka i zaatakowałem Pantaniego. Gdy go minąłem, odwróciłem się.

- Vince! - krzyknąłem w jego kierunku swoim słabym włoskim.

Oznaczało to: „Dalej, dalej, ze mną".

Chciałem zdopingować go, zaproponować wspólną ucieczkę, zamierzałem pomóc mu wygrać ten etap. Dlaczego? Ponieważ wówczas uważałem, że Pantani zasługuje na zwycięstwo. Przez długi, pracowity rok starał się odzyskać zaufanie utracone w wyniku afery dopingowej. Według mnie był on jedną z bardziej interesujących postaci występujących na arenie sportowej, taki zawadiacki typ, jadący w jaskraworóżowym uniformie, kolorowej chustce, z kolczykiem w uchu. Jednak tamtego dnia kilkakrotnie wycofywał się i znów atakował. Szanowałem jego wysiłek i wydawało mi się oczywiste, że taki wspaniały „góral" jak Pantani powinien wygrać na Ventoux, tym bardziej że miałem dziesięciominutową przewagę po ponad dwóch tygodniach wyścigu i mogłem sobie pozwolić na to, aby przyjechać na metę drugi.

Podczas innych imprez sportowych tak się nie postępuje, ale w Tour de France to się zdarza i jest powodem do dumy. Jeśli chodzi o mnie, lidera wyścigu, wygrywanie etapów, których nie muszę wygrywać, byłoby potraktowane przez innych kolarzy jako pazerność, prawdopodobnie zaszkodziłoby ich karierom i wpływało na zarobki; wszyscy kolarze mają w swoich kontraktach klauzule dotyczące dodatkowych premii za aktywność, a poza tym wygranie etapu samo w sobie wzmacnia prestiż sportowca. Rola lidera wyścigu sprowadza się niekiedy do bycia grand seigneur - czyli wielkodusznym panem. Tego właśnie nauczyłem się od Induraina, pięciokrotnego zwycięzcy Tour de France, który wygrywał kolejne wyścigi od 1991 do 1995 roku. Wcale nie jest dobrze wygrywać codziennie. W wyścigu bierze udział 200 ciężko pracujących kolarzy i każdy z nich zasługuje na to, aby uznać jego wysiłek. Gdy wreszcie pokonasz podjazd o dziesięcioprocentowym nachyleniu i znajdziesz się na górującym nad Prowansją szczycie Mont Ventoux, gdzie kiedyś zmarł kolarz, próbując wspiąć się na wzniesienie, właściwie nie ma mowy o przegranych.

Pantani źle mnie jednak zrozumiał. Wydawało mu się, że powiedziałem: „Vitesse" - to znaczy: „pośpiesz się". To kwestia interpretacji. Zawołanie „vitesse" bywa obraźliwe. Kiedy zwracałem się do Włocha, jechał bardzo wolno i prawdopodobnie pomyślał, że daję mu sygnał, aby się usunął z drogi. Moją zachętę Pantani wziął po prostu za wyzwanie.

Do mety jechaliśmy ramię w ramię, walcząc z gwałtownym wiatrem. Miałem do wyboru: albo zaatakować i próbować wyprzedzić go na finiszu, albo zrezygnować z wygrania etapu, skoro mojej pozycji lidera nic nie zagraża. Zrezygnowałem z walki o pierwsze miejsce. Pantani nacisnął na pedały na finiszu, a ja spasowałem.

Mimo wszystko powiększyłem swoją przewagę nad moim rzeczywistym rywalem, Janem Ullrichem, o dalsze 31 sekund.

Oddając Pantaniemu zwycięstwo, zrobiłem coś, co było wbrew mojej naturze.

Indurain mógł sobie na to pozwolić i kolarze akceptowali takie postępowanie. Ale gdy oddałem Pantaniemu pierwszeństwo na Ventoux, Włocha najwyraźniej rozzłościło moje zachowanie. Odniósł wrażenie, że potraktowałem go protekcjonalnie.

- Kiedy Armstrong powiedział, abym przyśpieszył, pomyślałem, że próbuje mnie sprowokować - wyjaśnił później Pantani. - Jeśli sądzi, że na tym się skończy, to jest w błędzie.

Tym razem ja poczułem się obrażony - nie mogłem powstrzymać się od komentarza.

- Niestety, pokazał swoją prawdziwą twarz - skwitowałem wypowiedź Włocha.

Nazwałem go również Elefantino - nienawidził tego przezwiska. Odnosiło się ono do sposobu, w jaki jego sterczące uszy wystawały spod kolorowej chusty, którą nosił na głowie.

Rozpoczęta tego dnia wojna trwała między nami przez tydzień. Następnego dnia Pantani odskoczył i wygrał górski etap bez mojej pomocy. Później oświadczył publicznie, że nie uznaje mojego sposobu rozumienia etykiety.

- Większą satysfakcję daje samotne zwycięstwo - powiedział bez ogródek. - Zwycięstwo ma inny smak, gdy zostawisz wszystkich kolarzy daleko w tyle. Ma smak triumfu.

Żałowałem Mont Ventoux. Miałem teraz za swoje. Mój przyjaciel, Eddy Merckx, wielki kolarz belgijski, pięciokrotny zwycięzca Tour de France, nie szczędził mi przykrych słów.

- Był to wielki błąd - powiedział. - Ventoux należy do najsilniejszego kolarza. Nigdy nie wolno robić podarunku z Ventoux. Kto wie, czy jeszcze staniesz przed szansą wygrania tamtego podjazdu?

Byłem przekonany, że jestem najsilniejszym kolarzem, ale pozwoliłem na to, aby zawładnęło mną uczucie urazy. Przyrzekłem sobie, że jeśli jeszcze raz zdarzy się sytuacja, w której mógłbym Pantaniemu zrobić jakiś podarunek, to dostanie go chyba dopiero po moim trupie.

Przez następnych kilka dni byłem zły i miałem trudności z koncentracją. Złość wcale nie działa na twoją korzyść; daleko nie zajedziesz, pielęgnując ją w sobie, a w moim przypadku przeszkadzała mi ona w jasnej ocenie sytuacji. Po pierwsze, pozwoliłem na to, aby zawładnęła mną uraza, a po drugie, wdałem się w sprzeczkę, która wyprowadziła mnie z równowagi. Ani jedno, ani drugie wcale dobrze mi się nie przysłużyło.

Dotarliśmy do ostatniego górskiego etapu, ostatniej niebezpiecznej części Tour de France. Trasa była stosunkowo niedługa, liczyła zaledwie 196,5 kilometra, ale bardzo trudna. Kończyła się na szczycie Joux-Plane. Ten etap mógł uśpić czujność: nieszczególnie długi,

sprawiał wrażenie, że jazda nie będzie zbyt uciążliwa. Było to oczywiście zgubne podejście. Krótsze etapy charakteryzują się szybszym tempem i z tego powodu czasami są trudniejsze od dłuższych.

Pantani wystartował ostro, czekając, kiedy połknę haczyk - zastawił na mnie pułapkę. To, że w nią wpadłem, było największym błędem w mojej karierze.

- Chciałem rozwalić wyścig, nie bacząc na konsekwencje - przyznałem później.

Atak Pantaniego wywołał w naszej drużynie U.S. Postal pewną nerwowość. Rozmawiałem z Johanem przez radio, ustalając strategię. Zastanawialiśmy się nad tym, jak daleko możemy pozwolić uciec Pantaniemu? Tym razem chciałem go za wszelką cenę pokonać. To pragnienie było bardzo silne, a podsycało je uczucie urazy. Pantani prowadził przez ponad 80 kilometrów, a ja próbowałem go dogonić.

Narzuciliśmy szybkie tempo. Czułem się świetnie. Tak świetnie, że nie skorzystałem z ostatniej szansy zjedzenia posiłku. Bez zastanowienia przemknąłem przez strefę bufetu. Był to niewybaczalny błąd, lekkomyślność zawodowego kolarza, a jednak go popełniłem. Byliśmy tak zajęci taktyką i Pantanim, że zapomniałem o podstawowej rzeczy. Nigdy wcześniej nie zdawałem sobie sprawy z tego, jakie mogą być skutki niezjedzenia posiłku.

W końcu dogoniłem Włocha niedaleko Joux-Plane. Pantani zwolnił, skarżąc się na bóle brzucha, ostatecznie stracił 13 minut do lidera. Ale dokonał tego, co zamierzył na początku: zupełnie pokrzyżował mi szyki.

Dotarliśmy do podnóża Joux-Plane. Pedałowałem mocno, jadąc tuż za Kevinem Livingstonem. Inni kolarze dawno dali za wygraną, nie wytrzymując naszego tempa. Zostało nas tylko dwóch. Wówczas Kevin, wyraźnie zmęczony, także spasował.

Niespodziewanie zostałem sam. I tak samo niespodziewanie źle się poczułem. Pierwszym sygnałem było zmęczenie nóg, następnie poczułem pustkę w żołądku. Nie miałem przy sobie ani wody, ani żywności, ani proteinowych batonów, niczego - ani też żadnych możliwości, aby to otrzymać.

Czułem, jak siła odpływa z mego ciała.

Virenque i Ullrich dogonili mnie... a potem, jakby nigdy nic, minęli.

Wpierw próbowałem dostosować się do ich tempa, pedałowałem, nie bacząc na ból, ale wciąż zwalniałem i zwalniałem.

Po pewnym czasie ogarnęło mnie wrażenie, że zamiast pokonywać podjazd, zsuwam się ze stoku.

Ullrich i Virenque odwrócili się zaskoczeni. Doskonale wiem, co sobie wtedy pomyśleli: „Co on robi? Coś tu pachnie szwindlem”. Początkowo, z łatwością ich

wyprzedziłem, a teraz wpadłem w kłopoty i miałem to wypisane na twarzy.

Do mety zostało dziesięć kilometrów. A ja czułem się jak sześćdziesięciolatek. W słuchawce usłyszałem głos Johana - on doskonale wiedział, co się dzieje, zważywszy na moje powolne tempo. Johan, były kolarz, wiedział, co może się zdarzyć, gdy sportowiec się załamie. Najmniej obawiał się tego, że stracę prowadzenie. Zdawał sobie sprawę, że mogę nawet mieć zapaść, a to zmusiłoby mnie do rezygnacji z dalszej jazdy i doprowadziłoby do zaprzepaszczenia całego wyścigu. Wszystko to działo się na jego oczach.

Od czasu do czasu Johan porozumiewał się ze mną przez radio. Zdawał sobie sprawę z powagi sytuacji. Z jednej strony dawał mi wskazówki, a z drugiej musiał zachować twarz przed specjalnym gościem, który towarzyszył mu w samochodzie, premierem Belgii.

- Nie martw się - mówił spokojnie - masz sporą przewagę. Możesz sobie pozwolić na jej zmniejszenie.

Najlepsze wyjście, radził Johan, to zmniejszyć tempo i wolno wspinać się na wzniesienie, ograniczając stratę. Najgorszą rzeczą, którą mógłbym zrobić, to zwiększyć tempo, co mogłoby doprowadzić do katastrofy. Zwykle w takich sytuacjach dochodzi do kompletnego wyczerpania fizycznego i upadku.

Każdy obrót pedałami męczył mnie coraz bardziej, moje siły fizyczne uległy wyczerpaniu. Była to kwestia energii, kalorii, a raczej ich braku.

Wyczerpanie fizyczne może mieć dalekosiężne następstwa, ponieważ zapaść pociąga za sobą zwykle załamanie psychiczne.

Jedziesz ze spuszczoną głową, a w oczach robi ci się ciemno. Masz halucynacje. Próbujesz coś mówić albo po prostu zsiadasz z roweru. Zjeżdżasz na pobocze i zatrzymujesz się, bo nie jesteś w stanie dalej pedałować.

Gdy zsiądziesz z roweru, jesteś skończony, zostajesz wyeliminowany z wyścigu. Byłem całkiem bliski zjechania na pobocze.

Widywałem kolarzy, którzy w takiej sytuacji tracili 10, a nawet 15 minut, mając przed sobą długi, ciężki podjazd i nic do stracenia. Widziałem, jak z ust ciekła im ślina. Widziałem, jak rozpadała się ich osobowość - później już nigdy nie byli tymi samymi sportowcami. A teraz to właśnie przydarzyło się mnie. Z każdą sekundą czułem się coraz gorzej. Był to mój najczarniejszy dzień wyścigu.

Zaczynałem tracić orientację. Ledwo zdawałem sobie sprawę, gdzie jestem i co robię. Przychodziła mi do głowy tylko jedna rozumna myśl: „Siedmioipółminutowa przewaga to mnóstwo czasu; postaraj się nie stracić wszystkiego".

Johan nieprzerwanie mówił do mnie przez radio, powtarzając w kółko to samo:

- Spokojnie, jedź w swoim tempie, nie forsuj się. Stracisz minutę, dwie minuty, trzy minuty, cztery minuty - w porządku. Tylko się nie zatrzymuj.

Na szczycie za metą Bili Stapleton i grupa przyjaciół, którzy przyjechali obserwować wyścigi, usadowili się w luksusowej przyczepię, popijali wino, przegryzali kanapkami i oglądali przebieg etapu w telewizji. Początkowo nikt nie zauważał, że zwalniam. Ale wtedy utraciłem prowadzenie i zacząłem słabnąć. Ullrich i inni kolarze tym samym mieli okazję odrobić straty. Nagle ucichły śmiechy w przyczepie. Zapanowała konsternacja.

- O, Boże, co się dzieje? - ktoś zapytał.

Zapadła cisza. Absolutna cisza.

Jadąc na rowerze, nie mogłem zebrać myśli. Byłem tak odwodniony, że coś dziwnego zaczęło się dziać z temperaturą ciała. Dostałem dreszczy. Miałem wrażenie, że moje kończyny zostały wydrążone. Czułem pustkę. Pustkę, pustkę, pustkę. Niedzielny rowerzysta, który wybrał się na przejażdżkę, mógłby mnie z powodzeniem wyprzedzić.

Na zboczu w tłumie kibiców stał Bart Knaggs i patrzył, jak z mozołem pracuję, starając się pokonać podjazd. Oprócz College'a Bart należał do grona moich najbliższych przyjaciół. Jak powiedziałem, częściowo definiujemy siebie w relacji z innymi ludźmi, Bart i College są właśnie tymi osobami, które pomogły mi zdefiniować samego siebie. Byli ze mną, kiedy lekarz w zasadzie wydał na mnie wyrok śmierci i poinformował mnie, że jeśli nawet przeżyję, to ze szpitala wyjdę na czworakach. Byli przy mnie podczas operacji mózgu. Bart i jego żona, Barbara, która urodziła bliźniaczki, stali się naszymi powiernikami, kiedy Kik i ja zdecydowaliśmy się na zapłodnienie in vitro, dzięki czemu urodził się Luke.

Wspólnie z Bartem i College'em przejechaliśmy mnóstwo kilometrów po pagórkowatych okolicach Teksasu, śmiejąc się i żartując albo po prostu rozmawiając. Lubiłem robić im psikusy na rowerze. Jechałem przez chwilę z nimi ramię w ramię, a potem nagle dawałem susa do przodu. Kiedy jednak nie dokazywaliśmy po teksańskich pagórkach, pomagaliśmy sobie wzajemnie. Pewnego dnia pojechaliśmy w wyjątkowo długą trasę do Wimberly i z powrotem - spory jej odcinek przebiegał autostradą. W końcu Bart miał już dość, zrezygnował z dalszej jazdy i krótszą drogą wrócił do domu. College jednak starał się dotrzymać mi kroku. Do Dripping Springs nic nie zapowiadało tego, co stało się później. Organizm College'a zaczął odsalać się i słabnąć. Podałem mu puszkę coli, która nieco go ożywiła, ale trwało to niedługo. Wówczas krzyknąłem do niego, by złapał się mojego siodełka, to go wezmę na hol. Kiedy mieliśmy już tylko około ośmiu kilometrów do domu, College zupełnie opadł z sił i nie był w stanie pedałować.

- Nie mogę - wrzeszczał za moimi plecami.

- Możesz - odpowiadałem. Wreszcie wybuchnąłem śmiechem.

- Gdybyś mógł się teraz zobaczyć - powiedziałem.

College był blady, prawie biały i zwisał nad kierownicą. Gdy dotarliśmy do ostatniego dużego wzniesienia prowadzącego do Austin, położyłem rękę na jego plecach i pchałem go. Tak dojechaliśmy do domu.

W niedługim czasie po tym zdarzeniu zachorowałem na raka. Starałem się jednak nie rezygnować z jazdy na rowerze. Jak zwykle mogłem liczyć na Barta i College'a, którzy towarzyszyli mi podczas przejażdżek. Wtedy to oni mogli zostawić mnie w tyle, ponieważ mój organizm był bardzo słaby. Pewnego popołudnia - bez włosów, chudy jak szczapa, o żółtej skórze po trzecim cyklu chemoterapii - zapragnąłem udać się na małą rowerową wycieczkę. Powinienem leżeć w łóżku i odpoczywać, ale tak bardzo się uparłem, że Bart i College ustąpili i pojechali ze mną. Pokonaliśmy tylko pięć czy sześć kilometrów, gdy znaleźliśmy się pod wzniesieniem. Zacząłem słabnąć.

- Już nie mogę - powiedziałem. - Chcę wracać.

College zbliżył się do mnie, położył mi rękę na plecach i pchał mnie po tym samym stoku, na którym ja kiedyś wyciągnąłem do niego pomocną dłoń. Niemal płakałem z upokorzenia, ale byłem wdzięczny za okazaną mi pomoc. Zawsze możemy na siebie liczyć. Co się ma stać, to się stanie, ale jedno jest pewne: wszyscy potrzebujemy czasami wsparcia. Jeśli podasz komuś pomocną dłoń, może przyjść taki dzień, że i ty wyciągniesz rękę po pomoc. Być może, kiedy pomagasz innym, wznosisz się na sam szczyt swojego ja.

Teraz tu nadeszła kolejna chwila prawdy, zmuszająca do zdefiniowania siebie. Bart, znający mnie lepiej niż ktokolwiek inny, stojąc na Joux-Plane, wpatrywał się w moją popielatą twarz i przekrwione oczy. Widział, jak rower, na którym jechałem, niebezpiecznie kołysał się na boki. Zdawał sobie sprawę z tego, co niebawem nastąpi.

Nie mógł mnie jednak popchnąć na stoku, więc wpadł na inny doskonały pomysł.

Zaczął biec obok mnie i dopingować mnie dojazdy.

-Jedź, jedź, jedź, jedź, jedź! - wrzeszczał na całe gardło. - Uda ci się! Nie zatrzymuj się!

Nie reagowałem na krzyki. Gapiłem się tępo przed siebie. Bart nie przerywał biegu. Wspinał się ze mną po stoku i krzyczał.

- Dalej! Wjedź na górę!

W końcu zniknął za załomem.

Nie miałem pojęcia, że był tam Bart. Nie pamiętam, czy go widziałem. Pamiętam tylko jego niewyraźny głos. Myślałem, że słyszę go w słuchawce. Wydawało mi się, że

zamilkł z powodu zakłóceń radiowych. Ale Bart był tam naprawdę.

Wówczas w słuchawce usłyszałem Johana. Przez długi czas nie odzywałem się do niego. Nie wiem, czy radio zgubiło zasięg w górach, czy po prostu jechałem na rowerze, nie mając świadomości, co robię.

- Lance, odezwij się - nalegał Johan.

Usłyszałem skrzypienie w słuchawce, a później ponownie głos Johana.

- Gdzie jesteś? Dlaczego nie odpowiadasz?

- W porządku - odparłem.

- Nie przerywaj rozmowy - powiedział Johan.

- Wszystko w porządku - odpowiedziałem szeptem. - Rozmawiałem z Bartem.

- Z kim?

- Z Bartem - odparłem niepewnie. Zacząłem bredzić.

Nie mam pojęcia, jakim sposobem utrzymałem się na rowerze, będąc w takim stanie. Dlaczego facet jedzie aż do utraty tchu? Według mnie dlatego, bo jest do tego zdolny. W pewnym sensie również wpłynęło na to przebycie choroby nowotworowej: rak niemalże mnie zabił i kiedy wróciłem do kolarstwa, doskonale wiedziałem, że to, przez co przeszedłem, jest o wiele cięższe niż jakikolwiek wyścig. W trudnych chwilach wracałem do tej prawdy, a ona dodawała mi sił. Nigdy naprawdę nie byłem zupełnie pozbawiony energii. Przeszedłem przez to wszystko i teraz mam zrezygnować? Nie, nigdy.

Zasługa Barta była również ogromna. Gdy tylko pojawiała się w mojej głowie myśl o rezygnacji, od razu zagłuszał ją głos Barta. Sam nie byłbym w stanie ukończyć tamtego etapu - bez dwóch zdań.

Wszystko, co osiągnąłem jako kolarz, jest wynikiem wielu relacji i powiązań. Kolarz, który naprawdę wierzy w to, że do wszystkiego doszedł tylko dzięki sobie, musi być samotny i przegrany. Życie ma dla nas w zanadrzu wiele samotnych chwil, nie trzeba więc do nich dokładać samotności sportowca.

Nawet jeśli miałem jakieś wątpliwości pod tym względem, oni czerpali prawdziwą przyjemność z tego, co nastąpiło później. W połowie drogi na szczyt Joux-Plane otrzymałem dodatkowe, niespodziewane wsparcie od dwóch kolarzy, którzy mnie wyprzedzili: Roberto Contiego i Guido Trentina. Byli to dobrzy, silni i szanowani zawodnicy, z którymi łączyły mnie przyjacielskie stosunki. Natychmiast zorientowali się, w jakim jestem stanie. To, co nastąpiło później, było klasycznym przykładem wprowadzenia w czyn kolarskiego kodeksu sportowego. Nigdy tego nie zapomnę. Conti i Trentin nie zostawili mnie na stoku, ale pomogli mi go pokonać. Bez słowa zajęli pozycje przede mną, chroniąc mnie przed wiatrem,

pozwolili dryfować, oszczędzając mi wykonania niewysłowionej ilości pracy. To zachowanie typowe dla Tour de France. Byliśmy rywalami, ale ból fizyczny spowodowany nadzwyczajnym wysiłkiem wzbudzał u wszystkich kolarzy współczucie. Nie wiem, z jaką stratą dojechałbym na szczyt bez pomocy Contiego i Trentina.

Na szczęście, ostatni, kilkukilometrowy odcinek prowadził w dół. Gdy dzięki pomocy Barta oraz innych przyjaciół znalazłem się na szczycie Joux-Plane, opadłem na kierownicę i spłynąłem po zboczu. Ostatecznie, swoją przewagę zmniejszyłem tylko o 90 sekund. Zdawałem sobie sprawę z tego, że równie dobrze mogłem wtedy stracić wszystko.

- Dziś mogłem stracić cały wyścig - powiedziałem później szczerze dziennikarzom.

Kiedy spotkałem Jeffa Garveya, mojego przyjaciela z Austin, nie mogłem powstrzymać się od zadania mu tego pytania:

- Co powiesz o amatorze, który porwał się na Tour de France?

Niewiele pamiętam z okresu pomiędzy pierwszymi objawami bólu a metą. Na przykład Chrisa Carmichaela, który przyszedł do hotelu i odwiedził mnie w pokoju, zapytałem:

- Gdzie się podziewałeś, do cholery?

- O co ci chodzi? - odparł. - Byłem na mecie, kiedy ją mijałeś.

- Naprawdę?

Wieczorem podczas obiadu przeprosiłem całą drużynę U.S. Postal. Niemalże zniweczyłem wysiłki wszystkich osób zaangażowanych w przygotowania do wyścigu.

- To się już nigdy nie powtórzy - przyrzekłem.

Patrząc z perspektywy czasu, była to cenna lekcja: góry są bezlitosne, w ciągu jednej pechowej godziny, a nawet jednej pechowej minuty można stracić wszystko.

Pojawiły się następne kwestie: czy potrafię zregenerować siły? Czy mój organizm ucierpiał podczas męczącego podjazdu? Wyczyn, którego dokonałem, przypominał jazdę samochodem, w którym zabrakło oleju w silniku. Ewentualne urazy mogły pozbawić mnie sprawności, zrujnować moją kondycję, nad którą mozolnie pracowałem przez wiele miesięcy. Niekiedy kolarze dostają okropnych bólów brzucha - tak jak Pantani, który doznał skurczów i odpadł z wyścigu, nie będąc w stanie następnego ranka wystartować. Gdybym nie zdołał odzyskać sił, byłoby to moje kolejne nieszczęście. Miałem jednak farta i czułem się dobrze tamtego wieczora, a w pewnej chwili ogarnęła mnie wielka senność.

Wiedziałem, że Kik, która została w domu, oglądała wszystko w telewizji. Musiała być wstrząśnięta tym, co zobaczyła. Z pewnością zdawała sobie sprawę z tego, co się ze mną działo i jak bardzo dokuczał mi ból.

Zatelefonowałem do domu.

- Był to najgorszy dzień w mojej kolarskiej karierze - powiedziałem. - Niewiele brakowało, abym dziś stracił cały Tour de France.

- Ale nie straciłeś - odparła Kik.

* * *

Był to mój ostatni krytyczny moment podczas tego wyścigu. Do Paryża pozostały tylko płaskie, nudne etapy. Gdy byliśmy coraz bliżej mety, zacząłem wreszcie przyjmować do wiadomości, że jestem zwycięzcą. Nie byłem jednak całkiem zadowolony. Chciałem zatrzeć wrażenie tamtego etapu, którego zwycięstwo oddałem rywalowi. Ta sprawa wciąż nie dawała mi spokoju.

22 lipca dokonałem tego, czego nie udało mi się dokonać wcześniej, w końcu wygrałem etap - jako pierwszy pokonałem prawie sześćdziesięciokilometrowy odcinek jazdy na czas, Fribourg - Miluza, łączący granicę francuską z niemiecką. Zwyciężyłem wszystkich, jak przystało na lidera wyścigu, jadącego w tradycyjnej żółtej koszulce. Chciałem wszystkim zaprezentować koszulkę i uzyskać pewność, że słusznie zasługuję na tytuł zwycięzcy. Metę przejechałem zupełnie wyczerpany. Oczy zaszły mi mgłą, a z warg ciekła ślina. Nie byłem w stanie odpowiedzieć na pytanie, które ktoś mi zadał. Ktoś inny pokazał mi, dokąd mam iść. Nie zdawałem sobie jeszcze całkowicie sprawy z wyczynu, którego dokonałem. Osiągnąłem drugi przeciętny czas w 87-letniej historii Tour de France. Godzina, pięć minut i jedna sekunda, dała przeciętną szybkość 54 kilometry na godzinę.

W Paryżu na Hotel de Crillon powiewała wielka, teksańska flaga. Na ostatnim odcinku pozwoliłem sobie na kieliszek szampana. Wreszcie przejechałem metę. Trasę, liczącą 3650 kilometrów, pokonałem w 92 godziny 33 minuty i 8 sekund. Kiedy stałem na podium, wziąłem od Kik naszego dziewięciomiesięcznego syna i podniosłem go w górę, nie mogąc powstrzymać łez.

- Dokonał tego - powiedział Ullrich, wspaniały kolarz, numer 2 wyścigu. - Wytrzymał wszystkie nasze ataki.

Było to nie lada dokonanie, zważywszy na wszystkie uwagi kolarzy, którzy wątpili, że zdołam zwyciężyć drugi raz. Można by utworzyć całą drużynę z zawodników, którzy uważali, że pokonają mnie i wygrają Tour de France. „Przecież oni tu stoją obok mnie" - skonstatowałem. Nie myślałem jednak o rewanżu. Po doświadczeniu na Joux-Plane podobne myśli wyparowały mi z głowy. Przychodzi taki czas podczas każdego wyścigu, kiedy

sportowiec musi się zmierzyć z prawdziwym przeciwnikiem, czyli z samym sobą.

Wieczorem z okazji wygrania wyścigu w Musee d'Orsay, w prywatnej sali balowej, której sufit zdobiły freski, odbył się wystawny obiad. Uczestniczyło w nim kilkaset osób, w tym około 80 przyleciało z Austin. W pewnym momencie wstałem i zwróciłem się do kolegów z drużyny.

- Świętujemy dziś zwycięstwo - zacząłem - ponieważ pracowaliśmy ciężej niż inni. Zwyciężyliśmy nie dzięki przypadkowi, nie fuksem, ale dzięki ciężkiej pracy. Nasze zwycięstwo jest zasłużone. Wydaje mi się - mówiłem - że wiemy, co zrobić, aby wygrać. Nauczyliśmy się wygrywać i zapewne wygramy jeszcze nieraz.

Od jakiegoś czasu nie postrzegałem swojej kolarskiej kariery jako jednorazowego powrotu na arenę sportową. Uznałem, że jest ona potwierdzeniem i kontynuacją tego, czego dokonałem, pokonując raka. Zwyciężając powtórnie, dokonałem ciekawego odkrycia: oba doświadczenia były odmienne. Każde z nich to jak odcisk palca, niepowtarzalne i niepodobne.

Czym się różniły? Drugie zwycięstwo kosztowało mnie dotkliwiej pod względem fizycznym. Przeżyłem wówczas więcej krytycznych momentów. Mogłem to również stwierdzić po chudości mojej szyi, żebrach i łopatkach wystających spod koszuli. Ale w pewnym sensie cierpienie rekompensowało te wszystkie szkody.

Zacząłem dochodzić do wniosku, że cierpienie nadaje smak dobremu życiu. Jest ono nierozerwalnie związane ze szczęściem, a nawet je uwydatnia. Może ono trwać minutę lub miesiąc, ale ostatecznie mija, przygotowując miejsce dla innego uczucia, może nawet większego. Dla szczęścia. Ilekroć cierpię, wierzę, że w ten sposób wzrastam psychicznie i kontynuuję definiowanie swoich możliwości - nie tylko fizycznych, ale także tych wewnętrznych, odpowiedzialnych za zadowolenie, przyjaźń czy każde inne ludzkie doświadczenie.

Prawdziwą nagrodą za cierpienie jest poznanie samego siebie. Gdybym się poddał, prześladowałoby mnie to zawsze. Nawet drobne kapitulacje dręczą mnie przez długi czas. Walcząc z pokusą poddania się, musisz zadać sobie pytanie, z czym lepiej żyć: ze świadomością klęski czy wiedzą nabytą o sobie.

Po zakończeniu wyścigów ktoś podarował Bartowi zdjęcie. Przedstawiało ono mnie: byłem blady, w stanie skrajnego wyczerpania, ostatkiem sił wspinałem się na Joux-Plane. Na drugim planie Bart biegł obok mnie i dodawał mi otuchy. Za Bartem stał jakiś facet w przebraniu diabła - była to jedna z tych postaci, które nadawały Tour de France atmosferę jarmarcznej zabawy. Bart i postać diabła przedstawiali dwie możliwości wyboru: podjąć

wyzwanie czy zrezygnować.

Była to klasyczna fotografia Barta, ponieważ należał on do tego rodzaju ludzi, którzy nie odwracali się od przyjaciół w najgorszych chwilach. W najgorszych, a nie najświetniejszych. Tamtego dnia, kiedy przeżywałem najgorsze chwile w sportowej karierze, jeden z moich najbliższych przyjaciół był przy mnie, biegł za mną i dopingował mnie, abym nie przerywał jazdy. Może prawdziwe zwycięstwo to posiadanie takich właśnie ludzi wokół siebie, na których można liczyć bez względu na to, czy leży się w szpitalnym łóżku, czy jest się bliskim zaprzepaszczenia całego wyścigu.

Bart dał mi to zdjęcie. Wcześniej napisał na nim:

- Lance, byliśmy razem w wielu miejscach... ale do tego już nie wracajmy. Zgoda?

Oprawiłem fotografię w ramkę i zawiesiłem na ścianie.

ROZDZIAŁ III

JEDYNY BEZTROSKI DZIEŃ TO DZIEŃ WCZORAJSZY

Nie zawsze można wygrywać, choć trudno mi zaakceptować tę prawdę. Zwykle rzadko przegrywam, nieważne, czy chodzi o wyścig, czy debatę. Niewiele jednak brakowało, abym przegrał życie, skręcił kark i stracił reputację. Po tych doświadczeniach doszedłem do wniosku, że życie, będące nieprzerwanym pasmem sukcesów, jest nie tylko niemożliwe, ale prawdopodobnie szkodliwe dla człowieka.

Z pewnymi przegranymi łatwiej się pogodzić, z innymi trudniej. W niektórych przypadkach przegrana jest nie do odrobienia, a cała ich seria może doprowadzić do kryzysu. Czasem jestem zaskoczony tym, jak niektóre okoliczności mogą pomóc w jego pokonaniu. Gdy chcę ponownie rozważyć tę kwestię, przywołuję na myśl historię włosów Sally Reed.

Sally przechodziła terapię nowotworową latem 1999 roku i oglądała w telewizji moje zmagania w Tour de France. Leżała w łóżku. Była wyczerpana całotygodniowym przyjmowaniem chemii. Dokuczały jej nudności. Włączała jednak telewizor i śledziła wszystkie górskie etapy wyścigu, w których prowadziłem. Chodziła do łazienki, wymiotowała, wracała do łóżka i dalej obserwowała, jak pokonywałem kolejny podjazd. Potem znów wstawała, szła do łazienki i wymiotowała.

- Wymiotowałam i wracałam do telewizora po następną dawkę nadziei - wyjaśniała.

Wygrałem wyścig w dniu jej pięćdziesiątych urodzin. Tego przedpołudnia, kiedy przejeżdżałem metę w Paryżu, skończyła 50 lat i straciła wszystkie włosy. Wypadały całymi garściami. Ale ponieważ wygrałem Tour de France, wcale się tym nie przejęła. Była pełna... czegoś... i nie dbała o takie głupstwa. Wyszła z córką na werandę, a kiedy lekki wietrzyk rozwiał jej rzadkie włosy wokół twarzy, wyprostowała się i łagodnie wyszarpnęła ostatnie kosmyki, które miała na głowie. Odwróciła się i rzuciła włosy na wiatr.

- Niech ptaki uwiją sobie z nich gniazda - powiedziała. Wszelkie pokusy dręczenia się stratami osłabia świadomość, że mogę sobie pozwolić na utratę wszystkiego, oprócz życia mojego i moich najbliższych. W niezbyt udanym sezonie 2000-2001 poniosłem straty na obu płaszczyznach: zawodowej i osobistej, ale nieporównywalnie ciężej byłoby mi się z nich otrząsnąć, gdyby nie poprzednie doświadczenia. Stało się dokładnie tak, jak mówi Sally: mój dom spalił się, ale za to mogłem ujrzeć niebo.

Rok ten okazał się początkiem długiej i twardej obrony mojej reputacji. Jestem chyba jedynym człowiekiem na świecie, który został poddany takiej liczbie testów

antydopingowych. Robiono mi je wszędzie, od 30 do 40 rocznie, podczas wyścigów, jak i po ich zakończeniu. Bardzo się z tego cieszę. Ponieważ moja otwartość jest jedynym dowodem na moją niewinność.

Jak można udowodnić niewinność? Godzić się na wielokrotne wkłuwanie w żyłę, oddawać nieskończoną liczbę ampułek z próbkami, nie patrzeć na porę dnia, w której odbywa się test, nie przejmować się tym, że niezapowiadane wizyty funkcjonariuszy przeprowadzających kontrole niszczą twoje prywatne życie. Niewinność musisz deklarować codziennie, musisz ją codziennie udowadniać, nie zawsze jednak kończy się to sukcesem. Francuzi nazywają mnie „doperem". W porządku. Mam czyste sumienie.

Wszystkie testy wykazywały, że jestem czysty. Wszystkie. Nie pomyślałem nigdy o tym, aby mogło być inaczej. Wiecie dlaczego? Ponieważ testy mogły tylko wykazać, że moja forma to efekt ciężkiej pracy. A na to tak naprawdę nie ma testów.

Mimo ogromnej liczby testów, którym mnie poddawano, wciąż istniała grupa ludzi, którzy uważali, że jestem winny. Ich zdaniem byłem doperem, który przechytrzył naukowców całego świata - a fala podejrzeń osiągnęła kulminację w sezonie 2000-2001.

Przez krótki okres wierzono nawet, że podczas chemoterapii podano mi jakiś cudowny specyfik. Dziennikarze wydzwaniali do doktora Craiga Nicholsa, mojego onkologa, chcąc się dowiedzieć, co mi podawano, jakie lekarstwa przyjmowałem i jak one działały.

W końcu znudzony dociekaniami prasy, gdy kolejny dziennikarz naprzykrzał się doktorowi Nicholsowi, którego prawie uznano za Frankensteina, pytając, co takiego uczynił, że osiągam tak świetne wyniki, lekarz zażartował:

- Podczas operacji dołożyłem mu trzecie płuco.

Spodziewał się, że dziennikarz parsknie śmiechem. Tymczasem w słuchawce zapanowała głucha cisza.

Doktor Nichols uważał, że powszechny sceptycyzm opierał się na braku wiary, by ktoś mógł pokonać raka i dalej się rozwijać. Większość ludzi jest przeświadczona, że jeśli ktoś zachoruje na nowotwór, to umrze, nawet jeśli przeżyje samą terapię. Ludziom nie mieściło się w głowie, że wyszedłem ze szpitala i nie zostałem kaleką. Przeświadczenie to stało się dla mnie wyzwaniem. I podjąłem je, wracając do pełnego, intensywnego życia. Zachowywałem się tak - powiedział Nichols - „jakby śmierć była jedną z opcji".

- *Terapia jest bardzo ciężka - oświadczył doktor Nichols. - Istnieje pewne ryzyko.*

- *Jakie?*

- *Takie, jak w przypadku zwykłej infekcji, która może zagrażać życiu.*

- Nie może mnie pan przecież zabić - odparłem.

- Zapewniam pana, że mogę.

Walka z rakiem i wygrywanie wyścigów kolarskich były w pewnym sensie prostsze, może dlatego, że miałem bezpośredni kontakt z przeciwnikiem, niż bitwy, które miałem stoczyć w nadchodzących miesiącach. Czy można walczyć z takim niewidzialnym przeciwnikiem jak podejrzenie? Naturalnie, że nie. Trudno jednak to zaakceptować. A niekiedy najtrudniej na świecie jest nie robić... nic.

Jak nauczyć się radzić sobie z wątpliwościami, a przede wszystkim z wątpliwościami dotyczącymi twojej osoby? Jak nauczyć się przegrywać?

Problem polega na tym, że bez względu na to, kim jesteś, zwykle więcej możesz przegrać niż wygrać. Większość ludzi przesadza w ocenie, gdy poniosą stratę, i nadmiernie się cieszy, gdy coś zyska. Nie jestem tu wyjątkiem. Z przegraną łączą mnie stosunki z pogranicza miłości i nienawiści. Przegrana wyprowadza mnie z równowagi i sprawia, że staję się nieznośny. Jednak z drugiej strony przegrana to nauka, której nie można uniknąć, ale może stać się ona wielką wartością, niczym wygrana, ze względu na rozpiętość doświadczeń, które niesie, pod warunkiem, że poddasz ją analizie.

Kiedy uprawiasz kolarstwo zawodowo, masz okazję napatrzyć się na różne rzeczy. Dochodzisz wówczas do wniosku, że wyścigi tak naprawdę nie są tylko wyścigami, ale formami wyrażania ludzkiego zachowania, które może cechować odwaga, oszustwo, zabawa, poszukiwanie, uniesienie lub pasożytnictwo. Jedne rzeczy, które widzisz, przypadną ci do gustu bardziej, inne mniej, jednak wszystkie są interesujące i pouczające, ale to nie wojna, nie śmierć ani nawet nie narodziny dziecka mogą zmienić twoją perspektywę, tylko przegrana.

W sierpniu 2000 roku miałem kolejną rowerową kraksę. We Włoszech mówi się, że kot ma nie 9, ale 12 albo 13 form życia. Jestem chyba takim włoskim kotem, bo był to drugi wypadek w roku, który zagrażał mojemu życiu.

Wraz z kolegami z drużyny U.S. Postal, Frankie'm Andreu i Tylerem Hamiltonem, trenowałem na górzystych drogach niedaleko Nicei. Chcieliśmy utrzymać kondycję po Tour de France, a jednocześnie rozpoczęliśmy przygotowania do Olimpiady w Sydney w Australii.

Jechaliśmy wijącą się nad miastem dwukierunkową drogą, która w pewnym momencie stała się tak wąska, że zrezygnowano z namalowania linii dzielącej jezdnię. Wybraliśmy tę trasę, bo znajdowała się z dala od miasta i była mało uczęszczana. Godzinami nie przejeżdżał tamtędy żaden samochód. Trzeba mieć zezowate szczęście, aby zostać potrąconym przez auto na tej drodze. A to właśnie mnie się przytrafiło.

Braliśmy zakręt w lewo, mając ograniczoną widoczność. Jechałem pierwszy. Kiedy byliśmy w połowie wirażu, z naprzeciwka nadjechał samochód. Podróżowało nim francuskie małżeństwo. Poruszał się na tyle szybko, że nie zdołałem go ominąć. Zderzyłem się z nim czołowo. Tyler, który jechał za mną, wpadł do rowu. Tylko Frankie'emu udało się uniknąć wypadku.

Usłyszałem zgrzyt metalu, mój rower rozpadł się na kawałki, a ja przekoziołkowałem nad maską samochodu.

Frankie patrzył na wrak mojego roweru, leżący na asfaltowej jezdni: stos połamanych i powykręcanych rurek - na niektórych znajdowały się naklejki rowerowej firmy Trek.

Leżałem na ziemi. Byłem ogłuszony. Powoli podniosłem się i usiadłem. Wpatrywałem się w to, co pozostało po rowerze. Rama rozpadła się na trzy kawałki. Widełki pękły na pół. Koła leżały w różnych miejscach. Tylna część roweru odpadła. Łańcuch został przerwany.

Zastanawiałem się, czy nie doznałem kontuzji ramion albo nóg. W myślach zacząłem robić przegląd wszystkich części ciała. Poczułem silny ból w karku i okolicach ramienia. Spojrzałem na jezdnię. Obok mnie leżał kask. Rozpadł się na dwie połówki niczym włoski orzech.

Poruszyłem się i poczułem bardzo ostry ból w plecach. Bolało mnie tak, jakby któraś z kości zaraz miała przebić skórę od środka.

- Frankie, spójrz na moje plecy - poprosiłem. - Nic tam nie wystaje?

- Nie, nic nie wystaje.

- Musi coś tam wystawać - odparłem. - Czuję to. Nagle poczułem, że opadam na ziemię.

- Aaa - jęknąłem i przewróciłem się na asfalt.

Francuz wysiadł z samochodu i zaczął na nas wrzeszczeć. Frankie i Tyler poprosili go o pomoc, ale szybko zorientowali się, że kierowca nie ma zamiaru nic zrobić. Chciał tylko krzyczeć. Frankie i Tyler próbowali skorzystać z telefonów komórkowych, ale w górach był słaby zasięg i nie mogli uzyskać połączenia. Spoglądali na Francuza, ale on wcale nie miał ochoty zadzwonić ze swojej komórki i powiadomić kogokolwiek o wypadku.

Frankie i Tyler kucnęli obok mnie na ziemi i we trójkę naradzaliśmy się, co robić dalej. Postanowiliśmy, że Tyler pojedzie w kierunku miasta i albo sprowadzi pomoc, albo złapie zasięg swojej komórki i zadzwoni do Kik, aby po nas przyjechała.

Tyler pojechał. Gdy leżałem na środku jezdni, coś zaświtało mi w głowie.

- Frankie - poprosiłem - ściągnij mnie z drogi, bo jeszcze ktoś na mnie najedzie.

Pozostało nam czekać. Na dowód tego, że była to oddalona od miasta i mało

uczęszczana droga, powiem tylko tyle, że następny samochód nadjechał dopiero po dwóch godzinach - i to właśnie samochód, którym przyjechała Kik. Była to naprawdę odludna trasa, a my mieliśmy wielkiego pecha.

Tymczasem Kik przeżywała swój własny dramat. Tyler w końcu dodzwonił się do niej i wyjaśnił, co się stało, ale Kik nie dosłyszała nazwy miejscowości, która znajdowała się najbliżej miejsca wypadku. Połączenie zaczęło się rwać.

- Jesteśmy na... (trzask w słuchawce). To miejsce nazywa się... (trzask w słuchawce).

Potem wysiadła bateria telefonu.

Kik otworzyła mapę i starała się znaleźć miejscowość, której nazwa, wydrukowana maczkiem, brzmiałaby podobnie do tego, co usłyszała przez telefon. W końcu znalazła i zaznaczyła długopisem.

Wzięła klucze, pobiegła na postój taksówek, gdzie odszukała znajomego taksówkarza i zapytała go, czy mógłby jej wskazać drogę. Kierowca wskoczył do samochodu i obydwoje odjechali z piskiem opon. Kluczyli po górskich drogach około półtorej godziny, zanim nas odnaleźli.

Wciąż siedzieliśmy przy drodze, kiedy przyjechała Kik. Widząc wrak mojego roweru, zachowała zimną krew. Bez słowa zapakowała mnie do samochodu, potem pozbierała resztki, które pozostały po rowerze.

- Gdzie cię boli? - zapytała Kik, gdy zjeżdżaliśmy ze wzniesienia.

- Poniżej karku - odparłem.

Kik zawiozła mnie bezpośrednio do miejscowego szpitala na prześwietlenie - ale ono nic nie wykazało. - Jest nadwerężony - wyjaśnił lekarz.

- Coś jest nie tak - zwróciłem się do Kik.

Poszedłem jednak do domu i wziąłem kilka aspiryn, mając nadzieję, że ból minie. Tymczasem bolało mnie jeszcze bardziej.

Udałem się do kręgarza, myśląc, że może trzeba nastawić niektóre kręgi. Ale gdy tylko masażysta mnie dotknął, poczułem, że mam złamany kręgosłup. Leżąc na stole, zacząłem krzyczeć. Nie pamiętam, kiedy ostatni raz krzyczałem z bólu - musiałem być wtedy chłopcem. No i cóż, znów pojechałem do szpitala - tym razem do nowoczesnej kliniki w Monako - aby zrobić tomografię komputerową.

- Mamy poważny problem - stwierdził lekarz.

Obraz komputerowy był niepodważalny. Doktor wyjaśnił, że nastąpiło złamanie kręgu C-7, łączącego część szyjną z częścią piersiową kręgosłupa.

- Co to znaczy? - zapytałem.

- Że złamał pan kark.

Odczuwając ostry ból, nie miałem wątpliwości, że lekarz mówi prawdę. Zapytałem lekarza, jaki wpływ będzie miał ten wypadek na moja kolarską karierę. Wyjaśniłem mu, że zamierzam wziąć udział w Igrzyskach Olimpijskich 2000 i że właśnie rozpocząłem cykl najważniejszych treningów. Kiedy ponownie wsiądę na rower? Czy w ogóle będę mógł ścigać się w Sydney?

Lekarz spojrzał na mnie, przybierając sceptyczny wyraz twarzy.

- Proszę raczej przygotować się na długą przerwę - powiedział doktor. - Udział w Olimpiadzie nie jest dobrym pomysłem. Wygrał pan Tour de France, po co panu Olimpiada? Gdyby zdarzył się panu powtórnie podobny wypadek, miałoby to katastrofalne skutki.

Lekarz wyjaśnił istniejące ryzyko: może upłynąć wiele miesięcy, zanim będę mógł swobodnie poruszać szyją i w pełni obracać głową. Nie mając zaś dostatecznego pola widzenia, będę narażony na wszelkiego rodzaju wypadki. Dopiero czas pokaże, czy będę na tyle zdrowy, aby wrócić do treningów. Nawet jeśli mój stan zdrowia się poprawi, to zdaniem lekarza nie powinienem ryzykować i wracać do sportu. Powiedziałem lekarzowi, że rozważę jego słowa, i wróciłem do domu odpocząć.

Musiałem podjąć decyzję, co dla mnie nie było specjalnie trudne: jeśli tylko będę w stanie, wrócę do treningów. Kontuzje są nieuniknione w kolarskiej karierze, podobnie jak nieszczęśliwe wypadki. Jeśli boisz się, że wywrócisz się na rowerze, nie powinieneś nigdy na niego wsiadać. Po prostu nie mogłem zmarnować okazji i nie wziąć udziału w Olimpiadzie. Gdybym nawet został sześciokrotnym zwycięzcą Tour de France, a nie zdobył złotego medalu olimpijskiego, ludzie zaczęliby szemrać między sobą: „Co się z nim dzieje? Myśleliśmy, że to dobry kolarz".

Miałem też osobiste powody. Dotychczas Igrzyska Olimpijskie oznaczały dla mnie niepowodzenia i przegrane, dlatego chciałem to nareszcie zmienić. Niezbyt dobrze na nich wypadłem podczas moich dwóch ostatnich prób.

Na Olimpiadzie w Barcelonie w 1992 roku pojechałem nad wyraz kiepsko jako nieopierzony żółtodziób. Na Igrzyskach w Atlancie w 1996 roku byłem co prawda faworytem Ameryki, ale również nie popisałem się i nie zdobyłem medalu: byłem szósty w jeździe indywidualnej na czas i dwunasty ze startu wspólnego. Jechałem tak wolno, jakbym ciągnął za rowerem kawał ciężkiego żelastwa. Przypuszczałem, że był to wynik zdenerwowania albo niedostatecznego treningu: niedługo potem zostałem zdiagnozowany: okazało się, że trenowałem, mając w płucach tuzin ognisk rakowych. Nowotwór pozbawił mnie szansy zdobycia olimpijskiego medalu na rodzimej ziemi.

Istniał jeszcze inny motyw wyjazdu do Sydney. Zakończenie Olimpiady przewidziano 2 października - była to dla mnie ważna data - tego dnia mijała czwarta rocznica postawienia diagnozy i wykrycia nowotworu. Uczestnictwo w Igrzyskach Olimpijskich tego właśnie dnia byłoby kolejnym pstryczkiem danym chorobie. Miałem również na względzie trenera drużyny U.S. Postal, mojego bliskiego przyjaciela, Jima Ochowicza, który nie odstępował od mojego łóżka, kiedy leżałem w szpitalu, a potem przechodziłem chemoterapię. To właśnie Jim na początku mojej kariery zrobił ze mnie mistrza kolarskiego. Ponadto został ojcem chrzestnym Luke'a. Chciałem pojechać dla niego, ale też uczcić rocznicę postawienia diagnozy zdobyciem złotego medalu olimpijskiego.

Po kilku tygodniach nadal miałem sztywną szyję, ale czułem się na tyle dobrze, że mogłem wsiąść na rower i rozpocząć treningi. Tymczasem kilka gwiazd kolarskich zrezygnowało z uczestnictwa w Igrzyskach, starając się uniknąć, jak powszechnie uważano, testów antydopingowych. Wówczas zaczęli wydzwaniać do mnie dziennikarze, pytając, czy zobaczą mnie w Sydney. Kalkulacja była prosta: jeśli nie pojawię się na Olimpiadzie, będzie to oznaczać, że mam coś do ukrycia. Nikogo nie interesowało to, jak usilnie starałem się trenować, aby pojechać na Igrzyska.

Wylądowałem w Sydney, będąc bardzo przejęty tym, że po raz pierwszy zobaczę Australię. Czułem się całkiem nieźle i wciąż miałem chrapkę na zdobycie medalu: moim zdaniem był to jedyny powód, dla którego tam przyjechałem. Już dwukrotnie występowałem na Igrzyskach i wracałem do domu z pustymi rękami - nie przyjechałem do Sydney na wakacje, chociaż z miejsca zakochałem się w australijskim krajobrazie.

Jako pierwszy miał odbyć się wyścig ze startu wspólnego o długości prawie 240 kilometrów i była to najtrudniejsza z dwu moich imprez. Płaska trasa nie odpowiadała specjalnie drużynie amerykańskiej, ponieważ brakowało na niej trudnych podjazdów, na których można by oderwać się od peletonu; oznaczała też finiszowanie całą grupą. Zwycięzca stawał przed koniecznością przedzierania się przez tłum kolarzy, wśród których miał znaleźć się Jan Ullrich i jego niemiecki zespół.

Od samego początku wszystko szło na opak. Nasza drużyna miała problemy z łącznością radiową, które dały o sobie znać w najbardziej krytycznym momencie, kiedy trzeba było zrewidować taktykę. Przez dużą część wyścigu nie wiedziałem, gdzie znajduje się Ullrich. Wydawało mi się, że jest za mną, więc jechałem nieco na zwłokę, dostosowując się do własnego tempa. Pod koniec wyścigu podjechałem do mojego wielkiego przyjaciela i kolegi z drużyny, George'a Hincapie, sądząc, że na metę wjedziemy całym peletonem.

- George, George, jest ktoś przed nami? - zapytałem.

- Nie - odparł.

Byłem gotowy do końcowego ataku, kiedy na jednym z wielu ogromnych telebimów ustawionych przy drodze zobaczyłem Ullricha na finiszu. Oznaczało to, że Niemiec jechał przede mną - i miał znaczną przewagę. Nie zauważyłem nawet, kiedy udało mu się odskoczyć.

- George, co to ma znaczyć? - zapytałem.

Ullrich przejechał metę, zdobywając złoto. Ja natomiast dałem za wygraną i uzyskałem trzynastą lokatę. Śmiałem się z niepowodzenia i nie byłem nim zbyt rozczarowany, mieliśmy przecież umiarkowane szansę, aby wygrać wyścig. Jednak w następnej konkurencji, jeździe indywidualnej na czas, miałem większe i bardziej realne szansę na złoty medal.

Czterdziestosześciokilometrowa trasa prowadziła ulicami Sydney i kończyła się na historycznym boisku do krykieta. Jazda na czas należała do moich ulubionych konkurencji. Wymaga od zawodnika nie tylko szybkości, ale także precyzji i techniki. W ciągu ostatnich dwóch lat podczas Tour de France czterokrotnie wygrywałem czasówkę.

Znów jednak wszystko szło jak po grudzie. Przeżyłem drobne załamanie, taki niewielki spadek formy, który mnie słono kosztował. Po pierwszym okrążeniu miałem zaledwie sekundę straty do lidera, ale od tego momentu strata stale się powiększała. Po drugim okrążeniu miałem już do nadrobienia sześć sekund i zdałem sobie sprawę, że nie mam szans na złoty medal.

Jazdę ukończyłem z ponad trzydziestosekundową stratą do zwycięzcy, którym został Wiaczesław Jekimow.

Pocieszałem się tylko tym, że Eki był moim kolegą z drużyny U.S. Postal i człowiekiem, którego bardzo lubiłem i szanowałem. Ullrich zdobył srebrny medal, ja brązowy.

Chociaż było mi smutno z powodu przegranej, byłem szczęśliwy, że zwyciężył Eki. Popierałem jego przyjęcie do naszego zespołu, a on w zamian wykonywał w Tour de France czarną robotę, abym mógł chodzić w glorii. Przyjaźniliśmy się i szanowaliśmy się wzajemnie.

- Dziś ja mam złoto, a on brąz - powiedział Eki. - Nie muszę mu jednak tłumaczyć, że w przyszłym roku znów będziemy pracować nad wspólnym zwycięstwem.

Zostałem po prostu pokonany. Jechałem na najwyższych obrotach: moje serce pracowało na maksymalnym poziomie 190 uderzeń na minutę, co oznaczało, że pedałowałem bez wytchnienia. Gdy przygotowujesz się do zawodów i robisz to, jak najlepiej potrafisz, a potem ich nie wygrywasz, nie pozostaje ci nic innego, jak stwierdzenie, że nie zasłużyłeś na

zwycięstwo. Ktoś inny był od ciebie lepszy.

- Czułem się wyśmienicie - wyjaśniłem dziennikarzom. - Nie mogę powiedzieć, że miałem jakieś poważne problemy techniczne czy kłopoty z szyją. Trasa również była przygotowana bez zarzutu. Do Igrzysk przygotowałem się należycie. Nie mam żadnego usprawiedliwienia. Zrobiłem wszystko, aby wygrać, a zająłem trzecie miejsce. Dwóch zawodników było ode mnie lepszych i silniejszych. To wszystko.

Po ceremonii rozdania medali, prowadząc rower, podszedłem przywitać się z rodziną. Kik twierdziła, że jeszcze nigdy nie była tak bardzo ze mnie dumna jak tamtego dnia. Matka doskonale to wyraziła w rozmowie z pewnym dziennikarzem.

- Lance jest szczęśliwy, że mógł tutaj przyjechać - powiedziała. - Wszystko inne nie jest takie istotne.

Dla mnie nie było to jednak zupełnie oczywiste. Nie mogłem sobie z tym poradzić. Byłem rozczarowany przegraną. Tę noc spędziliśmy na łodzi w porcie w Sydney z kilkoma najbliższymi przyjaciółmi. Gdy siedziałem na pokładzie i popijałem wino, ogarnęło mnie przeświadczenie, że zawiodłem wszystkich, którzy we mnie wierzyli. Prosiłem Amerykański Związek Kolarski o mnóstwo rzeczy: dodatkowe rowery, dodatkowych mechaników i szczególne warunki do trenowania, a jednak nie wygrałem. Wstałem, zaproponowałem wzniesienie toastu, a jednocześnie chciałem wszystkich przeprosić.

- Naprawdę jest mi bardzo przykro - zacząłem. - Wiem, ile wysiłku włożyliście w to, abym mógł tutaj przyjechać. Doceniam wszystko to, co dla mnie zrobiliście. Chcę, abyście o tym wiedzieli. Nie mogłem pojechać ostrzej i szybciej. Jest mi przykro, że nie wygrałem.

Na następny dzień, 2 października, Kik zaplanowała wycieczkę do australijskiej krainy winorośli. Nadal czułem wielkie rozgoryczenie spowodowane niezdobyciem złotego medalu. Starałem się cieszyć wycieczką i rozkoszować różnymi gatunkami miejscowego wina, którego próbowaliśmy podczas lunchu, podanego na pięknym tarasie z widokiem na okolicę. Niechętnie brałem jednak udział w rozmowie, a pod koniec dnia zupełnie zamilkłem.

Następnego ranka udałem się samolotem do San Francisco, gdzie musiałem wypełnić umówione zobowiązania biznesowe. Wciąż byłem zmartwiony i kiedy po wylądowaniu zadzwoniłem do Kik, żona wyczuła mój nastrój w głosie. Natychmiast ton głosu Kik uległ również zmianie.

- Powiedziałam ci, że nigdy nie byłam bardziej dumna z ciebie niż wtedy, gdy przegrałeś - mówiła. - Nie rozumiesz jednak tego. Nie rozumiesz niczego. Masz skwaszoną minę i wszystkim psujesz humor. To był twój wspaniały dzień i powinniśmy być wszystkim wdzięczni za to, a ty po prostu go zepsułeś.

Kik miała rację. Wiedziałem o tym. Przeprosiłem ją i postanowiłem jeszcze raz przemyśleć kwestię wygrywania i przegrywania oraz zastanowić się, jak sobie radzić z jednym i drugim. Gdy wygrywasz, zbytnio nie analizujesz tego faktu, gratulujesz sobie tylko zwycięstwa. Możesz wtedy dojść do niesłusznego przekonania, że wygrałeś, ponieważ jesteś wyjątkowy. Ale zwycięstwo jest tylko miarą tego, jak ciężko pracowałeś i w jakim stopniu jesteś utalentowany pod względem fizycznym; nie oznacza niczego więcej.

Z drugiej strony przegrana mówi sporo o tym, kim naprawdę jesteś. Musisz wtedy odpowiedzieć sobie na pytanie, czy winisz za porażkę innych czy bierzesz ją na siebie? Czy analizujesz swoje niepowodzenie, czy raczej narzekasz i twierdzisz, że miałeś pecha?

Jeżeli jesteś gotów poddać niepowodzenie analizie i rozważyć je nie tylko w aspekcie przygotowania fizycznego, ale również czynników wewnętrznych, może ono mieć dla ciebie sporą wartość. Analiza tego, jak się wówczas zachowywałeś, może nabrać większego znaczenia dla zdefiniowania samego siebie niż jakikolwiek sukces. Czasami porażka ułatwi ci zrozumienie, kim naprawdę jesteś.

Następnego dnia poleciałem do domu, aby wypoczynek rozpocząć weryfikacją swojej postawy. Luke stawiał właśnie pierwsze kroki. Jego urodziny świętowaliśmy w meksykańskiej restauracji.

- Powiedział mi, że tu chciałby zjeść - wyjaśniłem.

Luke nabazgrał coś na karcie potraw, zrzucił na podłogę koszyk z tortillami i spałaszował wybrane przez siebie quesadillas, podczas gdy ja i Kik popijaliśmy długo oczekiwane margarity.

Kik zaskoczyła mnie tym, że zawiesiła brązowy medal na honorowym miejscu. Wciąż powtarzała, że to był jeden z najwspanialszych dni, jakie przeżyła. Patrzałem na nią jak na kogoś, komu odebrało rozum.

- Moim celem było złoto - powiedziałem.

- Moim też - odparła.

Być może różnica między chłopcem i dorosłym mężczyzną oraz między kościstymi i gładkimi ramionami polega na sposobie, w jaki się zachowujesz, kiedy nie możesz otrzymać tego, czego pragniesz.

- Nigdy nie byłam bardziej dumna - powiedziała Kik. - Nigdy, przez żadną chwilę. Nawet na Champs-Elysees latem 1999 i 2000 roku. Był to jeden z najszczęśliwszych dni w moim życiu, ponieważ bardzo pragnąłeś zdobyć złoty medal, ale tego nie powiedziałeś głośno. Jednak naprawdę bardzo go pragnąłeś. Kik miała rację

- Tak, ale go nie zdobyłem - odparłem. - Przegrałem.

- Coś ci powiem - kontynuowała. - Kiedyś Luke'owi powinie się noga i otrzyma złą ocenę. Będzie czuł się nieswojo, ponieważ pomyśli, że jego tatuś, który zawsze wygrywa, nigdy go nie zrozumie. Ale wtedy odtworzy sobie nagranie wideo z Sydney, ponieważ teraz jest za mały, aby wszystko pojąć, i zobaczy, w jak wspaniałym stylu można przegrywać. Przyrzekam, że mu je pokażę i powiem, że nigdy nie kochałam cię bardziej niż tego dnia w Sydney.

* * *

W Dniu Dziękczynienia 2000 roku, niedługo po moim powrocie z Olimpiady, francuskie władze ogłosiły, że prowadzą w związku ze mną śledztwo w sprawie dopingu, mające charakter kryminalny.

Po prostu oniemiałem. Nie nazwano mnie zwyczajnym oszustem, ale kryminalistą, przeciwko któremu jest prowadzone formalne śledztwo.

Podniosłem słuchawkę i zadzwoniłem do Billa Stapletona, który wybrał się z rodziną na przechadzkę po parku.

- Co się do cholery dzieje? - zapytałem.

Bili obiecał dowiedzieć się czegoś więcej i oddzwonić do mnie. Zatelefonował po chwili.

- To zabawne - powiedział. - Musimy się jednak uzbroić w cierpliwość.

Oto, co się stało: ktoś potajemnie nagrał kamerą wideo dwóch członków naszej ekipy medycznej, gdy wyrzucali worki ze śmieciami. Taśma została później przesłana anonimowo do prokuratury - przynajmniej tak twierdziła stacja telewizyjna, France 3, która wyemitowała nagranie, opatrując je sensacyjnym komentarzem o „podejrzanym zachowaniu" podczas pozbywania się „medycznych odpadów".

Władze francuskie odpowiedziały wszczęciem zakrojonego na szeroką skalę śledztwa.

Skontaktowałem się telefoniczne z paroma osobami, starając się zrozumieć, jak mogło dojść do podobnej sytuacji. Lekarz naszej drużyny oraz kręgarz zgodnie twierdzili, że po etapie w Morzine spakowali do worków śmieci, które nagromadziły się po rutynowych zabiegach. Nie chcieli zostawić ich w hotelu, ponieważ niemające hamulca media zawsze grzebały w naszych brudach, szukając uparcie wszelkich dowodów, mogących potwierdzić, że jestem na dopingu. Bardzo tego nie lubiliśmy, dlatego lekarz i kręgarz postanowili zrobić na złość dziennikarzom, wziąć worki z odpadami z hotelu w Morzine i wyrzucić je do przydrożnego śmietnika. Na tym właśnie polegało ich „podejrzane zachowanie".

„Medycznymi odpadami" były puste opakowania, kawałki waty i opróżnione kartony. Nic więcej. We Francji, podobnie jak i w Ameryce, obowiązują surowe przepisy dotyczące obrotu takimi produktami medycznymi, jak strzykawki czy igły. Te ostatnie, zgodnie z wymogami, były wrzucane do żółtych bioodpornych kontenerów, zabieranych przez francuskie służby utylizacji odpadów medycznych.

Za pośrednictwem rzecznika naszej drużyny U.S. Postal, Dana Osipowa, natychmiast wydałem oświadczenie, w którym kategorycznie zaprzeczyłem wszelkim zarzutom wysuwanym przez francuskie władze. „Zero tolerancji" dla jakiejkolwiek formy dopingu to hasło naszego zespołu - napisaliśmy w oświadczeniu. Brzmiało banalnie, ale była to prawda. Byliśmy całkowicie niewinni.

Szybko miało się jednak okazać, że niewinność nie ma żadnego znaczenia. Francuski system sądowy wydawał się odwrotnością amerykańskiego porządku prawnego - nie było mowy o zasadzie domniemanej niewinności, poza tym - coś niecoś o tym wiedziałem - francuski system sprawiedliwości nie potrzebował zbyt wielu dowodów, aby podjąć kroki prawne. Obawiałem się, że kiedy wrócę do mojego domu we Francji, władze postanowią mnie zakuć w kajdanki i wsadzić do więzienia na oczach całego świata.

Przede wszystkim usiłowaliśmy się skontaktować z jakimś francuskim prawnikiem. Pan George Kiejman wyjaśnił nam wreszcie, jak działa francuski system prawny. Wpierw juge d'instruction, czyli sędzia oceniający, szacuje wartość materiału dowodowego. Jego kompetencje są podobne do kompetencji amerykańskiego sądu przysięgłych, decydującego, czy sprawa ma być skierowana do dalszego rozpatrywania. Ponadto prowadząca tę sprawę, sędzia Sophie-Helene Chateau, posiada szerokie uprawnienia i może wezwać świadka do stawienia się przed sądem.

Sędzia Chateau zarządziła zbadanie wszystkich moich próbek moczu, pobieranych podczas Tour de France w 2000 roku, jak również próbek pozostałych zawodników zespołu U.S. Postal. Wyznaczyła również zastępcę prokuratora, Francois Franchiego, do nadzorowania śledztwa. Oficjalny zarzut brzmiał: podejrzani o używanie środków dopingujących, podżeganie do używania środków dopingujących oraz używanie substancji toksycznych.

Początkowo, starałem się nie brać wszystkiego personalnie i zrozumieć motywy wszczęcia śledztwa. Kiedy jakiś sportowiec stosuje doping, oszukuje tym samym rywali, kibiców i dziennikarzy. Świat kolarski miał jeszcze w pamięci niedawny skandal dopingowy. Francuzi, wszczynając śledztwo, chcieli ochronić integralność Tour de France, który nie był zwykłym wyścigiem, ale narodowym symbolem. Nie mogli dopuścić, aby niesprawdzone igły

i fiolki podkopały renomę tej imprezy. Nie podobało mi się jednak to, że zostałem oskarżony, choć nie było dowodów mojej winy.

Częściowo, jak zrozumiałem, problem brał się z braku podstawowej wiedzy opinii publicznej (i prokuratorów) na temat tego, jak wyczerpujące jest uprawianie kolarstwa. Opieka medyczna podczas zawodów kolarskich jest absolutnie niezbędna. Tour de France to nie jest zwykła impreza sportowa. Dziennie pokonujemy ponad 160 kilometrów i tak przez trzy kolejne tygodnie w zmieniających się warunkach pogodowych. Niektóre samochody nie wytrzymują takiej trasy, a co dopiero ludzki organizm. Potrzebujemy pomocy medycznej: porcji wstrzykiwanych witamin, minerałów i fosforanów. Zwykłe pożywienie i napoje nie są w stanie uzupełnić tak dużego ubytku składników odżywczych.

Kroplówki z odżywkami i zastrzyki mają zasadnicze znaczenie dla utrzymania organizmu w dobrej kondycji. W dodatku wszyscy uczestnicy Tour de France są narażeni na zranienia, zadrapania czy siniaki z powodu upadków, nie mówiąc już o różnego rodzaju wysypkach, wywoływanych wielogodzinną jazdą i siedzeniem na siodełku. Do tego dochodzą bóle, zwichnięcia, zapalenia ścięgien itd. Zmuszamy nasze organizmy do nadludzkiego wysiłku i po prostu nie możemy się obyć bez pomocy medycznej.

W sporcie obowiązuje podwójna miara: gdy futbolistę dopadnie skurcz, to idzie do szatni, bierze zastrzyk, wraca na boisko i wszyscy go nazywają bohaterem. Ale gdy coś podobnego zrobi kolarz, od razu podejrzewa się go o doping. Wystarczy, że ktoś zobaczy igłę i fiolkę.

Nieustanne podejrzenia to normalny stan rzeczy w sporcie, zresztą nie bez przyczyny. W historii kolarstwa również nie brakuje afer dopingowych. Przypadki dopingu zdarzały się bardzo często: sportowcy kłamali, oszukiwali, kradli. Podczas Tour de France w 1998 roku, w którym nie brałem udziału, ponieważ dochodziłem do siebie po chorobie, skandal dopingowy zakończył się licznymi aresztowaniami i zawieszeniami. Wtedy w samochodzie pewnej drużyny znaleziono duże ilości erytropoetyny (EPO), środka dopingowego wzmacniającego parametry krwi. W związku z tą aferą władze Tour de France podjęły się wspólnie z Międzynarodową Unią Kolarską przygotowania nowych testów antydopingowych. W ten sposób chciano przywrócić zaufanie opinii publicznej do wyścigu.

W dniu rozpoczęcia Tour de France między 7 i 9 rano inspektorzy antydopingowi odwiedzili wszystkie hotele, w których mieszkali zawodnicy poszczególnych drużyn, i pobrali od nich próbki krwi, wbijając igłę w przegub ramienia. Potem robiono niezapowiedziane testy dopingowe - nigdy nie było wiadomo, czy ktoś nie zapuka do twojego pokoju hotelowego i nie poprosi o oddanie próbki krwi. Każdego dnia po ukończeniu etapu

pobierano w przyczepie również próbki moczu. (Czasami tworzyła się długa kolejka przed tym ruchomym laboratorium; często wypijałem wodę dopiero w ostatnich godzinach wyścigu, aby mieć pewność, że będę w stanie oddać próbkę moczu. Na mecie dosłownie zeskakiwałem z roweru i biegłem do przyczepy.)

Nawet poza sezonem sportowym byłem i jestem sprawdzany przez Agencję Antydopingową Stanów Zjednoczonych. Wyobraźcie sobie scenę, która rozegrała się w moim domu w Teksasie. Pewnego wczesnego ranka poza sezonem siedzę w kuchni, popijam kawę i gadam szeptem, aby nie obudzić dzieci. Nagle słyszę głośny dźwięk dzwonka. Na schodach przed głównym wejściem stoi przedstawiciel Agencji Antydopingowej Stanów Zjednoczonych. Zachowując się w stylu Johna Wayne'a, wyciąga kawałek papieru niczym nakaz i powiadamia mnie, że przyszedł pobrać próbkę krwi, a jeśli odmówię, to ryzykuję wykluczenie ze sportu.

W Austin testy antydopingowe przeprowadzało zawsze tych samych dwoje ludzi. Było to małżeństwo. Nie wiem nawet, jak się nazywali. Nie pałałem do nich zbytnią sympatią, zresztą z wzajemnością. Dzwonili do wejścia, otwierałem drzwi, a oni komunikowali: „Niezapowiedziana kontrola antydopingową", i wręczali mi świstek papieru, na którym wyszczególniono moje prawa. A raczej ich brak: gdybym nie poddał się testowi, jego wynik byłby automatycznie uważany za pozytywny i stanowiłby podstawę do wykluczenia mnie ze sportu.

W dodatku zostałem zobowiązany powiadamiać Agencję Antydopingową o miejscu swojego pobytu. Nieważne, dokąd jechałem, za każdym razem musiałem faksować lub wysyłać maila do Agencji z informacją o zmianie miejsca pobytu. Miałem wrażenie, jakby moje życie było pod stałą kontrolą.

Jednak bez względu na liczbę testów, które nic nie wykazały, sceptycyzm odnoszący się do moich osiągnięć wcale nie zmniejszał się, w szczególności we Francji. Europejskie media były pełne podejrzeń od chwili, gdy w 1999 roku wygrałem Tour de France po raz pierwszy. Już w trakcie wyścigu niektórzy przedstawiciele francuskiego kolarstwa i francuskie środowiska dziennikarskie sugerowały, że moje zwycięstwo jest zbyt wspaniałe i muszę być na dopingu. Uważano, iż wymyśliłem taką metodę, która nie pozwala go wykryć. Używałem przeciwbólowej maści, zawierającej kortikosteroid, w celu złagodzenia bólu wywołanego siedzeniem na siodełku, ale dziennikarze donieśli, że wyniki testu były pozytywne i wykryto w moim organizmie zakazane steroidy. Była to nieprawda. Otrzymałem oficjalne pozwolenie od władz wyścigu na używanie maści o takim właśnie składzie. W rzeczywistości żaden z testów niczego nie wykazał i wnioskowałem do władz Tour de France,

aby wydały oświadczenie dotyczące wyników przeprowadzonych badań.

Powszechny sceptycyzm panował również w trakcie wyścigu w 2000 roku. W „L'Equipe" tuż nad moim zdjęciem zamieszczono wielki, sarkastyczny tytuł: LES DEUX VITESSES - „Dwie szybkości". Insynuacja była oczywista: jechałem z nieosiągalną szybkością.

Dla jednych Hautacam był tylko klasycznym podjazdem, ale dla innych kolejnym dowodem na to, że używam jakiegoś tajemniczego specyfiku podnoszącego moją sprawność. Daniel Baal, prezes francuskiej federacji kolarskiej (mianowany później kolejnym dyrektorem Tour de France), oznajmił prasie, że obserwował mnie tamtego popołudnia.

- Chciałem zobaczyć, co się wydarzy - powiedział. - Nie wiem, czy możemy mówić o nowej metodzie czy nowym specyfiku. Obserwowałem wielu zawodników, którzy z trudem pokonywali podjazd, i nie ma w tym nic nadzwyczajnego. Ale... czy muszę być entuzjastą metod, dzięki którym wygrywa się wyścig?

Chociaż starałem się nie brać śledztwa personalnie, nie mogłem pozbyć się uczucia urazy. Francuskim dziennikarzom weszło w nawyk buszowanie w okolicach mojego domu w Nicei. Robili to przez cały rok, nawet gdy Kik zostawała tam sama. Palili papierosy, zaglądali przez okna i oddawali się ulubionemu sportowi: bez skrępowania przetrząsali śmieci, które wyrzucano do pojemników.

Nie przyszło mi nawet do głowy, i był to mój błąd, że wszczęte śledztwo manifestowało niechęć Francuzów do Amerykanów. Tour de France był domeną francuską, tak jak słoneczniki czy wino, a ja nie byłem Francuzem. A co gorsza, byłem Teksańczykiem, i drugim Amerykaninem w historii, który wygrał wyścig, od 1903 roku, kiedy odbył się po raz pierwszy. Wygrałem dwukrotnie w dwóch kolejnych latach, podczas gdy Francuzi wypadli dość słabo. Trudno było się oprzeć wrażeniu, że starano się mnie pozbyć, ponieważ byłem zwycięzcą, a w dodatku Amerykaninem. Ścigałem się na chwałę amerykańskiego zespołu i jechałem na amerykańskim rowerze firmy Trek. Zakładałem czerwono-biało-niebieski uniform drużyny U.S. Postal, na którym widniała amerykańska flaga.

- Dlaczego? - zapytałem mojego kolegę z zespołu, Francuza, Cedrika Vasseura. - Dlaczego to robią?

- Francja nie lubi zwycięzców - odparł Cedric. - Wolą kolarzy zajmujących drugie miejsca.

Z niezrozumiałych przyczyn Francuzi byli przekonani, że ja, zwycięzca, brałem doping bezpośrednio w oskrzela. Zachowywali się jednocześnie tak, jakby zawodnicy zdobywający drugie i trzecie miejsca niczego nie brali. Wydawało mi się to bezsensowne, ale

chyba tylko mnie.

W Ameryce jest dokładnie tak samo. Takie było zdanie Grega LeMonda, jedynego oprócz mnie Amerykanina - zwycięzcy Tour de France, który formułował niewybredne komentarze podważające moją niewinność. Zasugerował nawet, że jestem jednym z największych oszustów w historii kolarstwa. Śledztwo - twierdził - jest sposobem, dzięki któremu Francuzi mogą uratować renomę Tour de France, imprezy - jak powiedział - będącej czymś więcej niż tylko zwykłym wyścigiem, jest to uwielbiany francuski rytuał, bazujący „na wielkiej miłości do sportu".

- Ich miłość do sportu na pewno nie jest większa od mojej - broniłem się.

Byłem zaskoczony i zasmucony otwartą wrogością. Kochałem Francję i było to szczere wyznanie. Urzekło mnie piękno tego kraju i od 1997 roku miałem dom na Cote d'Azur, w którym spędzałem dużą część każdego roku. Przebywaliśmy w nim z Kik tuż po ślubie. Luke spędził tam wiele miesięcy swojego pierwszego roku życia. Mieszkałem we Francji i byłem tam szczęśliwy. Spędzałem w tym kraju daleko więcej czasu niż w Ameryce. Brałem udział we francuskich wyścigach, aby zdobyć formę przed Tour de France. Z wielkim szacunkiem odnosiłem się do obecnych i dawnych mistrzów. Zdobyłem się na spory wysiłek, nauczyłem się francuskiego i nawet wypowiadałem się w tym języku publicznie, mając świadomość, że w moich ustach musi on brzmieć śmiesznie.

Wszystko to nie miało znaczenia. To się nie liczyło. Michael Specter z magazynu „The New Yorker" w końcu napisał, że Francuzi mnie nie lubią z dwóch powodów: są na mnie obrażeni, ponieważ moje testy antydopingowe nic nie wykryły, podczas gdy wyniki testów francuskich zawodników okazywały się pozytywne, a ponadto moja jazda była zbyt „techniczna". Francuscy kibice uwielbiają oglądać twarze kolarzy wykrzywione z bólu, podczas pokonywania ciężkich podjazdów. Powtarzają do znudzenia stare historie, choćby tę o pewnym zawodniku, który musiał zespawać ramę roweru podczas Tour de France w 1910 roku. O takich zdarzeniach nigdy się nie zapomina. Ja nie dałem im zbyt wielu okazji do takich wspomnień. Nie zabiegałem o rozgłos. Często nawet powstrzymywałem się od komentarzy. Starałem się skupić na samej jeździe.

Nie było moim celem przecież spełniać oczekiwania Francuzów, dramatyzować czy atakować już na pierwszym kilometrze i tracić w ten sposób szansę na zwycięstwo tylko po to, aby poprawiać francuskim kibicom nastrój. Kochałem Francję, ale nie znosiłem francuskiej prasy i francuskich fanatyków, a teraz nienawidzę także francuskiej biurokracji.

Śledztwo nabrało rozmachu w grudniu. Nagonka prasy również. Zainteresował ich szczególnie tajemniczy specyfik o nazwie Actovegin. Puste pudełko po nim znaleziono w

śmieciach, które zostały wyrzucone do przydrożnego kosza. Dziennikarze zrobili z tego sensację, chociaż byli w błędzie: jedni utrzymywali, że Actovegin jest eksperymentalnym lekiem norweskim, inni, że to krew cieląt, a chyba najgłupszy artykuł ukazał się w wychodzącym w Londynie „Timesie", gdzie napisano, że środka tego nigdy wcześniej nie podawano ludziom.

Nigdy o nim nie słyszałem.

Nigdy nie używałem tego specyfiku i nadal nie używam. Po sprawdzeniu okazało się, że nikt z moich kolegów z drużyny także o nim nie słyszał. Prasa jednak nie przestawała snuć domysłów: jej zdaniem środek ten wzmagał produkcję czerwonych krwinek (była to nieprawda), był zakazany (również była to nieprawda), miał takie samo działanie jak zakazana erytropoetyna (była to nieprawda).

Powstałe zamieszanie spowodowało, że zasięgnąłem języka na temat tej substancji. W rzeczywistości Actovegin był popularnym lekiem i używano go od lat sześćdziesiątych. Bazował na składnikach cielęcej krwi, ale środowisko medyczne było podzielone, czy ma on jakiekolwiek właściwości lecznicze. Stosowano go głównie w krajach europejskich w leczeniu cukrzycy, ale używano go również do łagodzenia zadrapań, skaleczeń, wysypek, trądzików, wrzodów, oparzeń, zapalenia ścięgien, otwartych ran, chorób oczu, zaburzeń krążenia i skutków starzenia się. Żadne źródło nie mówiło nic o tym, że Actovegin poprawia sprawność organizmu. Lek ten nie znajdował się też na żadnej liście substancji zakazanych. Powtórzę to jeszcze raz. Specyfik był legalny. Nie był zakazany.

Lekarz naszego zespołu włączył Actovegin do podręcznego zestawu leków tuż przed wyścigiem. Zdecydował się na to, ponieważ jeden z członków naszej ekipy był cukrzykiem i w przypadku otarcia skóry - które może się zdarzyć każdemu, jeśli upadnie z roweru na asfaltową jezdnię, jadąc z szybkością 80 kilometrów na godzinę - nie mógłby mu podać innego lekarstwa.

Francuska minister sportu, Marie-George Buffet, oświadczyła, że próbki moczu wszystkich zawodników U.S. Postal, zebrane podczas Tour de France w 2000 roku, zostaną zgodnie z prawem przekazane francuskiemu wymiarowi sprawiedliwości i poddane badaniom pod nadzorem sądu, takiej samej procedurze zostaną poddane śmieci, które wyrzucono do przydrożnego kosza podczas wyścigu w 2000 roku.

Właściwie były to dobre wiadomości. Chciałem, aby zrobiono wszystkie badania, ponieważ wiedziałem, że nic nie wykażą. Badania były jedynymi dowodami na moją niewinność - były moimi jedynymi środkami obrony.

- To najlepsza wiadomość od dłuższego czasu - stwierdziłem. - Ponieważ wiem, że

jestem czysty.

Inną dobrą wiadomością było to, że Międzynarodowa Unia Kolarska postanowiła przeprowadzić swoje własne badania. UCI bez wiedzy kolarzy zarządził przechowanie 91 zamrożonych próbek moczu, pobranych podczas wyścigu w 2000 roku, z zamiarem poddania ich nowemu testowi na obecność erytropoetyny (EPO).

Wcześniej nie można było właściwie stwierdzić, czy któryś z zawodników przyjmował tę substancję. Erytropoetyna to sztuczny hormon produkowany pierwotnie z myślą o pacjentach poddawanych dializie nerek. Sportowcy, chcący za wszelką cenę wygrać, odkryli, że specyfik podnosi sprawność organizmu - używany jest przez zawodników takich dyscyplin jak kolarstwo, pływanie, wioślarstwo i biegi. EPO był szczególnie przydatnym środkiem w kolarstwie, ponieważ zwiększał produkcję hemoglobiny, co umożliwiało lepszy przepływ tlenu do mięśni. Ten właśnie środek dopingowy wywołał skandal podczas Tour de France w 1998 roku.

Nowy test na obecność erytropoetyny, dzięki zbadaniu lepkości krwi oraz określeniu liczby czerwonych krwinek, mógł wykryć, czy zawodnik przyjmował ten środek w ciągu ostatnich 72 godzin. Większa liczba czerwonych krwinek sprawia, że krew staje się bardziej gęsta i produkuje więcej hemoglobiny. Test polegał na porównaniu lepkości krwi sportowca z lepkością krwi przeciętnej osoby; jeśli wynik testu przekraczał pewne parametry, wskazywało to na używanie erytropoetyny.

Panowało powszechne przekonanie, że efekt uboczny działania EPO, czyli gęstnienie krwi, jest w długim okresie ogromnie niebezpieczny dla organizmu, a może nawet doprowadzić do wylewu. Według informacji podanych w „New York Timesie" śmierć około 24 kolarzy spowodowały najprawdopodobniej skutki uboczne przyjmowania erytropoetyny. Tylko jakiś szaleniec mógł pomyśleć, że po odbyciu czterech cyklów chemoterapii będę ryzykował życie stosując EPO. Inną rzeczą jest szukanie sposobów zmaksymalizowania sprawności organizmu, a inną poznawanie kolejnych poziomów szarej strefy farmakologii i skazywanie się na śmierć.

Sam stosowałem inną, bardziej naturalną metodę dotlenienia krwi: polegała ona na trenowaniu lub wyborze mieszkania na odpowiedniej wysokości nad poziomem morza. Chcę wyraźnie powiedzieć, że treningi górskie zajmują poważną pozycję w moim reżimie treningowym, ponadto są bezpieczne, choć niezbyt przyjemne. Podczas wysokogórskich treningów odczuwa się pieczenie w płucach, kręci się w głowie, a jazda jest bardzo uciążliwa, ale zgodna z prawem i daje efekty.

A dzieje się tak dlatego, że trenując w warunkach o mniejszej zawartości tlenu w

atmosferze, wpływamy na to, że organizm staje się sprawniejszy i skuteczniejszy, produkuje także więcej czerwonych krwinek. Co roku przyjeżdżałem do St. Moritz na miesięczny trening, a gdy nie przebywałem w górach, mnóstwo nocy przesypiałem w namiocie wysokościowym.

Namiot wysokościowy, jak na pewno się domyślacie, nie jest najromantyczniejszym sprzętem, jaki możesz wnieść do małżeństwa. Jest to zwykły namiot z dołączonym małym urządzeniem - filtrem, który wysysa nieco tlenu z powietrza, symulując warunki panujące w górach. Często korzystam z tego namiotu w Europie. Mam także taki sam w domu i czasami go używam, co oznacza sypianie bez Kik, w towarzystwie brzęczącego filtru. Niekiedy Luke urządza w nim zabawę, wówczas znajduję w namiocie zabawki i połamane herbatniki.

Raz Kik próbowała spędzić w nim noc ze mną.

- To takie romantyczne - powiedziała. - Chodźmy spać do namiotu - zaproponowała.

Po około trzech godzinach obudził nas alarm, sygnalizujący o poważnym spadku zawartości tlenu. Trudno nam było złapać oddech, a głowy pękały z bólu.

- Przepraszam - powiedziałem. - Nie wiedziałem, że nie jest to namiot dwuosobowy.

- Powinieneś się o taki postarać - odparła.

Niesprecyzowane i odległe z natury śledztwo prowadzone we Francji frustrowało mnie, ale poczułem się nieco lepiej, gdy postanowiono wykonać serię badań. Gdybym był oszustem, potwierdziłaby to analiza zamrożonych próbek moczu, pobranych podczas Tour de France w 2000 roku, zanim wprowadzono testy na obecność erytropoetyny. Poza tym nie miałem pojęcia, że takie zamrożone próbki przechowywano.

Na zlecenie francuskiego wymiaru sprawiedliwości badania miało prowadzić trzech lekarzy sądowych. Każda kropla mojego moczu i krwi, a także krwi i moczu moich kolegów miała zostać poddana szczegółowym analizom. Do tego czasu nie mogliśmy się bronić. Jednak zgodnie z informacjami przekazanymi przez władze wyniki badań miały być znane do stycznia. Oznaczało to, że niebawem miałem zostać oczyszczony z wszelkich podejrzeń. Niecierpliwie czekałem na ten wielki moment: całkowite oczyszczenie.

* * *

Nic takiego jednak się nie wydarzyło. Minął styczeń, a wyników nie ogłoszono. Ponadto prowadzący śledztwo odmówili oczyszczenia mnie z zarzutów bez podania przyczyn.

Zima wlokła się. Była wyjątkowo ponura. Nazwałem ją „zimą niezadowolenia". Zła

passa nie miała końca. Czułem się nękany: przetrząsano moje śmieci, krew i mocz poddano wnikliwej analizie, a teraz francuski rząd postanowił przyjrzeć się moim zeznaniom podatkowym.

Wiosną Johan Bruyneel otrzymał wezwanie do stawienia się na przesłuchanie w Paryżu. Kiedy przybył na miejsce, okazało się, że komisariat policji został otoczony przez dziennikarzy, uzbrojonych w mikrofony i kamery. Przesłuchiwano go przez trzy godziny.

- Czułem się jak kryminalista - powiedział później.

Po przesłuchaniu Johan zapytał jednego z oficerów, dlaczego śledztwo tak długo trwa.

- Zrobiono wszystkie badania, przeprowadzono wszystkie czynności i niczego nie znaleziono. Niczego, niczego, niczego - powiedział Johan.

Prowadzący śledztwo policjant był życzliwy, a nawet przepraszający.

- Ekspert, który prowadził badania, sądzi, że coś zostało przeoczone - wyjaśnił. - Jego zdaniem musi coś być w tych próbkach.

- Dlaczego? - Johan zapytał z niedowierzaniem.

- Ekspert twierdzi, że sprawność organizmu jest na tak wysokim poziomie, że nie wydaje mu się to normalne. Ten facet chce coś znaleźć.

Był to już nasz problem. Nie byliśmy winni, ale to nie wystarczało francuskiemu ekspertowi, który chciał dowieść, że mamy coś na sumieniu. Wszystko, co mogliśmy zrobić w takiej sytuacji, to próbować zapomnieć o tym koszmarze i zająć się swoimi sprawami. Odniosłem jednak wrażenie, że władze francuskie postanowiły mi utrudniać życie na każdym kroku. W końcu dałem za wygraną. Postanowiłem opuścić Francję i zacząłem rozglądać się za nowym domem w Hiszpanii.

We Francji wiodłem na swój sposób spokojne życie, dostosowane do śródziemnomorskiego rytmu, w który wpisałem regularne treningi. Wiedziałem, że będzie mi brakowało bagietek, kwiatów, przyjaciół i widoku morza z górami w tle. Będę tęsknił za chwilami, kiedy siadałem na tarasie i obserwowałem zachody słońca, znikającego za oświetlonym miastem. Ale nareszcie uwolnię się od dziennikarzy szperających w moich śmieciach i prokuratorów.

Tymczasem przeciągające się śledztwo poważnie zagrażało mojej reputacji. Billowi Stapletonowi było coraz trudniej prowadzić moje interesy. Coca-Cola i inni sponsorzy zaczęli nabierać do mnie dystansu.

- Lance nie stosuje dopingu, czy to jasne? - Bili zwrócił się do firm sponsorskich. - Ręczę za niego całą swoją karierą.

Zgodziliśmy się na dołączenie do kontraktów aneksów antydopingowych: w

przypadku wykrycia dopingu musiałbym zwrócić pieniądze.

Bili zaczął negocjować nowy czteroletni kontrakt z Pocztą Stanów Zjednoczonych. Główne moje dochody pochodziły właśnie z U.S. Postal Service. Ale teraz Poczta nieufnie podchodziła do przedłużenia kontraktu z całym zespołem, a przez chwilę rozważała nawet możliwość wycofania się ze sponsorowania kolarzy. Przyczyną wszystkich perypetii było francuskie polowanie na czarownice. Trudno mi było nie traktować poczyń francuskich władz personalnie.

Jednak daleko bardziej uraziła mnie decyzja Kevina Livingstona, jednego z moich najbliższych przyjaciół, który opuścił grupę U.S. Postal. Kevin chciał więcej zarabiać i być bardziej niezależny. Uznał, że jest już zmęczony ściganiem się na moje konto i dlatego przeszedł do konkurencyjnego zespołu. Wpierw przyjął bardzo korzystny kontrakt, zaproponowany przez grupę kolarską sponsorowaną przez firmę Linda McCartney, produkującą żywność. Grupa nie przetrwała długo z powodu braku odpowiednich funduszy. Wówczas Kevin skorzystał z oferty Deutsche Telekom i pracował na rzecz mojego arcyrywala, Jana Ullricha.

Nie mogłem w to uwierzyć. Prawie dziesięć lat ścigaliśmy się razem. Zawsze trzymaliśmy się blisko siebie. Odbywaliśmy wspólne treningi. Razem pokonywaliśmy górskie podjazdy. Jako kolarz byłem w stanie zrobić bardzo dużo, aby mu pomóc. Jako przyjaciel oddałbym za niego życie. Wyobrażałem sobie, że do końca kariery sportowej będziemy wspólnie uprawiać kolarstwo. Czułem się zdradzony, ponieważ wierzyłem, że jeśli ktoś był moim przyjacielem przez dziesięć lat, to nie zrobi czegoś takiego.

- Colin Powell mógłby równie dobrze przyjąć ofertę Chińczyków - powiedziałem.

Przestałem rozmawiać z Kevinem, ale nie trwało to długo. Przełamaliśmy lody i ucinaliśmy krótkie pogawędki podczas jazdy na rowerze lub w trakcie przypadkowych spotkań. W końcu, za pośrednictwem wspólnych przyjaciół, umówiliśmy się na spotkanie. Usiedliśmy i ostatecznie wyjaśniliśmy wszystkie narosłe między nami nieporozumienia. Kilka piw wystarczyło, aby nasza przyjaźń ponownie nabrała dawnych kolorów. Cały problem polegał na tym, że moje oczekiwania względem Kevina nie pokrywały się z jego oczekiwaniami wobec życia. Nie miałem przecież prawa decydować o tym, co jest lepsze dla jego sportowej kariery.

Nigdy już jednak nie jeździliśmy w jednym zespole i nadal uważam, że Kevin nie powinien był odchodzić z naszej grupy. Ostatecznie stracił zamiłowanie do kolarstwa i zrezygnował z uprawiania sportu. Z rezygnacją Kevina łączy się pewien zabawny incydent - chodziło o rodzaj zemsty dokonanej na urzędnikach pobierających próbki moczu. Pewnego

jesiennego ranka w 2002 roku urzędnicy zjawili się pod jego domem. Zapukali do drzwi i wręczyli mu wiadomy świstek papieru. Kevin wyświadczył im przysługę, nasikał do pojemnika, a wręczając go urzędnikom, powiedział:

- Proszę. Mam nadzieję, że wreszcie coś tam znajdziecie. Wycofałem się.

Wciąż nie była to najgorsza rzecz, która nas spotkała tamtej zimy. Kik i ja chcieliśmy mieć jeszcze jedno dziecko, ale próba zapłodnienia in vitro, której Kik poddała się w lutym, zakończyła się niepowodzeniem.

Trudno opisać niewtajemniczonym, przez co przeszła Kik: pigułki, zastrzyki, które sama sobie robiła, blednąc na widok igły, badania, a wszystko po to, aby usłyszeć, że próba zapłodnienia się nie powiodła. Mieliśmy nadzieję, że wszystko pójdzie tak łatwo jak w przypadku Luke'a. Nic z tych rzeczy.

Podniosłem słuchawkę. Kik patrzyła mi prosto w oczy, kiedy odbierałem wiadomość. Wiedziała, że odpowiedź jest negatywna. Zorientowała się po wyrazie twarzy i tonie rozmowy, choć powiedziałem najspokojniej, jak potrafiłem:

- W porządku, dziękuję.

Odłożyłem słuchawkę i zwróciłem się do Kik:

- Nie takiej odpowiedzi oczekiwaliśmy. Kik rozpłakała się.

- Wszystko będzie dobrze - próbowałem ją pocieszać, ale oboje byliśmy załamani. - Nie wszystko stracone. Spróbujemy ponownie.

Ponowna próba oznaczała dla Kik dalsze zastrzyki, pigułki i sonogramy. Oznaczała przebywanie w domu ze względu na konieczność pozostawania pod stałą opieką lekarską, podczas gdy ja podróżowałem po świecie. Oznaczała dłuższą rozłąkę i kolejne możliwe rozczarowanie.

Przez kilka dni zastanawialiśmy się, czy nie poczekać z tym do następnego roku. Ale wówczas byłaby to dla nas podwójnie stresująca sytuacja, dlatego postanowiliśmy niezwłocznie powtórzyć cały cykl.

Był to dla nas trudny okres: wybierałem się na zaplanowany szereg corocznych obozów treningowych zespołu U.S. Postal w ramach przygotowań do Tour de France w 2001, a powtórzenie próby przez Kik oznaczało, że moja rozłąka z rodziną będzie dłuższa niż kiedykolwiek wcześniej. Luke zmieniał się z dnia na dzień i bardzo mi brakowało widoku rozwijającego się syna.

Brakowało mi jego gaworzenia.

- Ta-TUŚ to, ta-TUŚ tamto - powiedział i pokazał na rower. - Ta-TUŚ? - zapytał. W końcu wyraźnie zasmucony dodał: - Ta-TUŚ, pa, pa.

Wyjechałem na obóz do Hiszpanii. W wolne dni szukałem nowego miejsca do zamieszkania. Wreszcie znalazłem stare mieszkanie w Gironie, miasteczku bardzo popularnym w środowisku kolarskim. Jose Alvarez-Villar, jeden ze starych przyjaciół Kik, mieszkający 45 minut drogi samochodem od Girony, pomógł mi załatwić wszystkie formalności: znalazł agenta obrotu nieruchomościami, prawników i tłumaczy. Słowem doprowadził całą sprawę do końca.

Zawsze podobała mi się Hiszpania, więc teraz podjąłem się odnowienia pięknego apartamentu, który znajdował się w starym pałacu i wymagał szczególnego traktowania. Rozglądałem się za rzemieślnikami, którzy mogliby to zrobić - zajmując się poszukiwaniem ekipy remontowej, nie myślałem przynajmniej cały czas o toczącym się w żółwim tempie śledztwie.

Nasze głowy zaprzątały nie tylko myśli o dochodzeniu, ale także o rozłące, przejściu mojego najlepszego przyjaciela do zespołu największego rywala, decyzji przeniesienia się do Hiszpanii, trudnościach związanych ze znalezieniem nowego domu i rozczarowaniu wywołanym nieudaną próbą zapłodnienia in vitro. Chociaż ostatnie miesiące nie napawały nas optymizmem, Kik i ja staraliśmy się nie poddawać. Naszemu życiu zawsze towarzyszyły przeciwności, dlatego perspektywa złamania kariery i plotki wywołane prowadzonym dochodzeniem dopingowym nie były w stanie nas przerazić.

Ilekroć chcieliśmy sobie przypomnieć, jaka jest różnica między drobnymi kłopotami, z którymi borykamy się na co dzień, i naprawdę poważnymi przeciwnościami losu, przychodził nam na myśl termin kolejnych onkologicznych badań kontrolnych.

Nadal, dwa razy w roku, spotykałem się z moim onkologiem, doktorem Nicholsem, aby zrobić badania krwi i tomografię komputerową. Każda wizyta wywoływała u mnie mieszane uczucia. Przed upływem pięciu lat od zakończenia terapii nie można powiedzieć oficjalnie, że zostałem wyleczony. Tamtej jesieni udałem się z Kik samolotem do Oregonu, aby poddać się badaniom kontrolnym. Mijał czwarty rok od wyjścia ze szpitala.

To bardzo zabawne, ale wszyscy byli przekonani, że pokonałem już raka na dobre. Sądzili, że został przeze mnie rozgromiony, starty na proch i mam to już wszystko za sobą. Ale pokonywanie nowotworu to proces bez określonych granic czasowych i przestrzennych.

Są takie dni, kiedy wydaje mi się, że chorowałem całe wieki temu. Innym zaś razem odnoszę wrażenie, jakby ten koszmar zdarzył się wczoraj. Wielokrotnie ogarniało mnie nieprzyjemne uczucie, że choć wciąż wypędzam trucizny z mojego ciała, to nadal zalegają w nim substancje toksyczne. Mój organizm przecież był nie tylko nafaszerowany niezwykle szkodliwą chemią, ale także środkami anestezjologicznymi, podawanymi podczas dwóch

operacji, które przeszedłem. Substancje anestezjologiczne mogą długo pozostawać w komórkach. Otarłem się wówczas o śmierć: byłem do tego stopnia nafaszerowany lekami, że traciłem świadomość, a kiedy sytuacja stawała się krytyczna, znów za pomocą chemii przywracano mnie do życia.

Miałem ogoloną głowę, a na niej kropki. Chirurg wyjaśnił, jak będzie przebiegać operacja. Mówił o tym tak, jakby chodziło o drobny zabieg.

- Zrobimy małe nacięcia, potem otworki, usuniemy uszkodzone tkanki i ponownie zamkniemy otworki.

Lekarz mówił o mojej czaszce.

Wciąż obawiałem się o swoje zdrowie. Nawet niewielkie dolegliwości, guz czy ból, którymi inni nie zawracają sobie głowy, u mnie budził najczarniejsze myśli: „Rak powrócił". Zwykły katar wywoływał popłoch w domu, szczegółowe analizy, głębokie przemyślenia i strapienie.

Niepokoiłem się nawet małym przemęczeniem. Natychmiast dzwoniłem do lekarzy i trenerów. Nigdy nie chodziłem bez skarpetek, także po domu. Zawsze wkładałem też coś na siebie. Pociągnięcie nosem powodowało długą dyskusję, podanie talerza gorącej zupy i położenie się do łóżka. Gdy coś mi dolegało albo miałem ciężki dzień na treningu, zamykałem się w sobie, czułem, jak napięcie przenikało całe ciało.

Kik i ja przybyliśmy do Oregońskiego Uniwersytetu Medycznego w Portland, aby wykonać szereg badań onkologicznych. Zawsze staraliśmy się traktować konsultacje z doktorem Nicholsem jako rutynowe badania kontrolne. Ale przecież tak nie było. Wyniki badań mogły być zarówno wyśmienite, jak i niepomyślne: mogły wykazać, że jestem wolny od nowotworu lub że mam raka. Gdyby choroba powróciła, jedynym wyjściem byłoby powtórzenie chemoterapii, tym razem intensywniejszej, jednak bez żadnych gwarancji na jej powodzenie.

* * *

Obudziłem się zmęczony. Byłem zmęczony, kiedy jadłem. Byłem zmęczony, kiedy brałem prysznic. Spałem dwadzieścia godzin dziennie, jakbym przyjmował najmocniejsze pigułki nasenne, jakie istnieją na świecie. Pewnego ranka byłem tak zmęczony, że nie mogłem dojść o własnych siłach do łazienki.

- Zaraz zwymiotuję - powiedziałem do matki.

Matka pomogła mi zwlec się ze szpitalnego łóżka. Oparłem się o jej ramię i pokuśtykałem przez pokój, zgięty wpół, w rozchełstanym szlafroku.

Klątem pod nosem, gdy pielęgniarki wbijały mi igłę, aby pobrać krew, albo kiedy mierzyły ciśnienie. Leżałem w łóżku pokrytym jasnobrązowymi kocami, w czterech wypłowiałych beżowych ścianach szpitalnego pokoju o wymiarach trzy na cztery metry, z szarozielonym linoleum na podłodze, z oknem wychodzącym na pobliski ceglany budynek; byłem zbyt zmęczony, żeby wstać i cokolwiek z tym zrobić. Grałem ze Stapletonem i Ochem w karty, dopóki ponownie nie zapadłem bezwiednie w sen. Graliśmy w tak wiele karcianych gier, że wymyśliliśmy swój własny język. Walety były hakami, królowie kowbojami. Z trudem pohamowując złość, gapiłem się w telewizor ustawiony w rogu.

- Nienawidzę baseballu - mówiłem i dalej oglądałem mecz.

Byłem zbyt zmęczony, aby zmienić kanał.

Podczas corocznych badań kontrolnych opanowywało mnie i Kik zdenerwowanie. Tym razem było ono zwielokrotnione wydarzeniami ostatnich miesięcy. Lekarze i pielęgniarki byli daleko bardziej spokojni o stan mojego zdrowia niż ja sam, być może dlatego nie zauważyli, jak bardzo byliśmy zaniepokojeni.

W tym samym czasie w klinice pracowała ekipa filmowa, która przygotowywała film edukacyjny na temat choroby nowotworowej, i zapytała mnie, czy może mi towarzyszyć podczas badań, które miałem przejść. Zgodziłem się, ale prawie natychmiast żałowałem.

Kiedy robiono mi zdjęcie rentgenowskie klatki piersiowej, pomyślałem: „Wybaczcie, ale nie wiadomo, co ono wykaże. Wyłączcie kamerę".

Przechodząc od badania do badania, odniosłem wrażenie, że wokół mnie krzątą się mnóstwo ludzi, pielęgniarki z plikami dokumentów do podpisania, technicy, którzy chcieli ze mną pogawędzić. Nikomu nie przyszło do głowy, że tomografia komputerowa, przeprowadzana w blasku jupiterów, mogła wykazać to, czego najbardziej się obawiałem. Pracownicy kliniki i członkowie ekipy filmowej, którzy stali wokół mnie, zajadali się pączkami, prosili o autografy i robili sobie ze mną zdjęcia. Dla nich moje wyzdrowienie było czymś oczywistym i niepodważalnym.

Nagle chciałem zostać sam. Czułem się jak człowiek obnażony. Myśląc racjonalnie, wiedziałem, że szansę, aby choroba powróciła, są niewielkie, jednak wciąż drżałem na widok wyników badań. Wiele robiłem dla ludzi chorych na raka, brałem udział w spotkaniach, podpisywałem petycje, wygłaszałem prelekcje, ale teraz chciałem zostać sam, ponieważ

obawiałem się, że to świństwo wciąż jest we mnie i któreś z badań to wykaże.

Chciałem być zwykłym pacjentem, mającym prawo do prywatności, mogącym w spokoju zapoznać się z wynikami badań, obojętnie: dobrymi czy złymi. Pragnąłem w samotności cieszyć się pomyślnymi wiadomościami albo rozpaczać nad przykrymi. Nie chciałem robić tego w świetle jupiterów.

Badania wypadły świetnie.

- Wyniki są dobre - oświadczył doktor Nichols.

Kik objęła mnie, a ja uśmiechnąłem się z ulgą.

Nigdy nie mogłem do końca uwierzyć, że jestem zdrowy. Zdjęcia rentgenowskie i wyniki tomografii potwierdzały, że raka nie ma w moim organizmie. Były namacalnym dowodem na to, że nic mi nie dolega. Nie miałem wówczas nic przeciwko obrazkom, które przedstawiały człowieka: pięć zmysłów, jego apetyt, nieco ograniczony intelekt, zwierzęcą duszę z systemem nerwowym, cztery kończyny, kręgosłup z kręgami w różnym stanie zniszczenia, ale ogólnie w porządku, śladami nakłuć na klatce piersiowej, pooperacyjne zgrubienie w kształcie podkowy na głowie, cięcie w pachwinie. Kilka niewielkich blizn w paru miejscach i jeden lub dwa brakujące szczegóły. Ale nie więcej.

* * *

Akta z dokumentami, które Francuzi gromadzili na mój temat, będące wynikiem prowadzonego śledztwa, wciąż rosły. Na frontowej stronie dossier umieszczono fotografię, przedstawiającą chwilę, kiedy jako zwycięzca Tour de France jadę przez Champs-Elysees z flagą w ręku.

Do fotografii z moją podobizną przypięto zdjęcie strzykawki. Naturalnie, wszystko po to, aby zadośćuczynić zasadzie domniemanej niewinności i zwrócić uwagę śledczych, że powinni zachować bezstronność.

Mijały miesiące, a śledztwo nie przynosiło żadnych rezultatów. Byłem pewny, że próbki były kryształowo czyste - a także i tego, że oni o tym również doskonale wiedzieli. Trudno było mi jednak uwierzyć, żeby zrobienie odpowiednich badań trwało aż tak długo. Prokuratorzy jednak ani nie chcieli potwierdzić mojej niewinności, ani uznać mnie winnym. Odmawiali wydania jakiegokolwiek oświadczenia; zamiast tego utrzymywali, że trzeba przeprowadzić dodatkowe testy, i pozostawiali sprawę otwartą.

Wszyscy moi współpracownicy czuli się tymczasem tak samo winni jak ja. Ze względu na to, że pracowali ze mną, moja domniemana wina przechodziła również na nich.

Prasa bez przerwy nękała mojego trenera, Chrisa Carmichaela. Niektórzy dziennikarze byli zdania, że jeśli brałem doping, to na pewno podawał mi go mój trener.

- To niedorzeczne - powiedział Chris prasie. - Sportowiec pracuje w pocie czoła, a potem dowiaduje się, że to wcale nie jego zasługa.

- Daj spokój - odparłem. - Prasa tylko na to czeka, abyś wpadł w jej sidła.

Chris pracował z hokeistą, Saku Koivu, kapitanem drużyny Montreal Canadiens. Sportowiec chorował na złośliwy nowotwór limfatyczny, ale po odbyciu terapii wracał szybko do zdrowia. Lekarze oświadczyli, że Koivu pokonał raka akurat w czasie, kiedy jego drużyna rozgrywała mecze barażowe. George Gillett, właściciel drużyny Canadiens, zaangażował Chrisa, aby pomógł hokeiście odzyskać formę. Miesiąc po zakończeniu chemoterapii Chris rozpoczął z Koivu codzienne ćwiczenia, odpowiednio zwiększając ich intensywność. Początkowo nie przekraczały 30 minut i obejmowały ćwiczenia na rowerze stacjonarnym oraz podnoszenie lekkich ciężarów. Wkrótce jednak Koivu ćwiczył pięć godzin dziennie i sześć razy w tygodniu.

Powrócił do sportu jeszcze przed zakończeniem sezonu, zdobył dziesięć punktów w dwunastu meczach i poprowadził drużynę Canadiens do zwycięstwa w barażach. Była to nieprawdopodobna historia.

- Jemu również podawałem doping? - zapytał Chris z goryczą.

Śledztwo, które miało zakończyć się w styczniu, trwało nadal, choć zbliżała się już wiosna. Intencje prowadzących dochodzenie były oczywiste: „Będziemy powtarzać testy, aż coś znajdziemy". Nic nie mogłem na to poradzić. Przywykłem do przejmowania kontroli nad swoim życiem bez względu na to, czy ścigałem się na rowerze, prowadziłem interesy czy leżałem chory w łóżku, ale teraz byłem bezsilny.

Wszystko trwało wieki, nawet wykonanie najbłahszej czynności prawnej. Przez długi czas nie miałem wiadomości na temat tego, co dzieje się ze śledztwem. Doprowadzało mnie to do szaleństwa. Nie mogłem stanąć w swojej obronie, nie mogłem przedstawić swoich racji sędziemu ani prokuratorowi, nie mogłem zweryfikować wyników badań ekspertów, nie mogłem nawet na kogoś nakrzyczeć (z wyjątkiem Billa), nie mogłem też przyspieszyć dochodzenia. Nienawidziłem tego wszystkiego, a to doprowadzało Billa do szału. - Co możemy dzisiaj zrobić w tej sprawie?

- Dlaczego sędzia jest zawsze na urlopie?

- Nie zrobiliśmy wszystkiego. Dlaczego jeszcze tego nie zrobiliśmy?

Mój francuski prawnik wystosował kilka pism do odpowiednich władz francuskich z prośbą o przyspieszenie śledztwa. Osobiście napisałem do sędziego list, oferując mu

całkowitą współpracę. Gdy zaś z powodu sporu kompetencyjnego Międzynarodowy Związek Kolarski odmówił przekazania prokuraturze moich próbek krwi i moczu, poprosiłem władze kolarskie, aby zechciały jednak podjąć z nią współpracę.

Niczego to nie zmieniło. Nie mieliśmy absolutnie żadnego wpływu na tempo prowadzenia dochodzenia. Trudno mi było się z tym pogodzić. Bili ostatecznie doszedł do przekonania, że im bardziej naciskamy na władze francuskie, tym wolniej one wykonują dalsze czynności śledcze. Wszystko zależało od Sophie-Helenę Chateau, która mogła prowadzić dochodzenie tak długo, jak chciała.

Nocą gapiłem się w sufit i rozważałem najgorszy z możliwych scenariuszy: co się stanie, jeśli wyniki zostaną źle zinterpretowane z powodu niedostatecznej wiedzy albo jeśli ktoś, chcąc tak bardzo znaleźć środki dopingowe, ucieknie się do szachrajstwa? Gdyby opublikowano sfabrykowane wyniki, cały świat zapamiętałby mnie jako dopera. Nie chciałbym, żeby sprawy przybrały taki obrót, tym bardziej że obciążający mnie werdykt byłby pozbawiony podstaw.

Bili starał się mnie pocieszać.

- To będzie tak - powiedział. - Obudzimy się pewnego dnia i będzie po sprawie. Władze wydadzą niewielkie oświadczenie o zamknięciu śledztwa.

- Nie jestem tego pewien - odparłem.

- Jasne, masz rację - Bili wszedł mi w słowo. - Wszystko zakończy się pod osłoną nocy.

Wreszcie nadszedł kwiecień i wszystko wskazywało na to, że w końcu przyniesie on dobre wiadomości. Od dziennikarza pracującego dla Reutersa dowiedzieliśmy się, że wszystkie moje próbki okazały się czyste - tak jak powtarzaliśmy od miesięcy. Mój paryski prawnik zadzwonił do sędzi Chateau. Sędzia potwierdziła te informacje.

Przybyłem do Francji na imprezę kolarską, przyjechałem do Paryża i zwołałem konferencję prasową w Hotel George V, aby ogłosić rezultaty śledztwa: wyniki badań próbek wszystkich zawodników grupy U.S. Postal, nie tylko moich, były negatywne. Nie znaleziono również niczego w naszych śmieciach. Jedynie puste pudełka i opakowania.

Nie mogłem się powstrzymać od wyrażenia kilku krytycznych uwag na temat tempa prowadzenia śledztwa, powiedziałem z przekąsem, że w chwili, kiedy odbywa się konferencja prasowa, sędzia wyjechała na urlop.

- Nie mogłem spać przez tę sprawę - mówiłem. - Chciałem, aby moje nazwisko oczyszczono z zarzutów, ale sędzia od trzech tygodni wygrzewa się na plaży.

Dodałem również, iż mam nadzieję, że dochodzenie szybko się zakończy, skoro

sędzia posiada niezbite dowody na to, że ja i moi koledzy z ekipy jesteśmy czyści.

Zanim jednak skończyła się konferencja, sędzia Chateau zaczęła się wykręcać. Gdy dziennikarze skontaktowali się z nią, prosząc o potwierdzenie tych informacji, Chateau wprawdzie przyznała, że wyniki były negatywne - ale stwierdziła, że zwołanie konferencji przeze mnie było „przedwczesne", dała jednocześnie do zrozumienia, że nie zgromadzono jeszcze wszystkich dowodów.

Dziennikarz wspominał, że mam nadzieję, iż dochodzenie zostanie wkrótce zakończone.

- Il reve - odpowiedziała krótko. Tłumaczenie: „On śni".

Ktoś zapytał mnie, co mogłoby przekonać sceptyków o mojej niewinności.

- Nie wiem - odpowiedziałem.

Zacząłem się jednak zastanawiać, czy już do końca życia będzie ciążyło na mnie podejrzenie winy.

Wszystko, na co tak ciężko pracowałem: moja kariera, moja reputacja, wszystko, czego dokonałem jako sportowiec, wszystko, do czego w życiu doszedłem, mogło zostać zaprzepaszczone, jeśli ludzie uznają, że mam coś na sumieniu.

Co się stanie, gdybym to stracił? Straciłem inne rzeczy i przeżyłem. Myślałem o tym, co mógłbym stracić, gdybym został oskarżony o doping, i zastanawiałem się, czy mógłbym się bez tego obejść. Skalano by moje nazwisko i wiedziałem, że trudno byłoby mi zamienić je na inne. Należało ono do mnie i do nikogo więcej. Reprezentowało moje wartości, moje życie, moją rodzinę. Mógłbym pogodzić się ze stratą pieniędzy czy kontraktu z Coca-Colą, ale nie ze stratą dobrego imienia czy reputacji, których prawdopodobnie nie mógłbym już nigdy odzyskać.

- To dla mnie bardzo ważne - powiedziałem do Kik. - Luke nazywa się Armstrong. Ludzie znają to nazwisko. Nie chcę, aby kiedy pójdzie do szkoły, wołali za nim: „O, Luke, twój ojciec to wielki oszust, koksiarz". To by mnie zabiło.

Jest jednak coś, czego nie można stracić - samego siebie. Byłem niewinny, ta pewność tkwiła głęboko we mnie, i nikt nie był w stanie nią zachwiać.

Przegrałem wiele wyścigów, utraciłem zdrowie, straciłem dawnego siebie, a każda przegrana i strata miały swoje miejsce na mapie życia. Inne przegrane i straty również znajdą na niej swoje miejsce. Nie zdołasz ich uniknąć. Będziesz się starzał. Będziesz szedł na takie kompromisy, które nigdy wcześniej by ci nie przyszły do głowy, staniesz przed takimi problemami, od których, jak myślałeś, jesteś wolny. Znajdziesz pracę i być może ją stracisz. Będziesz walczył ze swoim partnerem, podejmiesz się niechcianych obowiązków, przyjdzie

ci się zmierzyć z różnego rodzaju niesprawiedliwościami. Od ciebie zależy, czy to wszystko będzie miało na ciebie negatywny czy pozytywny wpływ. Od ciebie zależy, czy pozwolisz, aby te doświadczenia formowały ciebie. Od ciebie zależy, czy uwierzysz, że to formowanie będzie bardziej interesujące, a to dlatego, że chodzi o ciebie.

- Głowa do góry - powiedziała Kik.

Właśnie to staraliśmy się czynić. Wydarzyło się wtedy coś, co poprawiło nam humory. W kwietniu dowiedzieliśmy się, że Kik jest w ciąży. Nie była to zwykła ciąża. Była to nadzwyczajna ciąża.

- Czuję się tak niesamowicie - powtarzała nie bez powodów, o czym niebawem mieliśmy się przekonać.

Byłem w Hiszpanii, kiedy Kik poszła na badanie do lekarza położnika.

- Wydaje mi się, że mam trojaczki - powiedziała do doktora Marka Uribe.

- Chce pani wiedzieć? - zapytał.

Kik nie spodziewała się, że następne badanie sonograficzne lekarz wyznaczy dopiero za półtora tygodnia. Uribe wyjaśnił jednak Kik, że jeśli ma potwierdzić, iż jest to ciąża mnoga, musi wykonać dodatkowe badania.

- Chce pani teraz zobaczyć? - zapytał położnik.

Kik była sama u lekarza. Dochodziła szósta wieczorem. Na drugiej półkuli był środek nocy. Spałem. Kik zawahała się przez chwilę, a później powiedziała:

- Tak, chcę zobaczyć. Oczywiście, że chcę zobaczyć.

Lekarz pokazał Kik obraz sonograficzny. Na ekranie monitora zobaczyła podwójny rytmiczny puls. Chciała zaczekać do rana, aby mnie o tym poinformować, ale była tak podekscytowana, że wyjęła telefon komórkowy, wystukała mój numer w Europie i zostawiła wiadomość na poczcie głosowej. W jej głosie mieszała się powaga, płacz i wesołość. A ja w tym czasie spałem.

- Bliźnięta - powiedziała.

ROZDZIAŁ IV

WIARA I ZWĄTPIENIE

Ludzie dają mi różne przedmioty, ponieważ chcą, abym je posiadał, albo sądzą, że są mi one niezbędne: egzemplarze Biblii, na których wykaligrafowano moje nazwisko, modlitewniki z zaznaczonymi fragmentami. Najbardziej, ich zdaniem, potrzebuję wiary. Tylko że ja naprawdę wierzę, choć może nie tak samo jak oni. Jestem osobą odczuwającą duchowość, lecz brakuje mi stów, aby to wyrazić. Na tym polega mój problem. Pewnego razu jakiś facet zagadnął mnie na lotnisku.

- Lance, chciałbym z tobą pogadać o twojej relacji z Bogiem - powiedział.

- Nie mam wiele do powiedzenia na ten temat - odparłem.

Każda relacja z mego życia wymaga obszernych wyjaśnień: dlaczego przeżyłem? Nie mam na to pytanie gotowej odpowiedzi. Na pewno nie dzięki Bogu. Nie chcę nikogo obrażać, choć zdaję sobie sprawę, że niektórzy oczekują tradycyjnej odpowiedzi. Nie wierzę jednak w czysto religijne kalkulacje. Modlitwa mnie nie pociąga, nie opowiadam się też za żadnym konkretnym wyznaniem, mającym swoje świątynie, i z wielką rezerwą podchodzę do wszelkich form nawracania. Mimo wszystko noszę krzyżyk. Jak to wyjaśnić obcej osobie, która zaczepiła mnie na lotnisku, kiedy czekałem na następny lot?

W co wierzę? Wierzę w tajemnicę. Wierzę, że wiara utrzymuje świat w posadach. Wierzę, że gdyby zamknąć oczy i starać się dociec istoty rzeczy, można by znaleźć dla wszystkiego na ziemi właściwe miejsce: nie byłoby więcej problemów z podatkami, skandalami, plotkami, bólami głowy i korkami na autostradach. Wierzę, że należy powściągliwie wypowiadać się o religii, wierzę też, że odpowiedzialna osoba zadaje sobie na jej temat poważne pytania, ponieważ nie może pominąć kwestii ukrywania przez władze kościelne duchownych dopuszczających się molestowania dzieci, nie może także nie zapytać, co to za religia, która zachęca do stosowania represji i przemocy. Jeśli tego nie robi, pewnie coś jest nie tak z jej intelektem albo moralnością.

Sądzę, że zbyt wielu traktuje religię jak wymówkę, podporę lub lokatę. Uważam, że to, co masz, masz tylko tu i teraz. Nawet kiedy śmierć zaglądała mi w oczy, nigdy nie przeszło mi przez myśl, że jest coś po drugiej stronie. J. Craig Ventner, podczas dyskusji o genomie, powiedział coś, czego sam nie potrafiłbym nigdy sformułować, ale jego słowa najlepiej opisują wszystko to, co myślałem na temat raka, religii i świata w ogóle.

- Jest rzeczą oczywistą, że życie zaczyna się w chwili urodzin i kończy w chwili

śmierci - powiedział. - Gdyby ludzie mieszkający na tej planecie zrozumieli to, żyliby zupełnie inaczej. Przyzwyczailiśmy się wszystkie nasze niedociągnięcia kłaść na karb nadprzyrodzonych i tajemniczych sił, zapominając przy tym, że niebo i piekło są tu na ziemi, a nam każdego dnia przychodzi się z nimi mierzyć.

Na swoją chorobę nowotworową patrzyłem z naukowego punktu widzenia. Walczyłem ze złośliwymi komórkami, które opanowały mój organizm. Ale walczyłem z nimi, mając w ręku naukowe narzędzia, łatwe do zweryfikowania: wyniki badań, leki i informacje. Chciałem zdobyć jak najwięcej wiedzy o chorobie, ponieważ statystyki pokazywały, że im pacjent oddziału onkologicznego posiada większą o niej wiedzę, tym ma większe szansę na jej pokonanie. Badania również dowodzą, że osoby wierzące mają większe szansę na przeżycie nowotworu niż niewierzące. Nie mam zamiaru temu zaprzeczać. Mogę dodać tylko tyle, że podczas mojej choroby widziałem dużą liczbę pacjentów, którzy wyrzekli się odpowiedzialności za siebie i nie odgrywali żadnej roli w leczeniu. Wzdrygałem się, kiedy ktoś twierdził: „Wszystko w rękach Boga" albo: „Moja nadzieja w Bogu".

Spałem kamiennym snem, przez chwile zastanawiałem się nawet, czy nie był to sen konającego. Może umieram. „Umieram?" - zadałem sobie pytanie. Wydaje się, że żyjesz, ale naprawdę tego nie wiesz.

Mój przyjaciel, Scott MacEachern, pracujący dla Nike, złożył mi wizytę. Zapukał do drzwi frontowych. Odpowiedziałem, stojąc w holu dużego domu. Nie miałem wtedy włosów i brwi, a twarz strasznie mi się wydłużyła. Scott wówczas widział mnie po raz pierwszy, od kiedy zachorowałem. Stojąc w holu, schyliłem się i pokazałem mu dużą bliznę w kształcie podkowy na głowie, będącą pamiątką po operacji mózgu, potem podniosłem koszulę i pokazałem inne miejsca, gdzie miałem ślady nacięć.

Tamtego wieczoru rozmawialiśmy ze Scottem o chorobie, a także życiu po śmierci. Pamiętam przebieg naszej rozmowy, lęk i walkę o zachowanie twarzy. Powiedziałem, że staram się stawić czoło śmierci i wyciągnąć jeszcze z tego jakąś naukę. Powiedziałem też, że jestem już bardzo tym zmęczony, ale zdecydowany zmagać się do końca.

Następnego ranka Scott wstał i udał się na poranny bieg. Wracając, usłyszał głośną, dobiegającą z garażu muzykę. Obszedł dom dookoła i zajrzał do tego pomieszczenia. Byłem wewnątrz; siedząc okrakiem na stacjonarnym rowerze, zapamiętale ćwiczyłem. Miałem na nogach buty do jazdy na rowerze i szorty. Nie przeszkadzało mi wcale, że byłem łysy jak bilardowa kula i posiekany jak kotlet.

Nie siedziałem na siodełku. Atakowałem, pedałując na rowerze stacjonarnym.

- Zrozumiałem wówczas, że bez względu na to, czy wtedy żyłeś czy umarłeś, walka toczyła się dalej - powiedział mi później Scott.

Moja postawa nie pasuje do powszechnie przyjętej definicji duchowości. Niektórzy ludzie biorą mnie za smutny przypadek.

- Ten facet potrzebuje pomocy - mówili.

Konflikt z religią wcale mi nie przeszkadza w życiu, jeśli, rzecz jasna, jest to „konflikt". Stało się to zresztą nie bez powodu: będąc chłopcem, wyrobiłem sobie niezbyt dobre zdanie o zinstytucjonalizowanej religii. Mój ojczym, Terry Armstrong, był diakonem - ale wcale mu to nie przeszkadzało źle traktować matkę i bić mnie rakietką tenisową. Dlatego też podchodziłem do religii nieufnie. Uznałem, że może ona zarówno służyć budowaniu dobra, jak napełniać strachem. Ponadto zrozumiałem, że jeśli ktoś chodzi co niedzielę do kościoła, wcale nie musi być dobrym człowiekiem.

Moje dzieci są wychowywane w duchu katolickim, a ich matka jest praktykującą katoliczką. Mój dom jest otwarty na kwestię wiary. Nigdy nie kłóciłem się z Kik o to, czego powinny uczyć się nasze dzieci i jak powinny być wychowywane; uznałem nawet, że powinny chodzić z matką do kościoła. Sądzę, że bez względu na wszystko, nasze dzieci będą na tyle mądre i mam nadzieję, niezależne, że same zadecydują, a jeśli wybiorą religię, to tym lepiej.

Kik ciągle umacnia się w swojej wierze, podczas gdy ja pozostaję sceptyczny. Wzięliśmy ślub w kościele katolickim, ale z czasem stało się to kością niezgody. Moje zwątpienie od czasu do czasu było powodem zmartwień Kik. Gdyby jakiś obcy człowiek zaczepił nas i zapytał: „Dlaczego pan się nie modli?", Kik bez wahania odpowiedziałaby: „Jeśli ma to poprawić panu humor, zdradzę panu, że modlę się za niego".

Miałem też upodobanie do wymądrzania się i naigrywania się z Kik.

Komentowałem jej każde wyjście na mszę.

- Po co tam idziesz? - pytałem.

- Lubię chodzić na mszę.

- Ale dziś jest przecież sobota. Chodźmy do restauracji - proponowałem.

- Lubię sobotnie msze. Zastanowiłem się przez chwilę.

- A nie możesz tego zmienić? - wypaliłem.

Pewnego dnia jednak Kik wyleczyła mnie z podobnych gierek. Przekonała mnie, że nie warto o to się spierać.

- Skądkolwiek pochodzi moja siła, powinieneś się z tego cieszyć - mówiła Kik. -

Ponieważ w dużej mierze polegasz na mnie, to znaczy, że polegasz na mojej sile.

Kik miała rację; jeśli wiara wpływała na jej życie, to pośrednio wpływała również na moje. Kiedy się ścigałem, Kik szła do kościoła i zapalała świeczkę za moje powodzenie. Byłem jej za to wdzięczny. Podczas Tour de France pytałem ją: „Zapaliłaś dzisiaj świeczkę za moje powodzenie?" Nikt jednak z mojej rodziny nie zapytał mnie: „Chcesz pójść z nami do kościoła?" Dobrze wiedzieli, jak brzmiałaby odpowiedź.

Kik dość wcześnie zaczęła opowiadać Luke'owi o Jezusie Chrystusie z okazji świąt. Dla mnie jednak Boże Narodzenie nic nie znaczyło, lubiłem ten dzień tylko ze względu na moje dzieci. Były to drugie święta Luke'a. Nie mogłem rankiem pohamować swojego podniecenia. Wstałem pierwszy. W prezencie kupiliśmy mu małego jeepa na akumulator i nie mogłem się doczekać miny, którą zrobi po otworzeniu pudełka. Jednak tamtego ranka, nie tak jak we wszystkie inne, Luke postanowił pospać dłużej. Niecierpliwie chodziłem po kuchni. Kik i jej rodzice, Dave i Ethel Richard, również wstali. Usiedliśmy wszyscy w kuchni, piliśmy kawę i przeglądaliśmy gazety. W końcu nie wytrzymałem.

- Trzeba go obudzić - stwierdziłem.

Wstałem, odsunąłem krzesło, wziąłem bożonarodzeniową pończochę, do której doszyto dzwoneczki, i poszedłem na górę. Zatrzymałem się przed pokojem Luke'a i zacząłem głośno dzwonić. Bez odzewu. Znowu zadzwoniłem. Potem jeszcze raz i jeszcze raz. Coraz bardziej się niecierpliwiłem. Kik, która została na parterze, zaczęła chichotać, słysząc, jak potrząsam bożonarodzeniowymi dzwoneczkami.

- Hej! Hej! Hej! - krzyczała do mnie.

W końcu syn wysunął głowę spod kołdry.

Kik uważała, że mój sceptycyzm jest wynikiem urazu, jakiego doznałem w dzieciństwie, i że ostatecznie, być może, zmienię zdanie na temat religii, a nawet pewnego dnia „dam wiarę źródłu" mojego wyzdrowienia. Nie zgadzałem się z tą opinią. I nadal się nie zgadzam. Nie znaczy to, że nie szanuję pewnych aspektów wiary i że one mnie nie intrygują, zwłaszcza ceremonie i symbolika.

Dlatego właśnie noszę krzyżyk na piersi - jest to wyraz łączności z cierpiącymi. Kiedy wciąż jeszcze byłem w stadium remisji, u mojej przyjaciółki, Stacy Pounds, będącej wieloletnią asystentką Billa Stapletona, wykryto raka płuca. Matka kupiła wówczas dwa krzyżyki: jeden dała Stacy, a drugi mnie. Wciąż go nosiłem.

Zimą i wiosną 2001 roku, będąc w centrum przygotowań do kolejnego Tour de France, zająłem się odnawianiem starej, rodzinnej kaplicy, mieszczącej się w naszym nowym domu w Gironie. Kupiłem pierwsze piętro budynku, będącego niegdyś pałacykiem,

wzniesionym przy jednej z historycznych ulic na starym mieście, po części dlatego, że zachwyciła mnie jego uroda, a po części dlatego, iż wiedziałem, że spodoba się Kik. W mieszkaniu panowała wilgoć i odpadały tynki. Mówiąc krótko: wymagało gruntownego remontu. Nie mogłem się jednak temu domowi oprzeć. W powietrzu unosiła się aura dawnych wydarzeń; splendor wspaniałych czasów rozpływał się w wyblakłych barwach ścian, w starych, wilgotnych, szarych kamieniach, w gotyckich łukowych sufitach i w kolorowych witrażach.

Girona to świetne miejsce na wykopaliska archeologiczne. Są tam ruiny z różnych epok i kultur: rzymskiej, mauretańskiej, żydowskiej, muzułmańskiej i średniowiecznej. Gotycka katedra jest jedną z największych w Europie. Przy wąskich, wybrukowanych uliczkach, wijących się ku górze, znajdują się księgarenki, kawiarnie i inne sklepiki. Jak podają podręczniki historii, w jednym z najkrwawszych okresów walk religijnych w historii miasta jego ulicami krew płynęła strumieniami do niżej położonych części.

Mieszkanie ma wysokie okna i taras otoczony balustradą z kutego żelaza. Mogę tu wychodzić i obserwować ulubiony, kawiarniany ogródek, usytuowany pod drugiej stronie ulicy, gdzie siedząc w głębokim, plecionym fotelu można napić się kawy. Mieszkanie nie tylko posiada stare, gotyckie sklepienia, ozdobione gzymsami, ale także dwa ogródki z kamiennymi, bulgoczącymi fontannami. Najważniejszym pomieszczeniem jest rodzinna kaplica, z małym drewnianym ołtarzem. Jej ściany, pomalowane na ciemnoniebiesko, zdobią złote gwiazdy.

Zatrudniłem rzemieślników z Barcelony, aby odnowili freski oraz dopasowali ciemny błękit i magentę ścian do faktury pozłacanych detali. Kiedy zostało to wykonane, nabyłem obraz, znakomity okaz piętnastowiecznej sztuki sakralnej, aby udekorować centralne miejsce kaplicy, tuż nad ołtarzem.

Kaplicę uważałem nie za miejsce kultu, ale ślad historii, epoki, kilku wieków życia, zatrzymanego w łukach sufitu, tryskających złotem malowidłach i oryginalnych witrażach. Całość robi piorunujące wrażenie. Jest tam coś, co może stanowić przeciwwagę dla logiki: niektóre rzeczy są wymierne, inne nie.

To, że pokonałem chorobę, jest także niewymierne. Ile zawdzięczam nauce, ile wierze, a ile silnej woli? Nie znam odpowiedzi, ale też odrzucam proste i łatwe wytłumaczenia, ponieważ - szczerze mówiąc - czysty przypadek odegrał tu niebagatelną rolę. Zastanawiam się niekiedy, czy właśnie nie jest to najlepsza odpowiedź, jakiej mogę udzielić.

W 2001 roku, kiedy zbliżała się piąta rocznica zakończenia terapii nowotworowej i termin oficjalnego ogłoszenia, że jestem zdrowy, miałem powody, aby wszystko przemyśleć

jeszcze raz. Był to również dodatkowy bodziec, aby kolejny raz podjąć próbę wygrania Tour de France. Ten wyścig zawsze stanowił rodzaj potwierdzenia, że wciąż żyję. Tylko dlatego, że wróciłem do świata żywych, miałem prawo do tak intensywnej eksploatacji organizmu. Nie wnikając w to, z jakiej przyczyny wciąż żyłem, wydało mi się oczywiste, że muszę coś z tym życiem zrobić.

Mogłem z nim zrobić tylko jedno: brać udział w wyścigach. Z drugiej jednak strony, zacząłem się zastanawiać, czy nie wybrałem zbyt łatwej drogi. Ściganie się na zawodach kolarskich było o wiele łatwiejsze niż, powiedzmy, obrona przed dochodzeniem w sprawie dopingu, utrzymanie małżeństwa albo próba godzenia konfliktu między wiarą i nauką.

* * *

Wczesną wiosną przyjechałem do Lourdes nie po to, aby zapalić świeczki czy obmyć się cudowną wodą, ale po to, aby trenować na rowerze po górskich trasach rozciągających się powyżej miasta.

Pewnego dnia zaliczyłem siedem górskich podjazdów, przejeżdżając prawie 210 kilometrów. Niektóre wzniesienia pokrywał śnieg i nie mogłem wjechać na sam szczyt. Wspinałem się tak wysoko, jak tylko mogłem, potem zawracałem, zjeżdżałem do podnóża i od nowa atakowałem kolejny, trudny podjazd.

Trening, przybierający formę obsesji, był jedynym sposobem, aby uciec przed frustracją, wywołaną prowadzonym dochodzeniem, które jeszcze się wlokło. Początkowo władze francuskie oświadczyły, że śledztwo zostanie zakończone przed rozpoczęciem Tour de France, ale wbrew zapowiedziom tak się nie stało. Zastępca prokuratora, Francois Franchi, zlecił wykonanie nowej serii badań - nie potrafił jednak powiedzieć, w jakim celu.

- Dotychczas nie znaleźliśmy śladów erytropoetyny - wyjaśniał. - Nie mamy konkretnych zarzutów ani pozytywnych wyników.

To oczywiste, że kontynuowano testy, na próżno szukając zakazanych substancji w próbkach moczu.

- Czy mocz to dobre wino? Z czasem staje się lepszy? - zażartował mój przyjaciel, Robin Williams.

Doszedłem do wniosku, że najlepszą zemstą, na jaką mogę sobie pozwolić, będzie ponowne wygranie Tour de France. Kolejne zwycięstwo może nie zadowoli sceptyków, ale przynajmniej przyniesie mi zadowolenie.

Mój syn był już wówczas na tyle duży, że mógł pojąć, czym jego ojciec zajmuje się

zawodowo. Dałem mu zresztą przed wyścigiem parę lekcji.

- Kto wygra? - pytałem Luke'a.

- TATUŚ - wrzeszczał.

Tym razem Tour de France wystartował na północnym wybrzeżu Francji w Dunkierce. Krótki prolog rozpoczął się w deszczu i zakończył tuż nad brzegiem morza, gdzie przygotowano metę. Luke'owi bardzo podobał się wyścig. Towarzyszył mi podczas przygotowań do startu. Siedząc obok mnie w autokarze należącym do naszej ekipy, powtarzał wszystkie słowa, które znał, pokazując na rower, koło, ciężarówkę itd. Kiedy rozgrzewałem się do prologu, zaproponował mi nawet kawałek swojej kanapki. Musiałem jednak grzecznie odmówić - nie był to ten rodzaj pożywienia, które kolarz powinien zjadać tuż przed startem.

- Jaki jest kolor koszulki tatusia? - zapytałem Luke'a.

- Żu -żu - odpowiedział.

Luke nie potrafił jeszcze powiedzieć „żółty", dlatego wszystko tego dnia było dla niego „żu-żu". Żu-żu autokar, żu-żu rower, żu--żu ciężarówka... aż do znudzenia. Nieustające żu-żu gaworzenie.

Stojąc na starcie, uśmiechałem się szeroko - czekałem na tę chwilę. Nacisnąłem na pedały i pomknąłem przez mokre i śliskie ulice Dunkierki. Zająłem dopiero trzecie miejsce. Byłem rozczarowany jazdą. Tatuś nie założył żu-żu koszulki. Luke musiał na nią poczekać - dłużej, niż się spodziewałem.

Początkowo trasa wyścigu wiodła przez północno-wschodnie krańce Francji, wzdłuż Kanału La Manche. Ponownie przyszło mi się spotkać z Janem Ullrichem. Wiedziałem, że muszę go pokonać, jeśli chcę wygrać Tour de France. Ullrich był najbardziej utalentowanym zawodnikiem i najgroźniejszym rywalem w peletonie, doskonale przygotowanym do imprezy, o wiele lepiej niż w poprzednim roku. Nic się nie zmienił. Wciąż wystawały mu kości policzkowe, a ogromne mięśnie odznaczały się przez kombinezon.

- Teraz albo nigdy - oświadczył Ullrich.

Dojechaliśmy do Verdun, miasta garnizonowego, leżącego około 260 kilometrów od Paryża, gdzie podczas pierwszej wojny światowej straciło życie 600000 żołnierzy francuskich, niemieckich i amerykańskich, i gdzie wygrałem swój pierwszy etap Tour de France w 1993 roku. Nazajutrz czekała nas drużynowa jazda na czas. Przez cały sześćdziesięciosiedmiokilometrowy odcinek wiał porywisty wiatr i padał deszcz. W połowie drogi dwóch zawodników drużyny U.S. Postal, Christian Vande Velde i Roberto Heras, upadło na jezdnię, na której niedawno namalowano linie, rozdzielające dwa pasy ruchu. Rower Vande Velde wysunął się spod kolarza i uderzył w koła roweru Herasa. To

doprowadziło do wywrotki. Christian złamał rękę i musiał zrezygnować z dalszej jazdy. Roberto jeszcze przez tydzień odczuwał skutki upadku.

Przez wiele dni jechaliśmy w nieustającym deszczu. Wreszcie opuściliśmy wybrzeże i skierowaliśmy się w stronę gór. Ósmy etap zakończył się u podnóża Alp.

Nasza drużyna pozostawała daleko w tyle. Na czele klasyfikacji znajdowali się Francois Simon, mało znany kolarz francuski, oraz Andriej Kiwiliew, utalentowany zawodnik z Kazachstanu. Liderem był Simon, jadący w żółtej koszulce - z przewagą 35 minut. Stało się tak, ponieważ jechaliśmy zbyt zachowawczo. Kiedy ci dwaj kolarze zaatakowali wraz z innymi, nikt nie miał ochoty ich ścigać - wychodziliśmy z założenia, że na początkowych etapach najważniejsze jest zachowanie sił, inni zawodnicy myśleli podobnie. Wyścig przypomina grę w pokera, w której trzeba się zorientować, kto blefuje. Ponieważ nikt nie miał ochoty wyłożyć swoich kart na stół, Simonowi udało się uzyskać tak wielką przewagę. Zajmowałem daleką, dwudziestą czwartą pozycję, a Ullrich dwudziestą siódmą.

Kilka długich i ciężkich dni minęło kolarzom na ściganiu lidera. Wówczas ujawnił się talent Kiwiliewa. Simon nie był „góralem" i wszyscy wiedzieli, że w górach osłabnie. Ale Kiwiliew, dwudziestosiedmioletni zawodnik grupy Cofidis, zajmował czwarte miejsce i wyprzedzał mnie o 33 minuty i 14 sekund. Był to twardy kolarz i zdawałem sobie sprawę z tego, że tak łatwo mi z nim nie pójdzie. Obserwowałem go od pewnego czasu. Kiwiliew szybko piął się na kolarski parnas. Był uzdolniony i cechowała go wielka kultura osobista. Prawdę powiedziawszy, chciałem, aby występował w barwach naszej grupy. Andriej jednak - o czym wówczas nie mogłem wiedzieć - nie dostał szansy, aby w pełni pokazać swoje możliwości: dwa lata później zginął w wypadku. Jego występ w tamtym Tour de France zapadł mi jednak w pamięci. Ilekroć o nim myślę, zastanawiam się nad tym, jak nieodgadnione są wyroki losu.

Spora przewaga czołówki zburzyła strategię, którą Johan tak misternie opracował dla drużyny U.S. Postal. Teraz potrzebny był nam nowy plan. Johan milczał. W końcu stwierdził, że musimy po prostu jechać ostrzej; oznaczało to, że zdobycie żółtej koszulki odwlecze się o kilka dni.

- Musimy atakować przy każdej okazji - powiedział.

Po raz kolejny pierwszy górski etap miał być decydujący, tak pod względem psychologicznym, jak i fizycznym. W górach zawsze następowała selekcja zawodników, zostawali tylko ci, którzy mogli wykazać się naprawdę dobrą kondycją. Podczas tego Tour de France pierwszy górski odcinek kończył się na Alpe d'Huez, należącym do osnutych legendą i najokrutniejszych francuskich szczytów.

Trasa liczyła 209 kilometrów i obejmowała trzy trudne podjazdy, których wysokość przekraczała 1800 metrów, o stopniu trudności hors de categorie - „poza kategorią". Dwa pierwsze wzniesienia to zwykłe wprawki do Alpe d'Huez, stromego, prawie dwudziestokilometrowego, krętego podjazdu, składającego się z 21 serpentyn.

Pragnąłem zdobyć Alpe d'Huez. Należy przecież do najsłynniejszych i przynoszących najwięcej satysfakcji wspinaczek górskich w Tour de France. Nie jest zbyt długi, ale za to bardzo stromy. Każda z serpentyn ma swój numer, a obok niego widnieje nazwisko poprzedniego zwycięzcy. Kolarze uwielbiają tę górę.

Jako zespół jednak nie byliśmy w najlepszej formie. Pierwszy tydzień wyścigu był bardzo ciężki: na trasie musieliśmy walczyć z deszczem i bocznym wiatrem. Christian zrezygnował, a Roberto miał zapalenie ścięgna i musiał jechać z zabandażowanym kolanem. Tyler Hamilton również zaliczył upadek podczas etapu do Antwerpii, skarżył się na zapalenie ścięgna, bolało go lewe ramię i nadgarstek. Pozostali koledzy z ekipy, chociaż nie ucierpieli w wypadkach, byli obolali i zmęczeni. Jeśli na trasie wieje wiatr, oznacza to, że podczas jazdy nie można liczyć nawet na chwilę wytchnienia. Intensywna praca dawała się we znaki. Efekty nadmiernego wysiłku kumulowały się: każdego dnia nogi stawały się coraz słabsze.

Mając w grupie tak wielu kontuzjowanych albo niebędących w formie zawodników, mieliśmy poważne wątpliwości, czy uda nam się dotrzymać kroku innym kolarzom w trakcie pokonywania trzech trudnych podjazdów. Byłem w dobrej formie, ale nie mogłem wciąż jechać na czele peletonu i liczyć na to, że jeszcze będę miał dość sił, aby zaatakować na Alpe d'Huez.

Tymczasem wszyscy członkowie ekipy Ullricha z Deutsche Telekom wyglądali na silnych i zdrowych - a ponadto Ullricha miał pilotować na górskich odcinkach mój stary przyjaciel, Kevin Livingston.

Tuż po starcie Ullrich i jego zespół wysunęli się przed peleton i ostro pedałowali. Nasza grupa jechała za nimi, utrzymując odpowiednie tempo. Czasem trzeba być elastycznym i przystosować się do innego stylu jazdy niż ten, który się wypracowało.

Przekazałem przez radio Johanowi, że chcę z nim porozmawiać. Johan przyśpieszył i podjechał do mnie samochodem. Jadąc obok auta, analizowałem z Johanem nasze położenie.

- To chyba niezły pomysł, aby pokazać, że jesteś nieco przemęczony - powiedział Johan. - Jeśli zobaczą, że jesteś w niezbyt dobrej formie, będą jeszcze mocniej naciskać na pedały. Będziecie mogli trochę odpocząć aż do podnóża Alpe d'Huez. Wtedy zaatakujecie.

Johan oczywiście chciał, abym blefował. Udając zmęczenie, mógłbym sprawić, że zawodnicy Telekomu zużyją mnóstwo energii, aby zostawić mnie w tyle. Przez większość

dnia miałem być nie tylko kolarzem, ale także aktorem. Doszliśmy do wniosku, że gdyby udało się uśpić ich czujność, mielibyśmy większą szansę na wygranie etapu.

Pokonując pierwsze poważne wzniesienie, Col de Madeleine, zawisłem nad kierownicą i krzywiłem się ze zmęczenia. Pierwszy górski odcinek jest zawsze szokiem dla organizmu i kolarze, którzy nie są w dobrej kondycji, odpadają z gry. W połowie wzniesienia Madeleine z wyścigu wycofało się trzech zawodników - odbili na pobocze i zrezygnowali z dalszej jazdy. Zachowywałem się tak, jakbym za chwilę miał pójść w ich ślady. Jechałem na końcu peletonu, bardziej niż kolarza przypominałem psa, który ze zmęczenia zwiesił łeb. Inni zawodnicy zastanawiali się, czy coś mi dolega, podobne pytania zadawali dziennikarze telewizyjni, relacjonujący przebieg wyścigu. Nawet koledzy z drużyny byli nieco zaniepokojeni moim zachowaniem.

Za każdym zespołem jechał samochód z ekipą telewizyjną. Za ich pośrednictwem dyrektorzy obserwowali, co dzieje się na trasie, i słuchali relacji o pozostałych drużynach. Przy późniejszym odtwarzaniu przebiegu wyścigu i słuchaniu komentatorów jest zwykle wiele zabawy. Mój przyjaciel, sprawozdawca sportowy, Paul Sherwen, pracujący dla telewizji amerykańskiej, powiedział:

- Wygląda na to, że Armstrong ma nie lada kłopoty.

Wciąż jechałem na końcu w towarzystwie najsłabszych zawodników, którzy z trudem wytrzymywali tempo peletonu. Kolarz, który znajdzie się na końcu, zwykle kończy wyścig na jednej z ostatnich pozycji.

- Lance Armstrong zamyka peleton - relacjonował Sherwen. - Jest wyraźnie zmęczony.

Ullrich i jego koledzy z Telekomu połknęli haczyk - wysunęli się na prowadzenie i podekscytowani, narzucili bardzo szybkie tempo. Uwierzyli w informacje, że coś mi dolega. Zareagowali dokładnie tak, jak przewidział Johan. Wykonywali ciężką robotę na przodzie peletonu, podczas gdy nasza drużyna jechała spokojnie w tyle.

Przez kilka kolejnych godzin ekipa Telekomu prowadziła peleton. Nie zmniejszała tempa ani na chwilę, pokonując kolejne wzniesienia i przesmyki. Było tak przez wiele kilometrów. W tym samym czasie starałem się wszystkich przekonać, że jestem naprawdę wyczerpany. Popijałem wodę z butelki, opierałem głowę na piersi, podnosiłem się z siodełka, z największym trudem kręcąc pedałami.

Kolega z drużyny, Jose Luis „Chechu" Rubiera, podjechał do samochodu i wziął kilka dodatkowych butelek z wodą na wypadek, gdybym jej potrzebował.

- Armstrong musi mieć z pewnością jakieś problemy - relacjonował Sherwen. -

...Armstrong pije dziś strasznie duże ilości płynów.

Johan zapytał Chechu, jak naprawdę się czuję.

- Ach, jedzie jak na skrzydłach - odpowiedział Chechu. - Czuje się znakomicie.

Jeden z dziennikarzy telewizyjnych podjechał na motocyklu do samochodu Johana, aby przeprowadzić z nim krótki wywiad. Johan wiedział, że cokolwiek powie, zaraz zostanie to przekazane innym drużynom, które śledzą wiadomości z przebiegu wyścigu.

- Nie wiem, co się stało - powiedział Johan. - Nie jest to normalne u Lance'a. Nie widziałem go jeszcze w takim stanie. Pozostali kolarze z drużyny również nie są w najlepszej formie. Postawiliśmy sobie teraz jeden cel: dojechać do mety.

Jadący na przodzie zawodnicy Telekomu narzucili jeszcze szybsze tempo. Przejechane kilometry dawały o sobie znać. Wszyscy czuli je w nogach. Pokryte zielenią wzniesienia stawały się coraz bardziej strome. Droga zwężała się, a ściany skalne przybliżały się do naszych ramion, w oddali rozciągały się lodowce, dobrze widoczne z zakrętów.

Sprawozdawcy nieprzerwanie przekazywali użyteczne komentarze na temat mojej kiepskiej formy.

- Armstrong jedzie na samym końcu. Nie wygląda dobrze. Czy zgubi peleton? Nie powinien do tego dopuścić. Jest to wyraźnie okropny dzień dla tego kolarza.

Mijaliśmy kolejne duże wzniesienie, Col du Glandon, i pokonywaliśmy najpiękniejszy zjazd w całym Tour de France, zostawiając za sobą sztuczne jezioro, rozciągające się na dnie falującej, zielonej doliny, nad którą górowały postrzępione, pokryte śniegiem szczyty.

- Nie sądzisz, że nadszedł czas, aby ruszyć do przodu? - zapytał Chechu.

- Poczekaj - powiedziałem i dodałem po hiszpańsku: - Miramos, esperamos, decidimos, atacamos. - Co oznaczało: zobaczymy, poczekamy, zdecydujemy i wtedy zaatakujemy.

Minąwszy Glandon, przesunąłem się na dwunastą pozycję. Jechaliśmy skrajem jeziora, wzdłuż olbrzymiej granitowej ściany. Zmieniające się temperatury dawały nam się we znaki; w dolnych partiach było gorąco, natomiast na szczytach zimno, ta różnica temperatur powodowała, że mięśnie pracowały z trudem.

Do tego momentu liderem etapu był Francuz, Laurent Roux, za nim jechał Ullrich. Miałem ponad siedem minut straty do prowadzącego.

- Trochę do przodu? - zapytał Chechu. - Nie powinieneś przesunąć się trochę do przodu?

- Chechu - powiedziałem. - Miramos, esperamos, decidimos, atacamos.

Johan podjechał do drużyny. Skonsultowałem z nim strategię osobiście. Johan

wysunął głowę przez okno. Zbliżyłem się do auta. Z czasem nauczyłem się trochę flamandzkiego od Johana i kiedy jechaliśmy niemal głowa przy głowie, rozmawialiśmy trochę po angielsku, trochę po flamandzku.

- Okay, wygląda to nieźle - powiedział. - Wszystko idzie doskonale. Zaatakujesz, gdy dotrzemy do podnóża Alpe d'Huez. Ale wtedy musisz dać vollebak.

Vollebak oznacza „pełny gaz", czyli gaz do dechy.

- Vollebak - powtórzył. - Zrozumiałeś?

- Zobaczysz taki vollebak, jakiego jeszcze nigdy nie widziałeś. Będzie to prawdziwy vollebak - odparłem.

Dołączyłem do Chechu. Dojeżdżaliśmy do Alpe d'Huez. Ullrich wciąż jechał na przodzie.

- Teraz? - zapytał Chechu.

- Tak - odpowiedziałem. - To będzie widok.

Przesunęliśmy się na początek peletonu. Kiedy przyśpieszyliśmy, stojące przy drodze ogromne tłumy kibiców były gotowe się rozchodzić.

Przemknęliśmy przez most i minęliśmy spieniony wodospad. Pokonaliśmy długi zakręt w lewo - i dotarliśmy do stóp góry. Droga podnosiła się gwałtownie.

Przede mną jechał Ullrich.

Dogoniłem go i siadłem mu na kole.

- Armstrong rozgrywa chyba dziś niewiarygodną partię pokera, jadąc za peletonem i pozwalając innym wykonać czarną robotę - relacjonował Sherwen.

Jechałem tuż za rowerem Ullricha. Obok mnie pedałował Chechu.

Aż do tej chwili Ullrich był przekonany, że jestem wyczerpany. Przez cały dzień dochodziły do niego wiadomości, że coś mi dolega i że nie jestem w formie. A teraz jechałem tuż za nim.

Minąłem go.

Celowo obejrzałem się za siebie. Przez długą chwilę wpatrywałem się w przeciwsłoneczne okulary Ullricha.

To bardzo ważne dokładnie obejrzeć twarz rywala: zobaczyć jego usta, to, jak się poci, a nawet to, czy mruży oczy pod okularami. Z takiego spojrzenia możesz się wszystkiego dowiedzieć: czy jest zmęczony, czy jest w dobrej formie, ile jeszcze zostało mu wigoru. Ullrich był wyraźnie wyczerpany. Jego słuchawka swobodnie zwisała, miał rozsunięty zamek koszulki i otwarte usta.

Przyglądałem się Ullrichowi dość długo. Kibice twierdzili później, że z niego

szydziłem. Gapiłem się uporczywie na niego, jakbym chciał mu powiedzieć: „Cały dzień bawiłem się z tobą. Dopiero teraz zaczął się prawdziwy wyścig. Złap mnie, jeśli potrafisz". Tak naprawdę obserwowałem, w jakiej formie są inni kolarze. Nie obserwowałem tylko Ullricha - patrzyłem, co dzieje się za nim. To, co zobaczyłem, utwierdziło mnie w przekonaniu, że właśnie nadszedł czas na mój ruch.

Popatrzyłem przed siebie. Stanąłem na pedały i pojechałem jak burza.

Już mnie tam nie było. W ciągu kilku sekund zniknąłem z pola widzenia zawodnika Telekomu. Była to szokująca taktyka, opracowana naprędce, ale bardzo skuteczna. Moje przyspieszenie wytrąciło z równowagi Ullricha, który nie był w stanie mnie dogonić.

Podniecony Johan krzyczał przez radio.

- Jest daleko! Jest daleko!

Stale zwiększałem przewagę nad Niemcem, rytmicznie poruszając pedałami. Między mną a metą był już tylko jeden zawodnik, Laurent Roux, który, docierając do podjazdu, miał siedmiominutową przewagę. Minąłem go.

Patrzyłem tylko na drogę. Poza nią nic mnie nie interesowało. Myślałem o kolejnym ostrym zakręcie. Mniej więcej w połowie wzniesienia zobaczyłem, przynajmniej tak mi się wydawało, Chrisa Carmichaela, który stał na zboczu góry i uśmiechał się jak idiota. Zapamiętałem, że miał na sobie parę żarówiastych, niebieskich butów firmy Oakley.

Przejechałem metę. Uśmiechnąłem się i podniosłem do góry ramiona, zaciskając jednocześnie pięści. Zrobiłem to tak energicznie, że o mało nie spadłem z roweru. Pokonanie górskiego etapu zajęło mi sześć godzin i dwadzieścia trzy minuty.

Zahamowałem i zsunąłem się z roweru zupełnie wyczerpany. Wygrywaliśmy jeden z najsłynniejszych etapów Tour de France, choć tego dnia nikt się nie spodziewał, że zostanę zwycięzcą. Przyzwyczaiłem wszystkich do agresywnej jazdy i zmyliła ich nasza taktyka. Ogarnęło mnie dziwne uczucie satysfakcji, jak to się zdarza po wygraniu etapu. Nie mogliśmy już więcej przyjąć takiej strategii - ale tym razem przyniosła znakomity rezultat.

Carmichael później odwiedził mnie w hotelu. Zapytałem go wówczas:

- Nosisz te okropne buty? Widziałem cię w nich. Carmichael, jak możesz coś podobnego włożyć na nogi?

* * *

Chciałem zdobyć żółtą koszulkę. Chciałem ją włożyć i pokazać synowi, aby mógł powiedzieć:

- Żu -żu, tatuś.

Wciąż jednak zajmowałem dalsze pozycje. Mimo zwycięstwa w Alpe d'Huez lider wyścigu, Simon, nie został pokonany.

Luke i Kik przyjechali następnego dnia, aby zobaczyć, jak wygrywam romantyczny, górski odcinek jazdy indywidualnej na czas, którego trasa wiodła od narciarskiego miasta, Grenoble, do ośrodka sportów zimowych w Chamrousse. Dzięki temu zwycięstwu przesunąłem się w klasyfikacji generalnej na trzecie miejsce, doganiając powoli Simona. Ale tego dnia zdarzyło się jeszcze coś, co miało większe znaczenie.

Na mecie spotkałem się z Kik i razem poszliśmy do hotelu. Przed obiadem mogliśmy spędzić kilka minut tylko we dwoje w moim pokoju. Wtedy Kik wyciągnęła kopertę. Znajdowały się w niej wyniki badań ultrasonograficznych, stwierdzające płeć bliźniąt, które Kik nosiła pod sercem.

Gdy jesienią postanowiliśmy podjąć następną próbę zapłodnienia in vitro, wiedzieliśmy, że część procedury Kik będzie musiała przejść sama ze względu na mój kalendarz treningowy. Wcześniejsza próba zajścia w ciążę przez Kik była dokładnie zaplanowana. Podjęta została w czasie, gdy nie biorę udziału w żadnych wyścigach, po to, abym mógł towarzyszyć jej podczas wszystkich wizyt lekarskich. Tym razem nie mieliśmy jednak wyboru; ponieważ pragnęliśmy mieć następne dziecko, Kik musiała podjąć próbę zapłodnienia in vitro w trakcie mojego wyścigu. Okazało się, że kiedy nie było mnie przy niej, po prostu zaszła w ciążę - a badania wykazały, że są to bliźnięta. Nie chcieliśmy, aby resztę informacji otrzymała tylko Kik. Nie chcieliśmy też rozmawiać o tym przez telefon.

Kik poprosiła lekarza, aby wynik badań zapisał na kartce, włożył do koperty i zakleił. Przez kilka dni trzymała ją na biurku, w końcu zapakowała do plecaka.

Zapadał piękny alpejski wieczór, gdy siedzieliśmy w hotelowym pokoju z widokiem na całą miejscowość. Patrząc przez okno, widzieliśmy rodziców Kik, którzy siedzieli poniżej w kawiarnianym ogródku, pili kawę i odpoczywali w towarzystwie Billa Stapletona, Barta Knaggsa i Luke'a, biegającego po trawniku.

Kik wyjęła kopertę z plecaka. Powiedziała, że ze zdenerwowania pocą się jej ręce.

- Podaj mi ją - poprosiłem.

Gdy brałem kopertę, Kik zachichotała. Otworzyłem ją, przez chwilę gapiłem się na kartę, a następnie odchyliłem głowę i wybuchnąłem gromkim śmiechem.

- Pokaż mi to, pokaż mi to - mówiła Kik.

Drażniłem się z nią przez chwilę, trzymając kartkę wysoko w górze, ale wreszcie dałem ją żonie. Kik spojrzała na kawałek papieru i zobaczyła cyfrę 2 oraz literę „g". Wpierw

odczytała ją opacznie, sądząc, że oznacza „garcons” - czyli po francusku: „chłopcy”. Wtedy spojrzała jeszcze raz i zrozumiała, że „g” to „girls” - czyli „dziewczynki”.

- Dwie dziewczynki, moje gratulacje - Kik zapiszczała z radości.

Byliśmy zaskoczeni. Nie przewidywaliśmy takiego obrotu sprawy. Przyjąłem z radością wiadomość, że będą to bliźnięta; byłem zafascynowany możliwością obserwowania tkwiących w nich różnic i podobieństw. Rozmawialiśmy o dwóch chłopcach lub chłopcu i dziewczynce, ale nie przyszło nam do głowy, że możemy mieć dwie dziewczynki bliźniaczki. Teraz znaliśmy już prawdę i byliśmy podekscytowani. Bartowi Knaggsowi i jego żonie, Barbarze, również urodziły się bliźniaczki. Miały miękkie, śmieszne blond włosy, a Bart nauczył je mówić: „Jestem geniuszem!” Teraz, gdy mieliśmy własne bliźnięta, wydało mi się to pięknym dopełnieniem naszej rodzinnej chemii: posiadać dwie dziewczynki, będące kopiami Luke’a.

Uścisnąłem Kik, wystawiłem głowę na korytarz i krzyknąłem na całe gardło, chcąc się podzielić tą wiadomością z moimi kolegami. Po czym podszedłem do okna, otworzyłem je, zawisłem nad trawnikiem i znów krzyknąłem.

- Hej, Ethel! - wrzeszczałem do matki Kik. - Tak! - odpowiedziała, patrząc w górę.

- Dwie dziewczynki! - krzyknąłem.

Wszyscy siedzący na tarasie poruszyli się. Przekrzykiwali się i pozdrawiali nas. Ethel nie mogła powstrzymać łez. Kik również się rozpłakała. Staliśmy we dwoje przy oknie i machaliśmy kawałkiem papieru. Nieco później zeszliśmy na dół, aby zjeść wspólny obiad i wznieść toast za nasze córki.

Rodzinna wizyta była dla mnie tylko krótkim wytchnieniem w wyścigu. Trasy kilku następnych etapów wiodły przez Pireneje. Była to całkiem inna sceneria; u podnóża Alp leżą miasta przemysłowe z blokami mieszkalnymi przypominającymi drapacze chmur, a w wyższych partiach znajdują się ośrodki narciarskie, Pireneje zaś są dziksze i mniejsze, mają jednak w sobie więcej dramaturgii, charakterystyczne dla nich są długie, zielone doliny, nad którymi górują szczyty w śnieżnych czapach. Górskie odcinki zbierały kolejne ofiary. Następny kolarz, Christophe Moreau z Francji, nie mogąc ukryć rozczarowania, rzucił swoim rowerem o jezdnię i z powodu problemów z płucami zrezygnował z dalszej jazdy.

Ullrich wciąż deptał mi po piętach, a ja jemu. Niekiedy jechaliśmy ramię w ramię. On zwykle używał wysokich biegów. Ja stawałem na pedały i wolałem niższe. Nasze odmienne techniki jazdy były dla wszystkich czytelne: Niemiec robił 75 obrotów na minutę, a ja 90. Ullrich przypominał dużą, kołyszącą się panterę, podczas gdy ja - jak ktoś to powiedział - wyglądałem jak wdrapujący się na drzewo kot.

Simon wciąż miał nad nami 13 minut przewagi i zajmował pierwsze miejsce. Jednak trasa wiodąca przez Pireneje obejmowała trzy ciężkie górskie etapy. Trzeba było także pokonać 11 niezwykle trudnych podjazdów. Wiedzieliśmy, że nadejdzie taki dzień, kiedy Simon się załamie, i przypuszczaliśmy, że nastąpi to na ogromnie nużącym, wiodącym cały czas pod górę, etapie, zwanym Pla d'Adet, liczącym 194 kilometry, w czasie którego kolarze wspinają się na sześć górskich szczytów.

Na trasie etapu było miejsce, w którym zginął podczas zjazdu ze szczytu w Tour de France w 1995 roku mój stary przyjaciel, Fabio Casartelli. Stoi tam piękny, marmurowy pomnik, wzniesiony dla uczczenia jego pamięci. Zatrzymałem się przed nim podczas wiosennego treningu. Okrywała go mgła. Pozostali kolarze U.S. Postal minęli to miejsce, ale ja stałem tam przez dobrych kilka minut. Ilekroć znajdę się przed tym pomnikiem, wracają wszystkie wspomnienia z przejechanych wspólnie tras. Pamiętam, jak po wypadku szlochałem w hotelowym pokoju.

Podczas wyścigu nie miałem czasu na rozmyślania. Zajmowały mnie inne sprawy: Ullrich, Simon, zdobycie żółtej koszulki oraz trudne podjazdy i niebezpieczne zjazdy.

Przed ostatnim wzniesieniem doszło do dramatycznego zdarzenia, które przypomniało, jak niebezpieczne i tragiczne może być kolarstwo. Pędziłem tuż za Ullrichem na trudnym zjeździe z szybkością 80 kilometrów na godzinę. Pokonywaliśmy liczne wiraże, co przy tej szybkości jest bardzo ryzykowne. Szosę na zakrętach pokrywała warstwa żwiru i bardzo łatwo można było wpaść w poślizg.

Ullrich obejrzał się za siebie, szukając kolegów z drużyny, i zaczął szamotać się z mikrofonem. Złapał go jedną ręką i coś do niego mówił. Potem przysunął mikrofon bliżej ust i pochylił głowę. Jest nie lada sztuką prowadzić rozmowę i zjeżdżać z dużą szybkością ze wzniesienia przy silnie wiejącym wietrze.

Zbliżał się kolejny zakręt.

Ullrich nie zauważył go.

„Ach - pomyślałem i nacisnąłem dźwignie hamulców. - Powinien przyhamować - przeszło mi przez myśl. - Dlaczego nie hamuje?".

Ullrich podniósł głowę, ale było już za późno. Przeleciał przez barierkę i wpadł prosto w przepaść. Całe zdarzenie trwało ułamek sekundy.

Był to straszny widok. Nigdy nie zapomnę, jak Ullrich głową do przodu leciał nad urwiskiem.

„Koniec z Ullrichem" - pomyślałem. Natychmiast zwolniłem i zapytałem Johana przez radio, w jakim stanie jest Ullrich.

Gdy zwolniłem, zwolnili także inni zawodnicy. Kevin Livingston zjechał na pobocze i zatrzymał się.

- Poczekamy - zwróciłem się do innych kolarzy. - Musimy na niego poczekać.

Po chwili Johan podał mi przez radio, że widział, jak Ullrich wydrapywał się z przepaści, prawdopodobnie cały i zdrowy. Na szczęście Niemiec upadł na trawiasty brzeg stromego wąwozu. Kiedy znalazł się na drodze, podniósł z niemałym trudem rower i dołączył do peletonu.

Jechałem wolno, czekając na Ullricha. Tak nakazywały kolarskie zwyczaje. Amerykańscy kibice może tego nie rozumieją, ale zwyczaje są niezwykle ważne w sporcie i każdy liczący się kolarz zrobiłby to samo na moim miejscu.

Ullrich zasługiwał na szacunek peletonu. Nigdy się nie poddawał. Nawet jeśli miał gorszy dzień, uparcie atakował. Nigdy nie zdołałem mu uciec. Nawet jeśli bardzo się starałem, zawodnik Telekomu zawsze był tuż przy mnie, niechętnie oddając prowadzenie. Trzeba szanować najtwardszego przeciwnika: im twardszy przeciwnik, tym większymi umiejętnościami można się wykazać.

Kiedy Ullrich dogonił mnie, zapytałem:

- W porządku? Niemiec skinął głową.

- Tak - odpowiedział.

Wówczas przyśpieszyliśmy. Jechaliśmy w równym tempie, ramię w ramię, rozdzieliliśmy się dopiero sześć kilometrów przed metą.

Znałem dobrze ostatni podjazd do Pla d'Adet: wiosną pokonywałem go trzykrotnie w różnych warunkach pogodowych, opracowując taktykę jazdy na stromych odcinkach. Jeden ze stoków umożliwiał zdobycie znacznej przewagi nad pozostałymi kolarzami. Byłem gotowy do ataku. Choć szanowałem Ullricha i cieszyłem się, że nic mu się nie stało, chciałem jednak uwolnić się od jego towarzystwa. Pragnąłem zdobyć żółtą koszulkę, a wygrywając etap, mogłem dopiąć swego. „Żu -żu, tatuś" - pomyślałem.

Gdy dotarliśmy do ostatniego podjazdu, wstałem z siodełka i ruszyłem do ataku. Ullrich początkowo nie zareagował. Po kilka sekundach oddaliłem się od niego o 100 metrów. Jednak Niemiec nie dał tak łatwo za wygraną, pochylił głowę i ruszył za mną.

Jechałem samotnie. Po 800 metrach minąłem Laurenta Jalaberta z Francji, ostatniego kolarza, który jechał przede mną.

- Jechał bardzo lekko. Był to piękny widok - powiedział później Jalabert o moim finiszu.

Jalabert się mylił, wcale nie było lekko. Gdy mięśnie dotykają kości, ból jest nie do

zniesienia. Po prostu udawałem, że go nie czuję. Kontrolowałem swoje reakcje. Wiedziałem, że kiedy mijany zawodnik widzi swojego rywala, będącego po całym dniu jazdy w wyśmienitej formie, bardzo upada na duchu. Zostaje wtedy pokonany nie tylko fizycznie, ale także psychicznie - to uczucie doskonale znane wśród kolarzy.

Wszystko bolało mnie strasznie. Gdyby mi się lepiej przyjrzano, zobaczono by nabiegłe krwią oczy, bo Tour de France to ogromny wysiłek. Może radziłem sobie z bólem lepiej niż inni zawodnicy, ale zawdzięczałem to długim, ciężkim, całorocznym treningom. Byłem dobrze przygotowany, wiedziałem, które odcinki są najtrudniejsze, nauczyłem się też rozkładać odpowiednio siły i unikać wypadków. Mimo to jazda sprawiała mi ból.

Samotnie minąłem metę. Upadłem na ziemię zupełnie wyczerpany. Byłem nowym liderem Tour de France. Zrobiliśmy dokładnie to, o co prosił Johan: atakowaliśmy przy każdej nadarzającej się okazji - i osiągaliśmy doskonałe rezultaty. Wygraliśmy trzy z czterech ostatnich etapów, nadrobiliśmy 35 minut i zyskaliśmy 24 miejsca w rankingu. Tylko w ciągu dwóch dni sam nadrobiłem 22 minuty. Był to absolutny rekord z uwagi na tak dużą stratę do nadrobienia.

Johan podjechał samochodem. Był uradowany. Tego dnia miał jeszcze pasażera, Phila Knighta, współzałożyciela firmy Nike. Knight był właściwie na wszystkich większych imprezach sportowych na świecie, widział niezliczoną liczbę sytuacji mrożących krew w żyłach, ale nigdy wcześniej nie obserwował z bliska Tour de France. Kiedy wysiadł z samochodu, był wyraźnie oszołomiony tym, co zobaczył: kolarzy w kolorowych strojach, wzloty i upadki zawodników, strome podjazdy pokonywane w przypiekającym słońcu. Spojrzałem na Knighta i wiedziałem, że dzięki nam stał się nowym entuzjastą kolarstwa.

- Był to najwspanialszy dzień w sporcie, jaki przyszło mi przeżyć - stwierdził Knight.

Kiedy w końcu włożyłem żółtą koszulkę, poczułem wielką ulgę - tak długo o nią walczyłem.

Pokonując pozostałe odcinki Pirenejów, dalej prowadziłem z Ullrichem epicką bitwę, nie zważając na cieknący ciurkiem pot i ostre, górskie słońce. W czasie ostatniego górskiego etapu po przebyciu masywu górskiego, Col du Tourmalet, wznoszącego się na wysokość 2111 metrów n.p.m., Ullrich ruszył do przodu, prosto do mety. Tuż za nią wyciągnął rękę, jakby chciał mnie pociągnąć za sobą. Chwyciłem jego dłoń.

Nie wiem dokładnie, co miał ten gest wyrażać. Wydaje mi się, że był to znak przyjaźni. Podczas wyścigu dawaliśmy z siebie wszystko, może chciał mi w ten sposób pogratulować. Po tym etapie Ullrich zrezygnował z walki o pierwsze miejsce. Miałem nad nim pięciominutową przewagę, zapewniającą mi pewne zwycięstwo - moim zadaniem było

zachować tę przewagę do Paryża.

- Poddaję się - powiedział Jan. - W tym roku nie mam już szans wygrać z Lance'em. Nie wiem, czy popełniłem jakiś błąd. Pokonałem jednak wielu innych kolarzy.

Zwycięstwo miałem zapewnione. Przed wstąpieniem na podium musiałem jeszcze załatwić jedną sprawę: oczyścić się z podejrzeń o doping. Sprawa ta nie dawała mi spokoju od wielu miesięcy i odżyła na nowo w czasie wyścigu. W „L'Equipe" pojawił się artykuł pt. CZY MUSIMY WIERZYĆ W ARMSTRONGA?, w którym napisano: „Krąży zbyt wiele plotek, budzi się zbyt wiele podejrzeń. On zarówno wprawia w podziw, jak i wywołuje niechęć". W trakcie wyścigu niektórzy francuscy kibice gwizdali na mój widok.

Należało do zwyczaju, że posiadacz żółtej koszulki zwoływał konferencję prasową jeszcze przed przybyciem do Paryża. Wszyscy czekali na moment, kiedy zrobię to samo. Chciałem stawić czoło sceptykom oraz oskarżycielom, patrząc im prosto w oczy. Chciałem odpowiedzieć na zarzuty, chciałem też zapewnić wszystkich o mojej niewinności.

Na konferencję przybyło około 300 dziennikarzy. Ponad godzinę odpierałem wysuwane przeciwko mnie zarzuty.

- Żyję dzięki przestrzeganiu zasad - powiedziałem. Jednocześnie podkreśliłem, że podczas ostatniego Tour de France wykonano mi nie mniej niż trzydzieści testów i żaden z nich nie dał wyniku pozytywnego. - To właśnie jest dowód - zwróciłem się do jednego dziennikarza. - Tylko pan nie chce w to uwierzyć.

Dodałem też, że nigdy nie stosowałem takich środków jak erytropoetyna czy ludzki hormon wzrostu, ponieważ nie wystawiałbym swojego organizmu na szwank po tym, co przeszedłem podczas choroby.

- Daję z siebie wszystko - powiedziałem. - Moje osiągnięcia to rezultat ciężkiej pracy; tego, że trenowałem, nie zważając na pogodę, nawet wówczas, gdy inni odpoczywali po sezonie. Przygotowywałem się w Alpach, kiedy w górach leżał jeszcze śnieg. - Nie zauważyłem jednak, aby trenowali tam inni kolarze - stwierdziłem. - Niewinny nie może dowieść swojej niewinności. A czy wy możecie udowodnić, że jest inaczej? - zapytałem.

Wtedy wstał kolejny dziennikarz i zapytał mnie o włoskiego lekarza, Michela Ferrariego. Trwające śledztwo dotyczyło również jego. W 1994 roku wypowiedział niefortunne zdanie, które zostało źle zrozumiane. Stwierdził wówczas, że erytropoetyna „nie jest bardziej szkodliwa niż sok z pomarańczy". Kiedy zbadano jego akta, znaleziono w nich moje nazwisko. Dla niektórych było to kolejnym dowodem na to, że byłem koksiarzem.

Wyjaśniłem, że znałem Michela Ferrariego; był moim przyjacielem, od czasu do czasu konsultowałem z nim formę treningów. Nie był moim głównym konsultantem, ale należał do

wąskiego grona osób, które naprawdę rozumiały, na czym polega kolarstwo. Dlatego czasami korzystałem z jego rad. Poradził mi, abym trenował w wysokich górach, i dał mi kilka wskazówek dotyczących diety. (Ferrari, bez względu na to, co inni o nim sądzą, był doskonałym analitykiem. Świetnie rozumiał, jakie znaczenie ma skoordynowanie osiągnięć techniki z prawami fizjologii. Takich osób jest niewiele. Poza tym z Ferrarim można było porozmawiać o wszystkim: o ogniwach łańcucha i watach. Na tym, o czym mówił, znał się naprawdę dobrze. Posiadał bardzo szeroką wiedzę i właśnie za nią bardzo go ceniłem.)

Nie miałem zamiaru pogrążać Michela ani przepraszać za to, że go znałem. Powiedziałem tylko, że do tej pory nie ma żadnych dowodów potwierdzających jego winę. Podczas dochodzenia przywołano fakt, że kilka lat wcześniej Ferrari leczył kolarza, Filippo Simeoniego, któremu później udowodniono przyjmowanie środków dopingowych.

- Jest niewinny - powiedziałem - dopóki sąd nie udowodni, że jest inaczej.

Dziennikarz zapytał mnie, jak mogę pogodzić swoje stanowisko potępiające stosowanie dopingu z utrzymywaniem znajomości z Ferrarim.

- To mój wybór - odparłem. - Wierzę, że to uczciwy i odpowiedzialny człowiek. Wierzę, że jest niewinny. Poczekajcie do zakończenia sprawy sądowej. Nie mogę oskarżać człowieka, który w trakcie naszej znajomości nie zrobił nic złego.

Stwierdziłem, że procedury prawne stosowane w kolarstwie pozostawiają wiele do życzenia, czego najlepszym dowodem jest mój przypadek.

- Kolarstwo znajduje się pod szczególnym nadzorem - dodałem. - Muszę się z tym pogodzić i wcale mi to nie przeszkadza. Smuci mnie jednak to, że Tour de France stał się imprezą, w której zawodnicy znajdują się ciągle w kręgu podejrzeń.

- To jest wyścig - powiedziałem - nie powinien stać się sądem. Wstałem i oświadczyłem na zakończenie konferencji:

- Wychodzę stąd jako uczciwy człowiek, szczęśliwy człowiek, i mam nadzieję, przyszły zwycięzca.

Opuściłem salę, w której odbywała się konferencja.

- Musiałem to powiedzieć - wytłumaczyłem Billowi po drodze.

Jazda do Paryża obyła się bez żadnych niespodzianek: nikomu nie przytrafił się wypadek, media również się uspokoiły. Po prostu jechaliśmy i napawaliśmy się widokiem bezkresnych, słonecznikowych pól.

Wreszcie przejechaliśmy metę na Champs-Elysees. Całą trasę, liczącą prawie 3460 kilometrów pokonaliśmy w 86 godzin 17 minut i 28 sekund. Odczuwałem wielką satysfakcję, ponieważ wyścig wygraliśmy zarówno dzięki naszej sile, jak i zastosowanej taktyce. Ekipa

U.S. Postal okazała się najbardziej zgranym i dojrzałym zespołem.

Kapitan grupy Ullricha, Rudy Pevenage, wypowiedział pod naszym adresem zabawny komplement:

- Czekaliśmy, kiedy Armstrong będzie miał zły dzień, ale wygląda na to, że jedynym złym dniem będzie ranek w Paryżu, gdy obudzi się na kacu.

* * *

Treningi i ściganie się na zawodach są ze sobą w ścisłym związku. Gdy przyglądam się zależności między nimi, nasuwa mi się wniosek - ciężka praca daje zwycięstwo. Wyścig to proste przedsięwzięcie, ze startem i metą, którego wynik zależy od umiejętności. Wygrywasz lub przegrywasz. Te dwa słowa pozwalają odpowiedzieć na pytanie, kim naprawdę jesteś. Co jeszcze można dodać w tej kwestii?

Nic - w szczególności po 11 września.

Wróciłem do Stanów Zjednoczonych i na kilka dni zatrzymałem się w Nowym Jorku. Zniknąłem na jedno popołudnie, tak że nikt nie mógł mnie znaleźć. W końcu wróciłem do hotelu.

Jeździłem rowerem po Central Park.

Kochałem Nowy Jork; to wielkie fosforyzujące miasto szczególnie przypadło mi do gustu. Znałem je na wylot, ponieważ zatrzymywałem się tam, ilekroć udawałem się do Europy. Spacerowanie czy jeżdżenie na rowerze po Nowym Jorku przypominało pokonywanie toru z przeszkodami i dawało poczucie, że jednak coś umiem. Kiedy raz pokochasz Nowy Jork, z czasem miłość do tego miasta wzrasta, staje się też bardziej złożona niż uczucie do innych miejsc.

Mówi się, że wydarzenia 11 września dotknęły wszystkich. To prawda. Dotknęły jednak przede wszystkim nowojorczyków.

Tamtego ranka byłem w domu w Austin i jak większość ojców oglądałem z moim synkiem Ulicę Sezamkową. Zadzwonił telefon. Podniosłem słuchawkę i usłyszałem Billa Stapletona.

- Przełącz na wiadomości - powiedział.

Przełączyłem na kablowy kanał informacyjny i nie mogłem uwierzyć w to, co zobaczyłem. Siedziałem wytrącony z równowagi i gapiłem się w okropnie zniekształconą sylwetkę miasta.

Niedługo po 11 września zadzwonił do mnie przedstawiciel Czerwonego Krzyża z

pytaniem, czy mógłbym przyjechać do Nowego Jorku, aby podnieść na duchu strażaków i innych ratowników - miała to być również forma podziękowania za ich poświęcenie. Zgodziłem się natychmiast - nie byłem pewien, czy moja wizyta w Nowym Jorku pełna dobrej woli jest czymś wielkim, ale nie chciałem bezczynnie siedzieć w domu w Teksasie - zaproszenie było dla mnie szansą zrobienia czegoś dobrego. Postawiłem tylko jeden warunek: nie chcę rozgłosu, żadnej prasy.

Poprosiłem Barta Knaggsa, aby poleciał ze mną i wieczorem 20 września udaliśmy się do Nowego Jorku. Wszystkie większe lotniska były wciąż zamknięte, dlatego też wylądowaliśmy na prywatnym lotnisku w White Plains. Pamiętam, że kiedy lecieliśmy nad miastem, w głośnikach zamontowanych w kabinie dla pasażerów rozbrzmiewała piosenka AC/DC, pt. Back in Black - naprawdę wszystko rysowało się w czarnych kolorach. Na lotnisku powitali nas mój znajomy z firmy Nike, Dave Mingey, oraz przedstawiciel Czerwonego Krzyża; obaj odpowiadali za przygotowania do wizyty w mieście.

Udaliśmy się prosto na pomost nad rzeką Hudson, gdzie zorganizowano tymczasowe centrum dowodzenia. Przypominało ono konferencję biznesową, w której uczestniczyło mnóstwo ludzi. Pracownicy departamentu straży pożarnej, funkcjonariusze straży przybrzeżnej, przedstawiciele związków zawodowych przemysłu stalowego, oficerowie FBI - wszyscy gorączkowo krzątali się dookoła, kierując akcją ratowniczą.

Spotkałem się z kilkoma pracownikami Czerwonego Krzyża i gapiłem się na ścianę wyklejoną zdjęciami. Wszędzie wisiały fotografie zaginionych: przyjaciół, członków rodziny, mężów, synów, kuzynów. „Proszę, zadzwoń" - głosiły podpisy. Nigdy nie widziałem czegoś podobnego. Na jednym afiszu, przedstawiającym zdjęcie czworga dzieci, ktoś wypisał kredką prośbę: „Tato, wróć do domu, bardzo za tobą tęsknimy". Nigdy nie przeszło mi przez myśl, że coś takiego zobaczę. Nie chciałbym też nigdy więcej czegoś podobnego widzieć.

Najbardziej uderzyła mnie wiara, która towarzyszyła piszącym takie słowa. Nie bacząc na rozmiar zniszczenia, ludzie nie poddawali się i nie opuszczała ich nadzieja na to, że mąż, żona czy córka przeżyli i wrócą do domu. Stojąc przed strasznym pytaniem: „Jeżeli nie ma ich w domu, nie ma w szpitalu, to gdzie są?" - ludzie nie dopuszczali do siebie najgorszego i mieli nadzieję na cudowne ocalenie bliskich.

Następnego ranka, była to sobota, odwiedzaliśmy w towarzystwie przedstawiciela Czerwonego Krzyża jednostki straży pożarnej. Zaczynaliśmy od wschodniej dzielnicy dolnego Manhattanu. Kiedy przekroczyłem próg pierwszej jednostki, poczułem się jak idiota. Byłem niezapowiedzianym gościem; być może strażacy nie mieli ochoty na moją wizytę; może mieli dość takich wizyt. Przed budynek jednostki wciąż przychodzili ludzie, dziękowali,

przynosili jedzenie i podarunki, zostawiali świeczki i przyklejali plakaty na murze. Obawiałem się, że kiedy przyjdę do jednostki, to strażacy powiedzą:

- Czego do cholery chcesz? Wynoś się stąd.

Znalazłem się w jednostce Bowery Station 33, która w akcji straciła jedenastu strażaków. Stałem przez chwilę nieruchomo, nie wiedząc, co mam zrobić. Ale wtedy rozpoznał mnie jeden ze strażaków.

- Pieprzony Lance Armstrong - powiedział, jak przystało na prawdziwego nowojorczyka, uściskał mnie i zaczął wołać kolegów.

Wkrótce otoczyła mnie garstka strażaków. Przywitałem się z nimi.

- Nikt nas nie uprzedził, że nas odwiedzisz - powiedzieli.

Jeden ze strażaków odwrócił się na pięcie i krzyknął na kolegę, który siedział w kuchni. Strażak przyszedł i uścisnął mi rękę. Muszę stwierdzić, że byli bardzo przygnębieni, prawdopodobnie stratą kolegów albo tym, co widzieli, albo jednym i drugim. Rozmawialiśmy krótko o tym, co się stało i co zobaczyli podczas akcji. Opowiadali mi o smrodzie i wysokiej temperaturze, o porozrzucanych po okolicy strzępach ludzkich ciał.

Strażak, wyglądający na najbardziej przygnębionego, okazał się prawdziwym kolarzem.

- Powinniście się spróbować na rowerach - powiedział jeden z kolegów.

Okazało się, że w każdej jednostce było po kilka rowerów, zwykle rozklekotanych, używanych do załatwiania sprawunków. Strażacy spędzają mnóstwo czasu w kuchni, wspólnie gotują i jedzą, i ilekroć potrzebują jakiegoś produktu, któryś z nich bierze rower, jedzie do sklepu, wrzuca zakupy do koszyka zawieszonego z przodu i wraca do jednostki.

Ktoś podał mi rower o grubych oponach. Roześmiałem się i wsiadłem na niego. Strażak i miłośnik kolarstwa w jednej osobie wsiadł na swój i wyjechaliśmy na ulicę. Chciał się ze mną ścigać.

- No, dalej, dalej - powiedział jeden ze strażaków. - Wiesz, on przeżywa trudne chwile. Wszyscy przeżywamy trudne chwile. Ale on naprawdę został mocno doświadczony.

Strażak wystartował, pedałował bardzo ostro. Wyglądało na to, że bierze wszystko bardzo poważnie. Był to dla niego rodzaj ucieczki: móc się oderwać od rzeczywistości i przejechać się na rowerze. Ruszyłem za nim.

Znaleźliśmy się na jednej ze śródmiejskich ulic Nowego Jorku, otoczeni przez ludzi i samochody, ale strażak jechał jak opętany. Pedałował bez opamiętania, gdy starałem się go dogonić. Skręciliśmy na skrzyżowaniu i wróciliśmy do jednostki. Strażak zręcznie mnie wyprzedził na ostatnich metrach. Koledzy głośno krzyczeli i bili brawo zwycięzcy. Na twarzy

strażaka pojawił się szeroki uśmiech.

Zostałem tam jeszcze pół godziny. Potem pożegnałem się i udałem się do następnej jednostki straży pożarnej.

W sumie odwiedziliśmy dziesięć jednostek. Wszędzie panowała podobna atmosfera.

- Mogę to robić przez cały dzień - powiedziałem do Barta. W każdej jednostce znajdowały się duże kuchnie z długimi stołami. Zbierali się w nich strażacy i członkowie poszkodowanych rodzin. Na grafikach niczego nie zmieniono od feralnego dnia. Wciąż widniała na nich data 11/9 oraz nazwiska strażaków pełniących wówczas służbę. Nie wiem, czy do dziś zmieniono grafiki. Zewnętrzne mury budynków jednostek straży pożarnej udekorowano pamiątkowymi świecami, afiszami i kwiatami. Stały wokół nich tłumy ludzi, dziękujących albo tylko przyglądających się w milczeniu, z szacunkiem, jakby znajdowali się w muzeum. Niektórzy sądzą, że bohaterstwo jest odruchem, reakcją na śmiertelne niebezpieczeństwo. Inni zaś uważają, że bohaterstwo to pragnienie, aby coś znaczyć, być pożytecznym. Jest także jeszcze inne, ciche bohaterstwo „codziennej pracy i zapewnienia bytu rodzinie" - jak powiedział burmistrz Nowego Jorku, Rudolph Giuliani, myśląc o ludziach, którzy zginęli w obu budowlach. Pod koniec nowojorskiej podróży doszedłem do wniosku, że bohaterstwo zawiera te wszystkie trzy elementy. Czymkolwiek ono jest, ci ludzie okazali się prawdziwymi bohaterami.

Po południu zostałem zaproszony na spotkanie z Giulianim. Wprowadzono mnie do centrum dowodzenia. Burmistrz wstał i przywitał się. Na jego biurku leżała rozłożona biografia Abrahama Lincolna. Giuliani był wyczerpany i głęboko poruszony, ale całkowicie panował nad sytuacją - po prostu właściwy człowiek na właściwym miejscu. Burmistrz odwrócił się do innego mężczyzny przebywającego w pokoju i przedstawił go: Bill Clinton. Skorzystałem z zaproszenia i wybrałem się z nimi helikopterem nad strefę zero.

Odniosłem wrażenie, że cała dolna część Manhattanu została zamieniona w rumowisko. Wszędzie leżały porozrzucane kawałki metalowej konstrukcji. Fragmenty zburzonych wież znajdowały się nawet na dachach innych budynków. Trudno było objąć jednym spojrzeniem cały ogrom zniszczeń. Kawałki metalu i szkła mieniły się w słońcu. Sam środek strefy zero okazał się piekłem, z tlącymi zgliszczami, z których wystawały metalowe pręty. Obraz zupełnie nie z tego świata. W pobliskich budynkach zawaliły się ściany i wyglądały tak, jakby jakiś olbrzym obdłubał je palcem. Z okna jednego z budynków wystawał dwunastometrowy metalowy dźwigar. Wydawało się, że został tam wrzucony niczym włócznia.

Później udałem się do miejsca, gdzie odpoczywali ratownicy przybyli z całego kraju:

Teksasu, Kalifornii, Ohio - spali na zmianę na łóżkach polowych rozstawionych w wielkiej hali magazynu. Usiadłem i rozmawiałem z nimi, słuchałem, jak opowiadali o swoich doświadczeniach. Wszyscy przyjechali tu po to, aby służyć pomocą. Byli zmęczeni i zdruzgotani. Pracowali bez wytchnienia przez całą dobę. Nie kryli złości. W „New York Post" wydrukowano wielkie zdjęcie Osamy bin Ladena, opatrując je informacją: „POSZUKIWANY ŻYWY LUB MARTWY". Plakaty wisiały w całym budynku. Wówczas dotarło do mnie, że jesteśmy w stanie wojny.

Akcja ratownicza wymagała nadludzkiego wysiłku. Kiedy to zrozumiałem, zdałem sobie sprawę, że dotychczas nie wiedziałem, czym jest ciężka praca. Ponieważ wszystko zostało rozbite w drobny mak, rumowisko mogli przetrząsać tylko wykwalifikowani robotnicy, posługujący się pneumatycznymi wiertarkami udarowymi i innym sprzętem budowlanym; pomagali im spawacze, operatorzy dźwigów i cieśle, a trzeba powiedzieć, że ludzi wykonujących te zawody wcale nie ma tak wielu. Była to ryzykowna praca; robotnicy bez przerwy wyciągali rozgrzane kawałki metali, musieli uważać, aby coś nie spadło im na głowę, a przy tym stale istniało niebezpieczeństwo wybuchu pożaru. Kawałki szkła niczym deszcz spadały na pracujących, a rozżarzone resztki konstrukcji paliły im podeszwy butów. Nie przestawali jednak kopać. Najpierw szukali żywych ludzi, a potem już tylko ciał.

Afisze widniały w oknach sklepików i restauracji, pokrywały parkany i mury budynków. Poszukiwano braci, sióstr, żon, mężów, kuzynów i przyjaciół. Nowojorczycy płakali w taksówkach i pociągach. Czasami zatrzymywali się na środku ulicy i wybuchali płaczem. Codziennie ratownicy i robotnicy wydobywali olbrzymie fragmenty stalowej konstrukcji. Zbliżali się do rozgrzanego rdzenia rumowiska, z którego od czasu do czasu wydobywał się pióropusz dymu. Widok zgliszczy przeszywał serce każdego, wywoływał uczucie przerażenia i trwogi.

Na koniec pojechałem na Union Square. Zobaczyłem tam morze zapalonych świec i wysłuchałem kilku wystąpień uczestników demonstracji pokojowych. Szanowałem ich zdanie, ale nie byłem do niego przekonany, ponieważ w pamięci miałem rumowisko, które widziałem na miejscu. Chciałem wówczas powiedzieć: „Moi przyjaciele, pieprzyć pokój". Trudno było wtedy zdobyć się na uczucie miłosierdzia, trudno było o czymkolwiek innym pomyśleć niż o srogiej i straszliwej zemście - uczuciu najbardziej sprzecznym z duchem Biblii. Gdy podchodziło się pod mur lub parkan i patrzyło na zdjęcia zaginionych albo zbliżało się do strefy zero i czuło wydobywający się z rumowiska smród, myślało się tylko o śmierci. Mimo wszystko, choć z trudem, czułem, że Bóg jest.

Jednak dobro było też tam obecne. Rzeczywiste dobro, przejawiające się w

bezinteresownej pomocy ochotników, pracujących przy przetrząsaniu rumowiska. Chociaż betonowe bloki rozsypały się w pył, a stalowa konstrukcja złożyła się jak harmonijka, pewien ratownik odnalazł w gruzach nietkniętą, dziecięcą zabawkę. Nie wiedziałem, co o tym wszystkim myśleć - o tym, że pasażerowie samolotów, które uderzyły w budynki, modlili się.

* * *

Śmierć jest naturalną koleją rzeczy, ale nawet jeśli wszyscy o tym wiemy, to zachowujemy się tak, jakby mogło być inaczej. Człowiek ma dziwną potrzebę zaprzeczania jej istnieniu. Trudno odpowiedzieć na pytanie, dlaczego negujemy coś, co jest tak oczywiste. Robimy tak chyba dlatego, że musimy wypełniać nasze codzienne obowiązki. W przeciwnym razie paraliżowałaby nas myśl o kruchości życia, nie chodzilibyśmy do pracy i nie jeździlibyśmy na Tahiti.

Zostałem pozbawiony zdolności negowania śmierci, a teraz zostali jej pozbawieni również nowojorczycy. Rozmowa z nimi przypominała dialog z pacjentami, u których niedawno wykryto raka. Mówili o poczuciu bezsilności i o konieczności oswojenia się z nową sytuacją, która zmieniła ich spojrzenie na rzeczywistość. Wizyta w Nowym Jorku przypomniała mi, że wyzdrowienie z choroby nowotworowej następuje stopniowo: najpierw trzeba nauczyć się pokonywać różnego rodzaju przeciwności losu, dopiero później własną chorobę.

Okres ten był dla mnie niezwykle trudny, nie tylko z uwagi na to, co się wydarzyło, ale także i dlatego że zbliżała się piąta rocznica zakończenia terapii nowotworowej oraz termin narodzin bliźniąt. Wcześniej myślałem, że piąta rocznica będzie cholernie wielkim dniem - dniem, kiedy lekarze powiedzą: „W porządku, koleś. Do zobaczenia". Teraz jednak przytłaczały mnie potworność tego, co zobaczyłem w Nowym Jorku, i świadomość obowiązków, łączących się z przyjściem na świat dwojga noworodków. Ponownie na wszystko należało spojrzeć z odpowiedniej perspektywy: na podatki, skandal, plotki, bóle głowy i korki na autostradach, i rozdzielić poważne problemy od drobnych.

Kiedy wreszcie nadszedł czas badań kontrolnych w piątą rocznicę zakończenia terapii nowotworowej, nic wielkiego się nie wydarzyło. Byłem nawet w pewien sposób tym rozczarowany. Kik została w domu. Była wówczas w siódmym miesiącu ciąży. Do Oregonu poleciałem z Billem Stapletonem, łącząc podróż do kliniki ze spotkaniem biznesowym w siedzibie głównej firmy Nike. Tak więc pewnego ranka, jesienią 2001 roku, udałem się do Portland do doktora Nicholsa, pracującego w Oregońskim Uniwersytecie Medycznym, aby

poddać się ostatnim onkologicznym badaniom kontrolnym.

Siedziałem oklapnięty w fotelu samolotu American Airlines, zatopiony w myślach. Zbierało mi się na wymioty. Czułem się fatalnie. Wskaźniki nie obniżały się. Załoga zdążyła mnie już poznać. Byłem łysym facetem, bez brwi i rzęs, o spieczonej skórze. Facetem, który wyglądał jak śmierć - i zresztą, który tak właśnie się czuł.

Między fotelami przechodził steward.

- Jak się. pan czuje? - zapytał.

- Wie pan co? - odparłem. - Nie czuję się najlepiej. Właściwie czuję się okropnie.

Chociaż było to ostatnie badanie kontrolne, moja przygoda z rakiem wcale się nie skończyła. Wówczas byłem bardziej niż kiedykolwiek pewien tego, że nowotwór już na zawsze pozostanie częścią mnie, chociażby jako choroba innych ludzi. Nigdy nie zapomnę o przyjaciołach, którzy chorowali, i o tych, którzy zmarli: nie zapomnę o mojej przyjaciółce, Stacy Pounds, i moim pierwszym wielkim przyjacielu i dobroczyńcy w Austin, J. T. Nealu. Nie zapomnę o chłopcu, Billym Rutledge'u, i uwielbianej przeze mnie dziewczynce, Kelly Davidson.

U Kelly zdiagnozowano nerwiaka niedojrzałego, kiedy była w trzeciej klasie. Spotkaliśmy się i zaprzyjaźniliśmy się w okresie, kiedy nasze choroby były w stanie remisji. Oboje byliśmy pozbawieni włosów i pełni obaw. Oboje też potrzebowaliśmy ruchu, i zawsze mieliśmy dużo do powiedzenia na każdy temat. Ja zdrowiałem, ona, niestety, nie. Jej choroba nawróciła z jeszcze większą siłą. Trudno było jej sobie z nią radzić, ale się nie poddawała. Podarowałem jej rower i łyżworolki, abyśmy mogli wspólnie jeździć po korytarzach szpitala. Kelly była w tym niestrudzona. Jedynie ona mogła mi powiedzieć, co mam robić.

- Przyjedziesz do mnie? - zapytałem pewnego dnia. - Wybierzemy się na wycieczkę rowerową.

- Jasne - odparła. - A potem pójdziemy na ryby. Choroba Kelly postępowała. Przeszła operację nerki. Usunięto jej też guz z brzucha.

- Walcz - mówiłem do niej. - Choroba cię nie pokona. Nie może cię pokonać. Jeśli ktoś mnie kopnie, to nie pozostaję mu dłużny.

Dziecko, które wcześniej przejeżdżało na łyżworolkach pędem obok lekarzy i pielęgniarek, tak bardzo osłabło, że mogło poruszać się tylko na wózku. Wkrótce straciła słuch. Najpierw była to sprawa tygodni, a potem już tylko dni. Została przeniesiona do hospicjum, gdzie wkrótce zgasła.

Telefonowałem do niej z Europy krótko przed rozpoczęciem Tour de France w 2000 roku.

- Mogę coś dla ciebie zrobić? - zapytałem.

- Tak - odpowiedziała. - Włóż dla mnie żółtą koszulkę. Kelly zmarła w sierpniu 2000 roku. Kik i ja pocieszaliśmy ją, staraliśmy się podtrzymywać na duchu, odwiedzaliśmy i zapewnialiśmy, jak bardzo ją szanujemy. Kiedy Kelly odeszła, czuliśmy tylko bezsilność i pustkę.

Byliśmy wówczas w Europie i nie mogliśmy wrócić do domu, ale matka wzięła w naszym imieniu udział w pogrzebie Kelly i przeczytała nad jej grobem list od nas. Nasz smutek po jej stracie został schowany w szkatułce, ukryty w ciemnym lochu, zamknięty na kłódkę i przechowywany bardzo głęboko w nas.

Po powrocie do Teksasu odwiedziliśmy rodzinę Kelly, ale trudno mi było znaleźć właściwe słowa podczas rozmowy. Podziwiałem siłę dziewczynki. Matka Kelly, Jamie, otrzymała pracę w medycznym ośrodku badawczym, a także założyła fundację imienia swojej córki wspomagającą chorych na raka. Kik poszła nawet kiedyś z Jamie na grób dziewczynki. Nie mogłem pójść z nimi. Potem opisała mi to, co tam zobaczyła: ciche miejsce w cieniu drzewa, dużo kwiatów i błyskotek, które ludzie przynosili dla Kelly. Luke i Kik również położyli na jej grobie bukiet kwiatów - żółtych, aby wiedziała, że dostała je od nas.

Nie z własnego wyboru znalazłem się w rodzinie chorych na raka, ale bez względu na powody pokonałem chorobę, podczas gdy tysiącu innych się to nie udało. Próby, którym poddawani są kolarze, to drobnostka w porównaniu z próbą, na którą jesteś wystawiony, kiedy stanie się coś osobie, którą się kocha, i kiedy wymaga się od ciebie, abyś był silniejszy niż faktycznie jesteś. Wszystko, co można zrobić, to starać się wziąć w garść. Nie można jednak uniknąć smutku, który wtedy nas ogarnia.

Tego dnia, gdy odbywały się moje ostatnie badania kontrolne, wstałem wcześnie i wypiłem porcję barytu, co było nieodzowne, aby otrzymać wiarygodne wyniki prześwietlenia i badań tomograficznych. Potem opuściłem hotel i udałem się do centrum medycznego. Bili i mój dobry przyjaciel, pracujący w firmie Nike, Scott MacEachern, poszli ze mną. Wypili kilka filiżanek kawy i ucięli sobie pogawędkę, podczas gdy mnie, ubranemu w szpitalną koszulę, zrobiono zdjęcie rentgenowskie klatki piersiowej oraz tomografię komputerową okolic brzucha i miednicy. Kiedy doktor Nichols przeglądał wyniki, upewniając się, że nie ma powodu do obaw, Scott i Bili wypili kolejną serię kaw. Później pobrano mi krew, aby skontrolować wskaźniki pod kątem nowotworu.

Badania nie były ciężkie, choć niezbyt przyjemne. Trwały nie dłużej niż półtorej godziny. Odhaczyłem wreszcie ostatnią pozycję na tej długiej liście, która przypominała o wszystkim, przez co przeszedłem pięć lat wcześniej: spanie od 16 do 20 godzin na dobę,

pigułki, karta leczenia, w której zapisano terminy i rodzaje aplikowanych terapii. Od razu pomyślałem o wszystkich moich staraniach, aby nie dać się chorobie, o próbach nabycia odpowiedniej wiedzy na jej temat i o walce z bezsilnością. Wróciły wspomnienia o tym, przez co przechodzili moi towarzysze niedoli każdego dnia.

Na koniec doktor Nichols zbadał mnie po raz ostatni. Było to krótkie rutynowe badanie lekarskie, któremu poddawani są wszyscy pacjenci przychodzący do kliniki. Kiedy skończył, usiedliśmy na chwilę.

- Szansę, aby choroba kiedykolwiek nawróciła, są zerowe - powiedział lekarz. - Musisz o tym koszmarze zapomnieć. Musisz zapomnieć, że byłeś kiedyś chory na raka.

Pożegnałem się z Craigem i to wszystko. Tak wyglądał ten wielki moment. Przybiłem piątkę z moimi przyjaciółmi i opuściłem gabinet po raz ostatni. Zadzwoniłem do Kik i powiedziałem:

- Załatwione.

Kik zaczęła piszczeć z radości, nie mogła się powstrzymać. W odpowiedzi również się roześmiałem.

Kiedy wróciłem do Austin, urządziliśmy przyjęcie, aby cieszyć się tym z bliskimi. Do posiadłości położonej w pagórkowatych okolicach Austin, gdzie zamierzaliśmy wznieść dom, zaprosiliśmy około stu osób, przyjaciół i członków rodziny. Posiadłość nazwaliśmy Milagro, co po hiszpańsku oznacza „cud". Na jednym ze wzniesień znajdował się cedrowy zagajnik. Większość terenu sam oczyściłem z zarośli. Wybudowałem również mały pawilon. Dla dzieci przygotowałem spory kawałek trawnika, który łagodnie opadał z okolicznych pagórków. Wykopałem też zbiornik przeciwpożarowy i poszerzyłem drogę dojazdową.

Na czas przyjęcia udekorowaliśmy okolicę kolorowymi światłami i wybudowaliśmy scenę dla mojego przyjaciela, Lyle'a Lovetta, który wystąpił tego dnia. Dołączył do niego, wskakując na scenę, inny nasz dobry znajomy, Shawn (Sunny) Colvin. Goście rozłożyli koce na trawie i odpoczywali. Zajadali się meksykańskimi przysmakami i popijali margaritę. Na koniec wieczoru oboje z Kik wstaliśmy i podziękowaliśmy wszystkim za przybycie. Wyjaśniłem wówczas, dlaczego nazwaliśmy tę posiadłość Milagro. Byłem przekonany, że mój absolutny powrót do zdrowia graniczy z cudem. Kiedyś zastanawiałem się nad tym, czy będę żył. Teraz często mam wrażenie, że to, co mnie spotkało, jest niewiarygodne. Odzyskałem zdrowie, wróciłem do życia, urodził mi się zdrowy syn, Luke, przyjdą na świat bliźnięta, a do tego wszystkiego nauczyłem się patrzeć na świat z zupełnie innej perspektywy.

Tak naprawdę piąta rocznica niczego nie zakończyła. Moja historia podtrzymuje na duchu chorych walczących z nowotworem, ale jest przecież ciągle wielu ludzi, którzy nie

radzą sobie z chorobą, którzy poddają się albo którym brakuje już sił na dalszą walkę. Jak pomóc tym, którym usuwa się grunt spod nóg, którzy zamknęli się w sobie, albo tym, którzy starają się żyć normalnie mimo tego, że utracili kogoś kochanego w Nowym Jorku albo są przed kolejną rundą chemii?

Nie mogę im pomóc, jeśli chodzi o główny problem: pokonanie choroby. Nie jestem również w stanie wpłynąć na charakter dolegliwości. Nie mogę nikomu pomóc. Wszystko, co mogę zrobić, to starać się wspierać ich w walce, umacniać w przekonaniu, że mogą wygrać, próbować z nimi rozmawiać na temat tego, czego nowotwór nie może im odebrać.

Nie może pozbawić ich uczuć i rozsądku. Nie może zniszczyć w nich miłości.

ROZDZIAŁ V

WIATR W OCZY

Kiedy twoja wartość jest stale szacowana, a ty jesteś z tego powodu nagradzany, jak to się dzieje w przypadku sportowca, możesz dojść do mylnego wniosku, że sukces to zupełnie to samo co szczęśliwe życie.

Nikt, kto zawodowo uprawia sport tak jak ja, nie jest niefrasobliwy. Nie pędzę z góry z szybkością 110 kilometrów na godzinę z uśmiechem na ustach. Jeżeli chcesz coś osiągnąć, musisz skupić się tylko na tym jednym celu, możesz jednak przy tym stracić wszystkich najbliższych i zostać samotny.

Ściganie się to ćwiczenie w pozostawianiu innych za sobą, czasami dotyczy to również tych, których kochasz. To bardzo delikatny problem i każdy musi go rozwiązać samodzielnie. Na przykład, pewnego dnia wziąłem mojego syna na przejażdżkę rowerową. Wsadziłem go do wózka, wózek doczepiłem do roweru i pojechaliśmy na wycieczkę.

- Nie lataj już samolotami, tatusiu - powiedział w pewnym momencie Luke.

- Co? - zapytałem, odwracając się za siebie.

- Tatusiu, nie lataj już samolotami. Zostań ze mną w domu.

- W porządku - odparłem. - W porządku.

Spędzanie życia na siodełku rowerowym to samotne ćwiczenie, przy czym chwile mijają tu w przyspieszonym tempie. Szybkość to tysiąc małych, nudnych, powtarzających się ruchów. To dzięki nim się rozpędzasz. Uzyskiwane wyniki, osiągnięcia, dane liczbowe i kadencje mogą pochłonąć cię do tego stopnia, że zapomnisz o całym świecie. Twoja siła jako sportowca może być zarazem twoją słabością. Umiejętność osiągania szybkości nie zawsze idzie w parze ze spostrzegawczością, a jeśli tak się zdarzy, to życie może stać się po prostu niewyraźną plamą, mglistym wspomnieniem.

Podobnie jak w poprzednich latach rozpocząłem sezon kolarski 2001-2002 z uczuciem niepokoju, wywołanym wspomnieniem nowotworu. Kiedy mocno naciskałem na pedały, próbowałem zdystansować się od choroby. Moją uwagę wciąż pochłaniały liczby, mówiące o stanie mojego organizmu. Najważniejsze były wskaźniki dotyczące kadencji pedałowania i wyniki badań krwi. Ciągle towarzyszyło mi przekonanie, że może jednak czegoś nie zauważyłem.

We wrześniu ogarnęło mnie nieracjonalne przeświadczenie, że moja choroba nowotworowa nawróciła. Walka z rakiem na poziomie komórkowym rozpoczęła się i

zakończyła - odniosłem tyle zwycięstw, ilu doznałem porażek. Obawiałem się jednak, że rak wciąż tkwi we mnie, głęboko ukryty, wiedzie utajone życie i da znać o sobie za dziesięć lub dwadzieścia lat, akurat w chwili, kiedy wybiorę się na spacer, aby podziwiać zachód słońca. Zawsze czułem respekt przed nowotworem i jego skutkami. Nigdy o tym nie zapominałem.

Nie czułem się dobrze i to właśnie mnie niepokoiło. Byłem zmęczony, ale nie był to efekt wypicia zbyt dużej ilości piwa, zatem coś musiało być ze mną nie w porządku. Przez cały długi rok dokuczały mi stres i fizyczne wyczerpanie i było to coś więcej niż tylko zwykłe przemęczenie. Spałem od 12 do 14 godzin na dobę, zapadając w ciężki, kamienny sen. Potworny sen. To wszystko przypominało mi okres mojej choroby.

Myślałem o tym coraz więcej. Myślałem o tym bez przerwy.

W końcu zadzwoniłem do mojego przyjaciela i lekarza ogólnego, doktora Ace Alsupa.

- Ace - powiedziałem. - Muszę zrobić badania.

- Dlaczego?

- Nie czuję się dobrze. Jestem zdenerwowany. Nie chcę być zdenerwowany.

- Co mogę dla ciebie zrobić? - zapytał Ace.

- Chcę, żebyś pobrał mi krew i oddał do analizy - wyjaśniłem. - Zrób mi badanie krwi. Zrób je dziś. Zadzwoń do mnie natychmiast, gdy otrzymasz wyniki, ponieważ jestem piekielnie zdenerwowany.

- W porządku - odparł. - Przyjeżdżaj.

Tego popołudnia wymknąłem się z domu, włożyłem klucze do kieszeni i wyszedłem, nie mówiąc o niczym Kik, która była w ostatnich tygodniach ciąży. Nosiła bliźniaczki ze swoim naturalnym wdziękiem, a przecież nie było jej lekko. Nie chciałem jej niepotrzebnie niepokoić, dlatego nie mogłem jej powiedzieć: „Wiesz, jadę do gabinetu Ace'a zrobić badania krwi". Zatrzymałem to dla siebie. Wiedziałem też, że nic mnie nie uspokoi, dopóki nie otrzymam wyników - dopóki nie poznam tych liczb. Na usprawiedliwienie swojego popołudniowego wyjścia wymyśliłem jakąś wymówkę.

Pojechałem do gabinetu Ace'a, lekarz pobrał mi krew, potem wróciłem do domu i usiadłem przy telefonie. Obiecał zadzwonić do mnie, gdy tylko otrzyma wyniki. Przede wszystkim chodziło mi o poziom HCG, gonadotropiny kosmówkowej, krytyczny wskaźnik krwi w przypadku chorych na raka jądra. HCG to hormon, który występuje u ciężarnych kobiet, ale nie powinno go być, ewentualnie tylko w śladowych ilościach, w organizmie młodego mężczyzny. Gdyby poziom gonadotropiny kosmówkowej był na poziomie większym niż dwa, oznaczałoby to tylko jedno: rak nawrócił. Jeśli chodzi o nowotwór, to liczby są najważniejsze. Od Ace Alsupa chciałem usłyszeć tylko to, że poziom HCG jest

niższy niż dwa.

Kiedy byłem chory, mój HCG osiągnął bardzo wysoki poziom. Pewnego ranka College zatelefonował, pytając, jak się czuję. „Wskaźniki poszły w górę" - odpowiedziałem. Poziom gonadotropiny kosmówkowej przekroczył próg 109 000 jednostek. Rak rozprzestrzeniał się na inne organy, a wówczas zaatakował mój mózg. Matka przepłakała cały ranek, ja natomiast byłem jakoś dziwnie spokojny. College zaprosił mnie na lunch, aby wyciągnąć mnie z domu.

- Nie wiem, dlaczego płacze - powiedziałem. - Mnie to uspokoiło. Przynajmniej wiem, na czym stoję. Wiem wreszcie, co mam robić.

Siedziałem sam i czekałem na wiadomość od Ace'a. Zastanawiałem się, co zrobię, jeśli choroba nawróciła. „W porządku - mówiłem do siebie - zawsze masz wybór: możesz się poddać... albo walczyć jak lew i mieć nadzieję, że pokonasz raka". Kiedy zachorowałem, niektórzy lekarze twierdzili, że moje szansę na przeżycie wynoszą 50 procent, inni - że 40 procent, a jeszcze inni nie dawali mi więcej niż 20 procent. Jedno było jednak pewne: jakiekolwiek szansę są lepsze niż zero procent szans.

Telefon zadzwonił. Podniosłem słuchawkę - był to Ace.

- Powiedz mi tylko, czy jest mniejszy niż dwa - poprosiłem. - Jeśli to usłyszę, odłożę słuchawkę i się uspokoję.

- Jest mniejszy niż dwa - powiedział lekarz.

Podziękowałem i odłożyłem słuchawkę. Na tym się skończyło. To nie znaczy, że skończyły się moje obawy dotyczące tej sprawy.

Żyję pod presją czasu. Muszę zrobić wszystko teraz - ożenić się, mieć dzieci, wygrać wyścigi, zarobić pieniądze, pojeździć na motocyklach, poskakać ze skały - ponieważ później mógłbym nie mieć już okazji. Stale za czymś gonię, choć być może nie zawsze skupiam swoją uwagę na właściwych rzeczach. Albo funkcjonuję na najwyższych obrotach, albo śpię.

Kiedy jestem czymś zajęty, nic mnie poza tym nie interesuje, nie wiem, co się wokół mnie dzieje. Zatrudniłem młodego Australijczyka, Christiana Knappa, żeby mi pomagał w treningach. Christian to chłopiec do wszystkiego, masażysta i trener, który pomagał mi podczas ćwiczeń, a kiedy wybierałem się na dłuższe trasy, towarzyszył mi na motocyklu, chroniąc mnie przed samochodami. W pewne wiosenne popołudnie wyjechaliśmy wspólnie w trasę. Spędziłem wówczas siedem godzin na rowerze, walcząc z potężną ulewą. Pod koniec dnia zjechaliśmy ze wzniesienia, co było wielką ulgą, i znaleźliśmy się w pięknej zielonej dolinie - gdzie uderzył nas nagły podmuch wiatru, pędzącego wprost na nas. Chris jechał

wolno obok mnie na motocyklu.

- Założę się, że ten wiejący w oczy wiatr nieco cię zatrzyma - stwierdził Knapp.

Spojrzałem na niego.

- Jaki wiatr w oczy? - zapytałem.

* * *

Listopad spędzaliśmy w Austin; chcieliśmy w spokoju przeżyć ostatni miesiąc ciąży Kik. Termin rozwiązania został wyznaczony na 1 grudnia. Jednak w przeddzień Święta Dziękczynienia Kik udała się na rutynowe badania i wspomniała lekarzowi, że rankiem czuła się dość dziwnie. Po krótkim badaniu doktor Uribe zapytał:

- Co pani mąż robi dzisiaj?

Kik odpowiedziała, że zaplanowałem kilka wyjazdów w sprawach biznesowych.

- Proszę do niego zatelefonować i powiedzieć, żeby odwołał wszystkie swoje zajęcia, będzie pani rodzić. Musi pani wrócić do domu po swoje rzeczy.

Kik zadzwoniła do mnie.

- Możesz odwołać swoje spotkania? - zapytała.

- Tak - odparłem.

- To dobrze. Będę rodzić.

Kik przyjechała do domu i stojąc w drzwiach, powiedziała:

- Spakuj nasze torby.

Staliśmy przez chwilę i uśmiechaliśmy się do siebie. Był to ostatni raz, jak zauważyła Kik, kiedy byliśmy sami, tylko my, bez otaczającej nas gromadki dzieci. Dziadkowie zaopiekowali się Lukiem, a my, nieco podnieceni, ale uradowani, wrzucaliśmy najpotrzebniejsze rzeczy do toreb. Kiedy stałem już w holu, trzymając w ręku bagaże, zadzwonił dzwonek. Otworzyłem.

- Niezapowiedziana kontrola antydopingowa - oświadczyła kobieta.

- Chyba pani żartuje - odparłem. Wówczas kobieta wyjęła kawałek papieru.

- To są pana prawa.

Byłem bezsilny. Nic nie mogłem na to poradzić.

- Ach - westchnąłem i postawiłem torbę na podłodze. Kobieta wręczyła mi kartkę.

- Wie pani... - zacząłem.

Kobieta spojrzała na mnie przenikliwie.

- Moja żona zaczyna rodzić. Proszę się pospieszyć. Kobieta wzięła głęboki oddech i

odwróciła się do swojego towarzysza, który wolno szedł alejką.

- O, mój Boże, pospiesz się, pospiesz się.

Mimo pośpiechu cała procedura testu antydopingowego zajmuje od 15 do 20 minut. Musiałem nasiusiać do pojemnika, potem przelać mocz do dwóch innych pojemników. Następnie poddać się badaniu pH i wypełnić plik dokumentów. Było ich chyba z pięćdziesiąt.

- Proszę to podpisać. Proszę to przeczytać - informowała mnie kobieta.

Przekładałem papiery i podpisywałem je, podczas gdy Kik stała z szeroko otwartymi oczami i prosiła mnie, abym się pospieszył.

W końcu para urzędników opuściła nasz dom. Odprowadziłem Kik do samochodu i pojechaliśmy do szpitala. Pomogłem jej rozpakować się w pokoju.

W szpitalu spotkaliśmy się z College'em. Zadzwoniliśmy do niego, aby przekazać mu tę dobrą wiadomość. College zamówił teksańsko-meksykański lunch i przyniósł go ze sobą. Usadowił się na kanapie w pokoju Kik i otworzył pudełka z jedzeniem. Usiedliśmy razem z nim i ucięliśmy sobie pogawędkę, zajadając się frytkami z salsą. Żartowaliśmy z College'a, zaprzysięgłego kawalera, a on żartował z nas. College nazywał Luke'a „dzieckiem kusicielem", ponieważ według niego Luke jest takim dzieckiem, które aż kusi, aby mieć własne.

- Jeśli nie chcesz mieć dziecka - utrzymywał College - to rób wszystko, aby twoja dziewczyna nie poznała Luke'a, bo widząc go, mogłaby dojść do błędnego przekonania, że każde dziecko jest wspaniałe. Gdyby wziął ją za rękę i poprosił tym swoim słodkim głosem, aby się z nim pobawiła albo poczytała mu książkę, to z pewnością powiedziałaby: „Kochanie, dlaczego nie mamy jeszcze dziecka?" Luke zatem może narobić kłopotów, a zatem trzymaj swoją dziewczynę jak najdalej od tego dzieciaka.

Zapach jedzenia sprawił, że Kik poczuła głód, ale lekarz zabronił jej jeść cały dzień przed porodem.

- College, nie bądź taki, daj mi pięć frytek - przekomarzała się Kik. - Tylko pięć.

W końcu College ustąpił i odliczył jej pięć frytek.

Wtedy zjawiła się pielęgniarka i powiedziała do Kik, aby się odwróciła. Przyszła zrobić zastrzyk znieczulający. Pielęgniarka przygotowała w tym celu długą igłę. College nie miał pojęcia, co się dzieje. Kik uśmiechnęła się i zwróciła się do niego:

- Wybacz, College, możesz wyjść, kiedy będę miała ten zastrzyk?

College podskoczył jak rażony piorunem i wybiegł na korytarz.

Później przyszedł czas, aby przenieść się do sali porodowej. Przez cały czas, kiedy czekaliśmy na nasze dziewczynki, byłem przy Kik. Poród bliźniąt wymaga większego

zaangażowania, jest też bardziej skomplikowany niż zwykły poród. W sali pracowało mnóstwo personelu - lekarze, pielęgniarki i specjaliści od noworodków. Ten poród w porównaniu z poprzednim był bardziej formalny, bardziej intensywny i bardziej niesamowity, ale w końcu wszystko poszło gładko, nawet sprawniej niż wtedy, gdy rodził się Luke. Z pewnością stało się tak dzięki temu, że Kik była odważna i pewna siebie. Wydawało się, że wystarczyły dwa parcia i urodziły się nasze dziewczynki, Grace Elizabeth o 20.54 i Isabelle Rosa o 20.57.

Nic nigdy nie ożywiło mnie tak, jak widok tej dwójki przychodzących na świat dzieci; narodziny każdego z nich były dla mnie niezwykłe. Podobnie jak Luke dziewczynki urodziły się dzięki cudowi, jakim jest zapłodnienie in vitro. Nigdy nie było dla mnie ważne, czy będą to dziewczynki czy chłopcy, czy będą małe czy duże, czy będą miały niebieskie oczy czy brązowe. Pragnąłem wówczas i dziś mam takie same pragnienia, aby żyły i były zdrowe.

Przeciąłem pępowinę, umyłem noworodki i obejrzeliśmy je, nie mogąc powstrzymać radości. Od pierwszej chwili nie miałem problemu z odróżnieniem Grace od Isabelle: były to dwie różne osobowości, choć równie wspaniałe. Później dziwiło mnie to, że ludzie mieli trudności z ich odróżnianiem. Byłem zdumiony, jak można je mylić ze sobą? Grace była nieco mniejsza i wyjątkowo cicha jak na dziecko, poza tym wyglądało na to, ze przyjmuje całusy i pieszczoty pełna samozadowolenia, jakby uważała, że to jej się właśnie należy. Isabelle była moim odbiciem, uwidaczniał się w niej charakter, taka mała, wiercąca się wersja mnie. Miała drobne rysy twarzy i błysk w oczach, a kiedy rosła, stawała się komicznym, niemal figlarnym dzieckiem. Od samego początku rzadko zwracaliśmy się do nich pełnymi imionami. Na Grace mówiliśmy „Gee” lub „Gracie”, na Isabelle „Izzy” lub „Isabo”, jak Luke ją nazywał.

Następnego dnia przypadało Święto Dziękczynienia. Zjedliśmy obiad w szpitalu i było to straszne - niedobra kawa, odgrzewane jedzenie, zamknięty obieg powietrza - ale wcale nam to nie przeszkadzało, ponieważ byliśmy bardzo zmęczeni i szczęśliwi. Dzień później zabraliśmy nasze dziewczynki do domu i staraliśmy się wpaść w rytm karmienia bliźniaczek. Luke okazał się ciepłym i opiekuńczym braciszkiem, który chciał się bawić z siostrami. Na noc przychodziła pielęgniarka, którą nająłem, i pomagała wyczerpanej Kik. Pielęgniarka zabierała dziewczynki na nocne karmienia, potem kładła je w pokoju dziecięcym, aby Kik mogła się trochę przespać.

Pewnego ranka, może tydzień po narodzinach dzieci, kiedy Kik i ja rozkoszowaliśmy się wspólnym śniadaniem i panującą wokół ciszą, ktoś niespodziewanie zapukał do drzwi wejściowych. Wymieniliśmy spojrzenia, zdenerwowani; była dopiero siódma, dzieci jeszcze

spały, a my, siedząc w szlafrokach, piliśmy kawę. Po chwili rozległo się ponowne pukanie do drzwi. Zaczął szczekać pies. Bardzo rzadko zostawaliśmy sami i mieliśmy ochotę zabić kogoś, kto stał pod drzwiami.

Otworzyła Kik.

- Niezapowiedziana kontrola antydopingowa - oświadczyła kobieta.

Kik nie mogła uwierzyć własnym oczom.

- Jest siódma rano - żachnęła się.

Kobieta wyjęła kartkę papieru. Podszedłem do drzwi.

- Co się tam dzieje? - zapytałem.

- Niezapowiedziana kontrola antydopingowa - powtórzyła kobieta.

- Niezapowiedziana? Jaka niezapowiedziana? Pani chyba żartuje?

Kik cała trzęsła się ze zdenerwowania. Raził ją brak serdeczności funkcjonariuszy, którzy przychodzili na kontrolę antydopingowa. Nie mogła znieść sposobu, w jaki pakowali się do domu i wydawali polecenia. „Gdyby chociaż zapytali: «Co słychać?»„ - wyjaśniała Kik. Ale gdy zjawili się po raz kolejny i zastali nas w szlafrokach, tuż po urodzeniu się córek, czuliśmy się tak, jakby funkcjonariusze naruszyli nasze prawa. W zeszłym tygodniu widzieli Kik tuż przed porodem. Poza tym wszystko zostało odnotowane w papierach w biurze w Austin, które poinformowaliśmy, kiedy zabieramy dzieci do domu ze szpitala. Funkcjonariusze z pewnością zdawali sobie sprawę z tego, że badania antydopingowe były ostatnią rzeczą, której moglibyśmy sobie teraz życzyć, ponieważ w znacznym stopniu zakłócały nasze rodzinne życie. Zawsze byłem za przeprowadzaniem takich badań, ale tym razem funkcjonariusze posunęli się za daleko. Ich postępek przypominał szykanę z jakiejś gry.

Dla Kik był to jeden z najgorszych okresów w życiu i nie miała najmniejszej ochoty na wizyty obcych w domu. Pochłaniała ją troska o dzieci, a to najście wytrąciło ją z równowagi. Ponadto dziewczynkom coś dolegało i musieliśmy je przenieść do naszego salonu.

Gdy przeszedłem rutynowe badania antydopingowe i uporałem się z papierami, Kik odprowadziła funkcjonariuszy do drzwi. Tuż przed progiem wyciągnęła rękę i zamknęła nią drogę tak, aby nieproszeni goście nie mogli wyjść. Pochyliła się w stronę kobiety i zaciskając zęby, powiedziała jej wyraźnie:

- Nie życzę sobie, abyście kiedykolwiek przychodzili tu tak wcześnie rano i burzyli życie rodziny.

Wiedzieliśmy jednak oboje, że to na nic, a funkcjonariusze i tak przyjdą ponownie.

Zamknęliśmy drzwi, wróciliśmy do kuchni i próbowaliśmy odtworzyć nastrój cichego poranka, który bezpowrotnie minął. Tak naprawdę chwil tylko we dwoje - choć trudno pewnie w to uwierzyć - przeżyliśmy bardzo niewiele.

* * *

Patrząc na ten epizod z perspektywy czasu, można stwierdzić, że był on wielce pouczający. Życie składa się z ciągów zdarzeń, dużych i małych, wywołujących niepokój i zamieszanie, doprowadzających czasem do załamania.

Próbowałem jednocześnie nadzorować renowację naszego nowego mieszkania w Gironie oraz przeprowadzkę z Francji do Hiszpanii, prowadzić fundację i kontynuować karierę światowej klasy kolarza. Przede wszystkim jednak, co było najważniejsze, byliśmy rodzicami bliźniaczek i dwuletniego chłopca.

Żyliśmy w pośpiechu - rozsądnym pośpiechu, ale mimo wszystko pośpiechu - i czasami zapominaliśmy o sprawach podstawowych, co niekiedy doprowadzało do zabawnych sytuacji. Na przykład pewnego razu dałem Kik prawdziwy kolarski ekwipunek, między innymi parę wyczynowych butów, które miały zatrzaski mocujące je do pedałów. Kik zabrała torbę, wybrała się na salę gimnastyczną i zapisała się do sekcji kolarskiej. Przypięła buty do roweru i zaczęła pedałować. Po zakończeniu ćwiczeń zeszła z roweru - ale nie wiedziała, jak zdjąć buty. Zakłopotana wpatrywała się w paski i zatrzaski. Po prostu zapomniałem jej pokazać, jak zwolnić zapięcia.

Człapiąc, musiała w nich przejść przez całą salę gimnastyczną, minąć wejście, zejść po schodach i udać się na parking. Wsiadła do samochodu i wróciła do domu w butach kolarskich. Siedziałem właśnie w kuchni, jedząc płatki zbożowe, kiedy usłyszałem charakterystyczne „człap-człap-człap” dobiegające z holu.

- Dlaczego chodzisz w butach kolarskich? - zapytałem.

- Pomóż mi je zdjąć. Wybuchnąłem śmiechem.

Następnego dnia Kik znów pojechała na ćwiczenia. Był tam również College. Kik włożyła buty kolarskie i zaczęła pedałować na spin bike’u. College zakończył w tym czasie swoje ćwiczenia i podszedł do Kik.

- Chciałem się tylko dowiedzieć, czy mam się tu jeszcze pokręcić ze trzydzieści minut, aby pomóc ci zdjąć buty? - zapytał.

Zapominaliśmy także o ważnych sprawach. Na przykład o spokojnych, wspólnych obiadach na mieście. Krzątaliśmy się w domu, żegnaliśmy się z domownikami, dawaliśmy

ostatnie wskazówki i kiedy mieliśmy już wychodzić, zawsze coś nam przeszkadzało: albo dziecko, które czegoś potrzebowało, albo ważny telefon.

Nawet poza sezonem musiałem podróżować więcej, niżbym sobie tego życzył. Wyjazdy były zwykle związane z prowadzeniem fundacji lub wypełnianiem podpisanych kontraktów reklamowych. Starałem się wracać do domu na obiad, ale nie zawsze było to możliwe. Tak wyglądał mój typowy tydzień: leciałem do Europy na 48 godzin, gdzie miałem jakieś wystąpienie, wracałem Concordem z Paryża do Nowego Jorku, przesiadałem się na samolot do Austin, a potem prosto jechałem na sesję fotograficzną. Stamtąd udawałem się do lokalu, gdzie podpisywałem książki, koszulki i plakaty dla osób, które pokonały raka. Później wracałem do domu, zmieniałem ubranie i wybierałem się na trzydziestopięciominutową przejażdżkę rowerem. Brałem prysznic, znów się przebierałem i kilka chwil spędzałem z Kik i dziećmi. Potem jeszcze raz zmieniałem ubranie i wszyscy jechaliśmy na imprezę połączoną ze zbieraniem pieniędzy na prowadzenie fundacji, pomagającej cierpiącym na chorobę nowotworową.

Tymczasem Kik z wielkim oddaniem podchodziła do swojego macierzyństwa. Wcale nie miała ochoty iść na skróty. Na przykład, nie kupowała gotowych odżywek; chciała, aby nasze dzieci jadły prawdziwe warzywa, a nie produkty fabrycznie przetwarzane. Gotowała więc świeże warzywa, a potem przyrządzała z nich papki.

Mieliśmy opiekunkę do dzieci, która pracowała od dziewiątej do piątej, oraz pomoc domową, jednak większość obowiązków nadal spoczywała na nas. Wykupiłem przeloty u prywatnego przewoźnika, chcąc wracać do domu wieczorem i nie tracić zbyt dużo z domowego życia, aby nie ominęło mnie jakieś ważne rodzinne wydarzenie.

Przekraczałem próg, Luke rzucał mi się w ramiona, a we mnie wstępowała nowa fala energii. Przyglądałem się uważnie Grace i Isabelle, które zmieniały się codziennie. Wkrótce Grace przerosła Isabelle i zastanawiałem się z bólem nad tym, co jeszcze stanie się bez mnie.

Luke otrzymał nowy dwukołowy rowerek od firmy Trek. Gdy go zobaczył, wrzeszczał podniecony:

- NOWY ROWEREK, NOWY ROWEREK!

Wskoczył na pojazd i wystartował. Jeździł po domu, zręcznie omijając meble. Popatrzyłem na Kik i powiedziałem:

- To niesamowite.

Pierwszą przejażdżkę drogą Luke zakończył jednak kraksą, podobnie jak kiedyś jego ojciec. Kik zabrała syna na sąsiednie ulice, równo wybrukowane i zamknięte dla ruchu. Był tak uradowany, że przez cały czas, kiedy jechał z Kik samochodem, nie zdejmował kasku.

Gdy znalazł się na miejscu, wskoczył na rowerek i wystartował jak huragan - Kik pobiegła za nim, starając się go dogonić. Zakręcił ostro w lewo na wiodącą w dół wybrukowaną drogę dojazdową. W końcu koło rowerka wpadło w zagłębienie, a Luke wyleciał w powietrze i upadł na twarz. Mimo potłuczeń, zadrapań i płaczu... wytarł nos o ramię Kik i z powrotem wskoczył na rowerek. Zrobił dokładnie tak samo jak niegdyś jego ojciec.

Bardzo mnie interesowało wychowywanie dzieci i chciałem być dobrym ojcem. Nie unikałem odpowiedzialności. Szanowałem i podziwiałem dobrych ojców, w szczególności mojego teścia, Dave'a. Miałem nadzieję, że również będę takim, i bardzo się starałem - nawet jeśli nie zawsze wiedziałem, jak się do tego zabrać. Uwielbiałem wykonywać drobne ojcowskie obowiązki - rozpieszczać dziewczynki, odprowadzać Luke'a do szkoły, rozmawiać z jego nauczycielami. Każda najmniejsza czynność miała dla mnie wymiar symboliczny i dodawała mi sił.

Szybko jednak przekonałem się, jaka to ciężka praca. Zajmowanie się trojgiem dzieci przy jednoczesnym wykonywaniu innych obowiązków było na przemian radosne, kłopotliwe i męczące. Trzeba było sprostać tylu małym wymaganiom dzieci, że niekiedy brakowało mi czasu, aby skorzystać z łazienki.

Pewnego ranka, niedługo po urodzeniu dziewczynek, Kik została sama. Ja trenowałem, a ona padała z nóg ze zmęczenia, zajmując się naszymi dziećmi. Rozkapryszone bliźniaczki płakały na dwa głosy, a Luke jeździł po domu na rowerku i wyjątkowo dokazywał.

Kik nosiła dziewczynki na rękach i nie miała nawet czasu odebrać telefonu ani przebrać się z piżamy. Nagle ktoś zapukał do drzwi. Kik otworzyła, stojąc w piżamie i trzymając jedno dziecko na ręku. Był to jej ojciec, Dave.

- Cześć, kochanie - powiedział. - Dzwoniłem na domowy telefon i twoją komórkę, ale nikt nie odbierał. Postanowiłem do ciebie wstąpić. Pomyślałem, że chyba jesteś bardzo zajęta i nie możesz podnieść słuchawki.

- Dzięki Bogu - odparła Kik. - Weź ode mnie to dziecko.

Pewnego popołudnia, gdy trenowałem, zadzwoniła moja komórka. Z Paryża telefonował David Millar, wspaniały młody brytyjski kolarz i mój przyjaciel. Wybrał się na miasto, wypił kilka drinków i postanowił do mnie zadzwonić.

- Tylko nie mów, że trenujesz - powiedział.

- Trenuję - odparłem.

- Nie! Facet! Pierwszego cholernego grudnia! Jak długo już trenujesz?

- Trzy i pół godziny.

- Facet!

Gdyby ktoś mnie zapytał, kiedy rozpoczynam przygotowywania do kolejnego Tour de France, odpowiedziałbym: „Następnego ranka po zakończeniu wyścigu”. Moim zdaniem wyścigu Tour de France nie wygrywa się w lipcu, ale podczas treningów odbywanych w czasie, kiedy inni w ogóle nie mają na nie ochoty.

Oznacza to, że nie ma czegoś takiego jak koniec sezonu kolarskiego. Trenowałem przez okrągły rok. Z pewnych względów wolałem jeździć na rowerze niż wypełniać inne obowiązki. Ponieważ nie spędzałem zbyt dużo czasu w Stanach, podczas pobytu w kraju miałem zawsze wiele spraw do załatwienia, spotkań do odbycia, próśb do spełnienia. Kiedy w lutym rozpoczynał się sezon kolarski i wracaliśmy do Europy, czułem ulgę.

Od tego momentu trenowałem, koncentrując się wyłącznie na pracy. Wyjazd do Europy był rodzajem izolacji, a także ucieczką. Nic mnie tam nie rozpraszało i nie miałem do rozwiązywania zbyt wielu egzystencjalnych problemów. Wszystko stawało się proste.

Tego roku szczególnie oczekiwałem dnia wyjazdu do Europy. Chciałem spędzić trochę czasu z rodziną w naszym nowym domu w Gironie, którego remont właśnie dobiegł końca.

Widok odnowionego mieszkania zapierał dech w piersiach. Z szeregu starych, wilgotnych pokoi z odpadającymi tynkami wyłoniło się wytworne, przestronne wnętrze. Na sięgających od podłogi do sufitu oknach z widokiem na taras wisiały ozdobne zasłony w kolorze magenty. Starożytne kolumny ponownie zostały pokryte złotą farbą. W zamkniętym ogródku bulgotała fontanna, a powyżej rozciągały się dwunastowieczne kamienne sklepienia ozdobione gzymsami. Ryan Street, mój przyjaciel i architekt, uczynił z pałacyku czteropokojowe rodzinne mieszkanie ze wszystkimi wygodami i nowoczesnymi sprzętami, zachowując jednocześnie atmosferę i detale starych pokoi. Kaplica była wspaniała. Odnowiono nawet uszkodzone witraże, zdobiące drzwi, które prowadziły do pomieszczenia o gotyckich łukach. Wiszący nad ołtarzem piętnastowieczny, malowany na drewnie, przedstawiający scenę ukrzyżowania obraz, który znalazłem specjalnie dla Kik, był pięknym przykładem sztuki religijnej.

Aby dziewczynki mogły wyjechać, należało wyrobić im paszporty. Luke miał już taki dokument. Znajdowała się w nim jego pocieszna fotografia. Gdy ją robiono, Luke wrzeszczał, dlatego jego twarz na zdjęciu przypominała wielkie, czerwone „O”. Nawet surowi francuscy urzędnicy celni uśmiechali się na jego widok.

Chcąc ułatwić Kik podróżowanie z dziećmi i naszą psio-kocią menażerią, wynająłem prywatny samolot. W związku z tym Kik nie musiała przesiadać się kilkakrotnie i

przechodzić kolejnych odpraw celnych, pchając przed sobą dwuosobowy wózek, jak to zwykle robiła, choć było to bardzo kłopotliwe, ale udała się z dziećmi na prywatne lotnisko i przyleciała bezpośrednio z Austin do Girony w osiem godzin i parenaście minut. To było wszystko, co mogłem zrobić w tej sytuacji. Jednak oboje woleliśmy podróżować razem, bo wówczas zawsze mogłem służyć jej pomocą.

Byłem zakochany w Gironie, mieście zdobytym kiedyś przez Karola Wielkiego, a potem odbitym przez Maurów. Uwielbiałem przechadzać się pod eleganckimi arkadami albo przystawać przed gotycką katedrą, za którą rozciągały się ruiny oraz nieprawdopodobne ogrody, pochodzące z różnych epok.

Kik weszła do mieszkania, aby sprawdzić, czy przywieziono wszystkie nasze rzeczy z Francji. Na szczęście, wszystkie meble i naczynia znajdowały się na miejscu. Zareagowała tak, jak się tego spodziewałem: rozejrzała się dookoła, popatrzyła na przestrzenne, wysokie pokoje i powiedziała:

- Wspaniałe.

Jakże ta przeprowadzka różniła się od tej sprzed kilku lat, kiedy Kik przewiozła wszystkie nasze rzeczy samochodem marki renault, przywiązując do jego dachu materac.

Kik spodobała się historia i elegancja starówki Girony, z jej bramami o kamiennych łukach i wybrukowanymi ulicami. Wcześniej nigdy nie mieszkała w centrum miasta, było to dla niej nowe doświadczenie. Aby zjechać na parter i udać się na zakupy do sklepów, znajdujących się parę domów dalej, korzystała z prywatnej windy. Przechodziła przez Ramblas, główny skwer, z którego kierowała się do rozmaitych sklepików, aby kupić chleb, herbatę albo owoce morza. Jeśli nie miała ochoty ruszać na miasto, zamawiała potrzebne artykuły spożywcze przez Internet.

Tej wiosny pewnego wieczoru Grace i Isabelle, mające wówczas prawie po pół roku, zostały ochrzczone w katedrze w Gironie. Staliśmy w starożytnym baptysterium, mieszczącym się w bocznej nawie, w otoczeniu rodziny Kik i kilku przyjaciół. Ceremonia odbywała się po hiszpańsku. Gdy ksiądz wykonywał obrzędowe gesty dłonią, Luke doszedł do wniosku, że duchowny chce się przywitać. Bez namysłu w środku ceremonii podszedł do księdza i złapał go za rękę. Wszyscy parsknęli śmiechem, nie wyłączając duchownego.

Mieszkanie znajdowało się w pobliżu Ramblas, co ułatwiało Kik poruszanie się po centrum miasta z dwuosobowym dziecinnym wózkiem. Kupiliśmy Luke'owi małą deskorolkę, którą przymocowaliśmy do wózka, aby mógł jeździć razem z dziewczynkami. Luke zadomowił się w hiszpańskim mieszkaniu, co było do przewidzenia. „Hola" - mówił - „gracias" albo „hasta luego", gdy otrzymywał od sprzedawców ciasteczka lub inne upominki.

Jednak widząc go w ciuchach firmy Nike i w czapce z napisem UNIVERSITY OF TEXAS, założonej daszkiem do tyłu, nikt nie miał wątpliwości, że jest rodowitym Amerykaninem.

Mój typowy dzień wyglądał następująco: wstawałem około siódmej, wypijałem filiżankę kawy i przeglądałem gazetę. Gdy coś zakłócało ten rytuał, byłem cały dzień w złym humorze. Potem przeglądałem maile, które nadeszły nocą, i załatwiałem korespondencję biznesową. Czasami Bili Stapleton przychodził do biura i do godziny dziewiątej rano otrzymywał ode mnie około dwudziestu poleceń. Śniadanie było uzależnione od moich treningów i ilości kalorii, które miałem spalić danego dnia. Jednym razem jadłem owoce, innym muesli, białko jajka i świeży chleb. Wtedy zabierałem rower i trenowałem w okolicy od trzech do siedmiu godzin.

Po powrocie brałem prysznic, jadłem danie z makaronem, odpowiadałem na telefony i dalsze maile. Potem ucinałem sobie drzemkę. Kiedy spałem, Kik przygotowywała obiad. Zwykle była to ryba albo kurczak i gotowane na parze warzywa. Po przebudzeniu bawiłem się z dziećmi i jadłem obiad. Wieczorem czytaliśmy lub oglądaliśmy telewizję. Kładliśmy się spać przed dziesiątą. To wszystko. I tak każdego dnia, przez wiele miesięcy.

Na pozór Kik była zadowolona z naszego stylu życia. Kiedy wracałem z treningu do domu, na kuchence gotował się makaron albo zupa, dzieci były uśmiechnięte i szczęśliwe, a Kik powtarzała, że miała dobry dzień. Rzadko się skarżyła na intensywność moich treningów lub samotność w Europie, z dała od rodziców i przyjaciół. Prawie nigdy nie protestowała. Mogłem stwierdzić: „Na obiad muszę zjeść jakieś zielska i położyć się o szóstej", a Kik odpowiadała, że w porządku, i pomagała mi zrealizować to postanowienie. Miała pogodną naturę, a ciemne chmury omijały nasz dom. W zasadzie nie kłóciliśmy się.

Jednak patrząc z perspektywy czasu, myślę, że może to był błąd. Pierwsze nasze wspólne lata były dla nas przygodą: wiedliśmy życie europejskich kolarzy. Z czasem miało ono jednak coraz mniej z przygody. Teraz, ze względu na naszą trójkę dzieci, towarzyszyły mu ciągłe rozłąki. Bardzo trudno zabierać ze sobą maluchy, a nie chcieliśmy zostawiać ich opiekunce.

Kiedyś wszędzie jeździliśmy razem. Obecnie było to niemożliwe. W marcu wyjechałem na jednodniowy wyścig, Mediolan - San Remo, imprezę, na którą dawniej przyjeżdżała również Kik. Tym razem została w domu w Gironie. Poleciałem do Mediolanu sam. Wziąłem udział w trzystukilometrowym wyścigu, przebrałem się w suche ubrania, popędziłem na lotnisko i wróciłem do domu. Zdążyłem jeszcze na obiad. Padałem ze zmęczenia, ale byłem w domu.

* * *

Wszystko przez ten deszcz. Floyd Landis wypił trzynaście filiżanek cappuccino.

Nie był to na pewno dobry pomysł.

Wiosną 2002 roku Floyd i drugi młody zawodnik zespołu U. S. Postal, Dave Zabriskie, wspólnie wynajęli mieszkanie w Gironie. Padało wtedy przez kilka tygodni. Nie mieli zbyt dużo do roboty, oprócz jazdy na rowerze i planowania, jak zabawić się w wolnym czasie. Kiedy obudzili się pewnego ranka, zobaczyli kolejny pochmurny dzień i mokre ulice, Floyd powiedział do Dave'a:

- Pieprzyć to, zróbmy dziś przerwę w treningach. Chodźmy do kawiarni.

Poszli na miejski skwer i zajęli miejsca przy stoliku w kawiarnianym ogródku. Przyglądali się przechodniom. Floyd zamówił filiżankę cappuccino. Gdy mu ją podano, miała piankę i intensywny zapach. Po chwili zamówił następną filiżankę, potem kolejną.

- Ile zamierzasz ich wypić? - zapytał Zabriskie.

Floyd wzruszył ramionami. Wtedy Zabriskie dołączył do kolegi i także zamówił cappuccino. Tak minęły trzy godziny. Floyd i Dave odpoczywali i pili kawę za kawą, mając coraz lepsze humory. Gdy kelner przyniósł rachunek, okazało się, że Floyd wypił trzynaście filiżanek cappuccino.

Dowiedziałem się o wszystkim nazajutrz. Bardzo uważnie obserwowałem Floyda. Był to nowy, interesujący chłopak w naszej ekipie, którego talent kolarski i zamiłowanie do figlów równoważyły się. Miał 26 lat i pochodził z mennonickiej rodziny zamieszkałej w Lancaster w Pensylwanii. Floyd zrezygnował z kariery kolarza górskiego i poświęcił się kolarstwu szosowemu. Zapowiadał się na dobrego sportowca, ale nie dopisywało mu szczęście, a poza tym nie nauczył się jeszcze postępować jak zawodowcy. Zachowywał się głośno i wyzywająco, lubił słuchać muzyki na cały regulator, co w połączeniu z jego niepewnymi przyzwyczajeniami treningowymi sprawiało, że starsi stażem kolarze naszej drużyny, którzy poważnie traktowali swoje zajęcie, uważali go za próżniaka. Ponieważ opuszczał się w treningach i zatruwał swój organizm kofeiną, doszedłem do wniosku, że należy mu dać kilka lekcji. Jedynym usprawiedliwieniem jego zachowania był młody wiek.

Zatelefonowałem do niego.

- Floyd, jakie masz plany na jutro? - zapytałem.

- Ach, wybieram się z kolegami na dwugodzinny trening - odparł.

- Zapomnij o tym - powiedziałem. - Pojedziesz ze mną na pięciogodzinny trening. Musimy porozmawiać.

Nazajutrz spotkaliśmy się rankiem i wyruszyliśmy na górskie drogi rozciągające się wokół Girony. Powiedziałem mu, że doszły mnie słuchy o tym, co wyczynia.

- Człowieku - powiedziałem - nie wolno ci postępować w ten sposób. Nie możesz tak traktować swojego organizmu. Tak nie da się trenować. Nie powinieneś również tak postępować wobec swoich kolegów z ekipy.

Floyd był otwarty. Przepraszał.

- Wiem, wiem - mówił.

- Chłopie - zwróciłem się do niego - musisz się wziąć w garść i uporządkować swoje życie. Nie urodziłeś się zawodowcem. Możesz dopiero nim zostać. Musisz jednak właściwie postępować. Musisz się prawidłowo odżywiać. Musisz też odpowiednio dużo spać.

Wiedziałem, że Floyd przeżywał trudny rok. Jego poprzedni klub kolarski, Mercury, zbankrutował, kiedy wycofał się jeden ze sponsorów. Floyd otrzymał wtedy zaledwie połowę należnej pensji i przez osiem miesięcy nie brał udziału w życiu sportowym. W końcu wpadł na pomysł, aby skontaktować się z drużyną U.S. Postal i zapytać, czy mógłby trenować z nami. Zgodziliśmy się. Został jednym z dwudziestu zawodników ekipy i miał szansę - gdyby ciężko pracował - wejść do grupy dziewięciu kolarzy, wytypowanych przez Johana do wzięcia udziału w Tour de France.

Ale Floyd nie mógł się skoncentrować. Prześladowały go długi, które zaciągnął za pomocą kart kredytowych, kiedy jego drużyna chyliła się ku upadkowi. Musiał spłacić rachunki za usługi medyczne i dentystyczne. Poza tym robił wszystko, aby utrzymać swoją rodzinę: żonę Amber i sześcioletnią córkę Ryan. Nie wiedział, czego może się spodziewać po nowym zespole, ani też, czego spodziewano się po nim. Nie był także pewien, czy może swoją przyszłość wiązać z kolarstwem.

- Spójrz na to tak - powiedziałem. - Posłuchaj mnie i rób to, co ci powiem.

Wyjaśniłem mu, jak się mają sprawy finansowe: Floyd zarabiał 60 000 dolarów, ale gdyby ciężko pracował i zakwalifikował się do dziewięcioosobowego zespołu, biorącego udział w Tour de France, a w dodatku wygrywał, otrzymałby dodatkowe 50 000 dolarów.

- Wtedy dorzuciłbym jeszcze bonus od Lance'a - powiedziałem. - Ale żeby tak się stało, musisz się skoncentrować i zapomnieć o wszystkich kłopotach, rodzinie, długach, pieniądzach, stresie. Musisz skupić się tylko na tym.

Floyd stwierdził, że łatwiej to powiedzieć niż wykonać.

- Zapomnij o tym - powtórzyłem. - Po prostu skup się tylko na rowerze.

Jednak wszelkie rady, które dawałem Floydowi - aby skoncentrował się na kolarstwie i zapomniał o wszystkim innym - dotyczyły również mnie. Wciąż szacowałem koszty kariery

kolarskiej, mając na uwadze oczekiwania młodej rodziny. Jak pogodzić jedno i drugie? Być dobrym ojcem znaczyło dla mnie zapewnić rodzinie jak najlepsze życie - to uważałem za jedną z ról wyznaczonych mi przez los - a jednocześnie maksymalnie wykorzystać rzadką okazję, którą daje możliwość zostania światowej klasy sportowcem. Ale zawodowy sukces może stać się zarazem osobistym niepowodzeniem, jeżeli kolarstwo jest uprawiane kosztem rodziny.

W przypadku Floyda w tamtym czasie był to słuszny i zresztą jedyny wybór. W życiu nie ma zbyt wielu znaków ani drogowskazów ułatwiających podjęcie decyzji, ale czasami się pojawiają i wówczas masz wybór. Możesz wtedy robić to, co dotychczas, albo pójść inną drogą. Musisz jednak umieć rozpoznać ten moment i zacząć działać, aby później nie powiedzieć: „Był taki czas, kiedy wszystko mogło potoczyć się inaczej". Jeśli jesteś gotów podjąć trudniejszą decyzję, może to zupełnie zmienić twoje życie. Floyd mógł właśnie teraz zmienić całe swoje życie. Chciałem, aby o tym wiedział.

Floyd zgodził się ze mną i przez kilka kolejnych tygodni trenowaliśmy razem. Pojechał ze mną do St. Moritz, aby przeprowadzić serię treningów w wysokich górach. Zrobiliśmy również rekonesans poszczególnych etapów Tour de France. Pedałowaliśmy wspólnie przez wiele godzin i Floyd miał okazję na podstawie codziennych treningów dowiedzieć się, co rozumiem przez zawodowstwo. Nauczył się koncentracji, nabył umiejętności radzenia sobie z poważnymi problemami, które wcześniej go rozpraszały, i skupiania się na jeździe. Nabrał większej pewności siebie.

Niekiedy inni rozpoznają w tobie większe zdolności, niż sam sądzisz, że je posiadasz. Jako młody kolarz w dużej mierze przypominałem Floyda. Byłem utalentowanym młodym wilkiem, który nie wiedział, na co go stać. To, co było prawdą w jego przypadku, było również prawdą w moim: nie brakowało mi ambicji, ale nie miałem określonego celu, byłem po prostu nieco pyskatym Amerykaninem, któremu dopiero starsi zawodnicy pokazali, co ma dalej robić.

Nigdy wcześniej nie sądziłem, że Tour de France jest wyścigiem, który mogę wygrać, dopóki Johan Bruyneel nie upewnił mnie, że jest to w zasięgu moich możliwości. Dokładnie pamiętam tę chwilę, kiedy Bruyneel powiedział mi to w 1998 roku. Johan został wówczas nowym dyrektorem zespołu U.S. Postal, a ja nowym liderem, wracającym po chorobie do sportu, chociaż jako kolarz wciąż nie byłem pewny siebie. Wcześniej zająłem czwarte miejsce w trzytygodniowym wyścigu Vuelta Espana. Był to czas, kiedy Johan bacznie mi się przyglądał.

Właśnie wybierałem się na mistrzostwa świata w Holandii, kiedy Johan odwiedził

mnie w pokoju hotelowym. Z miejsca zaczął mówić o swoich zamiarach w stosunku do mnie i drużyny U. S. Postal.

- Nieźle - powiedział. - Byłeś czwarty w Hiszpanii bez jakichkolwiek specjalnych przygotowań i treningów. Nawet nie wysilałeś się, aby pokazać, że twoją ambicją było znalezienie się w pierwszej piątce, a zająłeś czwartą lokatę. Sądzę zatem, że musimy popracować nad twoim przyszłorocznym występem w Tour de France.

- Nie ma sprawy - odparłem. - Mogę wygrać kilka etapów.

- Nie, nie - zaoponował - chodzi o wygranie wyścigu. Spojrzałem na niego z powątpiewaniem. Byłem zadowolony z tego, że zostałem przyjęty do drużyny, jeździłem na rowerze i znów miałem pracę.

- W porządku - powiedziałem. - Teraz myślę o mistrzostwach świata. Porozmawiamy o tym później.

Johan zmienił temat, ale wrócił do niego po kilku dniach. Tradycyjnie, zwycięzca mistrzostw świata nosił przez cały rok koszulkę w kolorach tęczy, aby podkreślić, że właśnie on jest zdobywcą tego tytułu. Przed samym wyścigiem Johan wysłał do mnie maila. „Powodzenia - napisał w nim. - Myślę, że będziesz wspaniale wyglądał w tęczowej koszulce na podium Tour de France".

Nie wygrałem mistrzostw świata - byłem piąty. Ale idea zwycięstwa w Tour de France kiełkowała we mnie.

Johan znał mnie lepiej niż ktokolwiek inny: miałem ogromny talent, ale nie dawałem z siebie wszystkiego. Od czasu do czasu pokazywałem, na co mnie stać: mając 21 lat, jako kolarz znikąd, wygrałem mistrzostwa świata, a potem jeden z etapów Tour de France. W większości przypadków jednak moje występy na rozmaitych imprezach, choć przyzwoite, nie były nadzwyczajne, trudno nawet byłoby mnie nazwać wtedy „zawodowcem".

Wówczas sądziłem, że tylko na to mnie stać. Doszedłem do wniosku, że po przejściu choroby nowotworowej jestem w stanie wykorzystać jedynie połowę swoich możliwości. A prawda była taka, że nigdy nie trenowałem tak wytrwale, jak mógłbym trenować, i nigdy nie koncentrowałem się na pracy tak bardzo, jak mógłbym to robić.

Przed chorobą ważyłem od 7 do 10 kilogramów za dużo, częściowo z powodu młodzieńczej otyłości, a częściowo z powodu nieracjonalnego odżywiania się: picia margarity i zajadania się tortillami. Po zakończeniu terapii nowotworowej byłem o 10 kilogramów lżejszy.

Dopiero pod kierunkiem Johana zacząłem poważne treningi i utrzymywałem stałą wagę. Odkryłem, że miała ona kolosalne znaczenie na trasach górskich, kiedy największym

przeciwnikiem było moje własne ciało. Przekonałem się również, że zgubione kilogramy sprawiły, że podczas jednego górskiego etapu jechałem szybciej od 10 do 12 minut; średnio zyskiwałem około trzech minut na każdym górskim podjeździe.

Zacząłem również pracować nad swoją skutecznością. Jako młody kolarz startowałem na dźwięk wystrzału i po prostu jechałem przed siebie. Nie wiedziałem jednak, na czym polegają wyścigi - włączałem wysokie biegi i rzucałem się do przodu, przyjmując niewłaściwą postawę. Potem z pomocą Johana i Chrisa Carmichaela przestudiowałem właściwe aerodynamiczne postawy i efektywną kadencję. Wtedy zamiast forsować organizm na wysokich biegach, nie mając wypracowanej techniki, na podjazdach stosowałem niższe biegi, za to energiczniej pedałowałem. Z czasem zostałem wyjątkowo dobrym technicznie kolarzem - sportowcem, który stał się wy trenowanym i wprawnym zawodnikiem.

Wyjaśniłem Floydowi, że nie brałem żadnych tajemniczych i cudownych środków, które by pomogły mi wygrać Tour de France w 1999 roku. Była to tylko kwestia rozpoznania momentu, w którym podjąłem właściwą decyzje. Była to też kwestia treningów i techniki, doświadczenia wynikającego z przeżytej choroby oraz późniejszej woli do nadzwyczajnych poświęceń. To wszystko. Jeżeli chcesz dokonać czegoś wspaniałego, musisz mieć silną wolę i przykładać wielką wagę do szczegółów. Gdybyś przeanalizował historie ludzi, którzy osiągali wspaniałe sukcesy, doszedłbyś do wniosku, że niektórzy z nich byli obdarzeni charyzmą, a inni nie; jedni byli wysocy, a inni niscy; jedni przy kości, a inni chudzi. Wszyscy jednak mieli jedną wspólną cechę: umieli koncentrować się na swoich działaniach.

Od tego czasu zacząłem poważnie myśleć o Tour de France: traktując tę imprezę zarówno jako osobiste wyzwanie, jak i cel sam w sobie. Wyścig nie był dla mnie pokonywaniem innych kolarzy, ale raczej pokonywaniem własnych słabości. Stało się moją obsesją, aby poprawiać swoje wyniki, jechać nieco lepiej niż rok wcześniej, niż miesiąc wcześniej, a nawet dzień wcześniej.

Tour de France to przede wszystkim problem matematyczny, wyścig liczący ponad trzy tysiące kilometrów, trwający ponad trzy tygodnie. Kolarze wygrywali go niekiedy przewagą jednej minuty albo nawet mniejszą. Jak pokonać na rowerze trasę, wiodącą czasami przez strome wzniesienia, i zachować stałą szybkość przez trzy tygodnie? Wówczas każda sekunda się liczy.

Powiedziałem Floydowi, że trzeba poddać egzaminowi każdą część ciała, a także rower, aby zyskać nieco dodatkowego czasu; nawet w takich drobnostkach jak rękawy koszulki mogą tkwić cenne ułamki sekundy.

- Po osiągnięciu pewnego poziomu każdy zawodnik jest dobry i każdy ciężko trenuje -

mówiłem. - Wygrywa skrupulatniejszy i poszukujący stale nowych sposobów, pozwalających na zyskanie najdrobniejszej nawet przewagi czasowej. Gdy będziesz starszym i bardziej doświadczonym kolarzem, okaże się, że uzyskiwane przewagi czasowe będą coraz mniejsze - wyjaśniałem.

Musisz z wielką uwagą śledzić dane, wskaźniki informujące o twoich osiągach, takich jak kadencja i produkowana moc, mierzona w watach. Rejestrować każde uderzenie serca, każdy kęs, który zjadłeś, każdą łyżkę płatków zbożowych. Musisz chcieć wyglądać jak wampir, gdyby miało to sprawić, że pojedziesz szybciej. Twoje ciało nie może zawierać więcej tłuszczu niż trzy do czterech procent. Jeśli będziesz ważył za mało, twój organizm nie będzie miał wystarczających zasobów fizycznych, aby generować odpowiednią szybkość. Jeśli zaś będziesz ważył za dużo, ciało stanie się dla ciebie balastem. Siła organizmu to kwestia wagi.

Kto wie, może w grudniu podczas testowania sprzętu w tunelu aerodynamicznym mógłbyś znaleźć krytyczną oszczędność czasu, która pozwoliłaby ci wygrywać? Kolejny ułamek sekundy mógłbyś znaleźć w swojej pozycji, którą przyjmujesz na rowerze, albo w sposobie zakładania kasku czy w kompozycji składników użytych do produkcji koła. Każdy typ drogi posiada własną aerodynamikę, która zależy od rodzaju nawierzchni, stromych podjazdów i długich zjazdów. Dlatego pracowałem nad wzmocnieniem zginaczy biodrowych i mięśni dolnych części grzbietu tak długo, aż byłem w stanie utrzymać pewne pozycje - ponieważ najdrobniejsze rzeczy, np. sposób trzymania kierownicy, mogą zabrać nawet trzy sekundy na czterdziestokilometrowym odcinku. Z tego powodu ćwiczyłem zmiany rytmu oraz przyśpieszania.

Doprowadzałem do szału zespół innowacyjno-badawczy firmy Trek, domagając się testowania nowego sprzętu i szukając dodatkowych ułamków sekundy. Chciałem, aby rowery były lżejsze i bardziej aerodynamiczne. Chciałem, aby miały lepsze koła. Podnosiłem jednym palcem ramę, wykonaną z włókna węglowego, i pytałem:

- Nie możecie zrobić lżejszej?

Nawet niewielka zmiana w wadze albo konstrukcji roweru mogła spowodować oszczędności od 10 do 15 sekund na czterdziestokilometrowej trasie jazdy na czas. Posługiwaliśmy się komputerowymi programami służącymi do projektowania i materiałami wykorzystywanymi w aerokosmonautyce. Zainstalowanie systemu hydratacyjnego, dzięki któremu mogłem przyjmować płyny bez konieczności zmiany doskonałej aerodynamicznej pozycji - pozwalało mi zaoszczędzić kolejne 10 sekund.

Nieustannie majstrowałem przy rowerze. Ciągle zmieniałem wysokość siodełka albo

kierownicy. Rozmawiałem z inżynierami. Znałem na pamięć każdą rurkę. Byłem tak zżyty ze swoim sprzętem, że wyczuwałem najdrobniejszą zmianę. Poznawałem od razu, gdy mechanik zmienił ustawienie siodełka nawet tylko o mikrometr.

- Kto zabawiał się moim rowerem? - pytałem.

Kiedy moja choroba znajdowała się w stanie remisji, College i ja wybraliśmy się w podróż dookoła Europy. Wypożyczyliśmy samochód marki renault. Jeździłem tak szybko i ostro, że coś stało się z silnikiem. Kiedy naciskałem pedał gazu, silnik, pracujący na wysokich obrotach, wydawał jękliwy dźwięk: „wreeeeeeeeee".

W końcu, kiedy wracaliśmy z Włoch do Szwajcarii, poczułem się zmęczony i pozwoliłem College owi usiąść za kierownicą, ale tylko pod warunkiem, że nie będzie zdejmował nogi z gazu.

- Gaz do dechy - instruowałem College'a.

Zdrzemnąłem się na fotelu pasażera. Kiedy College'owi wydało się, że zasnąłem na dobre, zdjął nogę z gazu. Wówczas, wraz ze spadkiem obrotów silnika, dźwięk „wreeeeeeeeee" zmienił się na „wraaaaaaaaaa".

Natychmiast otworzyłem oczy.

- Do dechy - powiedziałem.

Przekonywałem Floyda, że zwycięstwo rzeczywiście zależy od dopracowania detali. To dzięki nim uzyskujesz przewagę nad innymi zawodnikami.

- Jeśli w wyścigu nie uzyskujesz przewagi, to generujesz straty - wyjaśniałem.

Dane i liczby oraz przywiązywanie wagi do szczegółów dają nie tylko przewagę fizyczną, ale także psychologiczną. Każdy trudny podjazd zawsze pokonywałem dwukrotnie, ponieważ mówiłem sobie, że robię coś, czego inni nie robią; przekonywałem siebie, że żaden z uczestników Tour de France nie forsuje tak bardzo swojego organizmu i nie trenuje tak ciężko jak ja. To przeświadczenie dawało mi prawdziwą siłę.

Wyjaśniłem Floydowi przyczyny, dla których trenujemy w złą pogodę. Powiedziałem mu, że zawody nie zostaną odwołane z powodu obniżenia się temperatury do minus dziesięciu stopni czy opadów deszczu ze śniegiem. Dopóki nie potrenujesz w przejmującym chłodzie, nie wiesz, jak to jest, nie pojmiesz uczucia zimna, które przenika do twoich nóg i powoduje ich sztywnienie. Jest to rodzaj siły, którą możesz nabyć tylko dzięki treningom w paskudnej aurze.

Dużą część maja spędziliśmy w górach, ćwicząc na tak znacznych wysokościach, że

jeździliśmy po zaśnieżonych drogach.

Pewnego dnia podczas treningu Johan podjechał do mnie samochodem i powiedział:

- Sześć kilometrów przed szczytem leży śnieg. Nie przejedziesz.

- Dużo śniegu? - zapytałem.

- Zeszła lawina - odparł Johan. - A jeśli spróbuję?

- Nie dasz rady.

- Kto tak powiedział?

Tak właśnie wygrywało się Tour de France.

Innego razu wybrałem się na duże wzniesienie, La Plagne. Po sześciu godzinach dotarłem na szczyt, a zaraz potem zjechałem z niego. Gdy znalazłem się u podnóża, zawróciłem i ponownie ruszyłem w kierunku wierzchołka. Tego dnia trenowałem ponad osiem godzin. Zapadał zmrok, kiedy zsiadałem z roweru.

Nikt nie jest w stanie dać sportowcowi takiej pewności siebie jak on sam. Oczywiście, nie może być to fałszywa pewność ani pewność nabywana w ostatniej chwili. Prawdziwą pewność siebie zdobędziesz dzięki wszystkim czynnościom, które wykonujesz, przygotowując się do wyścigu, tak że w dniu zawodów możesz popatrzyć na innych, stojących obok ciebie, świetnych kolarzy i powiedzieć: „Jestem gotów. Zrobiłem więcej niż oni. Pokaż im, na co cię stać".

Świadomość tego faktu wcale jednak nie ułatwiała mi pracy. Dawałem z siebie wszystko i tego samego oczekiwałem od Johana Bruyneela i Chrisa Carmichaela. Do Johana telefonowałem cztery - pięć razy dziennie.

Gdy Carmichael nie wysłał do mnie maila z ostatnim programem treningowym, byłem gotów zadzwonić do niego o pierwszej w nocy i zapytać o powody:

- Co ty wyczyniasz? Dlaczego jeszcze tego nie mam? Mówiłeś, że jest gotowy.

- Zapomniałem wysłać.

- Zapomniałeś? Co chcesz przez to powiedzieć? A gdybym ja zapomniał pojawić się na Tour de France?

- Już to robię - odpowiadał Chris i nie odkładając słuchawki, szedł do komputera.

- Posłuchaj mnie - nie dawałem mu spokoju - w zeszłym roku moja kadencja wynosiła 93, a teraz 90, ale waty pozostały na tym samym poziomie. Jak to możliwe? Musimy przeanalizować wydruki moich dwunastu ostatnich testów i wyniki sprzed dwóch lat...

* * *

Wygrywanie wyścigu kolarskiego to względnie łatwy i spektakularny sposób odnoszenia sukcesu. Zawsze łączyła się z nim matematyka: dzięki dokładnym pomiarom zdobyłem niepodważalną wiedzę na temat tego, w jakiej formie będę podczas zawodów. Miałem najwyższe i całkowite zaufanie do danych.

W porównaniu z wygrywaniem zawodów takie sprawy jak małżeństwo, przeprowadzka czy wychowanie dzieci były bardziej skomplikowane i niejasne. W maju Kik i ja obchodziliśmy naszą czwartą rocznicę ślubu. Wybraliśmy się do restauracji w Gironie na obiad tylko we dwoje, co zdarzało się bardzo rzadko. Urodziny czy rocznica ślubu to nieliczne dni w roku, kiedy mogliśmy zostać sami.

Były to także okazje do wspomnień. Spotkałem Kik po wyleczeniu z choroby nowotworowej, kiedy nie wiedziałem, co zrobić ze swoim życiem, i jakie długie ono będzie. Kik pracowała w agencji reklamowej, która promowała moją fundację onkologiczną, i robiła mi wymówki, że nie przykładam się zbytnio do tego, aby przyciągnąć sponsorów korporacyjnych. W końcu dla złagodzenia atmosfery i zawarcia pokoju wypiliśmy po drinku - i od tego momentu już się nie rozstawaliśmy. Znałem kobiety, które były inteligentne albo ładne, albo zabawne, ale Kik była pierwszą z nich, która posiadała te wszystkie cechy jednocześnie.

Żaden z chłopaków Kik nie podobał się Dave'owi Richardowi. Ojciec Kik odrzucał każdego.

- Tato - powiedziała w końcu - czy w ogóle znajdę kogoś takiego, kto cię zadowoli?

Wtedy Dave powiedział, że postara się polubić następnego.

- Nie mam wyjścia - powiedział do żony.

Następnym chłopakiem, którego Kik przedstawiła rodzicom, byłem ja. Zaprosiła mnie do ich domu na święta Bożego Narodzenia do Rye, w stanie Nowy Jork. Już wtedy myślałem o oświadczynach i miałem nadzieję, że ich nie odrzuci. Po świętach napisałem do Ethel, matki Kik, list z podziękowaniami. „Wychowała pani cudowną córkę" - dodałem w liście. Ethel odpisała: „Dziękuję za miły komplement. Ale czy ty się nie podlizujesz?" - pytała. Odpowiedziałem: „Jeżeli to działa, to się podlizuję". Poprosiłem Kik o rękę po niespełna czterech miesiącach znajomości.

Podczas rocznicowego obiadu uświadomiliśmy sobie, jak wiele dokonaliśmy od tamtego czasu: mieliśmy cztery domy, troje dzieci i tuzin zepsutych rowerów. Od tamtej pory przeszliśmy wiele medycznych badań i wzięliśmy udział w trzech edycjach Tour de France. A wszystko to stało się tak szybko. Szybko zakochaliśmy się, szybko wzięliśmy ślub, szybko mieliśmy dziecko, szybko osiągnęliśmy sukces, szybko mieliśmy kolejne dzieci. Ale

wyglądało na to, że szybko będziemy mieć także problemy.

Na zewnątrz wszystko wydawało się wspaniałe i proste: romantyczna książkowa historia - i często zresztą tak było. Jednak z czasem rozdźwięk między tym, co cały świat o nas myślał, i tym, co rzeczywiście działo się w naszym związku, był coraz większy. Prawda była taka, że pod koniec dnia byliśmy tacy sami jak inni ludzie. Dzieci były zmęczone i głodne. Dorośli również. Wracałem do domu wyczerpany fizycznie. Kik także padała z nóg, zmęczona opieką nad trojgiem małych dzieci, nie mających jeszcze przecież trzech lat. To, że żadne z nas nie chciało przyznać się, iż ma jakieś problemy albo że jest zmęczone, wcale nie pomagało. Żadne z nas nie chciało też przyznać się do tego, że naszemu małżeństwu grozi kryzys - nikt nie mógł przypuszczać, że możemy być w życiu codziennym nieszczęśliwi, bo przecież tak dużo otrzymaliśmy od losu. Żadne z nas nie zdobyło się na powiedzenie: „Coś jest nie w porządku". Po prostu żyliśmy z dnia na dzień i najlepiej, jak tylko potrafiliśmy, wykonywaliśmy swoje obowiązki.

Znacznie trudniejszą próbą wytrwałości niż udział w wyścigu kolarskim jest zmaganie się z codziennymi, drobnymi sprawami; wydaje się, że im bardziej się starasz, tym więcej przyziemnych przeszkód stoi ci na drodze. Przyjmuje się powszechnie, że doświadczenia zdobyte podczas rywalizacji sportowej można przenieść na inne dziedziny życia. Ale prawda jest taka, że nie zawsze da się to zrobić.

Jak możesz zmierzyć, czy jesteś dobrym towarzyszem i konsekwentnym rodzicem? Inne oblicza sukcesu nie są tak proste do zdefiniowania jak te związane z wygraniem wyścigu kolarskiego, a szczerze mówiąc, zwyciężać w codziennym życiu jest trudniej. Niczego nie da się ująć w liczby, ale kiedy coś ci się uda, radość jest ogromna.

Byłem wzorem do naśladowania, jeśli chodzi o pokonanie choroby - ale nie przewidywałem, że będę musiał przygotować się na omijanie licznych pułapek, w które wpadają przywróceni do życia. Jedną z nich jest pęd do szczęścia. Stajesz do wyścigu, w którym chcesz wygrać zadowolenie, i jesteś tak tym rozradowany, że wmawiasz sobie, iż nie masz czasu na to, aby tracić go na coś, co jest nieprzyjemne albo wprawia cię w zły nastrój. Pęd do szczęścia a bycie szczęśliwym to zupełnie co innego. Prawdziwe szczęście przypomina zsuwający się z palca sznurek albo jakąś ideę, której nie można uchwycić. Obowiązki, ciężka praca, ciągle te same czynności, prace domowe, zobowiązania i rozmyślania o kolejnym do przeżycia dniu powodują, że niełatwo je osiągnąć.

ROZDZIAŁ VI

NIEBIESKI POCIĄG (LE TRAIN BLUE)

Wyobraźcie sobie dwustu kolarzy, mknących wąską ulicą z szybkością 70 kilometrów na godzinę, a każdy z nich pragnie być pierwszy. Zawodnicy uderzają o siebie, rozpychają się łokciami, przeszkadzają sobie nawzajem, są dla siebie niemili, a nawet przeskakują krawężniki, a wszystko po to, by znaleźć się na czele. Niektórzy z nich przejechaliby po twoich plecach, gdybyś tylko na to pozwolił. Pod tym względem Tour de France do złudzenia przypomina życie.

Ośmiu zawodników U. S. Postal Service pomaga mi dotrzeć do mety i zdobyć pierwsze miejsce. Kolarstwo to sport zespołowy w znacznie większym stopniu, niż kibice mogą przypuszczać, i kiedy staję na podium Tour de France, czuję się zażenowany, bo to wygląda tak, jakby zwycięstwo było tylko moją zasługą. Nie wchodzę na podium po przejechaniu prawie pięciu tysięcy kilometrów, mówiąc: „Popatrzcie, czego dokonałem". Gdy jadę w żółtej koszulce, wyobrażam sobie, że tylko suwak należy do mnie. Pozostałe części: rękawy, przód i tył, należą do moich kolegów.

Wyścig Tour de France prowokuje do postawienia interesującego pytania na temat istoty sportów zespołowych: dlaczego ośmiu kolarzy w pocie czoła przez trzy tygodnie naraża, się na różnego rodzaju dolegliwości po to, aby tylko jeden, to znaczy ja, mógł zdobyć trofeum? Jest to zarazem pytanie o krańcowe samopoświęcenie, które czasem przerasta człowieka. Inteligentny sportowiec wie jednak, że jeśli samopoświęcenie było olbrzymie, to własny interes jeszcze większy. Ma to, niestety, zły wpływ na zespół; jeśli wygrywasz, narażasz się całej grupie kolarzy indywidualistów, którzy wciąż jadą w koszulkach w tym samym kolorze.

Wspaniały zespół to wielka zagadka, trudno go stworzyć, a jeszcze trudniej skopiować. Na świecie jest znacznie więcej złych niż dobrych drużyn. Wystarczy się rozejrzeć. Mnóstwo jest grup, które ciężko pracowały, co wcale nie wytworzyło więzi między zawodnikami - łatwo się o tym przekonać, dość przyjrzeć się bliżej drużynom z NFL, NBA albo amerykańskim korporacjom. Przez cały czas mówi się o pracy zespołowej; to wyświechtane i nadużywane określenie, eksperci starają się je wyjaśniać i zdefiniować, szarlatani piszą na ten temat książki, ale tylko niewielu z nich rozumie jego istotę.

Nic dziwnego: między członkami zespołu występują dziwne relacje; są one czymś pośrednim między stosunkami, jakie panują pomiędzy znajomymi oraz pomiędzy krewnymi.

Twierdzę jednak, że ludzie są stworzeni do pracy w grupach, a nie w pojedynkę, oraz że pewna doza samopoświęcenia wcale nie jest nienaturalna, a przeciwnie - całkiem zwyczajna. Rozważcie to: ludzie zawsze zbierali się w grupy i podejmowali wspólny wysiłek.

Jeżeli naprawdę potraktujesz swoją pracę jako pewnego rodzaju inwestycję w zespół, to tym samym osiągniesz wymierne korzyści. Drużyna, której zawodnicy są zaangażowani, ma też przewagę nad innymi mniej zaangażowanymi zespołami. Jeśli chodzi o grupę U.S. Postal Service, to wszyscy jej członkowie inwestują w nią swoją pracę - w rezultacie podczas wyścigu często odnosimy wrażenie, że walczymy z zespołami, których zawodnicy nie łączą, ale marnują swoje wysiłki. Co jest mądrzejsze? Z poświęceniem wiąże się przede wszystkim długoterminowe zaangażowanie; niepowierzchowne ani efemeryczne, ale trwałe, które zapewnia sukces w odległej perspektywie.

Wielokrotnie wyjeżdżałem z George'em Hincapie na wspólne treningi. Właściwie nasze rzeczy trzymaliśmy w jednej torbie. Trenując w górach przez kilka tygodni, mieszkaliśmy w hotelikach, dzieląc wszystkie smutki, dolegliwości i posiłki. Wiedzieliśmy o sobie wszystko, nie wyłączając rzeczy, o których lepiej głośno nie mówić.

Wiem, na przykład, że George'owi tak szybko rośnie broda, iż musi się golić co godzinę. A dowiedziałem się o tym pewnego sierpniowego dnia, kiedy mieszkaliśmy na trasie w jednym pokoju. Któregoś ranka George golił się w łazience, gdy usłyszałem jego okrzyk:

- Cholera! Znów to samo! Podbiegłem do łazienki.

- Co się stało? - zapytałem.

George wychylił się, rozpromieniony i dokładnie ogolony.

- Po prostu musiałem poprawić wygląd - powiedział. Trudno powiedzieć, co sprawia, że drużyna jest dobra - ale można ją łatwo rozpoznać, ponieważ jej członkowie lubią się wzajemnie. Niekiedy zatrzymujemy się w hotelu, w którym przebywają jeszcze zawodnicy dwóch lub trzech innych zespołów. Wszyscy spotykamy się w jadalni. Członkowie naszej ekipy U.S. Postal siadają przy stole, śmieją się i rzucają do siebie bułeczkami. Nawet po zjedzeniu obiadu ociągają się z odejściem od stołu, ponieważ lubią swoje towarzystwo. Zdarza się, że przy drugim, stojącym z boku, stoliku, siedzą zawodnicy innej drużyny. Nie tworzą zgranej paczki, ale przypominają zbiorowisko indywidualności, którego członkowie zachowują wobec siebie dystans. W milczeniu, pochyleni nad talerzami, jedzą obiad. Gdy skończą, od razu udają się do swoich pokoi. Kolarz, który samotnie rzuca się do ucieczki i atakuje metę, bez wsparcia i sprzymierzeńców, naraża się tylko na zmęczenie i przegraną.

Ekipa U. S. Postal Service z 2002 roku była jedną z najlepszych drużyn kolarskich w historii. Co sprawiło, że osobowości dziewięciu różnych kolarzy stopiły się w jedną i zgodną

całość? Odpowiedź może być tylko taka: wzajemność. Zbyt wielu (w szczególności szefowie) żąda pracy zespołowej od zawodników lub stara się do niej ich zachęcić, zapominając o najważniejszym: zespół to swego rodzaju wspólnota. Te same zasady odnoszą się do każdego wspólnego przedsięwzięcia. Nie ma znaczenia, czy jest to utworzenie parku miejskiego, społeczne patrolowanie okolicy czy udział w wyścigu dookoła Francji - jeżeli chcesz coś otrzymać, musisz wpierw dać coś z siebie. Musisz zainwestować.

Nie chcę, aby moi koledzy z ekipy zostali odstawieni na boczny tor. Ważne jest, aby mieli poczucie, że kiedy wygrywam, oni wygrywają razem ze mną. Kilka razy w roku biorę udział w imprezach kolarskich tylko z myślą o nich. Każdej wiosny poświęcam trochę czasu na zawody, w których moja rola sprowadza się do wspierania innych kolarzy z zespołu i pomagania im w wygraniu wyścigów. Wykonuję wówczas zadania, które zwykle przypadają kolarzowi, zwanemu robotnikiem, ochraniam kolegów przed wiatrem i zawodnikami innych drużyn, dostarczam im bidony z wodą - bardzo lubię tę część sezonu. Chcecie wiedzieć dlaczego? Dlatego że sprawia mi to przyjemność. Nie robię tego, ponieważ oczekuję, że oni będą robić to samo dla mnie podczas Tour de France. Robię to, bo wolę pracę zespołową niż samotną jazdę, to daje mi większą satysfakcję niż jazda solo.

W skład drużyny U.S. Postal Service z 2002 roku wchodzili kolarze mający podobne zapatrywania. Oczywiście, nie oznacza to, że wszyscy mieliśmy takie samo zdanie na temat polityki czy muzyki. Po prostu mieliśmy podobny stosunek do zagadnień etycznych. A było to możliwe dzięki temu, że wspólnie z Johanem przez ostatnie pięć lat uważnie wybieraliśmy, rekrutowaliśmy i pozyskiwaliśmy takich zawodników, z którymi chcieliśmy pracować. Kolarstwo daje całkowitą swobodę działania: jest to sport, w którym mnóstwo zawodników nie ma ochoty na współpracę, woli ścigać się na własne konto niż na konto zespołu i ma przede wszystkim na uwadze własne kontrakty. W naszej ekipie nie było miejsca dla takich kolarzy. Ci kolarze, którzy - jak nam się wydawało - w taki właśnie sposób podchodzili do sprawy, zostali z naszej ekipy usunięci.

Przez lata jedni kolarze przychodzili do drużyny, inni odchodzili. Byli tak dobrzy, że wywabiano ich z naszej ekipy i proponowano im prowadzenie własnych zespołów. Całkowita swoboda działania, którą daje kolarstwo, sprawia, że niezwykle trudno stworzyć zgraną grupę, ponieważ jej skład zmienia się z roku na rok. Pod tym względem rok 2002 nie był wyjątkowy: Tyler Hamilton, który pomagał mi wygrać trzy razy Tour de France, został „wykupiony" z naszej ekipy do „liderowania" w duńskiej drużynie. (Pozostał jednak moim przyjacielem i bliskim sąsiadem.) Jeśli szczęście dopisze, to wszyscy nasi kolarze, obecni i przyszli, będą zawodnikami zaangażowanymi w realizację strategii zespołu i perfekcyjnie

będą wykonywać swoje drobne zadania.

Na początku każdego sezonu rozpoczynaliśmy treningi z grupą 20 kolarzy U.S. Postal Service, pochodzących z całego świata. Wybierając z tej grupy dziewięcioosobowy zespół, który stanie na linii startu Tour de France, pod uwagę braliśmy różne czynniki: np. to, którzy zawodnicy dobrze jeździli w ciągu ostatniego roku, albo to, jaką rolę mogą spełniać podczas wyścigu - zawsze jest potrzebnych kilku „górali" oraz kilku zawodników radzących sobie dobrze na płaskich etapach; naturalnie, potrzebni są również robotnicy - kolarze pełniący role służebne. Jednak najważniejszym czynnikiem, który decyduje o wyborze danego zawodnika, jest stopień, w jakim jest on w stanie poświęcić się dla dobra zespołu. Jeśli nie potrafisz myśleć „zespołowo", wracasz do domu. To proste.

Nazwaliśmy to „zasadami martwego człowieka". Jeśli nie postępujesz etycznie, łamiesz zasady, przekraczasz granicę, zostajesz usunięty z zespołu. Zawodnicy wytypowani do udziału w Tour de France, wiedzą, że nie może być mowy o stawianiu na pierwszym miejscu własnego interesu. Najważniejszy jest interes całego zespołu, a nie poszczególnych kolarzy. Jeżeli któryś z zawodników ma inne zdanie, to go nie chcemy, nawet gdyby należał do najlepszych kolarzy na świecie, ponieważ nie byłoby to dobre dla naszego zespołu. Oczywiście, takie postępowanie nie zawsze podoba się ludziom spoza organizacji - mnie uważa się za bezwzględnego tyrana. Nie zadaję się z kolarzami z innych drużyn. Jeśli ktoś nie należy do grupy U.S. Postal, nie pozwalam sobie na bliższą znajomość.

Potrzebujemy zawodników, którzy pojadą ze stuprocentową agresją. Formuła, którą U.S. Postal posługuje się podczas przygotowań do Tour de France, jest prosta: mierzymy wagę kolarza, wagę roweru i siłę nóg. Później robimy wszystko, aby obniżyć wagę, a zwiększyć siłę. Przestrzegamy diety, konsekwentnie trzymamy się zwyczajów treningowych i zapoznajemy się dokładnie z każdym centymetrem trasy wyścigu. (Można sądzić, że inne drużyny postępują podobnie, ale tak nie jest.) Nie tolerujemy obijania się. Każdy z zawodników musi mieć świadomość tego, że jego koledzy - tak jak on - dają z siebie wszystko; za to przywiązujemy dużą wagę do dobrego humoru, ponieważ uważamy, że to doskonały środek przeciwbólowy. Nasi zawodnicy muszą łączyć śmiech z ciężką pracą, a ponadto pozwolić z siebie żartować, bez obrażania się na kolegów.

Na kilka tygodni przed Tour de France w 2002 roku Johan wytypował dziewięciu kolarzy, którzy mieli stanąć na linii startu. Każdy zawodnik miał do odegrania inną rolę i wypełnienia inne zadanie na poszczególnych etapach wyścigu. Ale przede wszystkim mieli pomóc mi wygrać wyścig i pokrzyżować plany wszystkim innym kolarzom.

Oto nasz zespół:

George Hincapie był jednym z najlepszych zawodników w historii amerykańskiego kolarstwa. Cechowało go ironiczne poczucie humoru. Był niezwykle lojalnym członkiem zespołu. Uważałem go prawie za swojego brata. Niesłychanie solidnie i poważnie podchodził do swoich codziennych obowiązków. Nic nie było w stanie wyprowadzić George'a z równowagi ani stępić jego ciętego dowcipu - nawet najtrudniejszy etap Tour de France.

Styl George'a mógłbym opisać tak: „jazda z palcem w nosie". Gdy inni kolarze nie mogli złapać tchu, jechali z otwartymi ustami, starali się nabrać powietrza uszami, oczami, wszystkimi porami skóry, George podczas szybkiej jazdy nie miał nawet zaczerwienionych nozdrzy. Odnosiło się wówczas wrażenie, że George wcale nie potrzebuje oddychać, nie potrzebuje używać nosa. To cały George - jazda z palcem w nosie.

Victor Pena (Kolumbia), Pavel Padrnos (Czechy) i Benoit Joachim (Luksemburg) odgrywali podczas Tour de France role robotników. Byli zawodowymi kolarzami, będącymi w stanie wygrywać - i to robili - różnego typu imprezy kolarskie na całym świecie. Oni to przez okres trzech tygodni chcieli podporządkować wszystkie swoje wysiłki tej osobliwej pracy, którą był udział w najdłuższym na świecie wieloetapowym wyścigu, dla samego zaszczytu uczestniczenia w nim. Swoim wyglądem mogli budzić grozę. Byli potężnie zbudowani i mieli kamienne twarze. Niektórzy bali się nawet z nimi rozmawiać. Ale tak naprawdę byli dużymi misiami, którzy codziennie dawali z siebie wszystko i szukali wszelkich sposobów, aby mi pomóc na trasie. Ochraniali mnie przed 200 innymi kolarzami, którzy chcieli mnie pokonać. Chronili mnie przed wypadkami i bocznymi otarciami, ścigali zawodników, którzy próbowali atakować, dostarczali mi pożywienia i wody, osłaniali mnie przed wiatrem. Im dłuższy odcinek trasy jechali przede mną, tym więcej siły w nogach zachowywałem na koniec etapu.

Zwykłem mówić o moim starym przyjacielu, Wiaczesławie Jekimowie, mistrzu olimpijskim: „skała", mając na myśli „twardy jak skała". Nigdy się nie skarżył, nie marudził, zawsze był gotowy do pomocy. Woleliśmy mieć w grupie kolarza z takimi zasadami etycznymi niż wartego milion dolarów zawodnika, który jechał ostro tylko wówczas, kiedy miał na to ochotę.

Jekimow wycofał się ze sportu pod koniec sezonu 2001 roku, ale zatęsknił ponownie do kolarstwa. W lutym zadzwonił do Johana, kiedy byliśmy na obozie treningowym w Europie, powiedział, że chciałby wrócić do ścigania się, i zapytał, czy znalazłoby się dla niego miejsce w drużynie.

- Dla ciebie zawsze jest miejsce w naszej ekipie - odparł Johan.

Gdy rozpoczął treningi, wszyscy byli przekonani, że najwcześniej dopiero po Tour de

France Eki będzie gotów wziąć udział w poważnych zawodach kolarskich. Kiedy jednak pokazał się na obozie treningowym na początku maja, okazało się, że był doskonale przygotowany. Wykazywał najlepszą formę ze wszystkich członków naszego zespołu.

Johan obserwował zawodnika przez kilka dni, a potem zapytał:

- Eki, co sądzisz o tegorocznym Tour de France?

- A co mam sądzić? - odparł Eki.

- Chciałbyś wziąć w nim udział?

- Tak, z największą przyjemnością.

- To świetnie, bo nie masz wyboru. Musisz wziąć w nim udział. Potrzebujemy cię.

Od tego momentu Ekimov stał się jednym z najbardziej aktywnych kolarzy. Miał mentalność młodego zawodnika, cieszył się tym, że mógł wrócić do sportu, a każdy dzień spędzony na rowerze dawał mu dużo radości.

Roberto Heras i Jose Luis „Chechu" Rubiera byli młodymi Hiszpanami o nienagannych manierach, niemającymi sobie równych w pokonywaniu górskich podjazdów. Heras był drobnej budowy. Do innych odnosił się z rezerwą. Kiedy jednak wsiadał na rower i wdrapywał się na wzniesienie, przypominał trzepoczącego z niezwykłą szybkością skrzydłami kolibra. Był tak dobry, że zdarzały się momenty, kiedy z wielkim trudem przychodziło mi utrzymywać narzucone przez niego tempo.

Chechu był wesołym człowiekiem, jednym z najbardziej towarzyskich i lubianych członków naszego zespołu. Nie znaczy to wcale, że był lekkoduchem. Studiował inżynierię i przynosił podręczniki akademickie do autokaru, którym poruszała się nasza ekipa. Heras i Rubiera dawali z siebie wszystko podczas każdego wyścigu, bez względu na ból czy inne dolegliwości. Nigdy się nie ociągali, nie prosili o wolny dzień. Zawsze też dopisywały im humory.

Był jeszcze Floyd Landis. Pewnego popołudnia wybrałem się z nim na wspólną przejażdżkę i zapytałem:

- Kogo twoim zdaniem powinniśmy wytypować do Tour de France?

- Mnie - odparł Floyd.

Uśmiechnąłem się. Zacząłem wymieniać nazwiska siedmiu naszych najlepszych kolarzy, a gdy trochę zwątpił, powiedziałem:

- Pewnie, że ciebie.

Floyd niemal nie spadł z roweru, był tak podniecony tą wiadomością.

- Naprawdę? Naprawdę? - pytał z niedowierzaniem. - Jeśli nic się nadzwyczajnego nie wydarzy, to taki będzie skład naszej ekipy - wyjaśniłem.

Ostatnim poważnym sprawdzianem przed Tour de France był wyścig Dauphine Libere, Wygrałem ten wyścig - a Floyd zajął drugą pozycję. Był to pierwszy poważny sukces Floyda odniesiony w europejskiej imprezie, całkiem niezły wynik jak na nowicjusza, potwierdzający, że dokonaliśmy właściwego wyboru, typując go do grupy, mającej ścigać się w Tour de France. Chwaliłem się tym, że byłem na tyle przenikliwy, ze rozpoznałem talent Floyda, zanim on sam go w sobie zauważył. Floyd był wszechstronnym kolarzem: dobrze jeździł w górach, osiągał niezłe wyniki w jeździe indywidualnej na czas, wyśmienicie radził sobie w peletonie, nie tracił animuszu nawet podczas szybkich zjazdów, gdy czuł na plecach oddech innych zawodników. Miał wszystkie cechy potrzebne, aby ukończyć wyścig, a w dodatku był upartym facetem.

Ponieważ członkowie naszej drużyny mówili różnymi językami, stworzyliśmy własny język, przypominający łamaną angielszczyznę, albo posługiwaliśmy się skrótami językowymi. Wymieniając między sobą zwroty językowe albo wyrażenia potoczne, tworzyliśmy własne żarty. Nauczyłem Chechu „dawać głos", a on tak pilnie starał się mnie zadowolić, że przyglądający się inni członkowie drużyny nie mogli powstrzymać się od śmiechu. Zawsze wprawiał w nas w dobry nastrój, kiedy robił głupie miny i „dawał głos".

- Chechu - prosiłem - daj głos.

Najpewniejszym sposobem na rozbawienie towarzystwa podczas obiadu albo podczas jazdy autokarem było nauczenie najbardziej kulturalnych zawodników, takich jak Eki czy Pavel, kilku typowo amerykańskich wyrażeń. Obaj doskonale mówili po angielsku, ale intrygowały ich niektóre potoczne zwroty.

- George, co masz na myśli, kiedy w kółko powtarzasz formułkę: „Jak leci?" - Eki zapytał kiedyś Hincapie.

Pavel był jednym z najcichszych kolarzy, który po prostu robił, co do niego należało, i rzadko zabierał głos. W zasadzie prawie nigdy nie posługiwał się radiem podczas wyścigów. Któregoś razu jednak na imprezie kolarskiej poprosił przez radio mechanika, ponieważ miał jakieś problemy z rowerem. Johan wysyłał mechanika, aby usunął usterkę, a później zapytał go przez radio:

- Pavel, czy teraz lepiej?

- Więcej mniej - odparł Pavel.

Koledzy, słysząc odpowiedź Pavla w słuchawce, parsknęli śmiechem. Starałem się mu wyjaśnić, jak powinien odpowiedzieć.

- Mniej więcej - powiedziałem. - Mówi się: „mniej więcej".

- To to samo.

- Nie, wcale nie to samo.

- Jaka to różnica - zapytał - czy powiem więcej mniej czy mniej więcej? Jest jakaś?

Sprzeczaliśmy się o to przez długą chwilę.

Nie szczędziliśmy sobie również przezwisk, nawiązujących do naszych narodowości, ograniczeń, osobowości i zwyczajów. Przeważnie opowiadaliśmy sobie dowcipy, które dla innych wcale nie byłyby zabawne.

Dzień w dzień chodziłem z George'em na siłownię, gdzie ćwiczyliśmy na sąsiednich rowerach stacjonarnych.

Pewnego popołudnia George zapytał:

- Masz jakąś taśmę?

- Po co?

- Ponieważ zaraz pęknie - odparł i naprężył mięsień. Śmiech zawsze łagodził ból po treningach. Nasze żarty były bluźniercze, dziecinne i głupie, ale w zespole, w kręgu dziewięciu zawodników, którzy znali się, lubili i wierzyli sobie, był to ważny element życia, czynnik podnoszący morale.

- Dajcie mi pieprzony trójkołowiec, a rozjadę komuś tyłek - mówiłem.

Tworzyliśmy zabawne przyśpiewki podczas jazdy na rowerze. Floyd jechał obok mnie i śpiewał:

- Kto będzie moją laską dziś, laską dziś, laską dziś. Wówczas pozostali włączali się i podekscytowani zaczynali wyć. George miał swoje powiedzenie, określające jego wyśmienitą formę: „Brak łańcucha". Rower posuwa się do przodu dzięki łańcuchowi, poruszanemu korbowodem i pracą mięśni nóg. Wyobraźmy sobie jednak, co się dzieje, jeśli zabraknie łańcucha. Wówczas nie odczuwa się żadnego oporu, a pedałowanie nie sprawia trudności. Tak zdarzało się często mnie i George'owi.

- Możesz coś dla mnie sprawdzić? - prosił George.

- Co takiego?

- Nie czuję łańcucha - odpowiadał. - Jest jeszcze łańcuch w moim rowerze?

„Brak łańcucha" - to właśnie taki nasz skrót myślowy.

- Cześć, George, w jakiej jesteś dziś formie? - pytałem.

- Brak łańcucha, brak łańcucha - odpowiadał.

* * *

Na linii startu Tour de France w 2002 roku postanowiłem włożyć gładką, niebieską

koszulkę, którą nosiłem na co dzień, co powodowało, że nie wyróżniałem się niczym spośród moich kolegów z zespołu. Chciałem nadać pewien ton całemu wyścigowi: do tradycji należało, że obrońca tytułu rozpoczynał wyścig w żółtej koszulce, ale nie chciałem się wyróżniać, a poza tym nie chcieliśmy robić niczego, co mogłoby wskazywać na to, że tym razem również zamierzamy wygrać wyścig.

- Zasłużmy na nią - powiedziałem do Johana.

Prolog, liczący siedem kilometrów i będący indywidualną jazdą na czas, został rozegrany na majestatycznych ulicach Luksemburga, gdzie na dalszym planie migotały iglice świątyń. Przywiązywałem wielką wagę do zdobycia żółtej koszulki już pierwszego dnia. Przegrałem kilka czasówek we wcześniejszych wyścigach, będących sprawdzianami przed główną imprezą, w związku z czym pojawiły się plotki wśród kolarzy z peletonu, że prawdopodobnie tracę formę; każdy z zawodników bacznie mi się przyglądał i wypatrywał jakichkolwiek oznak spadku kondycji. Chciałem ich po prostu wyprowadzić z błędu. Wygranie prologu byłoby przekazaniem następującej informacji: „Hej, koledzy, jestem tu, to jest Tour de France, a nie jakiś tam kontrolny wyścig, wszystko uległo zmianie".

Stawką było także przejście do historii: próbowałem zostać czwartym kolarzem, któremu udało się wygrać cztery wyścigi Tour de France z rzędu. Lista pozostałych zawodników, którzy tego dokonali, była krótka, ale obejmowała same znakomitości: Jacques Anquetil, Eddy Merckx, Miguel Indurain.

Wiedziałem, że nie pójdzie to łatwo, ponieważ 189 kolarzy będzie aż do mety starało się mnie pokonać, a ponadto będę musiał poradzić sobie z jeszcze jednym przeciwnikiem, nie mającym nic wspólnego z czasem, a mianowicie z samą trasą, która liczyła ponad 3270 kilometrów i trzy dni przed finiszem w Paryżu wciąż wiodła przez góry. Oznaczało to, że jeśli będę miał zły dzień, to mogę odpaść z wyścigu, zanim zdążę stracić swoją przewagę czasową.

Organizatorzy Tour de France dokonali znacznych zmian trasy: podzielili ją na krótsze, ale za to trudniejsze odcinki. Nie miałem wątpliwości, że robili to w szczególności ze względu na mnie. Jechałem tak ostro i osiągałem tak dobre wyniki w górach podczas ostatnich wyścigów Tour de France, że postanowili tak opracować jego trasę, aby mogła zwalić mnie z nóg na końcowych etapach. Tym razem trasa została w taki sposób przygotowana, aby wynik wyścigu ważył się do końca imprezy. Cztery kluczowe etapy górskie miały zostać rozegrane podczas ośmiu ostatnich dni wyścigu. Trzy dni przed dotarciem do Paryżu mieliśmy wciąż jechać w górach.

Ostatecznie zwycięzcą miał zostać kolarz najlepszej drużyny, który zdołał zachować dość sił do końca wyścigu. Byłem przekonany, że grupa U.S. Postal była najsilniejszą i

najlepszą ekipą, w szczególności, gdy na starcie nie pojawił się Jan Ullrich. Miał za sobą ciężki rok. Odniósł kontuzję kolana, a potem spowodował wypadek samochodowy, wracając z nocnej imprezy. To wszystko sprawiło, że Ullrich nie wziął udziału w Tour de France.

W dniu prologu Kik jak zwykle udała się do katedry, chcąc zapalić kilka świec na szczęście, potem zabrała dzieci i przyszła na miejsce rozpoczęcia wyścigu, aby zobaczyć się ze mną jeszcze przed startem. Przedzierając się przez tłum, pomyliła kierunki i ruszyła w złą stronę; tuż obok niej przemykali kolarze na rowerach i towarzyszące im z warkotem samochody. Musiała zwrócić się o pomoc do policjantów, kiedy pokonywała zaporę i przechodziła na drugą stronę alei. Kik niosła Luke'a, podczas gdy kilku usłużnych kibiców przenosiło ponad głowami wózek, w którym siedziały dziewczynki. Wyglądało to tak, jakby Kik znalazła się na jakimś koncercie. Kiedy wreszcie dotarła na drugą stronę alei, tłum zgotował jej owację.

Siedziałem na rowerze stacjonarnym, rozgrzewając mięśnie nóg, a Luke pił mój Gatorade i wraz z zespołem mechaników sprawdzał koła i inne części roweru. Bliźniaczki siedziały w wózku, odwrócone do mnie twarzami. Gapiły się na mnie, podczas gdy Kik wkładała im do ust jedzenie.

Nadeszła moja kolej. Ucałowałem wszystkich, wsiadłem na rower i pojechałem w kierunku rampy startowej. Gdy wszyscy kolarze już wystartowali w jednominutowych odstępach, zjechałem z rampy i ruszyłem na trasę. Była to bardzo trudna, techniczna trasa, wymagająca precyzyjnej jazdy, w związku z czym Johan wciąż dawał mi wskazówki przez radio - ciągle coś do mnie mówił. Patrzyłem przed siebie na jezdnię, nie zważając na tłumy widzów, kotłujących się wzdłuż zapór, ustawionych przy drodze.

- Bardzo dobrze, Lance, bardzo dobrze, bardzo dobrze - powtarzał Johan i informował mnie o czasie, mierzonym na punktach kontrolnych.

Johan przekazał mi wiadomość, że liderem został Francuz, Laurent Jalabert, faworyt widzów, który zakomunikował, że po Tour de France schodzi ze sportowej areny. Dodałem gazu na ostatnim prostym odcinku, chcąc uzyskać lepszy czas od czasu „Jaja". I udało się - wygrałem prolog z czasem lepszym o dwie sekundy. Kiedy mijałem metę, Kik i Luke krzyczeli:

- Brawo, żu -żu, tato!

Żółta koszulka należała do nas. Wiedziałem jednak, że możemy ją stracić - to niemożliwe, aby utrzymać żółtą koszulkę od pierwszego do ostatniego etapu. Mądrzej jest oddać prowadzenie na kilka dni, a samemu zachować siły, aby na końcowych etapach przed Paryżem znów zostać liderem. Włożenie koszulki nawet tylko na jeden dzień poprawia jednak

bardzo samopoczucie.

- Dobrze jest wiedzieć, że znów mogę ją mieć - powiedziałem Billowi Stapletonowi.

Po prologu udałem się do hotelu, w którym zatrzymał się nasz zespół, i spotkałem się z rodziną. Były to ostatnie spokojne chwile, jakie spędziliśmy razem. Musiały nam one wystarczyć na następne trzy tygodnie. Wziąłem dziewczynki na ręce. Ucałowałem je kilkakrotnie. Dałem też lekcję synowi na temat tego, kto wygra Tour de France.

- Co zrobi tata? - pytałem Luke'a.

- Da im wycisk w górach - odpowiadał malec. Wcześniej jednak musieliśmy tam dotrzeć.

* * *

Dni ciągnęły się tak samo jak droga, po której przyszło nam jechać. Jechaliśmy przez płaskie okolice Reims i Epernay, słynne z produkcji szampanów, dokonywaliśmy pościgów na pełnym gazie, mknąc po północnych rubieżach Francji. Byliśmy w pełnej gotowości do ataku. Każdego ranka w autokarze, którym poruszała się nasza ekipa, zabawiała nas muzyka zespołu ZZ Top, puszczana na cały regulator.

Utwory ZZ Top wniósł do naszej drużyny Floyd Landis i polubiliśmy je tak, że nie mogliśmy wyobrazić sobie życia bez nich. Floyd zachowywał się głośno. Swoim sposobem bycia wprawiał w dobry nastrój wszystkich w autokarze. Był też źródłem codziennej porcji rozrywki. Pobudzał nas do śmiechu, kiedy starał się wyjaśnić sens piosenek ZZ Top naszym kolegom, Herasowi, Rubierze albo Ekiemu, skacząc wokół nich w rytm gitarowo-rockowych kawałków, takich jak She Wore a Pearl Necklace. Wreszcie Heras - cicho, a Roberto - uprzejmie starali się uspokoić Floyda.

- Dość ZZ Top - prosił Roberto. - Dość.

Bez względu jednak na stosunek do zespołu ZZ Top, jego piosenki towarzyszyły naszym porannym spotkaniom w autokarze. Po dyskusji na temat strategii i otrzymaniu wskazówek od Johana spotkanie nabierało mniej formalnego charakteru i wszyscy zaczynali się wygłupiać. Spostrzegliśmy, że okna autokaru były tak przyciemnione, że nikt stojący na zewnątrz nie mógł zobaczyć, co dzieje się w środku. Pokazywaliśmy palcami łowców autografów, koników handlujących biletami, dziwnie ubranych ludzi i ryczeliśmy ze śmiechu.

Czasami do autokaru zaglądał mój przyjaciel, Robin Williams, i dawał nam przedstawienie. Naśladował odstawionego Francuza, palącego gitany i popijającego pernod. Kiedy zwracał się do mnie „wielki suwak", pobudzał kolegów do ryku.

Pewnego ranka, gdy zachowywaliśmy się szczególnie głośno, postanowiliśmy sprawdzić, czy przyciemnione okna gwarantują nam pełną prywatność. Wysłaliśmy Johana na zewnątrz, obserwowaliśmy go przez szybę - a potem wszyscy pokazaliśmy mu gołe tyłki. Johan nigdy się o tym nie dowiedział.

Było to niedojrzałe zachowanie, ale był to zarazem nasz sposób na rozładowanie napięcia i zabicie nudy, towarzyszącej nam na płaskich etapach. Chcieliśmy zachować dobrą formę na górską część wyścigu. Musieliśmy radzić sobie z szybkimi etapami, silnym wiatrem, atakami przeprowadzanymi przez peleton, niebezpieczeństwem wypadków. Nasza ekipa jechała ostro i było to bardzo męczące, w szczególności dla Floyda, którego wykorzystywaliśmy najbardziej. Floyd zyskał reputację twardego gracza z powodu wyniku w Dauphine. Inni kolarze czuli przed nim respekt. Niekiedy prosiliśmy Floyda, aby ruszył ostro do przodu, bo peleton, starając się go dogonić, tracił siły.

Floyd nigdy się nie skarżył. Przysłuchiwał się, ostro pedałował i wchłaniał wiedzę, przekazywaną przez kolarzy weteranów. Nigdy nie spuszczał z tonu. Miał jednak jedną słabą stronę - był młody. Tour de France nie jest imprezą dla młodych kolarzy. Wyścig może wyrządzić dużą krzywdę nowicjuszom, którzy nie są dostatecznie wytrzymali i nie mają odpowiedniej kondycji, aby sprostać trzytygodniowym zawodom.

Floyd był nerwowy. Miał kłopoty ze snem. W nocy jego serce biło bardzo szybko. Dręczyły go obawy, że jeszcze nie jest gotów, że jest dla nas tylko ciężarem. Pewnego ranka znalazłem się z nim w autokarze. Poza nami nie było tam nikogo. Zacząłem z nim rozmawiać. Floyd gapił się na mnie. Otworzył szeroko oczy i beczał.

- Posłuchaj - zwróciłem się do niego - jesteś mi potrzebny.

- Wiem, wiem, wiem - odparł.

- Skończ z tym - powiedziałem. - Skończ z tą pieprzoną dziecinadą. Jedziesz świetnie. Przestań martwić się o zespół. Świetnie sobie radzimy.

- Ale Lance, moje serce bije szybko...

- Nic więcej nie mów - przerwałem Floydowi. - Po prostu boisz się. Czego się boisz? Boisz się o swój kontrakt z zespołem?

- Nie.

- A ja sądzę, że tak. Musisz przestać o tym myśleć. Musisz pomyśleć o czymś zupełnie innym. Musisz sobie przypomnieć, z jakich powodów tutaj się znalazłeś.

- W porządku, w porządku.

- Żadnych wymówek - powiedziałem. - Nie chcę słyszeć żadnych wymówek. Weź się w garść, jasne?

Floyd nie był jedynym kolarzem, któremu dokuczało zmęczenie i puszczały nerwy. Wszyscy czuliśmy się podobnie. Zupełnie zagubiliśmy rytm dnia. Nie wiedzieliśmy nawet, który etap wyścigu pokonujemy. Niekiedy budzisz się rano i masz wrażenie, jakby przejechała cię ciężarówka. Ale wsiadasz na rower i po godzinie już czujesz się lepiej. Jeśli jesteś dobrze przygotowany do wyścigu, w końcu docierasz do mety. Dochodzisz do tego, że nic poza jazdą cię nie interesuje. Wyścig pochłania cię w całości. Nie tracisz nawet energii na rozmowy telefoniczne. Żyjesz w stanie zawieszenia, w którym liczy się tylko kolarstwo. Kładziesz się spać, a kiedy nadchodzi czas, wstajesz i znów robisz to samo co poprzedniego dnia.

Walczyliśmy z wiatrem i z rozpychającymi się w peletonie kolarzami. Pojawiły się też małe problemy techniczne. Kilku naszych kolegów musiało poczekać i skorzystać z usług techników, co wywoływało w naszym zespole pewną nerwowość.

Któregoś ranka postanowiłem rozładować napięcie panujące w grupie.

- Johan, muszę poczekać na samochód - powiedziałem przez radio.

- Co musisz? - zapytał Johan.

- Mam pewien problem. Musisz spojrzeć na mój rower. Zapanowała cisza. Zorientowałem się, że Johan się poważnie niepokoi. Należało dokonać pewnej reorganizacji zespołu, abym mógł podjechać do samochodu.

- Johan, słyszysz mnie?

Johan udzielał pośpiesznych wskazówek.

- Floyd, Chechu, Eki i Pavel - mówił - dołączycie do Lance'a. Czeka na samochód. Pomożecie mu dogonić peleton.

- Nie, nie - zaoponowałem - nic z tych rzeczy. Musisz tylko coś potwierdzić.

- Co takiego?

- Muszę wiedzieć, czy nie brakuje mi łańcucha w rowerze. W ogóle go nie czuję.

Znów zapadła cisza. Wówczas usłyszałem skrzeczący głos Johana w słuchawce.

- Ty pieprzony gnojku.

Jadący obok mnie koledzy parsknęli śmiechem.

- Mówię całkiem poważnie. Mam łańcuch?

Etapem czwartym była drużynowa jazda na czas rozgrywana w okolicach Epernay. Stanowiła ona próbę mającą wykazać, czy potrafimy jechać grupowo. Był to również test na lojalność, ponieważ linię mety musiało przejechać co najmniej sześciu kolarzy, inaczej doliczano karne sekundy. Łatwiej było o tym mówić niż tego dokonać, zważywszy na rozmaite niespodzianki, które mogły przytrafić się na trasie pokonywanej na pełnym gazie:

przebite opony, upadki, zawodnicy niemogący wytrzymać tempa. Czas mierzono drużynowo, to znaczy czas drużyny był zarazem indywidualnym czasem każdego z członków zespołu. Innymi słowy, jeśli większość kolarzy U.S. Postal pojechałaby słabo, to mogło mnie to kosztować utratę szansy na wygranie Tour de France.

Zespół ONCE, prowadzony przez kilku specjalistów od jazdy indywidualnej na czas, był tradycyjnie uważany za faworyta. Amerykańska drużyna nie posiadła dotąd szczególnych umiejętności w drużynowej jeździe na czas i była to niewątpliwie słaba strona ekipy pocztowców. Tym razem czuliśmy jednak, że możemy zmierzyć się z europejską potęgą. Wyruszaliśmy na trasę w naszych pocztowych, niebieskich strojach, dosiadając czarnych jak węgiel rowerów firmy Trek, zaprojektowanych z myślą o jeździe na czas. Pokonywaliśmy trasę ze średnią szybkością pięćdziesięciu kilometrów na godzinę. Niekiedy rozpędzaliśmy się nawet do siedemdziesięciu kilometrów na godzinę. Każdy z nas po kolei jechał z przodu, ciągnąc za sobą pozostałych kolegów. Gdy się zmęczył, wycofywał się, a jego miejsce zajmował następny członek zespołu. Wszystko szło zgodnie z planem. Trzymaliśmy się razem.

Metę też przejechaliśmy razem - cała nasza dziewiątka. Osiągnęliśmy czas 1 godziny 20 minut i 5 sekund. Do zespołu ONCE mieliśmy tylko 16 sekund straty i zajęliśmy tego dnia drugie miejsce.

W ciągu pierwszego tygodnia miał miejsce tylko jeden poważniejszy wypadek: niecałe dwa kilometry przed końcem siódmego etapu Robert wpadł na mój rower. Jechaliśmy w środku ściśniętego peletonu, starając się nie dopuścić do rozerwania peletonu. Tego dnia zadaniem Roberta była ochrona mojego tyłu, dlatego też jechał tuż za mną. Nagle któryś z zawodników uderzył w koło Roberta, który zrobił koziołka nad kierownicą i upadł wprost na moje tylne koło. Zostało natychmiast zablokowane - musiałem się zatrzymać.

Zeskoczyłem na szosę i szarpiąc kierownicę roweru Roberta, starałem się ją uwolnić ze szprych. Dopiero po minucie udało mi się rozdzielić rowery. Wsiadłem na rower i ruszyłem do przodu. Eki pomógł mi rozwinąć szybkość i dojechać do mety. Z powodu tego wypadku spadłem z trzeciego na ósme miejsce. Mogło być gorzej.

Właśnie wtedy stało się coś gorszego. Etap ósmy był indywidualną jazdą na czas. Trasa wiodła wokół Lorient, nadmorskiego miasta z piękną przystanią dla łodzi, którą chętnie przenosili na płótna impresjoniści. Jazda indywidualna na czas należała już do tradycji Tour de France i nazywano ją „wyścigiem prawdy", ponieważ jedynymi przeciwnikami kolarza, jadącego na najwyższych obrotach, były tylko droga i zegar. Podczas jazdy indywidualnej na czas najwięcej zyskiwali kolarze dobrzy pod względem technicznym, którzy uwielbiali

solowe ucieczki, bez ryzyka wypadku. Uważano mnie za jednego z najlepszych specjalistów na świecie w tego typu konkurencjach. Od Tour de France w 1999 roku, wygrałem siedem z dziewięciu czasówek w tym wyścigu.

Rozgrzewając się przed startem, żartowałem z jednego z mechaników, Jeana-Marca Vandenberghe'a. Jego ojciec budował drogi i tego dotyczyły nasze dowcipy. Gdy byłem w dobrej formie, zwykle mawiałem: „Zadzwoń lepiej do ojca, bo dziś rozwalę tę drogę w drobny mak".

Po pewnym czasie, kiedy Jean-Marc chciał się dowiedzieć, w jakiej jestem formie, po prostu pytał:

- Mam dzwonić do ojca?

Tamtego ranka nie czekałem na jego sakramentalne pytanie.

- Zadzwoń do ojca - powiedziałem - bo ta droga rozpieprzy się w drobny mak, zanim dojadę do mety.

Niestety, tego dnia nie było mi to dane. Są takie dni, że robota pali ci się rękach, a innym razem nic ci nie idzie, jak powinno. Był to właśnie taki dzień. Nie odpowiadała mi trasa. Moja technika także pozostawiała wiele do życzenia. Zastosowałem nieodpowiednią, zbyt wysoką kadencję, której nie skorygowałem. Wiedziałem, że coś było nie tak, ale nie przyszło mi do głowy, że to kadencja.

Do zwycięzcy, Santiago Bolero, kolejnego wielkiego specjalisty od jazdy na czas, straciłem 11 sekund. Drugie miejsce było całkiem niezłym wynikiem, ale ponieważ byłem głównym faworytem, moją drugą pozycję uznano za szokującą porażkę. Jednocześnie peleton zaczął plotkować: „To już nie jest ten dawny Armstrong". Igor Gonzalez de Galdeano z Hiszpanii, jadący w żółtej koszulce na płaskich etapach, wyraził zdanie, że prawdopodobnie moja silna pozycja w Tour de France jest już historią.

- Tour de France zmienił się - powiedział dziennikarzom.

Wróciłem do hotelu w kiepskim humorze. Byłem nieco zaniepokojony. Skoro inni zastanawiali się nad moją formą, to i mnie nie brakowało powodów do przemyśleń. Byłem również zły na siebie, że przechwalałem się przed Jeanem-Markiem, że rozwalę drogę w drobny mak.

Wyszedłem z hotelu, aby spotkać się pewną rodziną, której synek chorował na nowotwór. Ojciec chłopca był szefem kuchni w Lyonie, światowej stolicy sztuki kulinarnej. Przyjechali z Lyonu do Lorient tylko po to, aby zamienić ze mną parę słów. Przywieźli nawet ze sobą francuskie wydanie mojej książki Nie tylko o kolarstwie. Przystanęliśmy na obrośniętym trawą stoku, aby pogawędzić. Wraz z zachodzącym słońcem wydarzenia dnia

odchodziły w zapomnienie. Rodzina chłopca nie miała pojęcia, że rozmowa o raku była dla mnie prawdziwym lekarstwem.

Moje spotkania z osobami walczącymi z chorobą nowotworową są często błędnie interpretowane: wcale nie robię tego tylko po to, aby pomagać innym. Przede wszystkim robię to dla siebie. Tego wieczoru, po rozmowie z chłopcem i jego rodziną, stanąłem ponownie na nogi. Kiedy moi koledzy z drużyny udali się na obiad, ja zostałem na trawniku przed hotelem i wciąż rozmawiałem z gośćmi albo raczej starałem się rozmawiać, posługując się moim łamanym teksańskim francuskim. Dowiedziałem się, przez co przeszedł chłopiec. Przeleżał dwa razy po pięć tygodni w sterylnej komorze, ponieważ jego system odpornościowy został całkowicie zniszczony - gdy się spotkaliśmy, od roku już nie chorował. Trudno było mi sobie wyobrazić, przez co przeszedł ten chłopiec. „Mogę cierpieć na raka 50 milionów razy bardziej, byle tylko moje dzieci nie chorowały na nowotwór" - pomyślałem.

Ogarnął mnie spokój. Cieszyłem się z tego, że chłopiec wyzdrowiał, że ja wyzdrowiałem. Objąłem go ramieniem. Wygłupiałem się z nim. Klepałem go po plecach i szarpałem za ucho. Byliśmy sobie bliscy. W końcu podziękowałem chłopcu i jego rodzinie za przybycie i dołączyłem do jedzących obiad kolegów. Przypomniałem sobie, co jest naprawdę ważne w życiu. Uświadomiłem sobie również, że należę do wielkiej wspólnoty, na której pomoc zawsze mogę liczyć w trudnych chwilach.

Następnego dnia trzymałem język za zębami. Czułem się zażenowany przechwałkami, które czyniłem przed jazdą indywidualną na czas, i teraz postanowiłem niczego wcześniej nie obiecywać.

- Nie mam nic do dodania - powiedziałem do George'a.

- Dlaczego? - zapytał George. - Lubimy, gdy jesteś pewny siebie.

Dzięki George'owi zrozumiałem, że ostatnią rzeczą, której potrzebuje zespół, to zwątpienie. Nikt nie chce pracować z kimś, kto nie jest pewny siebie, ponieważ w ten sposób jest marnowany wysiłek całej grupy. Moi koledzy poświęcali tyle czasu wyczerpującym ćwiczeniom, ponieważ wierzyli, że to jedyna droga do zwycięstwa. Trenowali ze mną w Alpach kosztem życia osobistego, ponieważ uważali to za wspólną sprawę. Ta wzajemna wiara dodawała nam sił, powodowała, że z większą energią pokonywaliśmy trasy i wspinaliśmy się na wzniesienia.

Nie chcieli usłyszeć, w środku imprezy, że nagle zwątpiłem w to, co robię.

Gdy dojeżdżaliśmy do poszarpanych, skalistych Pirenejów, byłem już pewniejszy siebie.

- Zaatakujemy i odzyskamy stracony czas - powiedziałem.

Etap jedenasty kończył się w miejscowości La Mongie, znajdującej się w połowie drogi do słynnego Tourmalet. Wiedziałem, co nas czeka i że będzie to trudny odcinek. Wiedziałem także, a przywracało to wiarę zespołowi, że nie mogę niczego dokonać, jadąc solo, że musimy pokonać tę górę wspólnie, razem z innymi członkami grupy, a gdy nam się to uda, to pozostali kolarze stracą ducha do dalszej walki.

- To ich rozłoży na łopatki - wyjaśniłem kolegom z zespołu. Trasa etapu obejmowała trzy potwornie ciężkie podjazdy.

Pierwszym z nich był Col d'Aubisque, strome i zdradliwe ponad siedemnastokilometrowe wzniesienie, o różnicy wysokości, mierzonej od podnóża, sięgającej prawie 1200 metrów. Gdy znaleźliśmy się u stóp Col d'Aubisque, powiedziałem przez radio:

- Czas zaatakować.

Praca zespołowa w górach ma szczególne znaczenie: jazda za plecami kolegi pozwala zmniejszyć wysiłek aż o 40 procent, w ten sposób można zachować wystarczająco dużo energii na końcowy sprint przed metą. Nasz pomysł polegał na tym, aby użyć do tego celu każdego z członków zespołu po kolei i zmieniać ich, kiedy się zmęczą. Koledzy mieli tu odegrać rolę podobną do roli pomocniczych silników rakietowych i doprowadzić mnie do mety.

Laurent Jalabert zaatakował na Aubisque, a zrobił to w takim stylu, że kibice stojący wzdłuż drogi szaleli z radości - jednak grupa U.S. Postal postanowiła udaremnić jego ucieczkę i wciąż siedziała mu na kole. W naszych niebieskich strojach przypominaliśmy błękitny, sunący, ogromny klin, na którego czele jechali Jekimow i Hincapie.

Ale kiedy dotarliśmy do podnóża góry, Floyd Landis zrozumiał, dlaczego Tour de France jest najtrudniejszą imprezą kolarską na świecie. Gdy przednie koło jego roweru znalazło się na podjeździe - Floyd stanął jak wryty. Wyglądało to tak, jakby jego rower zatrzymał się i miał zawrócić. Landis został porażony stopniem trudności wzniesienia, po prostu nie był w stanie utrzymać naszego tempa. Został w tyle. Wchłonięty przez peleton, niepewnie pokonywał wzniesienie z grymasem wyczerpania na twarzy.

Jechaliśmy dalej bez Floyda. Dotarliśmy do stóp Tourmalet. George prowadził naszą grupę. Na ogół nie był dobry w górach, ale tego dnia potrzebowaliśmy, aby wykonał część pracy dla nas na podjeździe, tym bardziej że wynikły kłopoty z Floydem. Cały problem polegał na tym, że Tourmalet należał do wzniesień, które wywoływało wielkie obawy wśród kolarzy i ja dobrze o tym wiedziałem.

- George - mówiłem do kolegi - po prostu pociągniesz nas pierwsze cztery lub pięć kilometrów. Tyle, ile zdołasz.

George spoglądał na mnie sceptycznie. Nie był pewien, czy potrafi wykonać to zadanie i pomóc grupie

- Dasz radę - przekonywałem go.

Czepiłem się jego tylnego koła i George ciągnął mnie do momentu, gdy wydało mu się, że jego serce eksploduje. Jednak pedałował i pedałował. W pewnej chwili zaczął naprawdę się męczyć. Pokonanie podjazdu zajmowało około godziny. Po 20 minutach George wciąż prowadził naszą grupę. Ponieważ miał rozpiętą koszulkę, niemalże gołym okiem można było zobaczyć, jak mocno waliło jego serce. Od czasu do czasu otwierał usta, łapiąc powietrze. Starał się skoncentrować na jeździe.

Postanowiłem go nieco rozśmieszyć i oderwać jego myśli od bólu, który sprawiał mu męczący podjazd. Powiedziałem przez radio:

- Hej, Johan, George, właśnie mnie poprosił, abyś sprawdził, gdzie właściwie zaczyna się podjazd.

- Nie jest to odpowiedni moment na żarty - odparł George.

W końcu George skapitulował i wycofał się. Zacząłem coś mówić, ale spojrzałem na niego i zamknąłem usta. Był wyczerpany, lecz wykonał wspaniałą robotę.

Z kolei prowadzenie przejęli Chechu i Roberto - i już po kilku minutach dokonali rozłamu w peletonie. Narzucili tak szybkie tempo, że w przeciągu paru minut większość kolarzy poddała się.

Wspinaliśmy się wyżej i wyżej, jechaliśmy drogami bez barierek ochronnych, a słońce przypiekało coraz mocniej. Na placu boju pozostało nie więcej niż dziesięciu zawodników, którzy byli w stanie wytrzymać narzucone tempo. Reszta została daleko za nami. Minęliśmy Jalaberta.

Chechu jechał w czapce, która wchłaniała pot, daszek odwrócony miał do tyłu. Mnie było tak gorąco, że zdjąłem swoją czapkę i rzuciłem ją w tłum widzów.

Gdy Chechu zwolnił, wyraźnie wyczerpany, inicjatywę przejął Roberto. Pedałował tak ostro, że prowadząca grupa zmniejszyła się do trzech kolarzy: Roberto, mnie i jeszcze jednego zawodnika, który został moim głównym rywalem w nadchodzącym tygodniu - Joseby Belokiego z Hiszpanii.

Jechałem tuż za Roberto, gapiąc się na jego falujące włosy. Odwróciłem się i popatrzyłem przez ramię. Peleton był coraz dalej, przypominając rozpływającą się w powietrzu barwną plamę.

Tempo narzucone przez Roberto było tak ostre, że nawet mi dawało się we znaki. Jednak starałem się nie dać tego po sobie poznać. Pozornie wyglądałem na kolarza, który jest

w znakomitej formie. Nie chciałem, aby dyrektorzy, mogący oglądać telewizję w swoich samochodach, a przede wszystkim Beloki, widzieli moje zmęczenie. Dlatego usiłowałem jechać lekko i zachować pogodną twarz.

Jednocześnie mówiłem do Roberto jadącego przede mną:

- Tranquilo, tranquilo - co oznaczyło - spokojnie, spokojnie.

Roberto nieco zwolnił, było to dla mnie wielką ulgą. Tak dobrze maskowałem swoje zmęczenie, że Johan, który mnie obserwował na ekranie monitora w naszym drużynowym samochodzie, sądził, że czuję się świetnie. Uważał, że mamy szansę uzyskać sporą przewagę na tym odcinku, i nie rozumiejąc, dlaczego zwolniliśmy, zwrócił się do Roberto przez radio:

- Roberto, venga, venga - szybciej, szybciej. Roberto przyspieszył. Wówczas znów powiedziałem:

- Roberto, tranquilo. Roberto ponownie zwolnił.

Johan wtedy jeszcze raz powtórzył przez radio:

- Venga, venga, venga, venga!

W końcu sam zwróciłem się przez radio do Johana:

- Na litość boską, Johan, powiedz mu, żeby zwolnił!

Johan przekazał odpowiednią informację Roberto, który dopasował tak tempo, aby jazda stała się dla mnie bardziej znośna.

Beloki uparcie siedział mi na kole. Wiedziałem, że zamierza odebrać nam zwycięstwo tego etapu. Pozwoliłem mu, aby jechał między mną i Roberto. Przez kilka minut daliśmy mu odpowiedni wycisk.

Z twarzy Belokiego mogłem wywnioskować, że jest bardziej zmęczony niż ja. Jechał z otwartymi ustami i na pół zamkniętymi powiekami.

Nagle około 200 metrów przed linią mety wystrzeliłem niczym proca do przodu. Wstałem z siodełka, minąłem Belokiego i sprintem pokonałem końcowy odcinek. Beloki nie był w stanie odpowiedzieć na mój atak.

Na finiszu nie dłuższym niż 50 metrów zyskałem siedem sekund przewagi nad Belokim i zostałem liderem Tour de France.

Odzyskaliśmy żółtą koszulkę. Zawdzięczałem to drużynie. Wszyscy oprócz mnie załamali się na podjeździe. Wyglądało to tak, jakby moi koledzy z zespołu otworzyli mi drzwi, a sami pozostali z boku, wpuszczając mnie do środka. Na mecie spotkałem Johana.

- Co ty wyrabiałeś? - zapytałem.

- Mówiłem Roberto, aby zwolnił, a ty mu kazałeś przyspieszać.

- A co, byłeś zmęczony?

- Byłem wykończony - odparłem.

- Tak? W telewizji wyglądałeś tak rześko, jakby w ogóle nic cię to nie kosztowało.

- Nie kosztowało?

W końcu Floyd wsiadł do naszego autokaru. Był fizycznie wyczerpany trudnym etapem. Opadł na fotel.

- Bardzo mi przykro - powiedział.

- Włączyłeś wsteczny bieg - odparłem.

Ktoś zaczął naśladować jednakowe dźwięki, jakie wydaje traktor podczas cofania: „Bip, bip, bip, bip!"

Wszyscy, którzy byli w autokarze, parsknęli śmiechem.

Nie byliśmy rozczarowani słabą jazdą Floyda. Wszyscy przeszliśmy przez to co on tego dnia - i nawet kiedy śmialiśmy się, to byliśmy z nim, ponieważ pierwszy górski etap Tour de France to rodzaj bojowego chrztu dla każdego kolarza. Floyd musiał nauczyć się radzić sobie z bólem, wyczerpaniem i tym, że można zostać pokonanym przez wzniesienie.

Floyd zrozumiał też, że biorąc udział w Tour de France, kolarz musi poświęcić każdą, nawet najmniejszą część siebie; że nie może zajmować się niczym innym, tylko jazdą na rowerze. Wyścig wymaga całkowitego poświęcenia. Nie ma mowy, aby podczas wyścigu tracić energię na inne sprawy. Trzeba przyzwyczaić się do myśli, że będziesz wtedy musiał walczyć z każdego rodzaju mogącym się pojawić bólem i podejmować wyzwania, a także radzić sobie z codziennym fizycznym wyczerpaniem, które może zniweczyć każdy wysiłek.

Niełatwo być nowicjuszem w Tour de France, ale z drugiej strony prowadzenie drużyny jest szczególnie wyczerpujące, ponieważ oznacza to jazdę na przodzie każdego dnia. Nawet jeśli Floydowi pochlebiało to, a może nawet stanowiło dla niego zaskoczenie, że znalazł się w składzie kolarzy wytypowanych do udziału w Tour de France już pierwszego roku pracy z naszą drużyną, był pełen obaw i czuł się skrępowany, ponieważ wiedział, że dokonaliśmy przemyślanego wyboru i wytypowaliśmy tylko tych zawodników, którzy mogli podołać wyznaczonym zadaniom. Floyd nie chciał psuć wyników całej grupy.

Zapewniałem go, że wykonuje wspaniałą robotę. Jego zadaniem było poświęcanie się dla drużyny i właśnie to czynił. Tylko od starszych i bardziej doświadczonych kolarzy można było oczekiwać, że pojadą ostrzej w poszczególnych etapach.

Floyd był zdumiony. Nie mógł pojąć, że dziewięciu facetów, jednakowo zestresowanych i zmęczonych, przechodzi do porządku dziennego nad gorszym dniem kolegi z drużyny. Ale właśnie takie podejście cementowało naszą grupę. Wzajemnie zachęcaliśmy się do ciężkiej pracy, ale pozwalaliśmy sobie też na wzajemne dokuczanie. Niekiedy nasze

oczekiwania w stosunku do kolegi były wygórowane, innym razem zbyt małe, ale zawsze staraliśmy się dać z siebie wszystko. Odkrywanie przez kolarza swoich nowych możliwości, o których wcześniej nie miał pojęcia - było istotą Tour de France.

Wieczorem oglądaliśmy w telewizji najnowsze wiadomości z ostatniego etapu. Poszedłem do pokoju George'a i oglądaliśmy je razem. Nadjechał niebieski pociąg - jak sprawozdawcy sportowi nazywali naszą ekipę - zmiatając wszystkich po drodze, z George'em na czele. Patrzyliśmy z respektem na siłę naszej drużyny. Było to prawdziwe przedstawienie.

- Człowieku, popatrz na to - powiedziałem. - Uwielbiam to oglądać.

Zespół to nie tylko kolarze. To także mechanicy, masażyści, kucharze, soigneurs i lekarze. Jednak najważniejszą osobą w naszej drużynie byt nasz kręgarz.

Tour de France dawał się nam we znaki na różne sposoby. Odczuwaliśmy różnego rodzaju bóle. Ból karku, ból kolan, ból ścięgien podkolanowych. Przez cały czas dokuczało nam zapalenie ścięgien. Niektórzy zaliczali upadki albo godzinami jechali w jednej pozycji, co później się na nich mściło. Budzili się rankiem i czuli nieznośny ból w łokciu lub kolanie.

Kolarze są narażeni na kontuzje „drogowe". Pozwólcie, że wytłumaczę, co to takiego. Dochodzi do tego, gdy upadasz z roweru i suniesz po asfalcie z szybkością 65 kilometrów na godzinę. Oczywiście, nie chodzi tu o zwykłe otarcie skóry na kolanie, ale o turlanie się po nierównej, kamienistej nawierzchni, którą pokryte są drogi północnej Francji. W takim wypadku całe ciało narażone jest na szwank, zarówno tylna, jak i przednia jego część. Zostają po nim pokryte paskudnymi strupami miejsca, w których doszło do otarcia skóry - niekiedy są tak głębokie, że widać kości. Po pierwsze, ból jest straszny. Po drugie, nie ustępuje i trwa od kilku dni do kilku tygodni. Po trzecie, nie można przez to spać. Zmieniasz pozycję w łóżku, a zwykłe dotknięcie prześcieradła sprawia, że budzisz się i jęczysz w środku nocy. Jeśli zaliczysz upadek i nabawisz się szczególnie groźnej kontuzji „drogowej", może to pokrzyżować całkowicie plany, które wiązałeś z Tour de France.

Jeff Spencer, kręgarz, był właśnie facetem, który przywracał nas do normalnego funkcjonowania. Pracował on z nami od mojego pierwszego zwycięstwa w Tour de France w 1999 roku. Podpisał kontrakt zaledwie na dziesięć dni. Ale trzeciego dnia wyścigu zadzwoniłem do dyrekcji U.S. Postal.

- Muszę coś powiedzieć. Widzicie tego faceta? Nie możecie się go pozbyć. Potrzebujemy go.

Jeff jest zarówno lekarzem, naszym guru, jak i szamanem. Ma pod ręką wszelkiego rodzaju talizmany, rytuały, kuracje i lekarstwa na każdego rodzaju dolegliwość. Uciekał się do metod, które trudno nam było zaakceptować - ale one działały. Nie tylko wie, jak

rozciągać i masować obolałe mięśnie, ale zna również specjalistyczne kuracje laserowe. Potrafi przygotować substancje przyspieszające gojenie ran na bazie alkoholu i zna nieskończoną liczbę sposobów bandażowania. Gdy ktoś doznał „szlifów", przykładał mu do rany tampon nasączony srebrem i podawał dawkę lasera. George twierdził, że lasery Jeffa powodują, iż rany goją się dwa razy szybciej.

Czasami Jeff wyprawiał takie rzeczy z naszymi ciałami, że w ogóle ból ustępował. Powiedzmy, że bolała cię stopa. Dostawałeś wówczas dawkę lasera w kark i słuchałeś wykładu na temat „połączeń nerwowych", oczywiście, słuchałeś tego tylko jednym uchem. Ale następnego dnia ból stopy ustępował.

Jeff miał jednak coś, co przewyższało laser, sposoby bandażowania czy elektryczne masaże. Jeff miał TAŚMĘ. Była to specjalna, różowiasta, sportowa, japońska taśma, która - jak się wydawało - miała wyjątkowe właściwości.

George'owi dokuczał ból pleców. Jeff obrócił go i zaczął nakładać na to miejsce różowiasta taśmę. „Jak to może pomóc?" - pomyślał George. Ale następnego dnia - było po bólu.

Zaklinaliśmy się na różowiasta taśmę Jeffa. Ona leczyła wszystko. Zwichnięte kolano? Nie ma sprawy. Owinąć taśmą. Któryś z kolarzy skarżył się na zapalenie ścięgna. Jeff powiedział:

- Wszystko będzie dobrze. To żaden problem. Owiniemy taśmą.

Wszyscy mieliśmy poowijane nogi różowiasta taśmą.

Każdego ranka przed rozpoczęciem kolejnego etapu Jeff owijał różne części naszych ciał. George'owi nałożył taśmę na plecy. Chechu owinął nią kolana. Czasem byliśmy tak poowijani tą różowiasta taśmą, że przypominaliśmy manekiny, a raczej szereg okaleczonych manekinów.

Pewnego dnia Johan podszedł do Jeffa i powiedział:

- Ta taśma jest zbyt błyskotliwa. Ludzie patrzą na taśmę i myślą, że wszyscy nasi kolarze są pokiereszowani.

- Czego chcesz ode mnie? - zapytał Jeff.

- Weź bardziej stonowaną taśmę - odparł. - Choćby szarą. Co ty na to?

Ale to właśnie kolor działał. Różowiasta taśma mogła usuwać kontuzje. Mogła usuwać naprawdę poważne kontuzje.

Wieczorem ustawiała się kolejka do Jeffa, ponieważ wierzyliśmy, że jest on w stanie rozwiązać wszystkie nasze problemy. Czasami zawodnikom nie dolegało nic, poza tym, że byli zmęczeni, psychicznie wyczerpani lub emocjonalnie wykończeni. Pena padał ze

zmęczenia, Pavel padał ze zmęczenia, nawet Roberto padał ze zmęczenia. Jeff miał również i na to lekarstwo. Nie tylko leczył nasze dolegliwości fizyczne, ale także psychiczne.

- Wiesz - mówił Jeff - wyglądasz dziś znacznie lepiej.

- Naprawdę? - pytałem.

- Tak, widzę to po twojej twarzy.

Jeśli sądzić po liczbie odwiedzin w jego pokoju, to najważniejszym człowiekiem ekipy U.S. Postal był niewątpliwie Jeff. Wciąż ustawiały się do niego kolejki. Wiedzieliśmy, że dzięki niemu mogliśmy dojechać do Paryża.

Wielki niebieski pociąg nadjeżdża. Kolarze innych drużyn czuli dla nas respekt, obawiali się szybkiego tempa, które narzucaliśmy. Widząc, że nadjeżdżamy, usuwali się na boki, robiąc nam wolną drogę. Gdy sunęliśmy do przodu, zawodnicy często zwracali się do nas:

- Możecie, błagamy, nieco zwolnić? Słyszeliśmy głosy kolarzy jadących w peletonie:

- Błagamy, spokojnie, spokojnie!

Ale utrzymywaliśmy tempo, dopóki inni kolarze nie zawiśli nad kierownicami, spuszczając nisko głowy niczym zwiędnięte tulipany.

Naszym celem wcale nie było torturowanie zawodników, ale doprowadzenie ich do takiego stanu zmęczenia, aby odczuwali dyskomfort i mieli trudności z dotrzymaniem nam kroku, co zmniejszało niebezpieczeństwo ataku z ich strony. Jechaliśmy jak machina: mieliśmy tak samo ułożone ramiona i biodra, nie wykonywaliśmy zbędnych ruchów, nie kołysaliśmy się na rowerach, mogło się nawet wydawać, że oddychaliśmy w tym samym rytmie i pedałowaliśmy w tej samej kadencji.

Wygraliśmy drugi górski etap, następnego dnia po La Mongie, zakończony w Plateau de Beille. Etap obejmował pięć niezwykle trudnych wspinaczek; ostatnia prowadziła na szczyt stacji narciarskiej, oznaczony jako hors de categorie - czyli „poza kategorią". Niezwykle trudny podjazd. Dzień był tak ciężki, że sześciu zawodników zrezygnowało z dalszej jazdy w Tour de France. Ale ja czułem się wspaniale. Podczas gdy inny kolarze tracili siły, ja jechałem tuż za wielkim niebieskim pociągiem.

Pokonaliśmy wysokość ponad 1200 metrów na szesnastokilometrowym odcinku. Tempo narzucone przez Chechu i Roberto ponownie było tak duże, że wszyscy kolarze, oprócz mnie i Belokiego, dali za wygraną - i wcale nie byliśmy tym zawiedzeni. Teraz stanęliśmy przed szansą zapanowania nad całym wyścigiem. Roberto siedział Belokiemu na kole, a ja ruszyłem do przodu. Kiedy zwiększyłem znacznie swoją przewagę, obejrzałem się. Na finiszu zasalutowałem oboma rękami, ponieważ wiedziałem, że nasza drużyna wykonała

kawał dobrej roboty na drodze do wygrania całego wyścigu.

Jeśli chodzi o pozostałe etapy Tour de France, rozkładaliśmy na łopatki naszych rywali i zyskiwaliśmy trochę dodatkowego czasu każdego dnia. Etap 14 kończył się na Mont Ventoux, górze, którą doskonale znałem i która królowała nad Prowansją. Tego dnia udało nam się obronić pozycję lidera w klasyfikacji generalnej; mknąc przez skaliste pustkowia, przyjechaliśmy na metę prawie dwie minuty przed Belokim, zwiększając przewagę nad tym kolarzem do 4 minut i 21 sekund.

Zapewne sądzisz, że naciskamy na hamulec, kiedy zjeżdżamy ze wzniesienia, ale nie przyszło ci chyba do głowy, że można hamować, wspinając się na szczyt. A jednak tak było. Tego dnia jechaliśmy tak ostro, że musieliśmy hamować, pokonując podjazd. Tak szybko wpadaliśmy w niektóre zakręty, że musieliśmy naprawdę zwalniać.

Później Beloki oficjalnie dał za wygraną.

- Będę drugi - powiedział. - Dziś dojechaliśmy na księżyc i zobaczyliśmy astronautę.

Ostatnią próbą była końcowa indywidualna jazda na czas, rozegrana w Macon. Słońce przypiekało na trasie otoczonej winnicami - wzdłuż drogi stały tłumy widzów. Bardzo chciałem wygrać ten etap, aby pokazać, że nadal jestem najsilniejszym kolarzem, i odzyskać opinię najlepszego „czasowca", którą utraciłem na początku Tour de France. Tym razem czułem się wyśmienicie, wszystko szło jak po maśle. Rozwaliłem drogę w drobny mak.

W ostatnim etapie do Paryża skupiliśmy się na bezpiecznej jeździe i rozkoszowaliśmy się naszymi dokonaniami. Zespół jechał nieomylnie. Wszyscy tryskali taką samą energią. Pavel narzucał odpowiednie tempo na płaskich odcinkach. Roberto i Chechu przejmowali pałeczkę w górach. Floyd sapał jak pies, ale przeszedł przez to i wniósł swój wkład w nasze zwycięstwo. George i Eki odgrywali rolę obrońców, eskortując mnie niczym dwóch osobistych ochroniarzy, osłaniając mnie przed wiatrem i peletonem.

Chociaż wyścig się jeszcze nie zakończył, zwróciłem się do Billa:

- Pierwsza rzecz, którą musisz zrobić, to zatrzymać wszystkich w ekipie.

Chechu otrzymywał oferty z innych zespołów. Wiedziałem, że jest to dla niego sytuacja stresująca, ponieważ bardzo chciał zostać w naszej ekipie, a my również chcieliśmy go za wszelką cenę zatrzymać. Rozmawiałem z nim na ten temat i zapewniłem go, że odpowiednio go za to wynagrodzimy. Wówczas on powiedział:

- W takim razie nigdzie się nie wybieram.

Od wielu lat pracowaliśmy nad doskonaleniem naszej ekipy, zawodników i mechaników, i już byliśmy bliscy stworzenia doskonałej grupy, która po prostu ułatwiała mi życie. Najbardziej kłopotliwą sytuacją, w której się znalazłem w całym Tour de France, było

zaplątanie się w drodze do La Mongie rowerów mojego i kolegi.

Tuż przed zakończeniem wyścigu w Paryżu młoda, chora na raka Holenderka przyszła do naszego hotelu. Ponownie poczułem spokój, który wywoływała myśl o rozmowie z bratnią duszą. Zaprosiłem ją do jadalni. Usiedliśmy przy stoliku. Tuż obok siedzieli pozostali zawodnicy drużyny U.S. Postal. Rozmawiałem z nią przez 45 minut. Jej przypadek był wyjątkowo ciężki. Po przebyciu terapii nowotwór powrócił. Wówczas przeszła terapię po raz drugi. Przez chwilę rozmawialiśmy o opcjach jej terapii. Interesowały ją też sposoby leczenia nowotworu stosowane w Stanach Zjednoczonych.

- Co pan zrobił? - zapytała.

- Poddałem się terapii. Było to piekło. Ale potem poczułem się lepiej - powiedziałem.

Rozmawialiśmy o leczeniu nowotworów w Stanach i o zasługach amerykańskich szpitali w tej dziedzinie. Pytała mnie, co jadłem i ile czasu poświęcałem na ćwiczenia. Powiedziałem jej prawdę.

- Na początku jadłem mnóstwo szpinaku, ale pod koniec kuracji tolerowałem tylko zapiekanki jabłkowe.

Powiedziałem jej też, że próbowałem jeździć na rowerze tyle, na ile pozwalał mi mój stan, dopóki pewnego dnia nie zemdlałem.

Kiedy rozmowa dobiegła końca, dziewczyna wręczyła mi prezent. Przyniosła mi chodaki, prawdziwe holenderskie chodaki dla całej mojej rodziny. Podarowała mi pięć par, w tym małe chodaki dla dzieci. Przechowuję je teraz na pamiątkę; dziewczyna umarła.

Kilka dni później wielki niebieski pociąg zawiózł mnie do Paryża. Minąłem metę, osiągając oficjalny czas 82 godziny 5 minut i 12 sekund, co dawało mi przewagę nad kolejnym kolarzem 7 minut i 17 sekund. Byłem niezwykle dumny. Nie popełniliśmy nawet najmniejszego błędu taktycznego. Ani jednego. Nasza siła rosła wraz z kolejnymi etapami, byliśmy coraz bardziej pewni naszych umiejętności, bardziej cierpliwi. Tym razem poczułem, co naprawdę osiągnęliśmy. Nie doznałem tego po wygraniu trzech ostatnich wyścigów Tour de France. Teraz dopiero podziwiałem osiągnięcia naszej drużyny.

Innym również udzielało się podobne uczucie. W Paryżu po raz pierwszy nagłówki gazet były nam przychylniejsze. Gazeta „Le Parisien" oddała w nagłówku hołd zarówno Jalabertowi, jak i mnie, pisząc: „MERCI JAJA... BRAVO ARMSTRONG". Byłem wdzięczny redakcji za ten komplement. W artykule zacytowano słowa francuskiego sprzedawcy win, który powiedział: „Wartością człowieka jest jego duch, a nie to, z jakiego kraju pochodzi". Nagle Francuzi nadali mi przydomek: Boss.

Na mecie udzieliłem kilka wywiadów po francusku dziennikarzom lokalnej prasy.

- Kocham Francję - powiedziałem.

Być może ludzie w końcu zrozumieli to, co próbowałem wyrazić po francusku i po angielsku. Przekonali się, że kolarze zespołu U.S. Postal nie są robotami ani zimnymi, korporacyjnymi, amerykańskimi handlowcami. Nasza drużyna szukała raczej sposobów, pozwalających doprowadzić jazdę do perfekcji, próbowała doskonalić technikę, a to nie wynika z bezduszności, tylko z miłości do kolarstwa.

- To nie teatr, to sport - mówiłem. - Wierzę w wyniki i w piękno tego wyścigu.

Najbardziej jednak wierzyłem w swoich kolegów z zespołu - i pragnąłem coś dla nich zrobić. Co roku urządzaliśmy z okazji zwycięstwa drużyny U.S. Postal Service przyjęcie na około 300 osób w Musee d'Orsay, wielkim, starym dworcu kolejowym, który został przekształcony w muzeum malarstwa francuskiego. Było to wspaniałe przyjęcie, ale kolarze i goście siedzieli przy oddzielnych stołach. Chciałem urządzić coś bardziej kameralnego, abyśmy mogli wspólnie cieszyć się zwycięstwem, tylko nasza dziewiątka. Przez kilka tygodni harowali jak niewolnicy, cierpieli na zapalenie ścięgien i drogowe kontuzje, obolali i poskręcani zasypiali w hotelikach. Pragnąłem, aby tego wieczora czuli się jak gwiazdy rocka, ponieważ nimi właśnie byli dla mnie. Chciałem, aby w każdym calu czuli się zwycięzcami.

Kik pomogła mi wynająć małą, prywatną salę bankietową w Hotel de Crillon, w którym zawsze spędzałem ostatnią noc w Paryżu, ponieważ jego załoga zawiesiła kiedyś teksańską flagę, powiewającą nad Champs-Elysees (dzięki temu zdobyli sobie we mnie dozgonnego klienta). Zamówiłem pięć mercedesów klasy S, którymi pojechano po moich kolegów i przywieziono ich do hotelu. Zawodnicy innych zespołów udawali się na swoje przyjęcia autobusami, a nasi kolarze zostali przywiezieni mercedesami.

Samochody przywiozły członków drużyny i ich rodziny do prywatnej sali recepcyjnej w Crillon, gdzie został urządzony bankiet. Uścisnęliśmy sobie dłonie i każdemu wręczyłem koperty, które wkładali do kieszeni, aby je otworzyć później.

Usiedliśmy przy stole wraz z rodzinami, coś niecoś przegryzając, pijąc, opowiadając historyjki i sprzeczając się ze sobą. Śmialiśmy się z próby przetłumaczenia tekstów zespołu ZZ Top. Kik zeszła na dół i dołączyła do nas. Wkroczyła do sali jak światowej klasy modelka w czarnych spodniach i białej bluzce. Na szyi miała sznur pereł. Na jej widok koledzy zaczęli śpiewać piosenkę ZZ Top: „She wore a PEARL NECK-LACE!"

W końcu rozdzieliliśmy się i mężczyźni opuścili hotel, aby odwiedzić kilka paryskich lokali nocnych. Gdy wsiedli ponownie do limuzyn, kilku kolegów otworzyło koperty. Należało już do tradycji, że zwycięzca Tour de France przekazywał wygraną w wysokości 400 000 dolarów swoim kolegom, dlatego słusznie podejrzewali, że w kopertach znajdują się

czeki. Nie wiedzieli jednak, że podwoiłem tę sumę, ponieważ w ten sposób chciałem im osobiście podziękować. Nagle, będąc jeszcze w samochodach, zaczęli dzwonić na mój telefon komórkowy i krzyczeć. Słyszałem, jak któryś z chłopaków otworzył kopertę i powiedział:

- To chyba pomyłka. On dopisał za dużo zer.

Odwiedziliśmy różne zakątki Paryża i bawiliśmy się do późnych godzin; nie wiem, gdzie poszczególni zawodnicy ostatecznie zakończyli tę noc. Niektórzy, jak George, bawili się aż do rana. Floyd poszedł spać najwcześniej. Nie widział żony przez dwa miesiące, dlatego opuścił nasze towarzystwo o północy. Był tak zmęczony, że nie mógł sklecić ani jednego zdania. Nawet kąpiel pod prysznicem okazała się dla niego wielkim wysiłkiem.

Upadł na łóżko - i obudził się dopiero o czwartej po południu następnego dnia. Wtedy jednak przebudził się tylko po to, aby coś przekąsić. Ponownie położył się do łóżka i spał do następnego ranka. Jeszcze przez kolejny miesiąc dochodził do siebie.

Pomógł nam wygrać, a w ten sposób pomógł też sobie. Spłacił długi i podpisał nowy kontrakt z U.S. Postal: lukratywny dwuletni kontrakt; otrzymał ponad dwukrotną podwyżkę swojej pensji.

- Nigdy nie miałem dwuletniego kontraktu, z żadnym klubem - nie mógł się nadziwić.

Właśnie dlatego ważniejsze jest postawienie na wspólny niż na indywidualny wysiłek, nawet jeśli będziesz pytał samego siebie: „Co będę z tego miał?" Skupienie się tylko na własnym interesie prowadzi do izolacji. Kiedy współpracujecie ze sobą, jesteście za siebie odpowiedzialni i dlatego istnieje mniejsze prawdopodobieństwo, że ktoś będzie unikał odpowiedzialności czy oszukiwał swojego partnera. Praca zespołowa nie tylko podnosi wyniki, ale także sprawia, że nie tracisz ducha. Nigdy nie jesteś sam, nawet jeśli masz do pokonania dziesięciokilometrowy podjazd, a grupa atakujących depcze ci po piętach, albo gdy przygotowujesz się do kolejnej rundy chemoterapii. Wówczas możesz liczyć na kolegów - to naprawdę pomaga.

Zawodowi sportowcy ciągle mówią o „mojej" grze. Ale twoja gra wcale nie należy do ciebie, jeśli jesteś członkiem drużyny - wówczas nie ma czegoś takiego jak „moja" gra, jest tylko po prostu sama gra. Twój wysiłek należy do twoich kolegów, a ich starania do ciebie, i są to więzi nierozerwalne. Tak jest we wszystkich zbiorowościach, które łączą się po to, aby zrealizować jakiś cel.

Moja definicja zespołu brzmi tak: jest to grupa ludzi, która dąży to tego samego celu, ma takie same doświadczenia i uznaje takie same wartości. Zgodnie z nią miliony ludzi walczących z nowotworem również tworzą zespół, do którego należę. Zawsze o nich pamiętam, tak jak oni pamiętają o mnie. Wciąż spotykam przestraszone i pełne obaw osoby

powtarzające moją historię, które przypominają mi o mojej chorobie i moim wyzdrowieniu. Lecz w przeciwieństwie do wyścigu ta walka nigdy się nie kończy.

Sądzisz, że to koniec, ale tak nie jest. To trwa ciągle.

Następnego ranka po moim zwycięstwie w Paryżu Bart przyszedł odwiedzić mnie w Hotel de Crillon, gdzie w swoim pokoju udzielałem wywiadów i walczyłem z sennością oraz łagodnym kacem. Gdy pojawił się w holu, był blady i miał zaczerwienione oczy. Bili, który spotkał go w drzwiach, spojrzał na niego i zapytał:

- Co się stało?

Bart miał trudności z mówieniem. Rankiem otrzymał druzgoczącą wiadomość z Austin: u jego młodszego brata, Davida, zdiagnozowano niesłychanie agresywną formę raka. Przewieziono go do St. David's Hospital i dokonano transfuzji krwi.

Zszedłem do holu.

- Co się stało? - zapytałem.

- Właśnie dowiedział się, że jego brat ma raka - wyjaśnił Bili. Patrzyłem przez chwilę na Barta.

- W porządku - powiedziałem. - Bierzmy się do roboty. Zobaczymy, co da się zrobić.

Objąłem Barta ramieniem z jednej strony, a Bili objął go z drugiej, i udaliśmy się na górę. W moim pokoju panował bałagan; próbowaliśmy z Kik się spakować. Dookoła biegały dzieci, a poza tym kręciło się w nim jeszcze kilku dziennikarzy. Bili poprosił ich, aby wyszli.

Bart powoli opowiedział nam całą historię. Jego młodszy brat, David, uderzył się podczas weekendu w palec u nogi, grając w koszykówkę. Stłuczony palec okropnie spuchł i David sądził, że go po prostu złamał. Następnego dnia dostał krwotoku z nosa, nie mógł go zatamować. Krew tryskała mu na twarz i w końcu musiał pojechać na pogotowie, gdzie lekarz dyżurny zdiagnozował u niego białaczkę i skierował do szpitala, aby rozpocząć transfuzję krwi. Tamtej nocy David był w ciężkim stanie i mógł w każdej chwili umrzeć.

David Knaggs miał 31 lat. Jego żona, Rhiannon, była w ciąży z ich pierwszym dzieckiem.

Nie zważając na to, że w Stanach był właśnie środek nocy, zacząłem telefonować i wysyłać e-maile do lekarzy onkologów, których znałem. Zadzwoniłem do doktora Jeffa Murraya, onkologa dziecięcego z Fortu Worth, który leczył Kelly Davidson. Skontaktowałem się też ze Steve'em Wolffem, przewodniczącym Naukowego Komitetu Doradczego, działającego przy Fundacji Lance'a Armstronga, z którym konsultowałem się w sprawie własnego przypadku i który skierował mnie do właściwych specjalistów. Mój telefon obudził doktora Wolffa, który natychmiast zgodził się przeprowadzić odpowiednie konsultacje.

Obiecał zapoznać się z historią choroby Davida, a jednocześnie doradził, aby jak najszybciej przewieźć go do centrum onkologicznego.

- Musimy przewieźć twojego brata - zwróciłem się do Barta. Bart tylko skinął głową. Był zbyt zdruzgotany, aby cokolwiek odpowiedzieć.

- Posłuchaj, jestem z tobą - dodałem. - Nie możesz się załamywać. Musimy postarać się, aby przewieziono go do centrum onkologicznego.

Musieliśmy pomóc Bartowi jak najszybciej wrócić do domu w Austin. Zadzwoniłem do Jima Ochowicza, który wciąż jeszcze przebywał w Paryżu, prosząc go, aby zabrał Barta z paryskiego lotniska i zajął się nim. Ochowicz spotkał się z Bartem na chodniku przed portem lotniczym. Wziął jego bagaże, załatwił za niego formalności, przez cały czas dodawał mu otuchy i trzymał go za rękę.

Zanim jeszcze Bart wszedł na pokład samolotu, zadzwonił Steve Wolff z niepokojącymi wiadomościami. Liczba białych ciałek w krwi Davida wynosiła 177 000 - podczas gdy liczba białych ciałek krwi u młodego mężczyzny waha się między 4000 a 7000.

- Liczba białych ciałek krwi jest trzydziestokrotnie wyższa niż normalnie, co wskazuje, że choroba jest bardzo poważna - powiedział doktor Wolff - i bardzo agresywna.

Wyjaśnił, że bezpośrednie niebezpieczeństwo stwarza leukostazja - zagrażające życiu gęstnienie krwi.

- Znajduje się teraz w krytycznym momencie - powiedział Wolff.

Radził, aby jak najszybciej przenieść Davida do kliniki, która dysponuje specjalistyczną aparaturą, przystosowaną do leczenia agresywnych odmian białaczki; inaczej jego stan może się szybko pogorszyć.

- Musi zostać poddany natychmiastowemu leczeniu - powiedział doktor.

Bart zajął miejsce w samolocie, chory ze zmartwienia. Och odleciał z Bartem do Stanów. Przez całą drogę Bart siedział nieruchomo. W końcu wylądowali w Chicago, gdzie Bart przesiadł się na samolot do Austin. Wówczas ponownie rozmawiał ze Steve'em Wolffem. Dowiedział się, że David ma zostać przewieziony ambulansem do centrum onkologicznego M. D. Andersona w Houston, gdzie czeka już na niego specjalista.

Bart wylądował w Austin, wsiadł do samochodu, po drodze zabrał matkę i pojechał do Houston. Był tak zmęczony, że matka musiała nucić piosenki, aby nie zasnął nad kierownicą. Do kliniki M. D. Andersona dotarli o czwartej rano i spotkali się z Archie Bleyer i Williamem Wierda, nowymi onkologami Davida. To, co nastąpiło później, dowodzi potęgi nauki.

Do godziny siódmej rano wykonano biopsję kości Davida i określono typ nowotworu. Potem zastosowano procedurę, mającą na celu zmniejszenie niebezpiecznie wysokiej liczby

białych ciałek krwi. Stopniowo zaczęto usuwać mu krew, przez odpowiednie dreny założone w wewnętrznej części uda, aby w ten sposób pozbyć się nieco białych krwinek. Usunięta krew została odwirowana i z powrotem doprowadzona do organizmu. Do południa procedura została zakończona i liczba białych ciałek spadła poniżej 100 000.

Kiedy Bart poprzednio widział Davida, swojego młodszego brata, cieszył się on zdrowiem i tryskał energią. Był jednym z młodych inteligentnych i wysportowanych mieszkańców Austin, którzy znaleźli swoje miejsce w tym w mieście, którzy stukali w klawiaturę komputera w ciągu dnia, a wieczorami grali w koszykówkę, i którzy byli na tyle spokojni o swoją przyszłość, że postanowili założyć rodziny.

Bart stał teraz przy łóżku Davida, na którego ciele w ciągu 24 godzin pojawiły się małe niebieskie siniaki, spowodowane pękaniem naczyń włosowatych, co było efektem niedoboru płytek krwi w organizmie. Oddech Davida był ciężki i płytki, ponieważ klatka piersiowa stawiała znaczny opór.

Kiedy jego stan się ustabilizował, poddano go rundzie klinicznej chemoterapii, reżimowi leczniczemu dostępnemu tylko w wyspecjalizowanych centrach onkologicznych. Do 1 sierpnia David przeszedł ich kilka, ale pojawiła się także szansa, że zdoła pokonać chorobę.

Rozmawiałem z Bartem codziennie. A do Davida regularnie wysyłałem odręcznie pisane listy. „Wierzę w ciebie - pisałem. -Wiem, że to, przez co przechodzisz, jest nawet cięższe od tego, przez co przeszedłem sam. Widzę, jak bardzo przeżywa to twój brat. Wiem jednak, że obaj jesteście silni. Jestem po prostu jedną z wielu osób, która chorowała na nowotwór i która wie, że możesz go pokonać".

David czuł się całkiem dobrze do listopada, kiedy ponownie jego stan się pogorszył. Stracił władzę w rękach i stopach z powodu uszkodzenia nerwów. To wszystko. Lekarze zaczęli mówić o przeszczepie szpiku kostnego i szukać dawcy, poddając testom na zgodność członków rodziny.

Rhiannon, żona Davida, spędziła większą część ciąży, śpiąc na rozkładanym łóżku w pokoju, w którym przebywał jej mąż w centrum onkologicznym M. D. Andersona. Pewnego wieczoru, kiedy David spał, jego żona zaczęła odczuwać bóle. Nie chcąc budzić męża, pojechała ze swoją matką do Teksańskiego Szpitala Kobiecego. Później, walcząc z kolejnymi skurczami, skontaktowała się telefonicznie z Davidem. Kiedy leżała na sali porodowej, mąż uspokajał ją przez telefon. Przez słuchawkę przysłuchiwał się narodzinom swojego pierwszego dziecka. Isabella Knaggs urodziła się 24 listopada 2002 roku.

Tuż przed Bożym Narodzeniem lekarze znaleźli wśród rodzeństwa Davida

doskonałego dawcę szpiku - okazał się nim Bart.

Następnego dnia po świętach mój trzydziestosześcioletni przyjaciel pojechał do Houston, aby rozpocząć proces oddawania szpiku kostnego, który miał być później przeszczepiony jego bratu. Po przeprowadzeniu szeregu badań EKG i rezonansu magnetycznego, aby upewnić się, że jest zupełnie zdrowy, lekarze podali Bartowi Neupogen, lek zwiększający produkcję krwi, który również otrzymywałem podczas swojej chemoterapii. Dostał również serię zastrzyków, aby jego organizm był w stanie odbudowywać komórki macierzyste. Dwa razy dziennie przez pięć kolejnych dni Bart dostawał zastrzyki w brzuch długą igłą do wstrzyknięć podskórnych.

Zastrzyki i leki powodowały nieznośne bóle kości. Bart skarżył się na okropne, tępe i nieustające bóle. Dokładnie wiedziałem, o czym mówił: lekarze nazywają to migotaniem kości; pacjenci poddani chemoterapii odczuwają je przez cały czas. W jednej chwili, leżąc w łóżku, czujesz się dobrze, a w następnej migotliwy ból przeszywa twoje kości głęboko pod mięśniami, a żaden środek przeciwbólowy zdaje się wcale go nie łagodzić.

Żartowałem z Bartem, próbując uśmierzyć jego dolegliwości, ale cierpiałem, myśląc o tym, że najlepszy przyjaciel doświadcza bólu, który znosi każdy chory na raka.

- No, no - mówiłem. - nareszcie dołączyłeś do bractwa, którego członkowie mają za sobą łamanie w kościach.

W sylwestra przepompowano krew z organizmu Barta. Pobrano ją z lewego ramienia, a po odwirowaniu wprowadzano do prawego ramienia. W ten sposób odseparowano plazmę. Po zabiegu został tylko mały żółty pojemnik kroplówkowy z niewielką ilością płynu, zawierający komórki macierzyste, pochodzące ze szpiku kostnego Barta, będące największą szansą, jaką miał jego brat, aby przeżyć. Przeszczep został przeprowadzony: cząstka życia Barta została przekazana Davidowi.

Dopiero po stu dniach można powiedzieć, czy przeszczep się przyjął. Dni mijały. Bart nie tracił nadziei. Obserwowałem rozwój sytuacji z pewnej odległości, przesyłając wiadomości z moich rozmaitych podróży. „Siła jest w tobie - pisałem do Davida. - Musisz po prostu w to uwierzyć".

Któregoś dnia na początku maja zadzwonił do mnie Bart.

- David czuje się dobrze. Wraca do domu - mówił drżącym głosem.

6 maja 2003 roku David wrócił do domu w Austin. Czasowo nie miał białaczki, a liczba płytek krwi utrzymywała się w normie. Nadal brał leki uśmierzające nerwobóle. Schudł ponad 20 kilogramów - nowotwór wysysa z ciebie masę ciała. Stracił pracę i wagę - to było pewne. Czekało go mnóstwo zabiegów rehabilitacyjnych, a ich wynik wcale pewny nie był.

Ale mógł być znowu w domu.

Nie było mnie przy tym, kiedy David wrócił do domu, ponieważ przebywałem w Europie, ale przesłałem mu prezent. Był to rower, czarny górski rower firmy Trek, całkiem fajne cacko. Bart zamontował do niego rolki oraz podłączył windtrainer i ustawił go w salonie Davida. David korzystał z niego codziennie. Wykonywał na nim cześć ćwiczeń rehabilitacyjnych. Siedział na siodełku, oglądał mecze rozgrywane przez Cubs i pedałował. Mieliśmy nadzieję, że odzyska siły, ale tak się nie stało. Miesiąc później choroba nawróciła i kiedy pisałem tę książkę, ponownie rozpoczął walkę pod okiem grupy lekarzy z centrum M. D. Andersona.

Niczego nie robimy sami, nikt z nas. Ja też nie sam walczyłem z nowotworem ani też samodzielnie nie powróciłem do zdrowia. Pokonałem chorobę z pomocą sześciu różnych lekarzy, dzięki czterem cyklom chemii, trzem operacjom, oddanej matce, tuzinowi niezwykle opiekuńczych przyjaciół i paru opryskliwym pielęgniarkom, łącznie z moją pielęgniarką oddziału onkologicznego, LaTrice Haney. Najważniejsze było to, że wszyscy postępowali zgodnie, choć dochodziło między nimi do konfliktów. Przyjaciele opiekowali się mną na zmiany, a żaden z lekarzy nie miał nic przeciwko zasięgnięciu opinii innego specjalisty czy konsultacji u innego doktora. Wszyscy pracowali razem i mieli wspólny cel: wyleczyć chorego. Tak samo należało postępować z Davidem.

Wygrywając w 1999 roku po raz pierwszy Tour de France, wiedziałem, że mój dawny oddział onkologii śledzi moje postępy. Codziennie myślałem o korytarzu w Centrum Medycznym Uniwersytetu Indiana w Indianapolis, gdzie jak przypuszczałem, LaTrice włączała telewizor, i nerwowo obserwowała, czy pojemność moich płuc jest na tyle duża, abym poradził sobie w górach. Wiedziałem, że każdego ranka przychodzi do pracy, pokazuje mnie palcem w telewizji i dumnie mówi wszystkim pacjentom, którymi się opiekuje: „Był również naszym pacjentem". Wiem, że wciąż to robi.

Za każdym razem, gdy mijam metę, ona skacze wokół pokoju, rzuca się w ramiona innym pielęgniarkom, lekarzom i pacjentom.

- Czułeś nas - powiedziała pewnego razu. - Wiem, że nas czułeś.

Tak właśnie było.

Kto chciałby działać w pojedynkę, jeśli mógłby dostać to wszystko? Każdy, kto sądzi, że może pracować solo, otoczony przez rywali, bez pomocy towarzyszy, jest skazany na porażkę. Prawda jest taka, że nie da się wygrywać w pojedynkę.

ROZDZIAŁ VII

Moja ławka w parku

Będę z wami szczery: nie budzę się każdego ranka, myśląc: „Dziś pragnę być dla kogoś inspiracją". Niekiedy nie chce mi się nawet włożyć butów. Chcę po prostu boso wałęsać się po okolicy, ocierając mankietami dżinsów o teksańską trawę, nie myśląc o niczym poważniejszym od napicia się piwa czy gry w golfa albo o jednym i drugim. Zwykle wypijam jedno piwo za każdy dołek, który mógłbym zdobyć podczas meczu golfowego.

Jakiś czas po wygraniu Tour de France po raz czwarty przestałem się golić. Wstawałem rankiem, patrzyłem w lustro i myślałem: „A powinienem? Kogo to obchodzi?" Zarost na brodzie urósł do tego stopnia, że stał się niejednolity i nierówny. Moi znajomi zaczęli mnie nazywać „Chewbacca" albo „Niedźwiedziem Pana Adamsa".

- Dlaczego to robisz? - zapytał College.

Robiłem to, ponieważ piwo i niegolona broda były dla mnie symbolami dobrobytu.

- To wszystko, co mam - mówiłem.

W końcu jednak zmęczyło mnie takie życie. Chociaż bardzo się starałem, zwolnione tempo kłóciło się z moją naturą. Potrzebujemy wykonywać jakieś czynności, aby zapełnić dzień, zająć myśli i zużytkować drzemiącą w nas energię. W moim przypadku było podobnie. Nie muszę składać broni; muszę ją wykorzystać, stępić i wyszczerbić. Uznałem, że bumelowanie trwało zbyt długo i za bardzo się rozleniwiłem. Spojrzałem na siebie w lustrze i powiedziałem:

- Ty żałosny obiboku - i wróciłem do jazdy na rowerze.

Nie mogę jednak ścigać się w Tour de France bez końca i kiedyś będę musiał znaleźć sobie coś innego do roboty. Przypuszczam, że moim następnym zajęciem będzie praca w dyplomacji. Chociaż w związku z wycofaniem się ze sportu muszę rozważyć jeszcze inną kwestię: jeśli Joux-Plane był najtrudniejszym dniem w mojej karierze sportowej, to i tak było to łatwiejsze niż publiczne wystąpienia.

Pewnego dnia, czy będzie mi się to podobało, czy nie, będę musiał na zawsze pożegnać się ze swoją sportową karierą - i co wtedy? Co zrobię wtedy, gdy moje mięśnie i ścięgna nie będą już odpowiadać na bodźce wysyłane z mózgu, a coraz gorsza forma nie pozwoli mi wygrywać takiej liczby etapów jak wcześniej? Albo jeśli ulegnę nieszczęśliwemu wypadkowi, z którego nie będę mógł się wykaraskać? Te czynniki mogą zadecydować o tym, że wycofam się ze sportu.

Mój plan to ścigać się do roku 2004, a także dłużej, i próbować zdobyć piąty, rekordowy tytuł zwycięzcy Tour de France. Inną kwestią jest to, czy potrafię tego dokonać: ludzie stale mnie pytają, czy pobiję rekord, ale ja jestem ostrożny. Zbyt dobrze wiem, czym pachnie wyścig, jakie wypadki mogą się zdarzyć na trasie, mam świadomość tego, że organizm może odmówić posłuszeństwa, więc nie twierdzę wcale, że zdołam to zrobić.

Najlepsi kolarze powiedzą ci, że piąty Tour de France byłby ciężki, a szósty niemożliwy. W stuletniej historii wyścigu nikomu nie udało się go wygrać sześć razy, choć próbowali najznakomitsi zawodnicy. Szósty jest tajemniczą barierą. Indurain wygrał Tour de France pięć razy z rzędu od 1991 do 1995 roku i podjął odważną próbę zdobycia szóstego tytułu w 1996 roku, ale na trudnej wspinaczce do Les Arcs, podczas siódmego etapu, organizm jego nie wytrzymał. Wyścig wygrał wówczas Bjarne Riis z Danii. Jacques Anquetil zdobył swój piąty tytuł w 1964 roku, ale potem zszedł z areny na zawsze. Wspaniały Eddy Merckx przymierzał się do szóstego zwycięstwa w 1975 roku, ale otrzymał zdradziecki cios od zirytowanego fanatyka: jakiś człowiek wyskoczył z tłumu i uderzył go z całych sił w brzuch. Kolarz jeszcze przez dwa dni odczuwał ból i w końcu został pokonany na górskim podjeździe przez Bernarda Theveneta.

Bernard Hinault uległ poważnemu wypadkowi na drodze do zdobycia piątego tytułu w 1985 roku. Został przewrócony przez swojego kolegę z zespołu podczas sprinterskiego etapu. Do mety dojechał z krwawiącym nosem i z niewielką przewagą nad drużynowym kolegą, Gregiem LeMondem. W następnym roku to właśnie LeMond uniemożliwił Hinaultowi wygranie wyścigu po raz szósty.

Musisz przyzwyczaić się do myśli, że pewnego dnia, gdy jedziesz na rowerze, poczujesz, że zawodzą cię twoje siły albo ulegniesz wypadkowi. Jedyna rzecz, do której nie możesz przygotować się w Tour de France, to właśnie kraksa. Tak może się zdarzyć. Upadnę na jezdnię, podniosę się, pójdę na plażę i powiem:

- Nic mi nie jest. Przynieście mi parasol i szklaneczkę margarity.

Zawsze może się zdarzyć tak, że moja kariera zakończy się z powodu kraksy, kontuzji lub nieszczęśliwego wypadku. Przypuszczam, że jest na to niewielka szansa, ale jednak myśl o tym, że jakiś szalony kibic, a zarazem mój wróg, stojący przy drodze, postanowi mnie zaatakować, tak jak to się stało w przypadku Eddy'ego Merckxa, wywołuje we mnie niepokój. Jednym z uroków Tour de France jest to, że impreza odbywa się pod gołym niebem i każdy może ją oglądać; wystarczy, że staniesz na poboczu i poczekasz na ścigających się kolarzy. Kibice zawsze byli nieodłączną, a czasami niezwykle aktywną częścią wyścigu; widzowie dopingują kolarzy na podjazdach, klepią ich po plecach, oklaskują, podają jedzenie

i napoje. Podskoki i okrzyki kibiców tworzą atmosferę Tour de France, bez względu na to, czy są oni zirytowani, głupi czy nadgorliwi. Zwykle ich ignoruję, bo w przeciwnym wypadku nie mógłbym dojechać do mety. Staram się nie myśleć o tym, czy może mi się z ich strony przytrafić coś gorszego od złośliwych wyrażeń.

Pewnego razu podczas rozgrywanej w Chamrousse górskiej jazdy indywidualnej na czas nagle na drodze zjawił się jakiś facet i zaczął za mną biec, trzymając w ręku gazetę i długopis.

- Mogę prosić o autograf? - wołał. - Mogę prosić o autograf? Spojrzałem na niego i powiedziałem z przekąsem:

- Coś ci powiem: daj mi skończyć to, co zacząłem. Potem tu wrócę i dam ci autograf.

George usłyszał tę historię tego samego dnia wieczorem i zrywał boki ze śmiechu.

- Nie mogę uwierzyć, że powiedziałeś mu, że wrócisz tam później i dasz mu autograf.

Wolę wierzyć, że fani kolarstwa mają tylko dobre intencje. Bardziej pochłania mnie myśl o ewentualnej kraksie. Wszyscy kolarze dobrze wiedzą, jak niebezpieczny jest sport, który uprawiają. Przypomina o tym śmierć Andrieja Kiwiliewa. Zmarł on wczesną wiosną 2003 roku w wyniku pęknięcia czaszki, którego doznał podczas wypadku na trasie drugiego etapu corocznego wyścigu Paryż-Nicea. Był wspaniałym, atakującym zawodnikiem, który wysuwał się na prowadzenie, gdy na trasie pojawiało się jakieś wzniesienie. Uwielbiałem się z nim ścigać, ponieważ kiedy Andriej brał udział w wyścigu, a trasa wiodła pod górę, od razu było wiadomo, że ruszy do ataku. Był naprawdę niezwykłym atakującym kolarzem. Najlepiej sprawdzał się w najtrudniejszych wyścigach, czego potwierdzeniem może być jego czwarta lokata uzyskana w Tour de France w 2001 roku.

Andriej osierocił żonę i sześciomiesięczne dziecko. Na zawsze zachowam go w pamięci. Pozostanie w niej dżentelmenem, przyjacielem i rywalem, w najlepszym tego słowa znaczeniu - potrafił motywować swoich przeciwników.

Mam nadzieję zakończyć swoją karierę cały i zdrowy. Mam również nadzieję, że będę na tyle rozumny, a przy tym świadomy, aby w porę wycofać się ze sportu. Może nawet zakończę karierę wcześniej, niż niektórzy się tego spodziewają - może wstanę pewnego ranka i postanowię nie robić już niczego wyczerpującego. Ograniczę się do uczenia swoich dzieci gry w baseball.

Nie chcę w nieskończoność przeciągać kariery, bo to oznacza, że kiedyś padnę na twarz, a myśl ta wcale nie jest przyjemna. Nie mam zamiaru upierać się przy jeździe tak długo, aż nie znajdę się na szarym końcu. To nie dla mnie. Nie mogę jechać w wyścigu, w którym będę zamykał peleton. Jazda za grupą, gdy zwykłeś ją prowadzić, jest upokarzająca.

Mięśnie ocierają o kości, powodując ból, ale ból psychiczny jest od niego dotkliwszy. Lider wyścigu zawsze odczuwa ból, ale ponieważ ma duże szansę na zwycięstwo, nie myśli o nim. Kiedy jedziesz ostatni, nic nie możesz zrobić, aby sobie ulżyć. Trzeba zatem odpowiednio wcześnie się wycofać, by zachować godność i odejść z honorem.

Często zastanawiam się, co zrobię, gdy któryś z kolarzy uzyska nade mną ogromną przewagę, minie mnie podczas wspinaczki, jak ja zwykłem mijać innych zawodników; kiedy nadarzy się pierwsza okazja, kiedy stopniowo zaczną mnie spychać na dalszy plan. O, Boże. Wolę wycofać się, zanim to się stanie. Mam nadzieję, że rozpoznam ten moment, a również, że rozpoznają go moi najbliżsi, wtedy podejmę decyzję i odejdę.

Nie mam bzika na punkcie wygrania konkretnej liczby Tour de France. Nie rekord jest najważniejszy. Wystarczy, że mogę pomyśleć, iż żaden inny były pacjent kliniki onkologicznej nie wygrał ani jednego Tour de France. W wyniku fizycznych, psychicznych, i emocjonalnych szkód, spowodowanych chemoterapią, którą przeszedłem, utraciłem 2 procent swoich wcześniejszych możliwości. W zasadzie trudno było wówczas mówić o wyczynowym uprawianiu sportu. Nie sądzę, aby ktokolwiek, nie wyłączając mnie, spodziewał się, że w tak wspaniałym stylu wrócę do zdrowia. Nie miałem pojęcia, że przebyta choroba nowotworowa pozwoli mi na taką koncentrację i ponowne ustalenie priorytetów. Wygrywanie Tour de France to moja odpowiedź na raka: „Nie pokonałeś mnie i nie możesz mnie pokonać".

Pobicie rekordu nie będzie czynnikiem, który zdecyduje o długości mojej kariery sportowej. Moja kariera będzie toczyć się z roku na rok, a na rowerze utrzymywać mnie będzie nie liczba zwycięstw, ale poczucie szczęścia. Powód, dla którego uprawiam kolarstwo, jest prosty: kocham jeździć na rowerze. Trudno to udowodnić w inny sposób. Jak długo będę kochał to robić na światowym poziomie? Zobaczymy. Nie mogę na to pytanie odpowiedzieć. Nie mogę też niczego gwarantować.

Uprawiając sport, zawsze jesteś na cenzurowanym. Wszyscy interesują się twoimi osiągnięciami, tym, co powiedziałeś, i tym, co zrobiłeś. Każdy twój ruch jest pod pręgierzem zegara albo kamery. Wszystko jest notowane lub rejestrowane na wideo; informacje na twój temat są ogólnodostępne. Nie istnieje jednak urządzenie, które mogłoby zmierzyć, jak bardzo jestem szczęśliwy, wsiadając na rower i zsiadając z niego. Wszystko, co wiem, to to, że z każdą minutą jestem coraz lepszy pod względem fizycznym, ale może nadejść taki czas, kiedy stanę się o 45 sekund słabiej zmotywowany, gdy lepiej zrozumiem, co właściwie znaczą dla mnie moje wyniki, i ile tak naprawdę mnie one kosztują.

Moim zadaniem nie jest głowienie się nad tym, jakie miejsce zajmę w historii kolarstwa albo czy będą o mnie pamiętać, czy zostanę zapomniany, ponieważ - chociaż wcale

tego nie lekceważę - sprawa, kto zdobędzie i utrzyma rekord liczby zwycięstw w Tour de France, będzie moim problemem dopiero za dziesięć lat.

Żywię nadzieję, że będę zadowolony, kiedy wycofam się ze sportu. Dlaczego to, czego dokonasz między dwudziestką i trzydziestką, musi stać się największym twoim osiągnięciem całego życia? W Teksasie na każdym kroku spotykasz ludzi, którzy wciąż uważają, że najświetniejsze chwile swojego życia przeżyli wówczas, gdy ich drużyna ze szkoły średniej zdobyła mistrzostwo stanu. Ale sportowiec myśli inaczej. Ja na przykład nie jestem tylko zawodnikiem drużyny kolarskiej, ale także rzecznikiem walki z rakiem i ojcem, który odwozi dzieci do przedszkola.

Sądzę, że jedną z prawdziwych pułapek, w którą może wpaść prominentny sportowiec, jest przyzwyczajenie się do wysokiego poziomu adrenaliny oraz do tego, że zwracamy na siebie uwagę: można mieć z tego powodu wiele problemów. Budzisz się rankiem i okazuje się, że potrzebujesz poważnego zastrzyku adrenaliny. Jestem przekonany o tym, co zresztą bardzo mnie kiedyś zaskoczyło, że sława wcale nie służy człowiekowi. Gdy skończę z kolarstwem, zniknę zupełnie ze sceny. Nie mam kontraktów, w których zastrzeżono, że muszę występować w telewizji czy rozmawiać z prasą. Wówczas będę raczej więcej myślał i więcej słuchał. Udzielanie wywiadów i występowanie w talk-show specjalnie mnie nie interesuje; jest to dla mnie zbyt skomplikowane. Życie jest zbyt krótkie i nie widzę potrzeby, aby je komplikować.

Kocham Gironę między innymi za to, że na ulicy, przy której mieszkam, jestem dla ludzi przede wszystkim sąsiadem. Z okna mam widok na małą kawiarnię z ogródkiem, w którym stoją głębokie wiklinowe krzesła. Lubię usiąść na jednym z nich, popijać kawę i czytać gazetę.

Gdy wycofam się ze sportu, będę zabierał dzieci na trzy miesiące do Europy, mieszkał w Gironie i chodził z nimi na wszystkie wyścigi jako kibic, aby przybliżyć im sport, którym jest kolarstwo. Będę starał się także im wyjaśnić, dlaczego Hiszpania jest rajem. To właśnie tam można dowiedzieć się, na czym polega mistrzostwo w sztuce projektowania: place miejskie prowadzą do wewnętrznych placów, mury w obrębie innych murów otwierają zaskakujące przestrzenie, gdzie ukryte fontanny tryskają wodą, a paprocie zwisają ze starożytnych cegieł. Ulice opadają kaskadami na szersze place lub ramblas, wychodzące na półkoliste plaże albo przystanie, zapełnione masztami jachtów, gdzie słychać dźwięk pracującego olinowania.

Pędząc na rowerze, nie wiesz, co zobaczysz za następnym zakrętem: otwartą przestrzeń czy Alpy opadające stromo do morza. Nawet kiedy będę miał 50 lat,

prawdopodobnie jeszcze będę jeździł na rowerze w każdą pogodę. Będę się odpowiednio ubierał i jeździł na rowerze dla samej przyjemności jeżdżenia i oglądania okolicy.

Rower jest doskonałym środkiem lokomocji dla wszystkich tych, którzy mają niespokojne dusze. Pierwszy rower pozwala nam skakać z krawężników i cieszyć się swobodnym rozpryskiwaniem kałuży; uwalnia nas od nadzoru, odwożenia przez znajomych do szkoły, „godziny policyjnej". To wielka ulga, gdy nie musimy już polegać na rodzicach, aby pojechać do kina czy domu przyjaciela. Wyrażając się jasno: to pierwsza okazja, aby zacząć wyznaczać swój własny kierunek.

Jest to też pierwszy kołowy pojazd, którym kierujemy absolutnie sami, i być może z tego powodu czujemy tak wielki sentyment do wszystkich rowerów, które posiadaliśmy i tak dobrze wszystkie je pamiętamy. Sam miałem setki rowerów, i wszystkie zachowuję w pamięci, niczym starych przyjaciół. Zażyłości, w jaką wchodzimy z rowerem, nie powtarzamy z żadnym innym pojazdem, bez względu na komfort jazdy. Zdarza się, że czasami traktuję rower po prostu jak przedłużenie moich rąk czy nóg. Wciąż z sentymentem myślę o moim pierwszym rowerze marki Schwinn. Gumowe rączki kierownicy przyklejały się do dłoni, a podeszwy trampek w specyficzny sposób przesuwały się po zębach pedałów.

Nawet w środku ciężkiego dnia na rowerze, bez względu na ból i stres, ogarnia mnie poczucie ulgi i przyjemności z tego powodu, że znów mogę jechać. Jeżdżąc rowerem, udowadniam, że w erze nauki i mechanizacji ludzkie ciało wciąż jest cudem natury. W kolarstwie nie istnieje żadna zewnętrzna metalowa osłona, chroniąca zawodnika przed żywiołami. Kolarz ma na sobie tylko lekkie ubranie, co czyni ten sport równie zmysłowym, co surowym. Zawodnicy uprawiający kolarstwo doświadczają wielkiego piękna, wysublimowanych widoków, radosnego podniecenia, mknąc na złamanie karku z górskich stoków. Choć słono za to płacą: wysiłkiem fizycznym, torturowaniem ciała, ale to przypomina im, że są istotami ludzkimi.

Rower, bez względu na technologię i wysokiej klasy materiały zastosowane podczas jego produkcji, zawsze będzie poruszany siłą mięśni. Podstawowa konstrukcja roweru jest niezmienna: rama z mechanizmem korbowym, łańcuch i dwa koła, napędzane wyłącznie nogami. Jadąc rowerem, polegasz tylko na swojej sile, kierujesz swoimi rękami. Motorem jesteś ty sam.

Wciąż jeszcze tęsknię za wyścigami. Mam świadomość, że los daje nam tylko kilka wspaniałych okazji i być może ta jest ostatnią szansą... by znowu wygrać.

* * *

Sportowiec musi zastanowić się nad tym, jak uszlachetnić ludzi, którzy żyją obok niego. Nie może myśleć tylko o sobie, bo jego życie stałoby się po prostu bezcelowe.

Wciąż zadaję sobie pytanie, co mogę, a czego nie mogę uczynić dla innych. Mogę być przynoszącym szczęście dobrym duchem, rodzącym nadzieję przykładem, towarzyszem w cierpieniu, doradcą i wdzięcznym słuchaczem. Mogę spróbować wygrać Tour de France po raz kolejny i w ten sposób zaświadczyć, że chorobę nowotworową da się pokonać. Mogę mówić ludziom o tym, co na pewno wiem o raku, i o tym, że nie są sami: zachorowalność na tę chorobę jest tak duża, że dotyka niemal każdego - przyjaciół, rodzinę, kolegów z pracy czy ze szkoły. Po prostu mogę starać się być pomocny.

Czasami jednak mi to nie wychodzi. Zdarzają się sytuacje, kiedy zwyczajnie nie wiem, co powiedzieć osobie, która została dotknięta chorobą. We wrześniu 2002 roku pojechałem do Białego Domu, aby promować badania nad rakiem i apelować o przeznaczenie większych środków i funduszy na ten cel. Przed audiencją u prezydenta jeden z pracowników biura prasowego Białego Domu zaaranżował prywatne spotkanie z cierpiącym na chorobę Hodgkina Paulem de la Garza, dziennikarzem „St. Petersburg Times", który właśnie przechodził chemoterapię. Po postawieniu diagnozy dziennikarz otrzymał od przyjaciela egzemplarz książki Mój powrót do życia. Nie tylko o kolarstwie i zaczął śledzić Tour de France. Gdy dowiedział się, że odwiedzę Biały Dom, aby promować badania nad rakiem, doprowadził do naszego spotkania, korzystając z pomocy pracownika biura prasowego. Później napisał o naszym spotkaniu tak: „Kto, pomyślałem, mógłby mi dać większe wsparcie moralne czy bardziej podnieść mnie na duchu, niż najbardziej znany na świecie człowiek, który pokonał raka?"

Nie czuję się jednak kimś wyjątkowym; jestem taki jak inni, i jeśli zaczepisz mnie w nieodpowiednim czasie, nie przydam się na wiele. Gdy zostałem przedstawiony Paulowi de la Garza, wprowadzono nas do małego przedpokoju, sąsiadującego z pokojem niebieskim. Ponieważ w Białym Domu wszystko dzieje się zgodnie z harmonogramem i obowiązującym protokołem, nie miałem zbyt wiele czasu na rozmowę, a poza tym denerwowałem się mającym nastąpić spotkaniem z prezydentem. Starałem się go wysłuchać, jednocześnie podpisując plakaty i kolorowe czasopisma.

De la Garza zaczął zadawać mi bardzo szczegółowe pytania na temat jego nowotworu: co robić, a czego nie robić. Ociągałem się z odpowiedziami. Nie mam przecież wartej 64 000 dolarów odpowiedzi na każde pytanie dotyczące raka. Odpowiedziałem mu standardowo, jak zwykle, że według mnie najważniejsze jest to, aby znaleźć najlepszych lekarzy i

bezgranicznie im zaufać.

- Jak pokonać chorobę? - pytał.

- Proszę słuchać lekarzy - odpowiedziałem szczerze. - Proszę wybrać najlepszą terapię.

Moja rada, jak później napisał w artykule na temat swoich doświadczeń, nie miała „nic z objawienia".

Bolało go lewe ramię, piekły go żyły, a pozostałe części ciała też nie chciały zaakceptować terapii. Najbardziej buntował się jego umysł. Miał za sobą siedem rund chemii, a po każdej z nich jego organizm stawał się coraz słabszy. Dokładnie wiedziałem, czego on doświadcza - nudności, smak cyny na podniebieniu. Sam to jeszcze czuję. Zupełnie upadł na duchu i miał nadzieję, że spotkanie ze mną postawi go na nogi. Spodziewał się jednak czegoś więcej.

- Jak mogę pokonać raka, skoro nie mogę znieść myśli o kolejnej kroplówce wiszącej u ramienia? - zapytał.

- Cierpienia są częścią zdrowienia - powiedziałem. - Trzeba je przyjąć.

Chciałem przez to powiedzieć, że cierpienia są lekarstwem. Musisz je przyjąć, bo one mogą cię ocalić. Musisz przetrawić swoim umysłem każde doświadczenie - sam musisz zadecydować, co jest najważniejsze w danym momencie. Skupienie i wiara mogą każdą chemoterapię, bez względu na to, jak jest dokuczliwa, zamienić w pozytywne doświadczenie. Wymaga to praktyki, ale jest możliwe. Powtarzałem sobie, kiedy wymiotowałem albo odczuwałem piekielne pieczenie podczas oddawania moczu, że te dolegliwości świadczą o tym, iż rak opuszcza moje ciało. Wydalałem go z moczem, pozbywałem się go, wymiotując, usuwałem go, kaszląc. Nie zastanawiałem się wówczas nad tym, czy umrę. Wiele osób ze świata medycznego, a także postronnych, myślało, że umrę - ale ja wybrałem takich lekarzy i takie pielęgniarki, którzy wierzyli, że pokonam chorobę.

Otrzymałem pomoc od LaTrice Haney, mojej pielęgniarki z oddziału onkologii. Pewnego razu, gdy bardzo cierpiałem podczas chemoterapii, zapytałem LaTrice, czy kiedykolwiek wyjdę ze szpitala.

- Lance - mówiła LaTrice - każdy, kto tutaj przychodzi, musi też wyjść. Na pewno nadejdzie taki czas, kiedy już więcej nie wrócisz - będziesz zdrowy.

Powinienem to wszystko powiedzieć Paulowi de la Garza. Albo może powinienem bardziej wczuć się w jego położenie i powiedzieć mu szczerą prawdę: rak to najlepsza rzecz, jaka przytrafiła mi się w życiu - ale nie chcę przeżywać tego ponownie.

Zamiast tego odparłem:

- Po zakończeniu leczenia szybko staniesz na nogi. Przynajmniej tak było w moim przypadku.

W tym momencie naszą rozmowę przerwał pracownik Białego Domu i wprowadzono mnie do niebieskiego pokoju, gdzie odbyłem krótką rozmowę z prezydentem. De la Garza pozostał w przedpokoju, wyraźnie rozczarowany naszym spotkaniem.

Potem napisał:

„Nasze spotkanie trwało nie dłużej niż pięć minut. Byłem wdzięczny za poświęcenie mi czasu - później dowiedziałem się, że tego dnia obchodził trzydzieste pierwsze urodziny - i cieszyłem się względami okazanymi mi przez Biały Dom. Ale on tak naprawdę nie powiedział niczego ciekawego, niczego, na co czekałem, co pomogłoby mi przetrwać trudny okres. Jednak i tak spotkanie mi pomogło. Dzięki niemu zrozumiałem coś innego. Wracając poprzedniego wieczoru z pracy do domu, miałem łzy w oczach na myśl o rozmowie, która czekała mnie następnego dnia. Liczyłem na niego. Spodziewałem się pewnego rodzaju objawienia, które sprawi, że wszystko zmieni się na lepsze. Znając jego historię, traktowałem go jak osobę, która zna receptę na cudowny lek, mogący uwolnić mnie od choroby nowotworowej. Ale prawie natychmiast, zanim jeszcze opuściłem mury Białego Domu, uświadomiłem sobie, że wcale nie muszę zwracać się do bogatych i sławnych, do bohaterów światowego sportu, aby pomogli mi pokonać mój lęk, depresję i obawy związane z moją niepewną przyszłością. Moi bohaterowie są tu, na wyciągnięcie ręki, to zwykli ludzie, którzy codziennie troszczą się o to, aby moje życie było lepsze. Mogę sporządzić ich listę. Są na niej: moja żona, moje dzieci... moja rodzina, moi przyjaciele, moi współpracownicy, moje pielęgniarki, moi lekarze."

Miał całkowitą rację; bohaterstwo to puste słowo - poprzeczka jest zbyt wysoko ustawiona. Jeśli ludzie chcą usłyszeć ode mnie jakieś rewelacje, nie mogę ich zadowolić. Bohater to przeważnie osoba, która działa bez zastanowienia. Jeżeli dziesięć osób albo nawet milion chce myśleć, że jesteś bohaterem, możesz zrobić tylko jedno, podziękować im, nadal robić swoje i utwierdzić się w przekonaniu, że staranie się, by być bohaterem, nie jest celem, któremu można służyć.

Celem, któremu mogę służyć, jest mówienie cierpiącym, że choroba to bardzo ważne doświadczenie, które może zmienić nie tylko nasze życie, ale także innych ludzi.

Czasami udaje mi się przekazać to przesłanie, innym razem nie. W przypadku de la Garza nie miałem tyle szczęścia. Ale wkrótce spotkałem chorą kobietę, która straciła włosy.

Wcześniej jedynymi osobami, które widziały ją bez peruki, byli jej lekarze, ale kiedy ją odwiedziłem, ona postanowiła ją zdjąć. Wówczas zrobiliśmy sobie zdjęcie. Nigdy nie znuży mnie okazywanie przyjaźni chorym na raka i zawsze będę ich zachęcał, aby stanęli obok mnie.

Przychodzi mi to łatwo i każda okazja, aby przyjść z pomocą innym, jest powodem do radości. Będę to robił zawsze, chyba że mnie ktoś poprosi, abym tego nie czynił. Może kiedyś spotkam piętnastolatkę, która nie będzie wiedziała, kim jestem, i wcale nie będzie ją to interesowało, i może pozna kogoś innego, kto będzie jej inspiracją. Ale dopóki tak się nie stanie, dopóty będę się starał odpowiadać na każdą prośbę i nieść pomoc wszystkim, którzy zechcą choć trochę z niej skorzystać.

Chciałbym nauczyć się używać mojego wpływu, aby zmienić sposób myślenia na temat raka. Pragnę przyczynić się do tego, by zaczęto rozpatrywać tę chorobę w szerszym kontekście. Może kiedyś będę miał wpływ na kształtowanie opinii, polityki i podział funduszy na badania nad rakiem. Po wizycie w Białym Domu jeszcze tego samego dnia udałem się z identyczną misją na Kapitol. Pojechałem tam, aby promować badania nad rakiem i prosić o przeznaczenie większych funduszy na ten cel. Spotkałem się po kolei z senatorem Tedem Kennedym (reprezentującym okręg Massachusetts), senatorem Samem Brownbackiem, konserwatystą z Kansas, i senator Dianę Feinstein (reprezentującą okręg kalifornijski). Spotkania, które odbyłem, dowiodły, że wszyscy moi rozmówcy mają świadomość zagrożeń związanych z tą chorobą.

Syn senatora Kennedy'ego, Teddy Junior, gdy był jeszcze chłopcem, stracił nogę z powodu nowotworu kości. Jego ojciec zaprosił nas do swojego biura i pokazywał wiszące na ścianie fotografie zmarłych braci i sióstr. O każdej osobie ze zdjęcia powiedział kilka zdań, a dopiero na koniec podszedł do fotografii swojego syna.

- Gdy mój syn miał raka, robiłem wszystko, aby odwrócić jego uwagę od choroby - mówił senator. - Tym, co pochłaniało go bardziej niż rozmyślanie o raku, były rozgrywki drużyn Celtics i Lakers. Chodziliśmy na wszystkie mecze, na które udało mi się zdobyć bilety, by choć przez parę godzin mój syn nie myślał o chorobie.

Senator pokazał mi także inne zdjęcie. Na nim Ted Junior stał na stoku narciarskim i choć jedną nogę zastępowała mu proteza, wznosił ramiona na znak zwycięstwa. Ted zdobył złoty medal na paraolimpiadzie. Prowadząc rozmowę z senatorem, zauważyłem łzy spływające mu po policzkach.

Później odwiedziliśmy biuro senatora Brownbacka. Słyszałem o nim, ponieważ tak jak i ja chorował na raka. Senator twierdził, że nowotwór zmienił jego pogląd zarówno na

życie, jak i na życie po życiu: po przebyciu choroby stał się nawróconym chrześcijaninem. Usiedliśmy na kanapie.

- Proszę mi powiedzieć, jak rak wpłynął na pańską duchowość? - zapytał.

To kolejne trudne pytanie. Zastanawiałem się, jak wyjaśnić senatorowi, że moja duchowość to moja i tylko moja sprawa. Zanim jednak zdążyłem otworzyć usta, mój przyjaciel, Jeff Garvey, prezes fundacji powołanej do walki z rakiem, widząc moje zakłopotanie, wyręczył mnie.

- Żona Lance'a, Kristin, jest katoliczką - powiedział szybko. - Ma nawet w domu kaplicę.

Byłem wdzięczny za to, co powiedział mój przyjaciel, ale postanowiłem sprostować jego słowa i dać szczerą odpowiedź.

- Polegałem na moich lekarzach, medycynie i nauce. W tym była cała moja nadzieja - powiedziałem i dodałem, że wierzę w swój osobisty wkład w leczenie, choćby dlatego, że uzupełniałem swoją wiedzę na temat choroby i podjąłem z nią walkę.

Senator okazał się pełnym werwy, krzepkim człowiekiem zaangażowanym w walkę z chorobą nowotworową.

- Musimy ustalić jakąś datę - powiedział - i, powiedzmy, za dziesięć lat powinniśmy znaleźć lekarstwo.

Przemawiałem zwykle w bardzo podobnym stylu. Cechowała mnie determinacja. Ale obaj wiedzieliśmy, jaka jest rzeczywistość. Nowotwór to nie jest jedna choroba, ale 250 chorób; a każda z nich ma odmienne objawy i wymaga zastosowania innych leków. Zatem mówiliśmy nie o jednym, ale 250 lekach. Żegnając się, uścisnęliśmy sobie dłonie i postanowiliśmy spotkać się ponownie.

Na koniec odwiedziłem senator Feinstein, ponieważ wydawało się, że rozmowa z nią będzie najłatwiejsza. Pani Feinstein to czarująca i niepretensjonalna osoba. Spotkaliśmy się w jej biurze, usiedliśmy i rozmawialiśmy przez chwilę o potrzebie finansowania dalszych badań onkologicznych i lepszego informowania społeczeństwa.

Potem zwróciła się do mnie:

- Czy mogę o coś zapytać?

- Oczywiście - odparłem.

- Również jeżdżę rowerem. Czy pana też boli tyłek? Odchyliłem głowę i odpowiedziałem ze śmiechem:

- Tak. W spodenkach mam wszytą miękką wkładkę.

Opuszczając Waszyngton, musiałem rozważyć kwestie związane z moim szczególnym

statusem jako sportowca. Jako sportowcy, stajemy się osobami publicznymi. Uważamy jednak, że nie powinniśmy angażować się w politykę ani w sprawy bieżące, ponieważ naszym zadaniem jest doskonalić własną formę. Ale mnie to nie wystarcza. Nie poprzestaję tylko na kolarstwie. I nigdy nie poprzestawałem. Jest tyle spraw do załatwienia: każdy powinien zająć się chociaż jedną z nich.

Wciąż nie jestem do końca przekonany, czy powinienem wydawać publiczne oświadczenia. Na przykład, gdy wojna z Irakiem stała się nieuchronna, zarówno amerykańscy, jak i zagraniczni dziennikarze chcieli poznać moje zdanie na ten temat, ponieważ twierdzili, że pozostaję w przyjacielskich stosunkach z prezydentem George'em W. Bushem. Odpowiedziałem, że nie jestem za wojną - bo kto jest? - ale popieram działania prezydenta i naszych wojsk.

- Czy to znaczy, że nie do końca jest pan przekonany? - zapytał jeden z dziennikarzy.

- Ameryka to na szczęście taki kraj, w którym można nie zgadzać się z przyjacielem, a mimo wszystko nadal się z nim przyjaźnić.

Daleko lepszą odpowiedź na to pytanie dał mój przyjaciel, Lee Walker. Pewnego wieczoru odwiedziłem go w domu i zapytałem, co myśli o Iraku.

- Powiem ci dwie rzeczy - odparł Lee. - Po pierwsze, nie wiem, co o tym myśleć, ale jestem Amerykaninem i popieram mojego prezydenta; popieram to, co on robi. Po drugie, to konflikt o charakterze globalnym, nie mogę nic zrobić w sprawie Iraku, a Saddam Hussain w ogóle nie wie, kim jestem. Tu jednak jest wiele rzeczy, które mogę zrobić. Mogę przejść się ulicą, minąć skrzyżowanie i sprawić, że to miejsce będzie lepsze. To mogę zrobić. Mogę mieć wpływ na park. Mogę mieć wpływ na przystanek autobusowy. Mogę wpłynąć na ławkę w parku, która stoi tu niedaleko, i być może przez to zmienić czyjeś życie na dzień, minutę lub na zawsze. To mogę zrobić.

Lee wskazał na ławkę, która stała przy chodniku przed jego domem. Kupił ją i postawił przed domem, chcąc w ten sposób zrobić coś dla okolicznych mieszkańców. Jego sąsiadami byli przeważnie ludzie starsi, którzy chodzili do różnych sklepów po sprawunki. Doszedł potem do wniosku, że być może ludzie ci potrzebują miejsca, gdzie mogliby usiąść i odetchnąć. Teraz każdego dnia na ławce przed domem Lee siadają ludzie z torbami i odpoczywają.

Lee powiedział, że jego filozofia polega na dzieleniu problemów, zwracaniu się do poszczególnych osób czy dzieci i niesieniu im pomocy.

- Jest wiele spraw, na które nie mamy wpływu - wyjaśnił Lee. - Ale możemy zająć się tymi, które są w zasięgu ręki. Możemy zrobić coś dobrego, najlepiej, jak potrafimy.

To właśnie jest to, co chciałbym robić. Chciałbym stawiać ławki w parku. Rak to właśnie taka moja ławka w parku. A także dzieci, które trzymam na rękach.

W zasadzie niczym nie różni się człowiek, który nie ma możliwości, aby coś zrobić, od człowieka, który posiada takie możliwości, ale w ogóle ich nie wykorzystuje. Tak jest właśnie w kwestii sportowców, powstrzymujących się od czynnego udziału w codziennych sprawach. Gdybym był człowiekiem religijnym, mógłbym powiedzieć, że moja działalność dotycząca podnoszenia świadomości społecznej na temat choroby nowotworowej to misja dana od Boga. Jednak nim nie jestem, dlatego twierdzę, że moje zaangażowanie w tej sprawie to po prostu moja szansa na to, aby zrobić coś dobrego, zesłana przez los.

* * *

Kiedy książka się kończy, czytelnicy zawsze zastanawiają się, co stało się później. Żyje czy umiera, wygrywa czy przegrywa, jest szczęśliwy czy nieszczęśliwy? Kim się stanie?

Z końcem lata 2002 roku miało miejsce kilka wydarzeń. 2 września 2002 roku oficjalnie zamknięto francuskie śledztwo w sprawie dopingu. Bili Stapleton miał rację - zostało zamknięte bez rozgłosu. Po 21 miesiącach dochodzenia oficerowie śledczy przyznali, że nie znaleziono żadnego dowodu obciążającego, i za pośrednictwem prokuratury wydali skromne, a w dodatku nieuprzejme oświadczenie. Sprawa została zamknięta z powodu braku dowodów.

Z okazji szóstej rocznicy postawienia diagnozy onkologicznej i spóźnionych trzydziestych pierwszych urodzin urządziliśmy przyjęcie w Milagro. Dzieci biegały wszędzie. Dziewczynki pełzały po trawniku, a ja posadziłem Luke'a na czterokołowiec i woziłem go dookoła. Przygotowaliśmy barbecue, przywieźliśmy kilka kartonów piwa shiner bock, a także dwa torty; na jednym było napisane CARPE, a na drugim DIEM.

Dziewczynki właśnie uczyły się chodzić, a Kik pomalowała im paznokcie u nóg na różowo. Tej jesieni Luke zaczął chodzić do przedszkola. Ponieważ był wytrawnym podróżnikiem, jeżdżącym po całym świecie, pierwsza wyprawa do przedszkola nie była dla niego problemem. Wbiegł do klasy z impetem i od razu zyskał opinię - poznaliśmy ją podczas pierwszej wywiadówki - żywego i chętnego do zabawy z innymi dziećmi.

- Udziela się i jest otwarty - powiedziała nauczycielka. - Został liderem klasy i przyjaźni się ze wszystkimi. Kocha dziewczynki.

Gdy wróciłem do domu, usiedliśmy do obiadu i zaczęliśmy rozmawiać o tym, co wydarzyło się w ciągu dnia.

- Lubisz swój obiad? - zapytałem Luke'a.

- Tak, lubię mój obiad.

- Słyszałem też, że lubisz gąski.

- Tak. Gąski na obiad - odparł.

Rosnąc, Luke miał coraz więcej pytań, na które starałem się udzielać właściwych odpowiedzi. Są jednak kwestie, których nie udało mi się rozwiązać, nawet na własny użytek, a zatem Luke i jego siostry będą musieli sami sobie z nimi poradzić.

W lutym 2003 roku Kik i ja zgodziliśmy się na próbną separację i zwróciliśmy się o pomoc do poradni małżeńskiej. Przeprowadziłem się do jednoizbowego pawilonu na moje małe ranczo, Milagro, które uporządkowałem. Wokół domu położyłem miękki, zielony trawnik. Siadałem w bujanym fotelu na werandzie i rozmyślałem nad przyczynami naszego kryzysu małżeńskiego, ale wszystkie powody, które rozważałem, wydały mi się mało prawdopodobne. Jasne było dla mnie tylko to, że starając się robić wszystko, zapomnieliśmy o tym, co najważniejsze. Zapomnieliśmy, że jesteśmy małżeństwem. Żyliśmy niczym w nurcie wartkiej rzeki, nawet o tym nie wiedząc. Pewnego dnia rozejrzeliśmy się dookoła i zrozumieliśmy, że nie ma punktów orientacyjnych, że z pola widzenia zniknęły nam punkty odniesienia.

Ludzie mówią, że małżeństwo to ciężka praca, ale nie chcemy ich słuchać. Gdy rozmawia się o pięknych sukniach druhen, to nie zastanawiamy się nad tym, co nastąpi później; jak trudno będzie zostać w związku lub go odbudować. Szkoda, że nikt nie mówi, że może to potrwać dłużej niż tylko kilka ciężkich dni, że może zająć kilka tygodni albo nawet lat.

W lutym sam wróciłem do Europy na treningi. Kik została w Austin. Nadal rozmawialiśmy i pracowaliśmy nad odbudowaniem naszego związku na lepszych podstawach. W kwietniu Kik przyjechała do Europy i razem udaliśmy się do Nicei, gdzie mieszkaliśmy przed ślubem. Po raz pierwszy od czterech lat byliśmy naprawdę sami, bez dzieci.

W czasie pisania tej książki nie wiedzieliśmy jeszcze, co przyniesie nam przyszłość, byliśmy jednak pewni, że będziemy z takim samym poświęceniem i z taką samą dyscypliną uczestniczyć w konferencjach poradni małżeńskiej, z jakimi podchodzimy do pozostałych czynności w życiu. Mimo naszych osobistych wad i bez względu na wynik naszych starań - to małżeństwo jest sukcesem: mamy wspaniałe nagrody.

Wiem także, że moja filozofia, dająca się ująć w słowa: „Chwytaj dzień", którą wyznaję od czasu choroby, nie zawsze dobrze mi służy. Życie wystawia mnie na różne

pokusy. Chętnie zapomniałbym o każdym problemie, którego rozwiązanie może wydać się trudne lub niewygodne, twierdząc, że to marnowanie cennego czasu, i zająłbym się czymś, co daje natychmiastowe efekty. Niektóre sprawy wymagają jednak cierpliwości.

Pytanie: „Jak pokonać nowotwór?", stało się z czasem zagadką: „Jak żyć po pokonaniu nowotworu?" Pokonywanie choroby przypomina współzawodnictwo. Jedno i drugie jest emocjonalnie skomplikowane. W obu przypadkach nie ma żadnych, gotowych rozwiązań, które mogłyby sprawić, że wygrasz, a przecież chciałoby się, aby tak było. Ciągle musisz zadawać sobie pytanie o sens podejmowanych wysiłków i zastanawiać się, na co warto poświęcić resztę swojego życia?

Zarówno rak, jak i współzawodnictwo nauczyły mnie - jak sądzę - a wszyscy powinni wziąć to sobie do serca, bez względu na to, czy są zdrowi, czy chorzy, czy są sportowcami, czy zwykłymi ludźmi, że nie warto dążyć tylko do zapewnienia sobie dobrobytu.

Osiągając go, przekonasz się, że nie zyskałeś w życiu niczego. Czy rzeczywiście prześcieradła z odpowiednią liczbą nitek osnowy i wątku tkaniny na powierzchni jednego cala kwadratowego, ekspresy do kawy i elektryczne szczoteczki do zębów są najważniejsze? Zbyt często dobrobyt jest rezultatem wewnętrznych kalkulacji.

Nie da się z pewnością przeprowadzić takich badań, które pozwoliłyby odpowiedzieć na pytanie, dlaczego niektórzy zawodnicy ścigają się w Tour de France, inni w ogóle nie biorą w nim udziału, a niektórzy starają się jechać tak, aby nie podejmować żadnego ryzyka. Znam sportowców, którzy nigdy nie ośmielili się pójść na całość i zawsze przegrywali. Jedna minuta, po blisko miesiącu znoszenia cierpień, może zadecydować o zwycięstwie.

Czy warto się tak męczyć? To zależy, czy chcesz wygrać. Ja mam wolę znosić cierpienia. Naprawdę ją mam.

Zachowania związane ze znoszeniem bólu i upokorzeń nie są u wszystkich ludzi takie same. Dlaczego dzieje się tak, że jedni przyjmują je, a inni się buntują? Czy podejmując walkę, staramy się wydobyć z siebie to, co najlepsze, zbadać, na jakie poświęcenie nas stać?

Doświadczanie cierpienia przypomina bardzo proces odkrywania, znajdywania czegoś niespodziewanego i rewelacyjnego. Gdy dowiesz się, gdzie rzeczywiście jest twój próg bólu, strachu lub niepewności, to uświadomisz sobie, jakie masz możliwości.

Ból jest dobry, ponieważ doskonali ciało i duszę. W jego obliczu w podświadomości zapisuje się zdanie: „Będę o tym pamiętać, będę pamiętać, jak boli, więc zrobię wszystko, aby następnym razem do tego nie dopuścić". Organizm korzysta z doświadczeń. Dlatego zarówno ciało, jak i temperament, jeśli jednego roku przeszły przez trudy Tour de France, będą w następnych latach lepsze, ponieważ pamięć zmusi cię, abyś się doskonalił. Być może ta

zasada sprawdza się także w innych dziedzinach.

Jeśli nie kontrolujesz życia, które wiedziesz, w końcu uderzysz głową w mur. Niektórych problemów możesz w ogóle nie zauważać tak długo, aż nie dotkną ciebie samego. Ważne jest zatem, aby umieć je przewidywać i w razie potrzeby móc z nich wybrnąć. Chcąc tego dokonać, musisz zadawać sobie bolesne pytania - postępować dokładnie tak jak wtedy, gdy starasz się doskonalić swoją formę fizyczną.

Nie martwi mnie zatem to, że w moim życiu pojawiają się pytania, na które nie potrafię udzielić odpowiedzi. Nie wiem, co stanie się w przyszłości, nie muszę wiedzieć, ponieważ lubię tę przyszłość odkrywać. Właściwie nie ma dla mnie prostych i ostatecznych odpowiedzi. Nie może być i nie będzie. Obserwując swoje dzieci, zdałem sobie sprawę, jak wiele czynników wpływa na ich rozwój. Gdy oglądam swoje blizny, myślę, że nie można przejść przez życie i nie mieć pamiątek po wypadkach.

Poruszając się chcąc nie chcąc zostawiamy ślady. Kto wie, jak długo przetrwają?

Gdy wychodzę ze stawu, zwanego Dziurą Martwego Człowieka, wspinam się na skały, a kiedy się odwracam i patrzę za siebie, widzę wilgotne odciski własnych stóp, które znikają na moich oczach. A co widzę przed sobą? Widzę stronice, na których zostaną opisane z trudem osiągnięte sukcesy, drobnostki, błędy, święta, tragedie, rozmyślania, wesela, uroczystości wręczenia świadectw, wypadki i zagrożenia.

Chcę doświadczać życia takim, jakim jest naprawdę. Nie takiego, jakim mogłoby być pod pewnymi warunkami. Chcę je czuć takim, jakim jest. Może być nagie lub ubrane; bose lub w butach; zimne, gorące, skomplikowane, proste, straszne, szczęśliwe, niezadowolone, radosne, owocne, samolubne, szczodre i namiętne.

Wiem jedno: nie powinno mnie być wśród żywych, a jednak żyję i to znacznie intensywniej niż inni. Gdy przyjeżdżam do Dziury Martwego Człowieka, zawsze skaczę do stawu. Wierzę, że odrobina strachu mi nie zaszkodzi. A wierzę w to tak bardzo, że kiedy skacząc wciąż z tego samego miejsca, zacząłem popadać w rutynę, od razu postanowiłem skoczyć ze skały położonej wyżej.

Znalazłem odsłoniętą skałę piętnaście metrów nad taflą wody, z której skok naprawdę mrozi krew w żyłach. Obejrzałem ją z przyjaciółmi i dla żartu zrobiliśmy zakłady, czy którykolwiek z nas odważy się na skok. W końcu pewnego popołudnia mój przyjaciel Morris Denton skoczył. Odbił się od półki skalnej i prosto jak strzała poszybował w kierunku zimnego, zielonego stawu. Gdy wyszedł na brzeg, krzyczeliśmy i biliśmy mu brawo. Potem, wpadając jak śliwka do wody, skoczył Ryan Street.

Wdrapałem się na krawędź półki i popatrzyłem przed siebie. Stojąc tam, poczułem,

jak krew z głowy odpływa mi do stóp. Nagle opuściły mnie siły.

- Nic z tego - krzyknąłem, a mój głos odbił się echem. - Nie dam rady. - Wycofałem się, zamierzając ostrożnie zejść ze skały.

W dole Morris pływał w stawie.

- Co się stało? - zawołał.

- Nie dam rady tego zrobić - krzyknąłem w jego kierunku.

- Masz pietra, Mellow Janey?

Zatrzymałem się. Głośny śmiech Ryana i Morrisa odbijał się od skalnych ścian kanionu.

- Mellow Janey! Mellow Janey!

- To bardzo zabawne - krzyknąłem.

Stałem tam jeszcze przez chwilę, śmiejąc się z nimi. Wtedy odwróciłem się... pobiegłem przed siebie i odbiłem się od krawędzi urwiska.

Skoczyłem. Występ skalny usunął się spod moich stóp i przez ułamek sekundy zawisłem w powietrzu, wykonując młynka ramionami i mimowolnie kopiąc nogami. Pode mną rozciągała się zielona tafla wody. Zaparło mi dech w piersiach. Rozbawieni, z otwartymi ustami, przyjaciele patrzyli w górę na faceta podnieconego tym, że zawisł w powietrzu...

Posłowie

Mówiłem to wielokrotnie - gdybym miał wybierać między zwycięstwem w Tour de France a rakiem, wybrałbym raka. Uważam się za szczęśliwca, któremu dane było doświadczyć tej choroby, z tego powodu czuję silną potrzebę wypełnienia „obowiązku wyleczonego pacjenta". Dlatego właśnie stworzyłem Fundację Lance'a Armstronga (FLA). Celem FLA jest niesienie pomocy dziewięciu milionom ludzi, którzy pokonali nowotwór i borykają się z tymi samymi problemami, co ja.

Dzisiaj, siedem lat po postawieniu mi diagnozy przez lekarzy onkologów, FLA jest tak samo dla mnie ważna jak wówczas, kiedy podpisywałem akt fundacyjny. Rak zmienił moje życie. Od chwili gdy zostałem zdiagnozowany, moje priorytety uległy zmianie, centrum zainteresowania zostało przesunięte. Musiałem sprostać wielu nowym wyzwaniom - fizycznie, psychologicznie i społecznie. Dlatego celem Fundacji jest podnoszenie jakości życia osób, które chorują na raka, leczą się onkologicznie lub pokonali nowotwór. Życie po pokonaniu choroby to niezupełnie to samo życie, a FLA chce pomóc odzyskać pewność osobom, które przeszły przez chorobę, oraz ich najbliższym, by mogli doświadczać najwyższej jakości życia, jaka jest tylko możliwa.

Dzięki postępom w medycynie i nauce doszliśmy do czasów, kiedy szansę na życie po wykryciu choroby nowotworowej znacznie wzrosły. Niestety, większość programów nie zajmuje się rozpoznawaniem szczególnych potrzeb, które mają pacjenci oddziałów onkologicznych po postawieniu diagnozy i poddaniu się terapii. Wiem z własnego doświadczenia, jak są one istotne. Uważam, że miałem sporo szczęścia, mogąc dotrzeć do tak wielu specjalistów i źródeł informacji, co pomogło mi podjąć świadome decyzje dotyczące mojego życia po postawieniu diagnozy. FLA stara się umożliwić to wszystkim chorym na raka. Stara się wypełnić próżnię, stworzoną brakiem odpowiedniej obsługi osób, które pokonały chorobę, oraz informacji.

Jeśli chodzi o mnie, w podjęciu wyzwań wiążących się z rakiem pomogły mi naprawdę cztery czynniki: wiedza, wsparcie, motywacja i nadzieja. Chcę, żeby uświadomili to sobie wszyscy chorzy na raka. Będą mogli wtedy uparcie stawiać czoło zmianom, które wnosi w ich życie nowotwór. Aby im to ułatwić, FLA prowadzi akcje edukacyjne, mające na celu motywowanie do podejmowania krótko- i długoterminowych wyzwań, pomocnych ci w radzeniu sobie z rakiem.

Fundacja stara się pomóc ludziom, którzy pokonali raka, w odzyskaniu zdrowia fizycznego, psychicznego i w odnalezieniu się w społeczeństwie, a także osobom z rakiem

walczącym. Taką samą pomoc oferuje ich najbliższym. Nasze wysiłki skupiamy na czterech obszarach: edukacji w zakresie pokonywania choroby oraz pozyskiwania informacji, programów społecznych, inicjatyw poradnictwa krajowego, grantów, przeznaczonych na prowadzenie badań naukowych i klinicznych. Edukujemy pacjentów oddziałów onkologicznych, specjalistów zajmujących się ochroną zdrowia, a także informujemy społeczeństwo o sprawach związanych z pokonywaniem choroby nowotworowej; pomagamy również rozwijać usługi, mogące stanowić wsparcie dla pacjentów; zwracamy uwagę władz na kwestie polityki zdrowotnej z myślą o chorych na raka; wspieramy badania, mające na celu przybliżenie społeczeństwu choroby nowotworowej oraz sposobów jej pokonywania.

Jestem pod wrażeniem sukcesu, którym wciąż cieszy się FLA. Od kiedy założyłem fundację w 1997 roku, fundusz przeznaczony na programy leczenia nowotworu oraz na granty badawcze przekroczył sumę 23 milionów dolarów. Nasze dochody wzrosły od kwoty mniejszej niż 250 000 dolarów w 1997 roku do sumy ponad 7 milionów dolarów w 2002 roku. W tym czasie finansowaliśmy wiele innowacyjnych programów poświęconych pokonywaniu nowotworu, grantów, działań, których cele były zbieżne z celami fundacji, a także pomagaliśmy niezliczonej liczbie osób, które przeżyły chorobę nowotworową, oraz ich najbliższym.

Zapraszam was do podjęcia wraz z nami tej ważnej misji - podnoszenia jakości życia osób, które chorują na raka, leczą się onkologicznie lub pokonały nowotwór. Z waszą pomocą będziemy nadal zmieniać życie osób, które przeżyły chorobę, i budzić w nich ducha nadziei. Możesz pomagać na wiele sposobów: możesz zostać wolontariuszem, dołączyć do naszego Projektu Peleton, przesyłając pieniądze lub przygotowując akcje mające na celu uświadamianie społeczeństwa i poszerzanie jego wiedzy o raku. Więcej informacji można uzyskać, dzwoniąc do Fundacji Lance'a Armstronga: (512) 236-8820 lub odwiedzając stronę www.laf.org. Dziękuję za wsparcie.

...Inne zakończenie...

Myślicie, że to już koniec, ale tak nie jest. Wydawało mi się, że zakończyłem pisanie książki, która w moim rozumieniu miała być książką o pokonywaniu przeciwności życiowych. Co nastąpiło później? Zapragnąłem wygrać Tour de France po raz piąty i dostałem kopa w tyłek. Nagle zdałem sobie sprawę, jak trudno powtórzyć poprzedni sukces. W tym tkwi istota sprawy: przeciwności nie pokonuje się raz na zawsze. One wciąż nam towarzyszą.

Podczas Tour de France w 2003 roku wystąpiło ich aż nazbyt wiele: kraksy, fale gorąca, wirusy, połamane rowery - szereg nieszczęść, niektórzy zaczęli nawet podejrzewać, iż nad wyścigiem zawisło fatum. W pewnym momencie stanąłem na stoku góry w Pirenejach, pokaleczony, potłuczony i krzyczący, ponieważ byłem pewien, że przegrałem wyścig. Czasami jedyną rzeczą, która zmuszała mnie do dalszej jazdy, był - jak określił to komentator wyścigu, Phil Liggett - „magnetyzm mety".

Czy historia może mieć wpływ na to, co się dzieje tu i teraz? Takie odniosłem wrażenie. Jadąc w Tour de France, odbywającym się w stulecie pierwszego wyścigu, wydawało mi się, że walczyłem z niesamowitym i niewidzialnym przeciwnikiem. Wyglądało to tak, jakby duchy dawnych, wspaniałych kolarzy połączyły się, postanawiając, że tegoroczny zwycięzca musi nie tylko udowodnić, że jest tego wart, ale także wykazać się umiejętnością radzenia sobie w absurdalnych i prawie niemożliwych do zniesienia sytuacjach.

Powinienem przewidzieć, że będzie to trudny wyścig, bo kilka dni przed jego rozpoczęciem ptak zabrudził ramię Johana. Usiedliśmy przed autokarem, którym poruszała się nasza ekipa, aby porozmawiać, a ptak zaplamił mu koszulę. Był to zły znak? W niektórych krajach uważa się go za dobry. Później dużo dyskutowano o szczęściu i pechu. Ale dla mnie podobne dyskusje to czcza gadanina. Nie mogłem jednak zaprzeczyć, że poprzednie cztery wyścigi wygrałem, unikając poważniejszych nieszczęść: nie uczestniczyłem w kraksach, nie złapałem gumy, nie miałem żadnych problemów. Teraz wszystko źle szło od początku - być może nadszedł czas, by wyrównać rachunki.

Wszystko zaczęło się zimą, kiedy Kik i ja zdecydowaliśmy się na separację. Każdy, kto znalazł się w podobnej sytuacji, z pewnością wie, jakie to trudne i że nie sposób wówczas skupić myśli na czymkolwiek innym. Starałem się samego siebie przekonać, że dam radę rozwiązać ten problem, że moje osobiste życie nie ma wpływu na jazdę na rowerze, chociaż tak nie było. Nigdy wcześniej nie załamałem się fizycznie, nie miałem takiego dnia, w którym bym nie mógł wstać z łóżka albo wsiąść na rower. Ale to, co się stało, wytrąciło mnie z

równowagi. Nie tyle dotyczyło to treningów, ale tego, co działo się w mojej głowie i w sercu.

Gdy zbliżało się rozpoczęcie Tour de France, pojawiały się inne, mniejsze problemy. Miałem kraksę w poważnym wyścigu sprawdzianie przed Tour de France, zwanym Dauphine Libere. Jak na ironię, zdarzyło się to w piątek trzynastego i bardzo wolno dochodziłem do siebie. Potem nabawiłem się zapalenia ścięgna biodrowego. A w tygodniu, kiedy miałem wyjechać do Paryża i już siedziałem na walizkach, zaraziłem się od dzieci grypą jelitową. Jeszcze dzień przed rozpoczęciem wyścigu chodziłem złożony w pół.

Przygotowując się do prologu, mówiłem sobie, że może uda mi się odzyskać formę, gdy tylko rozpocznie się wyścig. Ale wszyscy oczekiwali ode mnie wspaniałego i spektakularnego zwycięstwa, w lepszym stylu niż w poprzednich latach. Gdy zewsząd słyszysz takie głosy, przejmujesz się i zaczynasz myśleć, że niewiele możesz zrobić. Wydaje ci się, że możesz tylko przegrać.

Przegrałem w zasadzie już na starcie. W prologu zająłem siódme miejsce. Rozpocząłem Tour de France, będąc w poważnym kryzysie. Wszyscy odkryli to, co chciałem ukryć: w peletonie natychmiast rozeszła się pogłoska, że nie jestem już tym samym kolarzem co dawniej. Wynik, który osiągnąłem tego dnia, zwiększał nadzieje na wygranie pozostałym kolarzom, nie wyłączając Jana Ullricha, który pojawił się w Paryżu, jak zawsze chudy i dobrze przygotowany, tym razem w barwach nowego zespołu, Bianchi.

Od tego momentu wszystko szło jeszcze gorzej. Na trasie pierwszego etapu do Meaux doszło do wielkiej kraksy. Kolarze w peletonie, ścigając się na finiszu, jechali bardzo nerwowo, a w dodatku w ścisku. Niemający właściwie znaczenia incydent wywołał poważną reakcję łańcuchową. Jednemu zawodnikowi zsunęła się noga z pedału. To wszystko. W ciągu kilku sekund 176 kolarzy wpadło na siebie: straszna rzeź. Najbardziej ucierpiał wówczas mój przyjaciel i sąsiad, Tyler Hamilton, który złamał prawy obojczyk. Jakoś się jednak podniósł i kontynuował jazdę. Ja miałem więcej szczęścia; skończyło się na kilku siniakach i obtarciach. Kraksa sygnalizowała wyraźnie, jakiego rodzaju będzie ten wyścig.

Do tego jeszcze upał. Przez cały czas trwania wyścigu panował wielki upał, który dawał się we znaki wszystkim kolarzom. Podczas pierwszych sprinterskich etapów temperatura sięgała 38°, słońce paliło nam głowy i ramiona. Miałem wrażenie, jakby przygniatało mnie coś ciężkiego i wysysało ze mnie siły. Chociaż zwykle wraz z rozwojem wyścigu czułem się coraz lepiej, to tym razem wcale tak się nie działo.

Koledzy z zespołu przeprowadzili mnie przez pierwszy tydzień. Pocztowcy wygrali zespołowy etap, jazdę na czas z Joinville do St. Dizier, długości 70 kilometrów. Był to trudny pod względem technicznym etap, który wymagał, aby cała dziewiątka pracowała na wysokich

obrotach, ścigając się z zegarem. Chcieliśmy pokazać, że U.S. Postal stał się najlepszym zespołem w tej, zdominowanej przez Europejczyków, dyscyplinie sportowej, i pojechaliśmy perfekcyjnie jak pędzący, niebieski klin.

Wygraliśmy etap, osiągając czas 1 godziny, 18 minut i 27 sekund. Byliśmy lepsi o pół minuty od naszego rywala, co pozwoliło mi przeskoczyć z dwunastego miejsca na drugie. Równie zadowalające było to, że kolarze U.S. Postal zajmowali osiem pierwszych miejsc w klasyfikacji etapowej, a ja byłem tuż za moim kolegą z zespołu, Victorem Hugo Pena, który jechał w żółtej koszulce. Kiedy zbliżaliśmy się do mety, całkowicie wyczerpani, dopingowałem Victora:

- Jakiego koloru koszulkę chcesz dzisiaj włożyć? No, jakiego?

Po tygodniu dotarliśmy do Alp, a ja wciąż nie byłem w dobrej formie. Powtarzałem sobie, że to długi wyścig i jeszcze przyjdzie taki moment, kiedy odzyskam siły. Jednak wszyscy, którzy mnie znali, widzieli, że jazda kosztuje mnie wiele wysiłku - w szczególności, gdy w etapie ósmym przyszło mi pokonać Alpe d'Huez. W przeszłości przejmowałem kontrolę nad Tour de France w Alpach i można było domniemywać, że ponownie tam zaatakuję. Alpe d'Huez okazał się jednak kolejnym moim niepowodzeniem.

Trasa etapu obejmowała uciążliwą wspinaczkę na Galibier, trzydziestokilometrowy podjazd prowadzący na szczyt, będący jednym z najwyższych w Alpach. Jadąc pod górę, czułem dziwne zmęczenie nóg. Nie rozumiałem, dlaczego tak się działo. W końcu, kiedy zjeżdżałem ze wzniesienia, spojrzałem na koło i okazało się, że klocki tylnego hamulca ocierały o obręcz.

Wywołałem przez radio Johana.

- Johan, mam jedną wiadomość dobrą i jedną złą - powiedziałem.

- W porządku, zacznij od dobrej - usłyszałem jego trzeszczący głos.

- Nie, najpierw zła. Zła wiadomość: czuję się podle. Dobra zaś, że chyba wiem dlaczego. Obejrzałem się i zobaczyłem, że klocki hamulca cały czas ocierały o obręcz.

Przejechałem pierwsze 120 kilometrów etapu z zaciśniętym hamulcem, czyli tak, jakbym starał się płynąć, mając na nogach parę kozaków. Nie mogłem się nadziwić, że zauważyłem to dopiero teraz.

Poradziłem sobie z rowerem, ale nie umiałem poradzić sobie z ciałem. Byłem zmęczony. Temperatura ponownie dochodziła do 38 stopni. Dojeżdżaliśmy właśnie do ostatniego podjazdu Alpe d'Huez i inni kolarze przystąpili do ataku. Wśród nich był Joseba Beloki. Atakował także młody, utalentowany Hiszpan, Iban Mayo. Do ataku ruszył również Aleksander Winokurow, wschodząca gwiazda kolarstwa. Na atak zdecydował się również

mój przyjaciel, Tyler Hamilton, ścigający się mimo złamanego obojczyka.

Nie byłem ich w stanie dogonić. Starałem się z całych sił, ale zająłem czwarte miejsce. Zostałem liderem wyścigu, ale trudno mój wynik uznać za dominujący, a tego spodziewali się po mnie ludzie. Liczby nie kłamały: mój indywidualny czas na podjeździe Alpe d'Huez był o cztery minuty gorszy od tego, który uzyskałem w 2001 roku. Zdobyłem żółtą koszulkę, ale miałem mieszane uczucia; wiedziałem, że tego dnia nie byłem najsilniejszym kolarzem. Musiałem pogodzić się z faktem, że nie jechałem rewelacyjnie i mogłem przegrać w tym wyścigu.

Następnego dnia jechaliśmy z Bourg d'Oisans do Gap i kolarze znów nieustannie atakowali. Stałem się głównym celem Winokurowa, Mayo i Belokiego. Było tak gorąco, że topiła się asfaltowa nawierzchnia jezdni, co powodowało, że ściganie się z innymi zawodnikami wymagało więcej wysiłku - było bardziej niebezpieczne.

To, co stało się później, świadczy o tym, że czasami pech, prześladujący jednego zawodnika, przynosi szczęście drugiemu. W końcu znaleźliśmy się na ostatnim dużym zjeździe tego etapu. Weszliśmy w zakręt drogi, której asfaltowa nawierzchnia była roztopiona i śliska. Beloki zamierzał dogonić Winokurowa, który miał nad nim pewną przewagę. Jechałem około piętnastu metrów za Belokim. Ścinaliśmy zakręt z prędkością sięgającą osiemdziesięciu kilometrów na godzinę.

Koło roweru Belokiego wpadło w poślizg.

Próbował hamować - ale koło zablokowało się. Wtedy nastąpiło szarpnięcie i rower przewrócił się na bok.

Beloki wypadł z roweru i z hukiem uderzył o chodnik tuż przede mną. Kolarz i rower sunęli splątani w poprzek drogi.

Próbowałem hamować - wówczas tylne koło mojego roweru zaczęło się blokować. Traciłem panowanie nad rowerem. Miałem do wyboru: albo wpaść na Belokiego i przewrócić się, albo zjechać z drogi. Zjechałem z drogi.

Znalazłem się na polu. Nie wiedziałem, co stało się Belokiemu, który został w tyle. Wiedziałem tylko, że jestem szczęśliwy, bo udało mi się uniknąć upadku. Przecież pobocze drogi mogło się kończyć przepaścią albo mogła być za nim skalna ściana. Na szczęście było to otwarte pole. Cieszyłem się także, że było już po żniwach i nie wpadłem w zboże.

Wjechałem w koleiny wyżłobione w ściernisku przez traktor. Zastanawiałem się, czy nie zawrócić, ale straciłbym wtedy zbyt wiele cennego czasu. Spojrzałem przed siebie i zobaczyłem, że droga skręca w moją stronę. „Może będę mógł przejechać przez pole - pomyślałem - i w ten sposób ponownie znaleźć się na trasie wyścigu". Instynktownie

wyprostowałem kierownicę i nacisnąłem na pedały, przecinając skrzypiące pod kołami ściernisko. Brałem, oczywiście, pod uwagę to, że w każdej chwili mogę przekoziołkować nad kierownicą albo złapać gumę. W końcu przejechałem przez pole. Przede mną rozciągała się droga.

Nagle zobaczyłem rów melioracyjny. Zahamowałem tak ostro, że omal nie zrobiłem salta. Nie dało się przejechać przez tę przeszkodę. Zeskoczyłem z roweru i wziąłem go na ramię, niczym worek ziemniaków. Dając susa przez rów, poślizgnąłem się i wznieciłem tuman kurzu.

Wylądowałem po drugiej stronie przeszkody, dobiegłem do jezdni i wskoczyłem na rower. W tym samym momencie minął mnie Tyler. Pędząc, wykonał gest, który można uznać za pozdrowienie. Nacisnąłem na pedały, starając się dogonić grupę kolarzy, którzy wysunęli się na prowadzenie. Jadąc, cieszyłem się, że wciąż biorę udział w wyścigu.

Ukończyłem etap w niezłej formie, ciągle jeszcze w żółtej koszulce. Czułem się jednak podle z powodu Belokiego. Wieczorem zadzwoniłem do Pedra Celayi, lekarza drużyny Belokiego, aby zapytać o zdrowie rywala, i dowiedziałem się, że Beloki złamał sobie udo, nadgarstek i łokieć. Kiedy telefonowałem, Celaya był akurat u Belokiego w szpitalu. Za pośrednictwem lekarza złożyłem Belokiemu wyrazy ubolewania.

- Naprawdę mi przykro z powodu tego, co się stało - powiedziałem. - Proszę mu przekazać, że sądziłem, iż nic mu nie jest.

Właśnie tak sądziłem. Nikt przecież nie chce zobaczyć wspaniałego rywala, który odpada z gry z powodu kraksy. Wypadki takie jak ten nie wpływają dobrze na zawodników.

Później Beloki i ja zostaliśmy swego rodzaju towarzyszami. Do końca Tour de France Beloki dzwonił co jakiś czas do Johana, życząc nam powodzenia.

Miałem nadzieję, że przejażdżka przez ściernisko będzie moją ostatnią niemiłą przygodą - przecież nic gorszego nie mogło się już zdarzyć. Było jednak inaczej. Kilka dni później stanąłem na starcie krytycznego etapu - jazdy indywidualnej na czas - długości 47 kilometrów, z Gaillac do Cap'Decouverte. Słońce znów paliło niemiłosiernie. Już podczas rozgrzewki strasznie się pociłem. Czułem się słaby i chciało mi się pić, kiedy stojąc na rampie, czekałem na swoją kolej. Wiedziałem, że Jan Ullrich, który jechał przede mną, uzyskał dobry czas.

Wypadłem z rampy jak strzała i złapałem swój wyścigowy rytm. Na początku wszystko było w porządku, ale upał sprawił, że zacząłem sięgać po butelkę z wodą. Po przejechaniu jednej trzeciej trasy etapu osiągnąłem taki sam czas jak Ullrich.

Ale wtedy upał zaczął mi okropnie dokuczać. Czułem go pod kaskiem, pod

kombinezonem i nie mogłem go niczym złagodzić. Piłem i piłem. Odwodnienie zaczyna się parę dni wcześniej, zanim jego skutki dadzą się we znaki. Właśnie wówczas zacząłem ich doświadczać: nagle zaschło mi w gardle i opadłem z sił.

A wtedy skończyła mi się woda.

Na drugim punkcie kontrolnym straciłem 39 sekund do Ullricha. Wyraźnie zwalniałem. Nie mogłem otrzymać więcej wody; regulamin jazdy indywidualnej na czas zabrania udzielania kolarzowi jakiejkolwiek pomocy na trasie. Przestałem się interesować wynikami, które osiągałem na kolejnych punktach kontrolnych. Chciałem tylko jednego: ugasić pragnienie.

Dojechałem wreszcie do mety, tracąc minutę i trzydzieści sześć sekund do Ullricha. Wokół moich ust utworzyła się biała, słona obwódka. Ciężko zszedłem z roweru. Straciłem prawie siedem kilogramów podczas jednego etapu. Jakimś cudem zająłem drugie miejsce i utrzymałem żółtą koszulkę. Byłem nadal liderem, ale bardzo roztrzęsionym i chorym.

Nie wiedziałem, jak popatrzeć moim kolegom z drużyny w twarz. Johan poklepał mnie po plecach i powiedział:

- Nie martw się, odbijemy sobie jutro.

Podczas obiadu nikt jednak nie był skory do rozmów. Niemalże słyszałem głosy kolegów, którzy zastanawiali się, co będzie dalej i czy nadal chcę wygrać ten wyścig. Byłem w podłym nastroju i czułem się winny. Chłopcy w niebieskich koszulkach pracowali w pocie czoła dla mnie, a ja nie byłem w stanie uczynić nic, aby ich ciężka praca dawała odpowiednie wyniki. Zamiast tego każdego dnia - tak mogło się wydawać - przytrafiają mi się jakieś przygody. Ponadto doznałem fizycznego załamania na decydującym etapie. Nie miałem odwagi spojrzeć im w oczy. Nikt jednak nie plotkował, nikt się nie skarżył ani głośno nie mówił o swoich wątpliwościach. Po prostu jedli, trzymali język za zębami i zajmowali się swoimi sprawami.

Następnego ranka, gdy wjeżdżaliśmy w Pireneje, George podjechał do mnie. Wciąż wyglądałem marnie i on to widział.

- Chcę ci coś powiedzieć - zaczął.

- Tak? Jestem do kitu?

- Nie - odparł. - Jestem pod wrażeniem tego, co zrobiłeś wczoraj.

- Dlaczego?

- Ponieważ widziałem, że naprawdę cierpiałeś, a jednak nie poddałeś się.

Słowa George'a pomogły mi znieść kolejny kiepski dzień. Zaczęły się właśnie najtrudniejsze górskie etapy Tour de France, a ja nie byłem w formie. Nie miałem siły bronić

pozycji lidera. Kiedy dotknie cię poważne odwodnienie, nie jesteś w stanie dojść do siebie w ciągu jednego czy dwóch dni. Czekało nas pokonanie trudnego podjazdu do wioski Bonascre. Wiedziałem, że będzie to dla mnie katorga - inni również to wiedzieli.

Pod koniec dnia straciłem sporo czasu na rzecz Ullricha, nad którym miałem już tylko piętnastosekundową przewagę.

Na finiszu znów wyglądałem okropnie. Miałem zapadnięte oczy. W ogóle wyglądałem staro. W peletonie zaczęły krążyć plotki, że długo już nie wytrzymam. Mówiono, że mam coraz mniejsze szansę na zwycięstwo w Tour de France, a przejęcie prowadzenia przez Ullricha to tylko kwestia kilku dni.

Mimo tych głosów koledzy z drużyny i wspierający mnie Johan pomogli mi kontynuować jazdę. Nikt z naszej ekipy nie wpadał w panikę. Co więcej, Johan twierdził, że w końcu odzyskam siły, a Ullrich w którymś momencie osłabnie. Zastosował także kilka praktycznych posunięć, mających na celu utrzymać nas na prowadzeniu. Wykorzystał inspirującą taktykę, która miała mi pomóc bronić się przed ciągłymi atakami ze strony innych kolarzy: postanowił zrobić przemeblowanie w naszej drużynie. Na pierwszy ogień do ataku wysłał naszych „górali": Chechu i Manuela Beltrana (którego przezywaliśmy „Tricki" - tak po hiszpańsku nazywano Ciasteczkowego Potwora). Obaj wystrzelili do przodu, zmuszając innych zawodników do pościgu. To działało: kolarze innych drużyn byli tak zajęci ściganiem Trickiego i Chechu, że nie mieli czasu atakować mnie. Mogłem pozwolić sobie na jazdę w swoim tempie.

Wtedy pewnego dnia, jak to obiecywał Johan, poczułem się nieco lepiej. Johan przysięgał, że widział, jak mocniej naciskałem na pedały.

- Pracowałeś ciężko i jesteś przygotowany - powiedział. - Nie wszystko szło po naszej myśli, ale w ostatnim tygodniu Tour de France liczy się doświadczenie, odporność psychiczna i determinacja, a nie sądzę, żeby któryś z kolarzy przewyższał cię pod tym względem.

Johan wciąż we mnie wierzył - a to mnie motywowało do działania.

Śniadania i obiady nadal jedliśmy w ciszy, mieliśmy trudny orzech do zgryzienia, ale wszyscy byli gotowi bronić naszej niepewnej pozycji lidera. Potrzebuję jednego dobrego dnia - powtarzałem sobie.

Potrzebowałem go jak najszybciej - właściwie potrzebowałem go nazajutrz. Przed nami został jeden końcowy podjazd, wzniesienie Luz Ardiden. Jeśli myślałem o wygraniu Tour de France, to musiałem go wygrać właśnie tam.

Pełen obaw zadawałem sobie pytanie, co stanie się, jeśli nie wygram, czy będzie to koniec wyścigu dla całej ekipy? Gdy niesiesz na swoich barkach nadzieje i oczekiwania

zespołu, odczuwasz wielką odpowiedzialność. A miałem na swoich barkach także inne ciężary. Kiedy byliśmy w Pirenejach, po którymś z górskich odcinków, krótko przed etapem do Luz Ardiden, Kik wysłała mi wiadomość tekstową. Miała sen, że wspinałem się pod górę. Do mojego roweru przyczepiona była platforma, na której stali ludzie. Byli na niej wszyscy ci, którzy pokonali raka, sponsorzy, sympatycy - a ja usiłowałem wciągnąć ich na szczyt. We śnie - jak napisała - odczepiłem platformę i odjechałem. „Pozbądź się ciężaru, który trzymasz na swoich barkach" - nalegała.

Kik miała rację. Starałem się zrobić coś, co było ponad moje siły. Ta wiadomość wiele znaczyła, dlatego ją zachowałem.

Wieczorem, w przeddzień etapu do Luz Ardiden, odwiedził mnie Bili Stapleton. Tym, co wówczas powiedział, dodał mi otuchy. Rozmawialiśmy o bliskim końcu wyścigu i o tym, jak wielką wywiera to na mnie presję. Bili powiedział wtedy cicho:

- Facet, jesteś tym, który potrafi wbić ósmą bilę. Nie wiedziałem, co miał na myśli.

- Ósmą bilę? - powtórzyłem.

- Tak, oczyść stół - powiedział. - Ósma bila, narożna kieszeń. Deklarujesz, wykonujesz.

Tamtej nocy spałem spokojnie. Gdy obudziłem się następnego ranka, czułem się wyśmienicie. Najlepiej od początku Tour de France. Zszedłem na dół i udałem się do naszego autokaru na kawę.

- Sądzę, że wróciłem do formy - powiedziałem do Johana. Piłem kawę i myślałem o Luz Ardiden. Ullrich i szef zespołu Bianchi, Rudy Pevenage, przekonywali wszystkich dookoła, że Ullrich zostanie liderem wyścigu, zanim dotrzemy na szczyt. Zdaniem Ullricha i Pevenage'a powinienem tego dnia oddać zwycięstwo Tour de France.

Kiedy siedziałem w autokarze, pijąc kawę i rozmyślając, podszedł do mnie Geert Duffy, jeden z naszych menedżerów operacyjnych, i opowiedział mi pewną historię. W poprzednim roku Pevenage poprosił go, aby podarował mu na pamiątkę żółtą koszulkę. Duffy obiecywał mu jedną przynieść, ale potem o wszystkim zapomniał. Teraz, gdy Ullrich miał tylko piętnaście sekund straty do lidera, Pevenage odszukał Duffy'ego i powiedział:

- Cześć, Duffy, nie zaprzątaj sobie głowy tą koszulką. Zamierzamy zdobyć własną.

Wysłuchałem do końca opowiadania Duffy'ego i odstawiłem filiżankę.

- Koniec Tour de France - oświadczyłem i opuściłem autokar. Poznanie planów drugiej strony jest bardzo pomocne przy układaniu własnych. Na starcie zobaczyłem Tylera Hamiltona.

- Bądź gotów - powiedziałem. - Będę atakował.

Była to moja ostatnia szansa. Po Luz Ardiden został tylko jeden krytyczny etap, jazda indywidualna na czas do Nantes, ale Ullrich pokonał mnie już raz w czasówce. Nie chciałem jechać do Nantes, mając tylko piętnastosekundową przewagę. Musiałem ją zwiększyć na ostatnim górskim etapie.

Był to prawdopodobnie najdłuższy i najcięższy wspinaczkowy dzień w Tour de France. Gdy minęliśmy masyw Tourmalet, Ullrich natychmiast ruszył do ataku. Postanowiłem nie tracić energii i nie goniłem go. Pozwoliłem mu odjechać. Stopniowo jednak zbliżałem się do niego, a Ullrich systematycznie zwalniał. Potem dogoniła nas grupa, w której jechali Mayo i Winokurow. W takim składzie pokonywaliśmy kolejny zjazd.

W końcu, po pięciu godzinach jazdy na rowerach dotarliśmy do podnóża Luz Ardiden - wtedy tempo wzrosło i rozpoczęły się jedyne w swoim rodzaju rozgrywki sparingowe na rowerach.

Iban Mayo ruszył do ataku. Nacisnąłem na pedały i odparowałem atak. Minąłem Mayo.

Wysunąłem się na prowadzenie. Pędziłem jak błyskawica. Zastanawiałem się, gdzie jest Ullrich? Miałem nadzieję, że teraz odpokutowuje Tourmalet.

- Ullrich odpadł - usłyszałem w słuchawce głos Johana. Ullrich został w tyle z grymasem bólu na twarzy. Pedałował co sił, ale nie był w stanie wytrzymać mojego tempa.

- Dziesięć sekund - powiedział Johan.

Ta wiadomość wprawiła mnie w dobry nastrój.

Nacisnąłem jeszcze mocnej na pedały. Wspinając się na wzniesienie, myślałem o tym, aby wydłużyć drogę między mną a Ullrichem, to znaczy oddalić się od niego na bezpieczną odległość. Jechałem brzegiem jezdni, ścinając każdy wiraż. Mijałem kibiców, prawie ich nie zauważając...

Mój wzrok przyciągnęła żółta plama. Jakieś dziecko trzymało żółtą torbę - pamiątkę z Tour de France - którą machało we wszystkie strony.

„Uch, och, dostanę to" - pomyślałem.

Nagle torba zaczepiła się o rączkę mojego hamulca i poczułem gwałtowne szarpnięcie...

Torba została wciągnięta przez koło.

Miałem wrażenie, jakby ktoś narzucił na mnie obręcz i gwałtownie ją zacisnął. Upadłem na ziemię, lądując na prawym biodrze. Było to bardzo bolesne. „Kraksa! W takim momencie? - pomyślałem z niedowierzaniem. - Jak mogło do tego dojść?"

„W porządku. Koniec Tour de France - była to moja następna myśl. - Za dużo, za dużo

tych przykrych incydentów".

Ale natychmiast przyszła mi do głowy inna myśl.

„Podnieś się".

To ona podtrzymywała mnie na duchu przez te wszystkie, długie miesiące, które spędziłem w szpitalnym łóżku. Po operacji: „Podnieś się". Po chemii: „Podnieś się". Był to wewnętrzny szept, który dawał mi kuksańce, szturchał mnie, i wtedy znów się odezwał: „Podnieś... się".

Podniosłem się. Johan powiedział później, że to wyglądało tak, jakbym natychmiast skoczył na równe nogi, niczym zabawka na sprężynie. Postawiłem rower i z furią manipulowałem przy łańcuchu, który spadł z zębatki - szarpałem nim, starając się go umieścić z powrotem na miejscu. Gdy mi się to udało, zacząłem wydawać gardłowe okrzyki, okrzyki człowieka pierwotnego. Krzyczałem z wściekłości. Byłem zdruzgotany. Wyrzuciłem z siebie wszystkie przekleństwa, jakie znałem. Krzyczałem, ponieważ sądziłem, że przez tę kraksę straciłem szansę na zwycięstwo w wyścigu.

Założyłem łańcuch, wskoczyłem na rower, zacząłem się odpychać. Wtedy pojawił się za mną mechanik drużyny Pocztowców. Pchał mnie i również krzyczał, z wysiłku i ze złości.

Chechu poczekał na mnie. Następnie przyśpieszył i dał znak, abym jechał za nim. Wstałem z siodełka i nacisnąłem na pedały. Ale przeskoczył bieg i moja stopa wypadła z pedału. Rower zakołysał się jak zwariowany i znów upadłem. Klatką piersiową uderzyłem o górną rurę ramy. Później odkryłem, że złamał się odciąg łańcucha. Pozbierałem się jednak i ponownie postawiłem stopę na pedał.

Tyler Hamilton, który jechał przede mną, także wpadł w złość. Etykieta Tour de France nakazywała, aby kolarze, którzy wysunęli się na prowadzenie, poczekali na mnie, aż do nich dołączę. Ja też poczekałem na Ullricha, kiedy dwa lata wcześniej wypadł z drogi i zaliczył groźną kraksę. Tour de France powinien bowiem wygrać najsilniejszy kolarz, a nie ten, który ma najwięcej szczęścia, i cały peleton zgodnie utrzymywał, że żaden zawodnik nie powinien wykorzystywać pechowego wypadku rywala.

Potem świat sportowy wyrażał swoje uznanie dla Ullricha za to, że na mnie zaczekał. Ale teraz, kiedy o tym wszystkim myślę, nie jestem pewien, czy on naprawdę na mnie czekał. Kiedy ponownie analizuję tamte chwile, wydaje mi się, że Ullrich utrzymywał zwykłe, wyścigowe tempo. Nie ruszył do ataku, ale też nie czekał - dopóki Tyler nie dogonił go i nie dał znaku, aby zwolnił.

- Zwolnij! - krzyknął.

Grupa kilku zawodników, która wysunęła się na prowadzenie, zwolniła tempo.

Tymczasem Johan podjechał do mnie samochodem, aby zobaczyć, czy wszystko ze mną w porządku. Na łokciu miałem głębokie skaleczenie. Johan otworzył okno samochodu i zaczął coś do mnie mówić. Odwróciłem głowę w jego stronę i spojrzałem na niego z ogniem w oczach. Bez słowa zamknął usta, a potem okno. Zobaczył to, czego się spodziewał.

- Wtedy byłem pewien, że już po wszystkim - powiedział później.

Pędziłem przed siebie. Po kilku minutach szalonego wysiłku dogoniłem czołówkę.

Gdy tylko dołączyłem do grupy, Mayo odwrócił się, spojrzał na mnie przez ramię - i ponownie zaatakował. Natychmiast wstałem z siodełka, usiadłem mu na kole, a potem jak pocisk wystrzelony z procy minąłem go.

Byłem wściekły. Wbiłem stopy w pedały. Napędzały mnie adrenalina, obawy i złość.

Po kilku chwilach jechałem sam. Oderwałem się od grupy tak szybko, że żaden z zawodników nie był w stanie rzucić się za mną w pościg. Po raz kolejny pozostawiłem Ullricha za sobą.

- Odpadł - poinformował mnie Johan. - Masz dziesięć sekund przewagi.

Przyśpieszyłem, niemal warcząc. Jechałem powodowany strachem, który wciąż we mnie tkwił, wściekłością z powodu kraksy, dławionymi wspomnieniami wypadków, ciężkich prób i wątpliwości z poprzednich tygodni.

- Dwadzieścia sekund - powiedział Johan, bardziej podekscytowany.

Wpadłem w swój rytm i zacząłem tańczyć na rowerze, jakbym wjeżdżał na wzniesienie po schodach.

- Trzydzieści sekund...

Znów poczułem pragnienie. Zgubiłem swoją butelkę podczas kraksy, a teraz zacząłem odczuwać zmęczenie. Ale tuż za mną jechał Johan i krzyczał z takim przejęciem, że ledwo rozumiałem, co mówi.

- Dalej! Dalej! O to chodzi! Wygrasz wyścig! To twoja szansa! Dałem z siebie wszystko i teraz byłem wykończony. Ostatnie kilka kilometrów pokonałem z grymasem bólu na twarzy. Ale gdy zbliżałem się do mety, adrenalina i wściekłość znów dały o sobie znać. Pomyślałem o wątpliwościach, które miał peleton, o szeptach, że jestem zbyt stary, zbyt bogaty, zbyt rozproszony albo zbyt amerykański, aby wygrać Tour de France po raz piąty. „To jest moja domena - pomyślałem - i nikt inny nie wygra tego wyścigu".

Kiedy minąłem metę, opadłem na kierownicę, swobodnie opuszczając ramiona. Byłem za bardzo wyczerpany, aby podnieść rękę. Jednocześnie odczuwałem ulgę. Krwawiłem, utykałem na nogę, byłem skonany, ale wygrałem ten etap, uzyskując 40 sekund przewagi nad Ullrichem.

Prowadziłem w Tour de France z przewagą 1 minuty i 7 sekund. Jedna minuta po dwóch tygodniach zmagań i zwątpienia wydawała mi się godziną. Było to więcej, niż mogliśmy się spodziewać w tych okolicznościach. Stanąłem na podium i włożyłem żółtą koszulkę. Stojąc tam, ze wzniesionymi ramionami, zobaczyłem George'a mijającego metę. Zmęczenie ustąpiło, rozpogodziłem się i wskazałem na niego, wykonując ręką gest zwycięstwa.

Po opuszczeniu podium zostałem poddany testom antydopingowym, a potem uczestniczyłem w konferencji prasowej. Upłynęło zatem nieco czasu, zanim w końcu spotkałem się z Johanem. Rzuciłem się mu w ramiona, a on wziął mnie w objęcia i potrząsnął, bełkocząc:

- Tak, tak, tak, tak!

- To moja domena - powiedziałem.

Wsiedliśmy do samochodu i pojechaliśmy w stronę hotelu. Pozostali zawodnicy U.S. Postal jechali przed nami autokarem. Nagle postanowiłem natychmiast zobaczyć się z moimi kolegami z drużyny. Tylko dzięki nim mogłem stanąć na podium w żółtej koszulce, ponieważ oni otoczyli mnie opieką i teraz nie chciałem jechać sam, chciałem jechać z nimi.

- Dogońmy ich - powiedziałem do Johana.

Johan przyspieszył i zobaczyliśmy jadący przed nami autokar.

Przez radio poprosiliśmy kierowcę, aby zjechał na pobocze i zatrzymał się. Gdy zjechaliśmy z szosy, wyskoczyłem z samochodu Johana, pobiegłem do autokaru i wspiąłem się po stopniach. Znalazłem się na przejściu między fotelami, krzycząc z radości.

- Jak bardzo mnie teraz lubicie?! Jak, do cholery, bardzo mnie teraz lubicie??!!

Zawodnicy nie wytrzymali. Wyskoczyli z foteli, wznosząc radosne okrzyki. Wrzawa w przejściu między fotelami panowała dziesięć minut. Wymienialiśmy uściski, wykrzykiwaliśmy i klepaliśmy się po plecach.

Nie był to jeszcze koniec Tour de France, ale teraz absolutnie wierzyłem w to, że wygram wyścig. Po raz pierwszy nie czułem się ani słaby, ani atakowany. Czułem się jak prawdziwy lider Tour de France. A co najważniejsze, czułem, że mogę spojrzeć moim kolegom z drużyny prosto w oczy.

Przez następne trzy dni Ullrich i ja jechaliśmy w stanie zawieszenia, nie spuszczając z siebie oka. Trasy tych etapów nie pozwalały na zdobycie większej przewagi czasowej, dlatego po prostu utrzymywaliśmy stałe tempo i jechaliśmy ku Nantes. Obaj wiedzieliśmy, że decydującym etapem będzie jazda indywidualna na czas. Mogliśmy zatem tylko pedałować i oddawać się rozmyślaniom. Napięcie jednak rosło. Podczas jazdy indywidualnej na czas liczy

się każda sekunda.

W Nantes obudził nas zacinający deszcz. Nie zważając na pogodę, Johan i ja wstaliśmy o 6.30 i pojechaliśmy obejrzeć trasę. Wolno w deszczu pokonałem na rowerze trasę tam i z powrotem, badając każdy zakręt, tory kolejowe, a nawet włazy kanalizacyjne. Zwykły znak namalowany na jezdni może spowodować poślizg na mokrej drodze. Zauważyłem, że ostatni dziesięciokilometrowy odcinek był szczególnie niebezpieczny - szereg skrzyżowań w ruchu okrężnym i zakrętów, które mogą stwarzać potencjalne zagrożenie. Gdy wróciliśmy do hotelu, dowiedzieliśmy się, że Ullrich nadal śpi, że woli obejrzeć nagranie wideo z przebiegu trasy niż zmoknąć.

Przez cały ranek zespół siedział w autokarze cicho, a deszcz zacinał w szyby. Mój przyjaciel, Robin Williams, od czasu do czasu przerywał ciszę swoimi dowcipami. Ja także starałem się śmiać, bo to pozwalało mi rozluźnić szczęki.

W końcu wszyscy kolarze wyjechali na trasę. Zaczęliśmy otrzymywać relacje kolegów z drużyny: co kilka minut dochodziło do wypadków. Przewróciło się trzech zawodników z ekipy Ullricha. Nie powinienem ryzykować.

Johan dał mi kilka ostatnich, taktycznych wskazówek. Prosił, abym zachował ostrożność: nie byłem jedynym kolarzem, który musiał podjąć pewne ryzyko. Ullrich, który chciał mnie dogonić, jechał tą samą trasą.

Wiedziałem o tym, wyjeżdżając na trasę - zacząłem wolno. Straciłem sześć sekund w stosunku do Ullricha na pierwszym półtorakilometrowym odcinku.

Czułem, jak koła mojego roweru ślizgają się w deszczu.

Zachowywałem spokój. Domyślałem się, że Ullrich wystartował ostro, aby wywrzeć na mnie presję, może nawet podkopać moje morale. Skoncentrowałem się na swoim własnym tempie, złapałem rytm.

Na kolejnym punkcie kontrolnym miałem już tylko dwie sekundy straty.

Ullrich nie przestawał forsować, mimo iż szosę pokrywała dość gruba warstwa wody. Na każdym zakręcie koła rowerów rozbryzgiwały kałuże.

Większość moich kolegów z drużyny przejechała trasę bezpiecznie. Teraz siedzieli w autokarze i nerwowo oglądali relacje z wyścigu w telewizji. Zakryli rękami twarz, kiedy przyspieszyłem na śliskim chodniku. Zerkali na ekran przez palce.

Zyskałem dziesięć sekund przewagi.

Przede mną Ullrich mocno naciskał na pedały. Dotarł do najbardziej niebezpiecznego odcinka trasy - był to końcowy dziesięciokilometrowy dystans. Wywrócił się na rondzie.

Chwilę później Johan śmiertelnie poważnym głosem przekazał mi tę wiadomość przez

radio.

- Lance, Ullrich zaliczył upadek.

Ullrich z pędem wjechał na rondo i złożył się do zakrętu. Wówczas rower po prostu wysunął się spod niego. Wyglądało to tak, jakby urwała się droga. Przez kilka chwil sunął przez asfaltową szosę, a potem uderzył w bandę utworzoną z bel siana.

Z trudem podniósł się i skoczył na rower, ale było już po wyścigu. Zostałem zwycięzcą Tour de France. Musiałem tylko bezpiecznie dojechać do mety.

- Lance, spokojnie. Proszę, nie ryzykuj - powiedział Johan. - Możesz w zasadzie kroczkiem dojść do mety i tak nikt ci już nie odbierze zwycięstwa.

Od tego momentu moja jazda stała się przejażdżką krajoznawczą po okolicach Nantes. Właściwie wyprostowałem się i podziwiałem widoki. Wciąż jednak zachowywałem szczególną ostrożność na zakrętach.

Trzy kilometry przed metą Johan podjechał do mnie samochodem i pokazał mi podniesionego kciuka. W odpowiedzi podniosłem rękę i wykonałem stosowny gest, wyprostowując mały i wskazujący palec - w Teksasie znaczyło to: „Biorę ich na rogi".

Gdy zbliżałem się do mety, napięcie minionych trzech tygodni ustępowało. Rozpogodziłem się, a nawet się uśmiechałem. Minąłem linię mety i podniosłem ramię, zaciskając pięść. Starałem się cieszyć chwilą: miałem stać się pięciokrotnym zwycięzcą Tour de France.

Trudno jednak wyrazić jakikolwiek rekord. Aby coś określić, używamy zwykle miar. Powiedzieć, że ktoś wygrał pięć razy Tour de France, to czysta abstrakcja, ponieważ liczba zwycięstw nie mówi nic o wydarzeniach i emocjach, które towarzyszyły wyścigowi, o niepowodzeniach i wygranych etapach, o udrękach i uniesieniach. Być może, jedynymi osobami, które w pełni rozumieją, co znaczy zdanie: „pięć zwycięstw Tour de France", są moi koledzy z drużyny oraz czterech kolarzy, którzy dokonali tego samego i tworzą swój własny klub. Cyfra pięć jest dla nich znakiem rozpoznawczym. Mogę tylko powiedzieć, co znaczy to dla mnie. Dokładnie tyle: pięć razy otrzymałem wsparcie.

Gdy zszedłem z podium, spotkałem Bernarda Hinaulta. Uścisnął mi rękę i powiedział wprost:

- Witamy w klubie.

Etap kończący się w Paryżu miał charakter ceremonii. Sunąłem przed siebie, popijałem szampana i zastanawiałem się nad znaczeniem wyścigu: myślałem o podnoszeniu się z ziemi, o rozwiązywaniu problemów dzięki rozumowi i woli. Czułem, jak duma rozpiera moje piersi, kiedy wjeżdżaliśmy do Paryża. A gdy przejeżdżaliśmy obok budynku Hotel de

Crillon, zobaczyłem powiewającą flagę Teksasu. Tak bywało również przez ostatnich pięć lat.

Prawdziwą chwilę zwycięstwa przeżyłem jednak dopiero wieczorem w prywatnej sali bankietowej, gdzie spotkała się cała nasza ekipa. Wzniosłem toast na jej cześć.

- Ten rok był dla mnie ciężki, zarówno jeśli chodzi o moje życie osobiste, jak i zawodowe - powiedziałem. - Nie zawsze dopisywała mi forma, zdawałem sobie z tego sprawę. Wiem, że napędziłem wam strachu. Obiecuję, że nigdy się to nie powtórzy. Ale wy ciągnęliście mnie do przodu. Trudno było mi schodzić na dół, siadać z wami do obiadu i patrzeć na wasze twarze, wiedząc, że zawodzę wasze oczekiwania. Po Luz Ardiden mogłem wreszcie spojrzeć wam z dumą w oczy. Naprawdę was potrzebowałem, a wy byliście ze mną. Teraz jestem tu tylko dzięki wam. Dziękuję wam za to, że mnie nie opuściliście. Ta koszulka należy do was. Ta uroczystość, ten wieczór jest na waszą cześć. Dziękuję wam.

Tak zakończył się dla mnie Tour de France rozegrany w stulecie powstania imprezy. Ale jak powiedziałem, następowały wciąż nowe wydarzenia.

Kik, dzieci i ja wróciliśmy razem do Girony. Położyliśmy dzieci do łóżek, włączyliśmy urządzenie monitorujące i zeszliśmy do kawiarni, która znajdowała się tuż pod oknem naszego mieszkania. Zamówiliśmy zimne piwo, hiszpańską szynkę oraz chleb i usiedliśmy bez słowa. Wciąż wkładaliśmy wiele wysiłku i troski, aby uratować nasz związek. Nadal głęboko się nad nim zastanawialiśmy.

Przez kilka następnych dni odrzucałem wszelkie zaproszenia, nie udzielałem wywiadów, nie przyjmowałem żadnych propozycji. Tym razem, inaczej niż po wcześniejszych zwycięstwach w Tour de France, po prostu zostałem w domu. Bawiłem się z dziećmi, zabierałem je na plażę. Kupiliśmy nowy grill, rozłożyliśmy go w ogrodzie i słuchaliśmy Boba Marleya. Doprowadziłem też do perfekcji umiejętność przyrządzania zmrożonej margarity. Rozmyślałem o zobaczeniu wybrzeża amalfitańskiego we Włoszech - dla samej przyjemności. W ogóle nie myślałem o wyścigach.

Gdzieś tam jest kolejna meta. Ale nie chcę do niej dojechać - jeszcze nie teraz.